



K I K

Magda Szabó

PIŁAT

M a g d a   S z a b ó

# PIŁAT

Przełożyła  
OLGA WYBRANOWSKA



Państwowy Instytut Wydawniczy

**Część I**

**ZIEMIA**

## Rozdział I

Wiadomość nadeszła rano, gdy robiła grzanki. Jakieś trzy lata temu Iza przysłała im zgrabną maszynkę z elektrycznymi spiralami, na której cienkie kromki chleba nabierały jasnych rumieńców. Staruszka obracała ją w rękach, przypatrywała się jej przez jakiś czas, wreszcie zapakowała z powrotem do pudełka i więcej już nie wyjęła. Nie miała zaufania do żadnych maszyn ani aparatów. Prawdę mówiąc, nie ufała nawet czemuś tak powszedniemu i zwykłemu jak elektryczność. Czasem, gdy z powodu krótkiego spięcia albo burzy, psuło się coś w przewodach, zdejmowała z kuchennego kredensu dwuramienny mosiężny świecznik, który czekał tam zawsze w pogotowiu. Kroczyła wówczas korytarzem unosząc świecznik wysoko nad głową, tak jak bardzo stary jeleni nosi rogi. Oczywiście z robieniem grzanek na maszynce także nie mogła się oswoić. Przyzwyczała się do żywego ognia, do dziwnego syczenia płomieni. Układały się w stale zmieniające się obrazy i we właściwy sobie sposób ożywiały ściany domu. Przy płonącym ogniu nie czuła się samotna nawet wtedy, kiedy była sama w mieszkaniu.

Teraz także siedziała przykucnięta na stołku przed otwartym paleniskiem. Kiedy zadzwonił Antal, nie wiedziała, co zrobić z trzymanym w ręku chlebem, i wzięła go ze sobą do przedpokoju. Antal najpierw spojrział na nią, potem chwycił ją w ramiona i ten gwałtowny ruch zdradził to, czego nie chciał wyrazić słowami. Oczy starej kobiety napełniły się łzami, które jednak nie spłynęły po twarzy, tylko zatrzymały się na dolnej powiece. Jej wrodzona i wpajana przez całe życie uprzejmość wzięła górę nad odruchem i wyszeptala:

– Dziękuję, synu.

Napalone było tylko w jednym z dwóch niedużych pokoi. Kiedy weszli, stara kobieta z powrotem usiadła na stołku. Antal grzał sobie ręce nad piecem. Nie mówili nic do siebie, ale doskonale się rozumieli. Kobieta szeptała w myślach: „Muszę zebrać siły – tak bardzo go kochałam.” A Antal odpowiedział jej bez słów: „Trzymaj się, mamy czas, zdążymy. Właściwie nie masz po co iść. Tam już nie ma nikogo. On już od świtu nie jest tym, którego znałaś. A mimo to zabiorę cię tam, bo masz prawo do niego... do tego, co po nim pozostało.”

Kiedy nareszcie wyszli z domu, staruszka nie zapomniała wziąć ze sobą nawet siatki. Zawsze ją zabierała idąc do kliniki. Zanosila w niej Wincentemu wszystko, o co prosił, albo to, co sama uważała za stosowne: chusteczki do nosa, biszkopty, cytryny. Także i teraz przez siatkę przeświecały złociste owoce. „Okłamuje się – pomyślał lekarz – okłamuje się trzema nędznymi cytrynami. Myśli, że oszuka nimi śmierć i pokaże, że się jej nie boi. Łudzi się, że niosąc mężowi cytryny, zastanie go jeszcze przy życiu.”

W nocy chwycił lekki mróz. Schody były śliskie. Staruszka nie posypała ich piaskiem od wczorajszego wieczora. Wziął ją pod ramię i sprowadził na dół.

Drzwi od drewnutni były otwarte. Gdzieś za ośnieżonym progiem ukrywał się Kapitan. Słysząc było, jak kotłuje się w słomie, rozgrzebując swoje legowisko. Staruszka nie spojrzała w stronę szopy; Antal czuł, jak drętwieje jej ramię, i usłyszał jej przyśpieszony oddech. „Ona także zauważyła Kapitana – myślał lekarz – ale udaje, że go nie widzi. Kapitan jest czarny. Teraz należy unikać wszystkiego, co czarne, i patrzeć tylko na rzeczy jasne.”

Kierownik sklepu Kolman patrzył za nimi przez oszklone drzwi, kiedy zamknęli furtkę i skierowali się ku postojowi taksówek. Tak niedawno zabrali starszego pana do szpitala, a już widocznie dogorywa. Szkoda go, był to cichy, spokojny człowiek. Cierpliwym z natury, w sklepie wszystkim ustępował pierwszeństwa, zarówno mężczyznom, jak dzieciom. Zawsze ostatni podawał butelkę na mleko. Dziewczeta uwielbiały go, bo latem przynosił im kwiaty ze swego ogrodu. Kiedy zrobiło się zimno, częstował je konfiturą z dyni i herbata. A teraz odchodził, biedak. Oj, będzie opłakiwać go córka! Ile pieniędzy przysyłała mu ze stolicy – tak przynajmniej opowiadał listonosz. Gdzie też miał oczy ten Antal, że odszedł od niej... a przecież nie jest złym człowiekiem. Pacjenci go chwalą.

Staruszka także myślała o Izie, kiedy przed cukiernią wsiadali do taksówki. „Ojciec ma raka” – powiedziała Iza jakimś dziwnie chłodnym głosem, kiedy trzy miesiące temu matka niespodziewanie wezwała ją telefonicznie ze stolicy, żeby zbadala ojca. Wycierała w łazience ręce wolnymi, typowo lekarskimi ruchami, nabrała tego zwyczaju jeszcze za czasów studenckich. Staruszka gwałtownie oparła się o krawędź wanny, gdyż pociemniało jej w oczach. Uchwyciła się kranu, lecz po chwili przyszła do siebie i wybiegła do przedpokoju, ponieważ usłyszała głos Wincentego.

– Co tam spiskujecie? – wołał podniecony, a ona patrzyła na niego z taką grozą, z jaką człowiek patrzy na rozkładające się ciało.

Nie odpowiedziała, nic nie przychodziło jej do głowy. Sytuację uratowała Iza, która ukazała się zza pleców matki i kiwając wskazującym palcem powiedziała:

– Nie każdy jest takim starym brudasem jak ty, ojcze. – a wychudzona twarz Wincentego rozjaśniła się. „Stary brudas” było to dobrze mu znane powiedzenie Izy, tej wiecznie beczącej małej Izy z błyszczącym nosem.

– Inni myją ręce kilka razy dziennie, na przykład ja – powiedziała córka – a teraz idź do pokoju, bo się zaziębisz. Gdybym miała taką niedokwaśność żołądka jak ty, to bym nie biegała tyle, ale siedziałabym na; miejscu i zajadałabym, pepsynę.

Staruszka wiedziała, że Wincenty Coś podejrzewa. Od czasu kiedy zaczął odczuwać silne bóle i chudnąć w szybkim tempie, stał się podejrzliwy, czujny i ciągle nastawiał uszu, a nuż coś usłyszy, jakiś strzęp szeptu, i wreszcie się dowie, dlaczego słabnie coraz bardziej i czym jest ta piekająca, okrutna tortura, która nawiedza go coraz częściej. „Ja nie potrafiłabym tak na niego krzyknąć” – pomyślała Staruszka, ale nawet w rozpacz, w jakiej była, wezbrała w niej duma, że Iza mimo wszystko zdobyła się na to.

– Chodź, mammo, do kawiarni, napijemy się kawy. A ty, ojczec, nie pójdziesz?

Wincenty uśmiechnął się. Wpatrywał się z dumą w swoje cienkie jak zapałki nogi: jeszcze wygląda na kogoś, kto chodzi do kawiarni – i przecząco pokiwał głową. Iza machnęła ręką i powiedziała, że wcale jej na tym nie zależy, bo i tak cały czas oglądałby się za kobietami. Zarzuciła płaszcz i, tak jak w czasach dzieciństwa wychodząc z domu, pochyliła się nad nim i czołem dotknęła pięknego wypukłego czoła ojca.

– Tylko nie poderwij tymczasem jakiejś babki.

Wincenty uśmiechał się chytrze, po dawnemu zabłysły mu oczy, które od tygodni były tak zmienione, że Staruszka czasem nie mogła się nadziwić, co się z nimi stało. Dlaczego stały się mniejsze, jakieś węższe. i wyblakłe? Wincenty uwielbiał Izę. W ich rozmowach zawsze był jakiś zaczepny ton, wcale nie taki, jakim rozmawiają ze sobą ojcowie i córki. Rozmowa ich była przyjacielska, braterska, tak jakby spiskowali, Bóg wie zresztą jaka.

W i kawiarni żadna z nich nie tknęła kawy. Obracały w rękę i patrzyły na zamglone parą szklanki. Twarz Izy pobladła.

– Pozostały mu może trzy miesiące – powiedziała córka. – Antal przyniesie proszki. Zostawię ci pieniądze. Kupuj mu wszystko, na co tylko będzie miał ochotę, spełniaj każdą jego zachciankę. Nie oszczędzaj, mammo.

Zabrzmiała muzyka. Staruszce nagle wydało się, że ona i Iza siedzą tutaj niby dwaj oprawcy i w cieniu szkarłatnych kotar dopuszczają się jakiegoś okrutnego czynu. Wincentego nie będzie już za trzy miesiące, a ona o tym wie. Świadomość ta podziałała na nią tak, jakby usłyszała wyrok śmierci na Wincentego za zbrodnie, jakie popełnił, a teraz czeka na egzekucję. Nie miała odwagi zapytać się, czy diagnoza Dekkera była słuszna, a Dekker – wiedziała to od Izy i Antala – nie mylił się nigdy. Muzyka stawała się coraz głośniejsza. Zakochani patrzyli sobie w oczy. Kelnerka spytała, czy nie życzy sobie kremu. Iza odpowiedziała za matkę, że tak.

Krem był twardy i zbyt słodki. Spadł jej z łyżeczki, zanim uniosła go do szklanki. Z poczuciem winy zbierała go z obrusa.

– Spróbuj wziąć się w garść – powiedziała Iza. – Powiem ci, kiedy i czego należy oczekiwać.

Z początku Staruszka zmuszała się do słuchania, ale po chwili znowu uświadamiała sobie, że Wincenty będzie żył najwyżej dziewięćdziesiąt dni, i raptem przestała rozumieć, co się do niej mówi. Czerwone kotary rozplynęły się we łzach.

– Mammo – powiedziała Iza – mamy bardzo mało czasu, a musimy ze sobą porozmawiać!

Kiedy Iza miała jej powiedzieć coś ważnego, zawsze zwracała się do niej bardzo spokojnie i poważnie. Miała ochotę krzyknąć i cisnąć kremem o podłogę. W tej chwili jednak nie miała na to ani sił, ani odwagi. Tylko przez mgnienie oka ogarnęła ją pokusa, żeby zrobić coś podobnego. Staruszka nie miała skłonności do hysterii, zapytała tylko:

– Wrócisz do domu, prawda? – A w duchu modliła się jakimiś słowami bez związku i zasypywała Boga prośbami, żeby córka wróciła do domu i została przy niej. Aby nie zostawiała jej samej z umierającym. Iza jest lekarzem. Iza jest ich córką i od najmłodszych lat zawsze we wszystkim im pomagała.

Wreszcie udało się jej podnieść filiżankę do ust; z trudem przełknęła łyk kawy, tak jakby to nie był płyn, lecz coś twardego.

– Nie mogę wrócić – powiedziała wreszcie Iza.

Stara kobieta zrozumiała ją. Czuła, że córka ma rację. Gdyby dostała kilka dni urlopu albo gdyby zaczęła przyjeżdżać częściej niż zwykle, zdziwiliby to Wincentego, szukałby przyczyn takiego postępowania i zrozumiałby to, czego nie wolno mu się było domyślić. Iza przyjeżdżała zawsze regularnie raz na miesiąc, oprócz tego na imieniny, urodziny i inne uroczystości rodzinne. Iza nie może zostać. Naturalnie, że nie może. Ona musi zostać sama z Wincentym, z tą straszną tajemnicą w sercu, że on umrze. Nawet obietnica Izy, że Antal będzie przy niej i pomoże jej, nie złagodziła tego ciosu. Przecież Antal to nie Iza.

Łzy popłynęły jej strumieniem z oczu. Widziała, a raczej czuła, że siedzący przy sąsiednich stolikach ludzie patrzą na nią. Uchwyciła się zimnych, nie ozdobionych pierścionkami rąk Izy.

Taksówka pędziła między rzędami nagich jaworów. Na ulicy Sandora barwne plakaty zapraszały na jakąś zabawę taneczną. Siedzący obok kierowcy Antal usłyszał westchnienie i odwrócił się. Ale Staruszka nie odpowiedziała na jego spojrzenie. Zakaszła i odwróciła głowę w kierunku ulicy, gdzie na drzewach siedziały natrętne wrony. Antal jest dobry dla niej. Dla Wincentego także był dobry. Niegdyś oboje bardzo kochali Antala. Ale opuścił Izę, a tego nie można było ani zapomnieć, ani przebaczyć.

Na korytarzu kaloryfery promieniowały ciepłem. Powietrze było suche i czuć je było brudnymi szmatami. Portier otworzył im windę. Nawet w tej strasznej godzinie ucieszyło to Staruszkę, ponieważ uśmiech portiera kojarzył się w jej pamięci z Izą i Antalem. Czekwała na profesora przy końcu korytarza.

Był to ostatni rok Dekkera w klinice. Staruszka wyjmowała i wkładała przyniesione w siatce chusteczki i cytryny. Wzdrygnęła się na myśl, że musi rozmawiać z obcymi ludźmi, opanowała się jednak wiedząc, że spotkania tego nie zawdzięcza ani sobie, ani nawet Wincentemu, lecz Izie, której klinika w ten sposób okazuje uznanie.

W głębi duszy nie uwierzyła Antalowi, że wszystko skończone. Lecz w momencie gdy na korytarzu pojawił się Dekker, siatka nagle tak zaczęła jej ciążyć, jakby były w niej nie cytryny, lecz ołów.

Dekker był profesorem. To, co wyczytała na jego twarzy, było odpowiedzią na jej przerażające przeczucie.

Iza pytała ją później, o czym rozmawiała z profesorem. Staruszka starała się sklecić zagubione w pamięci zdania, lecz nie bardzo jej się to udawało. Przypominała sobie tylko jego dotknięcie. Dekker położył rękę na jej

ramieniu. Uświadomiła to sobie teraz, ponieważ strząsnęła z siebie tę kojącą dłoń, i ogarnęła ją dzika rozpacz, jakieś podniecenie i złość. I choć doskonale wiedziała, że Dekker od trzech miesięcy porusza niebo i ziemię, żeby ratować Wincentego – teraz posadzała go o zamordowanie męża. Nie wiadomo dlaczego pomyślała: „Ten człowiek jest właśnie w wieku Wincentego.”

W progu separatki zawahała się. Antal powiedział, że Wincenty od rana jest nieprzytomny. Prawdopodobnie nie odzyska więcej świadomości i we śnie przejdzie na tamtą stronę... Ale ona myślała w rozpacz: jeżeli wejdzie do niego, może oprzytomnieje. To niemożliwe, aby trwające od czterdziestu ośmiu lat zespolenie ciała i duszy dwojga ludzi nie było silniejsze od przemijania. Ale co będzie, jeżeli on, czując jej bliskość, nagle się odezwie i swoim dziecinnym, pokornym głosem obarczy ją odpowiedzialnością za złe dni w przeszłości? Co będzie, jeżeli dziś, w tej ostatniej godzinie, zobaczy, że stanął na progu otchłani, i znowu zaszlocha jak wtedy, na początku lat dwudziestych, kiedy stracił pracę. W nocy stanął w koszuli obok jej łóżka i z zalaną łzami twarzą powiedział: „Etelko, pomóż mi.” Co się stanie, kiedy znowu ją poprosi, aby mu pomogła, i będzie błagał o rzecz niemożliwą – o życie?

Wincenty kochał życie, nawet życie żebracze, bez celu i pracy. Będąc tak chory, uważał je za największy skarb podarowany przez los. To, że może chodzić po ziemi, że rano może wstawać i wieczorem kłaść się spać, że wieje wiatr i świeci słońce, że jest ulewa albo że cicho pada deszcz – wszystko to uważał za przywilej istnienia. Wtedy znowu zaczął kłamać tak, jak kłamała od miesięcy.

Staruszka bardziej obawiała się tego, że Wincenty odejdzie od niej bez pożegnania, niż tego, że jeszcze raz w pełni świadomości skieruje na nią z niemą męką przerażony wzrok albo że odczyta skargę w jego na wpół przymkniętych, od wewnątrz nieżyjących już oczach.

Kiedy weszła do pokoju, Antal rzucił swój płaszcz na krzesło i dopiero teraz zauważyła, że był bez fartucha. Wydał się jej dzięki temu nie lekarzem, lecz członkiem rodziny, którym nie jest już od lat.

Najpierw spostrzegła w pokoju Lidię – pielęgniarkę. Na odgłos skrzypnięcia drzwi Lidia odwróciła się, wstała ze stojącego obok łóżka krzesła i wygładziła na sobie fartuch. Nie przywitała się, tylko skinęła głową. W tym nierzeczywistym otoczeniu jedynie ona wydawała się czymś realnym. Poprawiła kołdrę Wincentego i natychmiast wyszła, nie oglądając się za siebie.

„Jakie to dziwne – myślała Staruszka. – Jest przy nim od tylu tygodni i wychodzi tak, z suchymi oczami, bez najmniejszego wzruszenia. A więc można się przyzwyczaić do śmierci?”

Wincenty był nieprzytomny; wyglądał, jakby spał. Na czole srebrzyście napinała się skóra. Od wczoraj jakoś dziwnie powiększył mu się nos. U jego nasady nie było widać czerwonego znaku od okularów. Przyjrzała mu się uważniej i doszła do wniosku, że to nie nos się powiększył, ale od wczoraj zapadły mu się policzki.



„Opuścił mnie – myślała Staruszka. – Nie poczekał na mnie. Przez czterdzieści dziewięć lat znałam wszystkie jego myśli. A teraz nie wiem, co zabrał ze sobą. Opuścił mnie.”

Opadła na krzesło obok łóżka i wpatrywała się w jego twarz.

Przez długie miesiące pielęgnowała go dniem i nocą, aż do zupełnego wyczerpania. Teraz nie czuła już zmęczenia. Mogłaby zacząć wszystko od początku, gdyby go mogła zabrać do domu, nawet w tym stanie i w tej żałośnie rozchełstanej koszuli, odsłaniającej jego dziwacznie wypukłą klatkę piersiową. Może nawet uniosłaby go sama na rękach, tak niewiele pozostało już tego ciała. Iza, przenosząc go tutaj, chciała jak najlepiej i dla niego, i dla matki, ale mimo to ona nie powinna się była na to zgodzić. Może gdyby była przy nim przez te ostatnie tygodnie, żyłby jeszcze. Tutaj pielęgnowała go Lidia. To ona zmieniała mu dwa razy dziennie pościel i zaopatrywała we wszystko, co potrzeba. Lidia była dokładna, cierpliwa, serdeczna, ale czy dowcipkowała z nim, aby go zmusić do jedzenia? Czy umiała go przekonać, że mu nic nie dolega, i kłaść wszystko na karb starości? Czy wiedziała, jak ukoić jego nie wypowiedziane słowami skargi? Nie powinna go była puszczać do kliniki. A teraz odejdzie bez pożegnania, nie odzyskawszy przytomności. Pochyliła się nad nim. Pocałowała go. Czoło Wincentego było suche. Pachniało lekami. Usiadła przy nim i ujęła go za rękę.

Około południa zajrzał Dekker i wróciła Lidia. Antala już nie było w separacie. Nawet nie zauważyła, kiedy wyszedł. Dekker był w pokoju tylko chwilę. Staruszka myślała, że Lidia wyjdzie razem z nim, ale dziewczyna została. Podeszła do okna i stamtąd obserwowała ich oboje. Starą kobietę drażnił ten obcy wzrok i odwróciła się tyłem do pielęgniarki. Kiedy jej nie widziała, natychmiast zapominała o jej obecności. Tylko włosy Wincentego jeszcze żyły. Te białe, niesforne kędziory. Nie czuła ani zmęczenia, ani głodu. Nie czuła, jak uciekają godziny. Od czasu do czasu wyprostowywała tylko plecy, gdyż bolał ją krzyż od ciągłego pochylania się.

Po południu Wincenty odezwał się.

Miała wrażenie, że serce jej przestało bić. Otaczała go taka cisza, tak wielka i tak pełna powagi, że wszelki odgłos musiał zabrzmieć jak zgrzyt. Kiedy się odezwał, równocześnie ciałem jego wstrząsnął dreszcz. Nawet zamknięte powieki mu drgnęły. Nachyliła się do jego ust, aby złowić uchem szept. Lidia także znalazła się przy nim. Nasłuchiwały obydwie. Na widok młodej, pochylonej twarzy dziewczyny ogarnęło ją uczucie gniewu i wrogości. Nienawidziła jej teraz. Uważała, że jest natrętna i bezduszna. Przecież i Antal, i Dekker odeszli stąd. Mieli na tyle delikatności. Po co ta się tu czai? Czy ogłuchła? Czy nie słyszy, że chory, żąda wody? Dlaczego się nie rusza, tylko stoi w miejscu i patrzy na Wincentego? Sama musi przynieść wody z nocnego stolika, z którego ktoś wszystko sprzątnął; jego okulary, garnuszek i mały ogryzek ołówka. I w tym momencie ucieszyła się w duchu, w najtajniejszej głębi serca, że pielęgniarka nie zrozumiała go i nie wiedziała, co robić. Tylko ona usłyszała jego słowa, tylko ona wie, o co Wincenty prosi, ona mu da pić;

jak niegdyś, tak i teraz może coś dla niego uczynić. Nalała wody do szklanki, uniosła głowę chorego z poduszki i zbliżyła szklankę do jego warg.

Usta Wincentego nie rozwarły się. Jakiś skurcz niechęci przemknął mu po twarzy. Nie chciał pić.

– Nie chce mu się pić – szepnęła Lidia. – Proszę mu nie dawać wody.

Była w stanie uderzyć tę dziewczynę. Patrzy jak jakie ciele, rządzi nią, wyjmuję jej szklankę z ręki! A tymczasem znów ten głos, ten dziwny syczący szept. Ale dlaczego nie pije, jeśli pragnie wody?

– Jestem tu! – głośno powiedziała Lidia.

Z początku myślała, że dziewczyna mówi do niej, i to znowu wyprowadziło ją z równowagi. Lecz natychmiast spostrzegła, że Lidia nie patrzy w jej stronę, tylko na Wincentego, że jego usta zadrżały i jakby cień dawnego uśmiechu musnął mu wargi i natychmiast znikł. Lidia uklękła po drugiej stronie łóżka i chwyciła rękę Wincentego.

Staruszka miała uczucie, że ją wyłączono z życia, unicestwiono. Patrzyła na Lidię jak na kogoś, kogo widzi po raz pierwszy. Jak na zupełnie obcą osobę. Jej twarz nasycona była jakąś niezrozumiałą dla niej treścią i znowu poczuła piekącą nienawiść do dziewczyny. Złodziejka, oszustka, skradła jej te ostatnie chwile. To Antal ją wybrał. Antal przydzielił ją do chorego. Iza by do tego nie dopuściła; przykucnęła tu teraz, trzyma Wincentego za rękę. Kim ona tu jest? Jakim prawem?

– Śpij! – powiedziała Lidia. – Jestem tu.

Stara kobieta osunęła się na brzeg łóżka i ogarnął ją taki gniew, że nie czuła nawet bólu. Chwyciła drugą dłoń Wincentego. Trzymały go z dwóch stron. Wincenty nie odezwał się więcej. Ledwo było słyhać, jak oddycha. Lidia nie poruszyła się. Nie widziała teraz jej twarzy, bo dziewczyna pochyliła czoło nad ręką Wincentego.

Na dworze wśród drzew zamierało marcowe światło. Staruszka przymknęła oczy i rozprostowała plecy. Zauważyła, że Lidia drgnęła i podniosła się. Wincenty leżał w takiej samej pozycji jak przedtem, tylko był jeszcze spokojniejszy.

– Nie żyje – powiedziała Lidia. – Nie prosił o wodę, tylko wołał córkę<sup>1</sup>. Powiedział „Iza”. Pójdę po doktora Antala.

---

<sup>1</sup> Po węgiersku gra słów: Iza - imię, viz - woda.

## Rozdział II

Przed bramą oddziału wewnętrznego stał samochód. Antal podprowadził Staruszkę do niego. Jakiś czas trwało, zanim zrozumiała, że Dekker wydał polecenie, by odesłano ją jego samochodem. Przerażona potrząsnęła głową. Nie! Za nic! To nie do pomyslenia, aby wsiadła teraz do samochodu i dała się zawieźć do domu jak po weselu. Przejdzie ścieżką przez park, na drugą stronę, do przystanku. Pojedzie tramwajem. Albo jeszcze chętniej pójdzie piechotą. Ma ochotę teraz chodzić, poruszać się. Antal spojrział w kierunku portierni, gdzie na haku wisiała peleryna odźwiernego, jak gdyby chciał ją na siebie zarzucić, kiedy będzie odprowadzał Staruszkę do domu. Ale niech jej nie odprowadza, niech ją pozostawi samą! Tak bardzo chciałyby teraz zostać sama! Nie zasłabnie, dlaczego miałyby zasłabnąć? Byleby ją puścił sama, spokojnie. Dziękuję za wszystko i jemu, i Dekkerowi.

Antal poprosił, żeby przynajmniej zostawiła swoją torbę. Dlaczego ma zostawiać, torba nie jest ciężka. Lekarz ciągle jeszcze nie chciał jej puścić, więc odeszła bez pożegnania. Wiedziała, że jest niewdzięczna, nieuprzejma, ale wiedziała również, że jeżeli nie odejdzie natychmiast – załamie się. Antal wołał coś za nią, coś o Izie, o jakimś telefonie. Nie bardzo rozumiała, o co mu chodzi. Ale na miłość boską, niech ją zostawi w spokoju.

Park był zimą jakby gniewny, jakby sprzeciwiał się nadejściu wiosny. Tu i ówdzie bielił się śnieg i rosły brzozy. Ich wysmukłe białe pnie przeginały się na wietrze. Dokoła stawu puszyste baze pokrywały wierzbinę. Ale nie był to marzec łagodny, raczej ponury i zły. Niebo było zachmurzone jak na Wielkanoc, ciemne i niespokojne. Młode, napęczniałe gałęzie nie zapowiadały radości i pogody, lecz tonęły w zielonkawofioletowej, smutnej poświacie. Na szczycie pagórka chwiały się stare, łysiejące sosny na łuskowatych grubych pniach. Ich rozhuśtane gałęzie świadczyły o silnym wietrze. Między konarami szeleściły suche zeszłoroczne szyszki. Na ścieżkach, w odciśniętych butami śladach, zastygła cienka warstewka wody. Na wysepkę na sztucznym stawie prowadził mostek. Kiedy zbliżyła się do niego, zawahała się chwilę, a potem przeszła po nim. Stąd wyraźnie było widać komin kliniki. Dym, oślepiająco biały i gęsty, kłębamii unosił się z niego pod kopułą ołowianego nieba. Widać było stąd tympanon ozdobiony dziwnie powykręcanyimi postaciami z mitologii, wśród których gnieździły się gołębie. Usiadła na ławce i wpatrzyła się w wodę. Brzegi stawu były jeszcze oblodzone, ale woda już się ożywiła. Ryb nie mogła dostrzec. Domyślała się tylko ich obecności, kiedy woda nagle zakłębiła się w tym czy innym miejscu i rozplywała w dużych kołach. W stawie żyły brązowe, zawsze wygłodniałe karpie. Dawniej w lecie, kiedy Iza była jeszcze małą dziewczynką, często je obserwowały, a nawet karmiły. Śmiesznie to wyglądało, gdy ryby walczyły o każdy kęs. Dna stawu nie było widać. Pusto było wokół. Brzeg porośnięty był wyschniętą zeszłoroczną trawą. Czarne suche gałązki, zaścielające ziemię, poruszały się niespokojnie.

„Co teraz pocznę sama?” – rozmyślała staruszka.

Na mostek weszły jakieś dzieci. Marudziły przez chwilę. Rzuciły do wody kamyki, zbiegły z powrotem na brzeg, a potem w kierunku teatru pod gołym niebem. Krzesła nie były jeszcze rozstawione, a kamienne słupy, o które opierały się w lecie czerwone ławki, sterczały teraz z ziemi jak nagrobki rzeźbione nieudolną ręką. Kiedy to zauważyła, wstała i odwróciła się tyłem do pagórka, na którego zboczu znajdował się teatr. Torba zaczęła jej ciążyć. Śmieszny, nie do zniesienia wydawał się jej ten ciężar. Wyciągnęła chusteczki. Jedną otarła oczy i włożyła ją do kieszeni. Teraz wyraźnie widać było trzy złociste cytryny. Wyjęła je z torby. Przez jakiś czas obracała w rękach, a potem wrzuciła do stawu.

Kiedy wracało się z miasta piechotą, najkrótsza droga prowadziła przez nową dzielnicę mieszkaniową.

W zeszłym roku, kiedy na placu Salétrom i w okolicy Balzsamárok przystąpiono do budowy i rozebrano stare, drewniane budy, podobne do kurników – oplakiwała tę część miasta. Spacerowali tam z Wincentym, żeby pożegnać dzielnicę, którą znali jeszcze z młodości. Ich buty grzęzły w miękkim, rozmokłym piasku ulicy, którą ludzie nie wiadomo dlaczego przezwali „Brodem”. Iżę zastali właśnie w domu. Staruszka nie chciała jej powiedzieć, gdzie byli na spacerze, ale Wincenty nie umiał niczego utrzymać w tajemnicy i już z przedpokoju wołał, skąd wracają. Iza machnęła ręką, przegięła do tyłu swą wysmukłą postać i powiedziała:

– Chcielibyście cofnąć koło czasu, ach, wy starzy zacofańcy. – Jej głos nie brzmiał zbyt srogo, ale nie żartowała. Iza zawsze poważnie myślała to, co mówiła. Wincenty trochę się nawet zawstydził. Przebąkiwał coś o rozkopaniu Balzsamárok i studni artezyjskiej.

– Rozkopano Balzsamárok! – powiedziała Iza, jakby te słowa budziły w niej szczególną odrazę. – A dlaczego nie mówisz o fabryce leków, która tam powstaje? Rozkopano! Spójrz na statystyki tamtej dzielnicy, prawie wszyscy chorowali tam na gruźlicę.

Staruszka przygotowywała w kuchni kanapki i zrobiło jej się wstyd za wylane z powodu Balzsamárok łyż. Wincenty także wyszedł do kuchni i mamrotał coś pod nosem. Unikali swojego wzroku. Wincenty zaczął nucić jakąś piosenkę. Miał miły, ładny głos, który nawet z wiekiem nie stracił uroku. Nucił jakąś Starą pieśń studencką: „Twarz i pierś jej biała jak śnieg na szczycie góry”... – i roześmieli się głośno, bo przypomnieli sobie, jak Iza będąc dzieckiem wszystkie słowa piosenki brała poważnie. Nie można było przy niej śpiewać nic smutnego, tej piosenki także, bo z płaczem domagała się, by owa dziewczyna z piosenki wyzdrowiała i nie umarła. Wincenty pocałował pochyloną nad kanapkami twarz żony. Kiedyś, w okresie narzeczeństwa, chodzili do Balzsamárok i całowali się, gdyż nikt im tam nie przeszkadzał. Iza otworzyła drzwi do kuchni. Odszkodzili od siebie. Córka roześmiała się.

– No, proszę, od dzisiaj będę pukała.

Teraz, kiedy doszła do skraju placu Salétrom, spłynęła na nią ciężka fala rozrzewnienia. Nie była w tej dzielnicy przeszło pół roku i musiała szukać

drogi wśród rozkopanej ziemi, gdzie powstawały nowe budynki. Okolica niczym nie przypominała dawnej dzielnicy. Krajobraz, pozbawiony baraków, wydawał się jeszcze bardziej płaski niż dawniej. Tylko studnia pozostała ta sama, choć ziemię wokół niej rozkopywały maszyny, a za nią wyciągała szyję jakaś przedziwna machina. Na budowie właśnie kończono pracę.

Ktoś krzyknął. Potykała się o grudy ziemi. Ktoś chwycił ją za ramię i pomógł przejść przez chybotliwą deskę.

– Dlaczego pani nie poszła tamtędy? Nie widzi pani, że tu napisano: „Budowa”?

Nie, nie widziała. Mruknęła coś pod nosem i przyśpieszyła kroku.

Za rogiem ulicy, wychylając się poza ogrodzenie ich domu, zielenił się bluszcz.

Kiedy zrehabilitowano Wincentego i wypłacono mu zatrzymane od dwudziestego trzeciego roku pobory, nie mówili o tym więcej. Ale oboje wiedzieli, że skończył się ich pobyt na ulicy Darabont. Pieniądze nadeszły w zimie w czterdziestym szóstym. Iza uczęszczała już wówczas na uniwersytet. Kiedy przyniesiono przekaz, byli w domu tylko we dwoje. Wincenty nic nie powiedział. Poczęstował listonosza papierosem, a potem wyszedł na podwórze z golą głową i w marynarce, bez szalika.

Żona chciała mu zanieść czapkę, ale nie śmiała się do niego zbliżyć. Zatrzymała się na schodach, gdyż widziała, jak Wincenty podreptał do chlewu, oparł się o ogrodzenie i wpatrywał się w jakiś punkt, jakby tam na dnie koryta czy miski z wodą było coś szczególnie ciekawego. Wiedziała, co czuje w tej chwili, i nie chciała go niepokoić. Obserwowała męża z daleka, z progu, jak się przechyla przez drewniany płot, i zauważyła, że jego plecy w ostatnich latach przygarbiły się bardziej, niż to bywa w jego wieku.

Zaczął sypać śnieg. Na gęstych włosach Wincentego osiadły białe płatki. Przez podwórze przesunął się lokator spod pierwszego, wynosząc śmieci. Dopiero ostatnio zaczął się im kłaniać. Wincenty odwrócił się i rozejrzał po pustym podwórzu. Objął spojrzeniem chlewy sąsiadów, kurniki oraz ich własną ubogą grządkę, na której nigdy nie kwitły kwiaty, gdyż kury lokatora spod pierwszego zawsze wygrzebywały nasiona. Kiedy się tak rozglądał, odżyła w nim myśl o własnym domu.

Zobaczył, że żona stoi na schodach i obserwuje go. Zatarł ręce, jak gdyby dopiero teraz zdał sobie sprawę, że jest zimno. Potem pośpieszył do niej, uściskał ją, a kiedy wysunęła się z jego ramion, spostrzegła, że niewinne oczy Wincentego są pełne łez.

Tego dnia Iza późno wróciła do domu. Wincenty nic jej nie powiedział, mimo że to właśnie Izie przyszła do głowy myśl przeprowadzenia rehabilitacji i że to ona napisała podanie. Wsunął zawiadomienie pod talerz córki. Iza dwa razy przeczytała dokument, kiwnęła głową i uśmiechnęła się. Powiedziała do ojca:

– A widzisz! – Wincenty tym samym tonem odpowiedział:

– A widzisz!

Matka przypatrywała im się tylko, jak nawzajem powtarzają swoje „a widzisz”, gdyż za tym banalnym zwrotem ukrywało się wiele: upokorzenie dwudziestu trzech lat, odwracanie się znajomych na ulicy, kupowanie ubrań na tandencie i mieszkanie na ulicy Darabont.

– Na Nyires budują wielki dom – powiedziała Iza palaszując frytki. – Mieszkania z centralnym ogrzewaniem.

Wincenty uśmiechnął się kręcąc głową. Milczał przez chwilę, a potem rzekł:

– Chcę mieć dom.

– Dobrze – odpowiedziała Iza wzruszając ramionami. – Wynajmij jaskinię i wymość ją skórami niedźwiedzimi. Mój Boże! Jaki beznadziejny jest taki stary człowiek!

„Dom” w pojęciu Wincentego oznaczał własny dom, taki, wokół którego kwitną kwiaty, rosną drzewa, krzewy, gdzie można hodować zwierzęta, a strych należy tylko do właściciela.

Wincenty urodził się na wsi. Do gimnazjum zaś chodził w mieście. Zawsze twierdził, że woda ze studni jest smaczniejsza niż z kranu.

Przez trzy tygodnie szukali wspólnie domu, aż natrafili właśnie na ten. Kiedy oglądali go z zewnątrz, jego duże okna i solidne ogrodzenie, Wincenty uściskał silniej ramię żony i powiedział: „To ten.” Była właśnie odwilż. Zewsząd kapalo. Koło bramy potokiem spływała z rynny woda ze śniegiem. U wylotu rynny straszyla głowa smoka plując wodą z gardzieli. Dom miał trzy pokoje. Dwa mniejsze i jeden większy. Przez podwórze prowadziła do drewnutni dróżka wyłożona czerwoną cegłą. Wzdłuż kwietników stały jawory. Sień prowadząca do domu była z góry sklepią i zamknięta z trzech stron, tworząc jakby czwarty pokój. Kiedy dom upaństwowiono, Wincenty poszedł do drewnutni wypłakać się; nie chciał, żeby go ktoś pocieszał. Jak bardzo się ucieszył, kiedy mu go zwrócono, chociaż w owym czasie nie był już całkiem zdrow. Co za szczęście, że się jeszcze doczekał i znowu ma swój własny dom.

– Stary kapitalista – śmiała się z niego Iza – tylko wtedy czuje się dobrze, kiedy w hipotece figuruje jego nazwisko.

Iza nie lubiła tego domu, ponieważ przez cztery lata swego małżeństwa mieszkała tam razem z Antalem.

Już nigdy – od czasu swego rozvodu – nie spędziła w tym domu. ani jednej nocy, kiedy przyjeżdżała w odwiedziny do rodziców. Matka nie pytała jej o nic, ale wiedziała, że we wspomnieniach córki pokój ten kojarzył się zawsze z Antalem, a Iza nie lubiła wspomnień.

A jaki będzie ten „dom” teraz? Tak niepodzielnie stopił się z osobą Wincentego, że Staruszka nigdy nie uważała się za jego współwłaścicielkę, mimo iż był zapisany na nich oboje. Kupili go przecież za pieniądze uzyskane z rehabilitacji Wincentego, za cenę lat straszliwego poniżenia. Kosztem jego cierpienia. Dom ten jest świadectwem jego przeszłości i poza Izą był głównym przedmiotem jego dumy. Właśnie tam, w tym ogrodzie, należałoby pochować Wincentego.

I cóż ona pocznie z tym domem całkiem sama? Przecież nie może tu żyć w opuszczeniu z Kapitanem. Iza będzie teraz przyjeżdżała jeszcze rzadziej. Odpadną urodziny ojca, imieniny i rocznica ślubu. Może powinna przyjąć sublokatora? Takiego na przykład jak ten z ulicy Darabont. Albo może jakąś staruszkę niedoleżną i nudną jak ona sama? Ale taka też będzie ją drażnić, jeżeli zacznie się do niej wdzięczyc. Co ma zrobić?

Nie rozmawiały na ten temat z Izą. Było to trzy tygodnie temu, kiedy poprosiła Antala, żeby umieścił ojca w klinice. Córka chciała przedyskutować z nią tę sprawę, ale ona uciekła przed tą rozmową i schowała się do spiżarni zamykając za sobą drzwi. Tak nakazywał przesąd. Tak nauczono ją w domu u cioci Emmy; nie wolno niczego wypowiadać na głos, nazywać po imieniu czegoś, co zagraża, gdyż za plecami czyhają aniołowie – dwa białe i jeden czarny, a ten czarny jest złośliwy. Jeżeli usłyszysz, że ludzie czegoś się boją albo że coś komuś zagraża, sprowadza na jego rodzinę nieszczęście, o którym nieopatrznie głośno wspomniano.

– Nigdy nie widziałam tak złośliwej religii jak chrześcijańska – powiedziała kiedyś Iza. Było to wtedy, kiedy matka zwróciła jej uwagę, żeby sobie nie żartowała z tego, że obleje jakiś ważny egzamin.

(Nigdy nie oblewała egzaminów, tylko tak straszyla, jak zresztą każda dobra uczennica.) Ale przecież z tym złym aniołem naprawdę nie ma żartów.

Kiedy Wincenty po raz pierwszy rozchorował się i kiedy po ataku minęły bóle, przeciągnął się na łóżku, aż mu zatrzeszczały kości, i uśmiechając się zażartował: – Mam raka.

Usłyszawszy to, Staruszka gwałtownym ruchem zamknęła mu ręką usta. Wincenty śmiał się, ani przez chwilę nie przyszło mu do głowy, że odgadł prawdę.

– Przejadłem się – powiedział później – daj mi coś na przeczyszczenie.

Trzy tygodnie temu zamknęła się w spiżarni i nie pozwoliła, by Iza mogła cokolwiek omówić z nią w związku z nieuniknioną śmiercią Wincentego. Córka nie nalegała. Staruszka słyszała jeszcze przez jakiś czas, jak kręciła się po kuchni, a potem zostawiła matkę samą. Wiedziała, że Iza miała dobre intencje. Chciała ją przygotować, żeby się nie przestraszyła, kiedy nadejdzie najgorsze. Iza już od dawna chciała razem z nią postanowić, co zrobić z domem. Jak ułożyć jej przyszłe życie w tak zmienionych warunkach. Ale dopóki człowiek żyje, nie można mówić o tym, co będzie po jego śmierci. Do dzisiaj, do chwili kiedy Antal wszedł do jej domu, do chwili kiedy Lidia podniosła się od łoża Wincentego, nie opuszczała jej nadzieja – choćby to wydawało się nie wiadomo jak bezsensowne – wciąż nią żyła.

O tej porze kończyła się praca w urzędach. Ulice zaczęły się zaludniać. Przyśpieszyła kroku. Nie chciała się z nikim spotkać. Gapiała się na przechodniów. Kiedy tak śpieszyli do domu, twarze ich cechowała jakaś wspólna determinacja i zastygła radość. Nikt nie szedł powoli, spacerkiem. Każdy się śpieszył. Sklepy się zapełniły. Jakieś dzieci krzyczały. Wzmagał się ruch. Migaly czerwone światelka aut. Poczula się zazdrosna o ten pośpiech.

Nigdy dotychczas nie zwracała uwagi na to, że na ludzi ktoś czeka w domu. Jej nikt nie oczekuje. Najwyżej Kapitan.

Osloniła twarz kołnierzem płaszcza i wbiła wzrok w ziemię, by nie musiała odpowiadać na pozdrowienia znajomych. Zaczął padać deszcz. Zacinający, powolny deszcz. Nie był to nawet deszcz, tylko mżawka. Chodnik stał się nagle mokry, a okna zmatowiały od pary. Jej twarz i czoło pokryły się wilgocią, chociaż u jej stóp nie padła ani jedna kropla deszczu. „Widmowy deszcz” – mawiał zawsze Wincenty. Otwarta paszcza smoka u wylotu rynny ziała pustką, jakby się dusiła. Kolmana nie było na dworze, tak że nie musiała się z nikim wdawać w rozmowę.

Najpierw spostrzegła Kapitana w bramie domu. Odwróciła od niego wzrok i oparła się o wiklinowy stół, który od jesieni do wiosny trzymali w sieni. Była to jednak ostrożność zbyt duża, bo Kapitan nie zwrócił na nią uwagi i nie domagał się pieśczęt. Sama nie wiedziała, czy ma się cieszyć, czy też smucić, że zwierzę nic nie przeczuwa. Iza miała rację – Kapitan był głupi.

Teraz jest sama. Po raz pierwszy od rana była zupełnie sama. Może usiąść i spokojnie rozmyślać nad swoim przyszłym życiem, pozbawionym jakichkolwiek obowiązków. Nie miała ochoty wchodzić do domu. Bała się wieczoru, dwóch łóżek, z których jedno stało się nagle tak beznadziejnie zbyt duże. Ale nie może stać tu w nieskończoność. Kiedyś trzeba będzie wejść do domu. Teraz czy za pół godziny – jakież to ma znaczenie?

Zacząła iść w kierunku podwórza, ale nagle zatrzymała się. W domu, w ich sypialni, zapaliło się światło. Nie odczuła strachu, nie, to było coś innego. Usiadła na krześle, siatkę położyła na ziemi i obserwowała okno. To światło wewnątrz domu było o wiele bardziej rzeczywiste niż tajemnicza twarz Wincentego, którą widziała tak niedawno. Może tylko to światło jest rzeczywiste, a nie przeżycia ostatnich kilku miesięcy. Wincenty żyje. To, co się stało dzisiejszego popołudnia, może zdarzyło się tylko we śnie. A tych jedenaście tygodni, to wychudzone ciało Wincentego, tak zmienione i wyschnięte – były może jedynie symbolem przemijania. Może to wszystko tylko sen, a rzeczywistością jest ten przyciężki, trochę komicznie wyglądający dawny Wincenty, który czekał na nią w domu i nigdy na nic nie chorował. Nic się nie stało.

Teraz czuła się bardziej osłabiona niż po południu. Zamknęła oczy i odchyliła głowę do tyłu. Wśród bezlistnych drzew coś się poruszało. „Wilgi – myślała. – Może i nie wilgi. Światło się pali. Bóg wie, co się tam rusza... może aniołowie... albo duchy...”

Kiedy spojrzała na okno, światło było zgaszone. Opanowało ją takie rozgoryczenie, że nie mogła się zdobyć nawet na łzy. Oparła się łokciami o kolana i ukryła twarz w dłoniach. Szmer w ogrodzie ustał. Dokoła była taka cisza, jakby otaczali go głuchoniemi. Nagle skrzypnęły drzwi od ganku i na progu ukazała się Iza.



### Rozdział III

A więc przyjechała. Jest przy niej. Już nie jest sama.

Iza miała na sobie czarny pulower. Widać było, że płakała.

Poczuła, że coś się w niej buntuje, a równocześnie uświadomiła sobie, jak straszliwie potrzebuje pomocy.

Chęć, aby podbiec do córki, pogłaskać ją, jak wtedy gdy była małą dziewczynką, walczyła w niej z potrzebą oparcia głowy na ramieniu córki i szukania u niej pociechy. Była to bardzo dziwna chwila. Dotychczas ani razu nie przeżyła niczego podobnego. Iza nigdy nie potrzebowała pomocy. Bez skargi godziła się z niepowodzeniami życiowymi, w swoich planach nie radziła się nikogo, tylko podawała do wiadomości powziętą decyzję. Swego czasu bez żadnego wstępu oznajmiła rodzicom, że po zdaniu matury wybiera się na medycynę, potem że otrzymała pracę, że wychodzi za mąż, a wreszcie że rozwodzi się z Antalem i że w Budapeszcie znalazła nowe zajęcie. Odkąd Iza dojrzała, po raz pierwszy udowodniła, że potrafi cierpieć jak każdy inny człowiek. Matka odnosiła wrażenie, że widzi swoje dziecko uratowane od śmiertelnego niebezpieczeństwa. Kiedy spostrzegła, że Iza płakała, wpadła w rozpacz i uchwyciła się myśli, jakby jej pomóc.

Iza nie pocałowała jej. Nawet jej nie dotknęła. Staruszka zgadła, o czym myśli córka. Nie wolno nam się teraz rozczulać. Załamałybyśmy się, a wtedy nie będziemy w stanie stawić czoła rzeczywistości.

– Chodź – powiedziała Iza – musimy się wcześniej położyć. Chodź!

Podniosła z ziemi siatkę matki, wsunęła na rękę i weszła do mieszkania. Staruszka podreptała za nią. W obydwóch pokojach paliło się w piecach. Po brudnych naczyniach pozostawionych od rana – ani śladu. Wszędzie panował porządek, ten specjalny porządek, który charakteryzował Izę. Jakby sprzątała od wielu godzin.

Kiedy Antal wołał za nią, chciał jej widocznie powiedzieć, że telefonował do Budapesztu i że Iza dostała bilet na popołudniowy samolot. Serce zabiło jej żywiej. Przymknęła oczy. Wzdrygała się na samą myśl o samolocie. Za żadne skarby nie wsiadłaby do takiej maszyny. Drętwiała ze strachu, kiedy Iza pisała, że przyjedzie samolotem, a nie pociągiem. Każda podróż powietrzna to kara boska, coś przeciwnego naturze, przerażającego, a cóż dopiero latać gdzieś nad chmurami, ścigając się z czymś nieuchwytnym, co pozostało po Wincentym.

Iza ujęła ją za rękę.

Teraz trzymała jej dłoń tak jak niegdyś rękę ojca, kiedy chciała niepostrzeżenie wymacać puls. W ciągu kilku ostatnich miesięcy pieśczośliwym ruchem gładziła jego rękę, zatrzymując palce na pulsie. Serce starej kobiety biło nieregularnie. Jakie to dziwne, że Iza wyczuwa to końcami palców.

– Dostaniesz herbatę – powiedziała córka. – Ręce masz jak lód.

Pokój stał się nagle nie do zniesienia. Niemal przerażający. Kiedy weszły, Iza zapaliła wielką lampę, którą zwykle zapalali tylko wtedy, gdy byli goście. Jej blask był jakby niestosowny i rażący. Zgasiła ją i zapaliła małą lampkę. Zatrzymała zegar ścienny i zasłoniła wielkie lustro chustą. Kiedy Iza wróciła z herbatą i zobaczyła matkę przykucniętą na dywanie koło pieca, zawahała się na progu trzymając szklankę gorącej herbaty. Milczący zegar wskazywał trzy kwadransy na czwartą. Cały pokój, cały właściwy mu klimat zmienił się od oślepego lustra.

„Teraz już wie – pomyślała stara kobieta – powiedziałam jej k i e d y.”

Usta Izy drgnęły, ale nie odezwała się. Poczekała, aż matka wypije herbatę, potem zdarła z lustra chustkę i okryła nią matkę. Otworzyła drzwiczki ściennego zegara, przesunęła wskazówki na właściwe miejsce i uruchomiła go. Staruszką wstrząsnął dreszcz, kiedy za jej plecami w blasku żarówki zaśniono lustro. Miała wrażenie, że Wincentego okradziono z czegoś, z jakiejś ostatejczy rzeczy, która do niego należała. Nie miała odwagi spojrzeć na zwierciadło. Jego srebrzysta powierzchnia wydała jej się tak żywa jak tafla wody. Bała się. Może ktoś czy coś wyłoni się lub wyskoczy z jej powierzchni. Odgłos bijącego zegara również sprawiał jej ból. Niedobrze, że kółeczka znowu się obracają, mimo że czas Wincentego się zatrzymał. Czy rzeczywiście w ten sposób łatwiej znieść cierpienie? Iza nie wierzy w nic, w co wierzą starzy.

Córka wyjęła szklankę z jej rąk i przysiadła u nóg matki. Zawsze odkąd przyszła na świat, była przy niej w każdej krytycznej chwili. Trzymała się jej nie w jakiś dziecięcy sposób, ale raczej jak siostra. Kiedy na ulicy Darabont lokator spod pierwszego zrobił na temat Wincentego jakąś uwagę, Iza odpowiedziała za matkę. Iza, która była jeszcze niemowlęciem, kiedy Wincenty stracił posadę, a w dzieciństwie prawie nic nie słyszała o tych sprawach – zbladła z wściekłości i zaczęła bronić ojca. Nie miała wówczas jeszcze ośmiu lat, ale jej szczupłym, wątłym ciałem wstrząsała pasja obrony. Kiedy matka szła do dentysty, mała Iza szła z nią. Najpierw na fotelu siadała dziewczynka, a potem matce nie wypadało już grymasić. Iza bohaterko wytrzymywała ból, który zdradzało tylko lekkie drżenie powiek, i w milczeniu znosiła borowanie czy rwanie zęba. Iza pomagała jej gospodarować pieniędzmi, gotować, pomagała jej nawet w wielkim praniu, kiedy zabrakło pomocy. Pomagała matce bez jej prośby czy nalegań; robiła to dobrowolnie i naturalnie. Teraz też była przy niej. Siedziała w rogu kanapy. Jakże uwielbiali ją wszyscy od małości. Jak ją ubóstwiał Wincenty. Na myśl, że ojciec nie zobaczy córki więcej, łzy popłynęły po policzkach Staruszki.

– Nie wolno go oplakiwać – powiedziała Iza.

Popatrzyła na córkę przez łzy, gdyż już kiedyś słyszała to zdanie. Nie kryła się za nim troska lekarza. Kucharka po śmierci jej pierwszego dziecka powiedziała to samo, kiedy Staruszka zapamiętała oplakiwała synka. Wtedy mieszkali jeszcze w tym ładnym dawnym mieszkaniu. Kucharka była stara, zasuszoną kobietą, która ani w zimie, ani w lecie nie wychodziła z domu bez parasolki z wielką porcelanową rączką, ozdobioną wizerunkiem cesarzowej

Elżbiety. „Nie wolno go opłakiwać – powiedziała, kiedy zabrali Jędrka. – Nie będzie miał tam spokoju. Nie wolno go opłakiwać.”

– Nie zostaniesz sama – dotarł do niej głos córki. – Sprzedasz dom i przyjedziesz do mnie do Budapesztu.

Dopiero teraz wybuchnęła płaczem. Fala uczucia, na które złożyły się ulga, uwolnienie się od trosk i odpowiedzialności za podjęcie decyzji – zalała ją tak gwałtownie, że załamała się. Ze wszystkich jej obaw nic nie zostało. Nie będzie pustych wieczorów, bezcelowych długich dni, nie będzie obcych lokatorów. Zanim Iza wróci ze szpitala, ona przygotuje wszystko, będzie na nią czekać i spędzać z nią każdą wolną chwilę, tak jak za czasów dzieciństwa.

Matka wiedziała, że Iza jej nie opuści, ale nie spodziewała się aż takiego poświęcenia. Nawet na myśl jej to nie przyszło.

Nie, Wincentego należałoby pochować nie w ogrodzie, ale w Budapeszcie, aby razem mogły odwiedzać jego grób.

Iza pocałowała ją. Nareszcie czuła się pewna i bezpieczna. Okryte wielką chustką rozplakały się. Usta dziewczyny były lodowate.

Kiedy ją urodziła, miała trzydzieści dziewięć lat.

Myślała, że już nigdy nie będzie trzymała w ramionach niemowlęcia i że na starość pozostaną sami we dwoje tylko ze wspomnieniem o jedynaku. Ale oto zjawiała się ona, Iza. Wcześniej zaczęła mówić niż chodzić. Była poważna, mądra, przedwcześnie dojrzała. Nie знаła nigdy nikogo, kto by choć trochę był podobny do Izy. Czuła, że nie rozumie córki. Nawet w drobnej części nie pojmowała jej życia, książek, które czytała, ani jej światopoglądu. Budapeszt! Nigdy nie widziała domu Izy, mieszkała gdzieś na Wielkim Bulwarze – Kőrút. Wprowadziła się tam niedawno. Kiedy zmieniła mieszkanie, Wincenty był już chory i nie mogła jej odwiedzić. Jakże wygodnie będzie żyć w nowoczesnym apartamencie. Ale jak się będzie czuł Kapitan tak wysoko na piętze?

Musiała się chyba zdrzemnąć, skoro dzwonek ją tak przestraszył. W pierwszej chwili pomyślała, że jest sama, i z przerażeniem zrzuciła z siebie chustkę. Nagle spostrzegła Izę opartą o okno. Patrzyła przez szybę na ciemne podwórze. Wskazówki zegara nieznacznie posunęły się naprzód, od chwili kiedy się zdrzemnęła. Właśnie zapadała w sen, gdy ktoś zadzwonił do drzwi. Któż to mógł być? Krąg osób, z którymi się niegdyś przyjaźnili, rozpadł się w dwudziestym trzecim roku i od tego czasu aż do rehabilitacji Wincentego żyli niby pustelnicy. Od tych spośród dawnych znajomych, którzy chcieli powrócić, gdy Wincenty został zrehabilitowany po wojnie, ojciec i córka zgodnie się odwrócili. Ona byłaby wybaczyła, ale tamci dwoje – nie. W domu, w ich domu bywało bardzo osobliwe towarzystwo. Kolman – sprzedawca towarów korzennych, Gica z sąsiedztwa – krojczym szat liturgicznych, sprzedawca gazet, kupiec ze sklepu tytoniowego, emerytowany urzędnik pocztowy, nauczycielka, z którą siadywali wieczorami przed wejściem do muzeum, Dekker, Antal i kilku uczniów ze szkoły zza rogu, kilku łobuziaków z porozbijanymi kolanami, których Wincenty uczył w ogrodzie robić strzały i wędki. Wszyscy wiedzieli, że po szóstej goście u Szöcsów nie są mile widziani.

O tej porze staruszkowie siadywali zwykle do wieczornej kawy. Od czasu kiedy Wincenty zaczął się zbliżać do osiemdziesiątki, żona kładła go do łóżka już o siódmej.

„To pewnie będzie Kolman” – pomyślała Staruszka i z przerażeniem ostrzegła Izę. Kolman jeszcze o niczym nie wie. Będzie gadał i gadał, i siedział bez końca. Zawsze interesował się wszystkim, co ich dotyczyło, i nie było dnia, żeby do nich nie wpadł, o ile ona sama nie zaszła do jego sklepu po jakiś drobiazg.

– Nie wpuszczę go – powiedziała Iza spokojnie. – Połóż się z powrotem.

Co za szczęście, że jest ta Iza. Ona sama nie byłaby w stanie odprawić kogokolwiek od drzwi. Nie zrobiła tego nigdy w życiu. Słyszała, jak otwierają się drzwi od przedpokoju, i była pewna, że się nie omyliła. Słysząc było radosne pomruki Kapitana. Pies bał się wszystkich obcych oprócz Kolmana, który przynosił mu zawsze różne odpadki ze sklepu; z zewnątrz nie dochodziły żadne odgłosy, prócz szmeru wywołanego poruszaniem się psa i stukotem jego pazurów o podłogę. Pies domagał się, żeby wpuszczono go do mieszkania. Nie słyszała, aby Iza i Kolman witali się ze sobą. Dlaczego tak milczą? Kolman zazwyczaj jest ogromnie hałaśliwy. Widocznie dowiedział się już o wszystkim i dlatego jest taki milczący. Usiadła i obciągnęła spódnice. Było coś wyjątkowo niepokojącego w tej ciszy. To nie był Kolman. To przyszedł Antal.

W pierwszej chwili nie poznała go. Widziała tylko, że wszedł jakiś mężczyzna. Iza zapaliła lampę i Staruszka się tak przestraszyła, że zerwała się z kanapy i chciała wybiec do drugiego pokoju, ale Iza zatrzymała ją.

– Dokąd idziesz? – powiedziała. – Przecież widzisz, że to nie Kolman.

Zawstydzila się, usiadła z powrotem i rozpostarła na kolanach chustę. W głosie Izy usłyszała prośbę, żeby ich nie zostawiała samych; zrozumiała to. Została, mimo że instynkt dyktował jej co innego. Oczywiście to wszystko nie ma znaczenia, przecież oni zawsze się tak zachowywali, jakby nic między nimi nie zaszło. Na pewno nie będzie świadkiem żadnej żenującej sceny. Dopóki byli małżeństwem, w obecności osób trzecich panowali nad sobą i znakomicie umieli maskować zdenerwowanie i swoją niespokojną miłość. Wyglądało to dosyć nienaturalnie. Teraz na pewno będą dla siebie bardzo uprzejmi. Już od siedmiu lat, od dnia kiedy się rozstali, byli wobec siebie niezmiennie kurtuazyjni.

Ale Staruszka nie lubiła, kiedy się spotykali. Iza kochała Antala. Nigdy nie mówiła o swoich uczuciach, ale czasami kiedy była blisko niego, zdradzało ją spojrzenie czy głos. Stara kobieta nie wiedziała, dlaczego Antal odszedł od córki. Musiało między nimi zajść coś strasznego; było to dla niej tym boleśniesz, że mieszkali razem z nią i Wincentym pod jednym dachem. Tylko ściana dzieliła ich sypialnię od pokoju rodziców, ale nigdy nie było słyhać żadnej kłótni, ani jednego zdania wypowiedzianego podniesionym tonem.

Nagle, ni stąd, ni zowąd, oznajmili, że się rozwodzą. Iza nie tłumaczyła się. Nie. Wincenty nie chciał żadnego tłumaczenia. Jego twarz zachmurzyła się, potrząsnął głową, pocałował Izę i Antala i wyszedł do kuchni.

– Mama jest bardzo wyczerpana – powiedziała Iza. – Proszę cię, nie siedź za długo.

Ładnie to powiedziała. Jakby mówiła do brata. Antal wniósł jakąś walizkę – ich walizkę, zaraz ją poznała. Domyśliła się także, co w niej było. Przełknęła ślinę i odwróciła wzrok. Czuła, że kiedy Antal otworzy walizkę, zobaczy szarą jesionkę Wincentego i jego kubek w niezapominajki, który Lidia jeszcze dziś rano gdzieś schowała. Będzie jednak lepiej, jeżeli wyjdzie z pokoju.

Antal wepchnął walizkę pod stół, jakby chciał, żeby jej nikt nie zauważył.

– Nawet nie usiądę – powiedział i schylił się nad Kapitanem, który wśliznął się przez uchylone drzwi. Poglaskał psa po uszach. – Chciałem tylko dowiedzieć się, czy mamie czegoś nie potrzeba. Nie wiedziałem, że jesteś. Rano nic nie mówiłaś, że się tu wybierasz. O której przyjechałaś?

– O dwunastej.

Obydwoje równocześnie spojrzeli na Izę. Staruszka doznała nagle jakiegoś olśnienia. Czy dobrze zrozumiała? Czy może Izie coś się pomieszało z godzinami. Przecież jej ojciec umarł za kwadrans czwarta! Przecież to niemożliwe...

W pokoju zapanowała męcząca cisza. Stara kobieta spojrzała na córkę. Nawet czoło Izy poczerwieniało. Antal wbił oczy w dywan.

– Kiedy tu byłam ostatni raz, grałam z nim w karty – powiedziała Iza, a jej głos był przerażająco obcy i beznamietny. Nie wyczuwało się w nim ani podniecenia, ani chęci obrony czy tłumaczenia się. – Miał swój dobry dzień. Żartował jak dawniej. Widziałam wielu umierających. Chcę zachować w pamięci żywą twarz mego ojca.

Iza zawsze miała rację. To właśnie było w niej takie niezwykle, że odkad przyszła na świat, zawsze miała rację. W dzieciństwie, kiedy ją besztano czy dawano za coś klapsa, zawsze się później okazywało, że ukarano ją niesłusznie. Po prostu Iza wiedziała o czymś, o czym nie wiedzieli dorośli. Można ją było przeproszać, ale nawet nie dawała tej satysfakcji, żeby się dąsać czy obrażać. Nigdy się nie skarżyła. Patrzyła tylko rzeczowo i cieniutkim głosikiem mówiła: „No widzicie?” Teraz także ma rację, że chce zachować w pamięci tę uśmiechniętą twarz sprzed dziesięciu dni, a nie tę przezroczystrą z dzisiejszego popołudnia.

Antal zapalił papierosa, a następnie długo bawił się zapalkami. Jego twarz pozbawiona była jakiegokolwiek wyrazu. Nawet nie można było wyczytać w niej wyrozumiałości. Kiedy podniósł wzrok, spojrzał na Staruszkę, a nie na Izę.

– Mamo – powiedział – będziesz teraz bardzo osamotniona. Jeżeli chcesz, sprowadzę się tu z powrotem.

– Bardzo to miło z twojej strony – Iza popatrzyła na niego, a w jej wzroku nie było ironii, lecz uznanie. – Naprawdę jesteś bardzo miły, ale tę sprawę już rozstrzygnęliśmy same. Mama pojedzie ze mną. Do Budapesztu.

Spojrzeni sobie w oczy. Antal pytał o coś wzrokiem, a Iza mu odpowiedziała. Staruszka nie zrozumiała ani pytania, ani odpowiedzi. Kiedy była małą dziewczynką, a rodzice jej jeszcze żyli i decydowali o czymś w jej życiu, właśnie tak samo jak teraz stała między dorosłymi z wyrazem obawy i nadziei w twarzy.

– To też jest rozwiązanie – powiedział Antal i strzepnął popiół z papierosa.

Staruszka wymamrotała coś, wstała i zbliżyła się do Antala. Czuła, że powinna go dotknąć, uścisnąć albo przynajmniej coś powiedzieć. Przecież zaproponował nie byle co. Ale nie mogła się odezwać, ponieważ Iza schwyciła ją za ramię i ten ruch zmieszał ją i uciszył. Nie miała pojęcia, czego od niej chcą. Co ma zrobić? Bała się, że jeżeli się zanadto rozklei, Iza będzie zła.

Antal nie przedłużał swojej wizyty. Uśmiechnął się do niej, pocałował ją w rękę i skierował się ku drzwiom. Iza sięgnęła po szal, owinęła się nim, aby go odprowadzić i zamknąć za nim bramę.

Antal był już prawie za progiem, kiedy zatrzymał się.

– Mamo, proszę mi dać ten obraz z młynem. Ojciec powiedział, żebyśmy go podarowali Lidii. Zaniosę jej.

Usta Izy rozchyliły się lekko, jakby chciała coś powiedzieć, ale w końcu wzruszyła tylko ramionami i wyszła do sypialni. Matka uchwyciła się poręczy krzesła, bo znowu zdawało się jej, że słabnie i że nogi odmawiają jej posłuszeństwa. Jeżeli umrze... jak to umrze? Wincenty myślał, że jest chory na serce i dlatego przebywa w klinice, a zastrzyki i środki nasenne dają mu tylko na wzmocnienie. Nie miał nawet pojęcia, że jest śmiertelnie chory. Co mu przyszło do głowy? Dlaczego ofiarował Lidii właśnie ten obraz z młynem, nieudaną fotografię z jego wioski rodzinnej? Obraz przedstawiał rzekę, a nad jej brzegiem stary młyn. Wisiał zawsze nad łóżkiem Wincentego obok malowidła z aniołem, który strzegł jego snów. Dlaczego podarował go Lidii? Kiedy?

Iza przyniosła czarno oprawiony obraz, a kiedy stanęła pod żyrandolem, obejrzała go jeszcze raz, jakby widziała go po raz pierwszy. Nagle spostrzegła na rzece jakąś zaporę, mały wodospadzik, nad którym stał drewniany budynek. Na pierwszym planie jakieś krzaki i biegający na bosaka chłopcy. Twarze jak tysiące innych. Ot, wyblakła stara fotografia. Woda rzeki miała kolor kawy z mlekiem. Zawinęła obraz w gazetę i podała go Antalowi.

Staruszka rozplakała się. Miała uczucie, że ten nowy cios jest cięższy od tych, które zносиła przez cały dzień. Stała tylko bezradnie i skubała brzeg swetra. Już po raz drugi spotyka się dzisiaj z imieniem Lidii, a teraz zabrzmiało ono w jej uszach jeszcze bardziej niezrozumiale i wrogo. Przed chwilą zdecydowała, że jednak pocałuje Antala na pożegnanie. Ale teraz nie mogła się na to zdobyć. Kapitan węszył wokół stołu, stawał na tylne łapy, jakby rozumiał, o co chodzi.

Słyszała, jak otwierają się i zamykają drzwi. Patrzyła w podłogę i od czasu do czasu ocierała łzy. Córka wróciła prędko, co też było nienaturalne. Kiedy Iza nie była jeszcze jego żoną, Antal nie mógł się z nią rozstać. Czasami trwało i pół godziny, zanim Iza – która odprowadzała go do furtki – wracała

do mieszkania. Teraz widocznie nie mają sobie już nic do powiedzenia. Córka podniosła Kapitana i wypuściła go na podwórze, zamknęła drzwi od przedpokoju na klucz i podeszła do matki. Jakby czując, że matka potrzebuje pocieszenia, położyła rękę na jej głowie, tak jak na starych sztychach robi to ksiądz, kiedy kogoś błogosławi. Po chwili Iza stanęła przy oknie, zaciągnęła firanki i zamknęła okiennice, tak jak robiła to przez wiele lat, kiedy mieszkała razem z rodzicami. Na dworze rozpętała się ulewa i słychać było, jak deszcz zacina o szyby. Iza nie wróciła do Staruszki. Zatrzymała się przy wielkim pustym fotelu. Matka widziała, jak łzy zalały jej twarz, która pod wpływem tego płaczu stała się nagle jakaś dziecinna i delikatna.

## Rozdział IV

Iza zostawiła na noc w pokoju zapaloną lampę. Sprzęty, które znajdowały się poza kręgiem światła, nikły w cieniu. Obraz wiszący nad łóżkiem tonął całkowicie w ciemności, tylko dolna część ramy była lekko oświetlona. Ale ona widziała go we wspomnieniach. Dzisiaj obraz ten był osierocony. Jego bliźniak z młynem znikł ze ściany.

Iza zasnęła szybciej niż matka. Staruszka wyprowadziła ją w pole: Położyły się równocześnie i po jakimś czasie przestała odpowiadać na pytania córki, oddychała równomiernie i głęboko, udając, że śpi. Iza długo przewracała się na łóżku. Ta noc nawet i bez śmierci ojca byłaby bardzo trudna. Nie spała wśród tych ścian, odkąd wyprowadziła się do Budapesztu. Łóżko, na którym spoczywała, należało do jej ojca. Nie chciała się położyć na starym tapczanie, gdzie sypiała w okresie swego małżeństwa.

Kiedy Iza wyjechała, w mieszkaniu znowu powrócił dawny ład, tak charakterystyczny dla tego domu. Meble, które należały do niej i do Antala, powędrowały do sklepu komisowego, a Iza kupiła sobie nowe w Budapeszcie. Ale także i w tym pokoju, który powrócił do wyglądu z jej lat dziecińczych, nie było łatwo zasnąć.

To, że dzisiaj nie chciała pozostawić matki samej i nie poszła nocować do hotelu, należało uznać za jedno z jej największych poświęceń. Usnęła z wielkim trudem. Kręciła się na łóżku, wzdychała. Matka widziała, jak wstała i zażyła jakiś proszek. To też nie należało do jej zwyczajów. Iza nigdy nie zażywała środków nasennych. Gardziła ludźmi, którzy to robili. Ale tym razem połknęła pigułkę i jakoś udało jej się zasnąć. Leżała obok, tak blisko, że matka czuła na twarzy jej oddech. Tak jak za czasów dzieciństwa. Nigdy nie widziała, aby ktoś spał tak ładnie jak Iza. Głowę oparła o łokieć, czarne półkola rzęs rzucały ciemne cienie na policzki. Kiedy matka wstała z łóżka, nie śmiała jej pocałować, tylko dotknęła ustami brzegu poduszki.

Pokój wyglądał tak samo jak po południu, jak rano, jak każdego innego dnia, a jednak mimo wszystko był inny. Jakby ściany się rozsunęły, zrobił się jakiś szerszy i wyższy. Na stole leżała kartka z notatkami Izy. Staruszka przebiegła po niej wzrokiem. Od czasów dzieciństwa Iza miała zwyczaj zapisywać wszystko, co należało załatwić nazajutrz. Bez tego nie kładła się spać. „Biuro pośrednictwa sprzedaży nieruchomości – czytała matka – klinika, przedsiębiorstwo pogrzebowe, ubezpieczalnia, pakowanie.”

Dlatego też wstała z łóżka. W związku z tym ostatnim punktem w notatce. Iza zdecyduje, co wezmą ze sobą do Budapesztu. Jutro będzie przeglądać papiery, otworzą małe sekretarzyk Wincentego.

Nigdy nikt tam niczego nie szukał. Nawet ona, po czterdziestu dziewięciu latach pożycia małżeńskiego, nie wiedziała, co też mógł on tam nagromadzić w tej szufladce, prócz dokumentów rodzinnych i służbowych. U nich w domu wszyscy z wielkim szacunkiem odnosili się do cudzych rzeczy. Ciocia Emma, u której wychowywała się Staruszka, czekała zawsze na listonosza przed



domem i już na ulicy nie wahała się otwierać listów adresowanych do jej domowników. Nie chciała być podobna do cioci Emmy.

Gdyby Antal nie przyszedł z tą dziwną prośbą, leżałaby teraz przy Izie pogrążona we śnie. Ale zięć wyprowadził ją z równowagi, tak samo jak przedtem ta pielęgniarka. Pierwszy raz zrodziło się w niej zwątpienie i zapytała sama siebie, czy aby wszystko wiedziała o Wincentym. Ogarnęło ją nieprzyjemne uczucie przerażenia. Przecież jutro, porządkując papiery ojca, Iza może znaleźć coś, co jest tajemnicą Wincentego. Wyłącznie jego tajemnicą, którą powinien zabrać ze sobą do grobu.

Wincenty żeniąc się miał trzydzieści jeden lat. Nie był już taki młody. Czemu Iza miałaby grzebać w jego pamiątkach z kawalerskich czasów, wśród Bóg wie jakich rzeczy. Sama nie zdawała sobie sprawy, o czym właściwie myśli, czego się obawia. Przerażenie czuła jedynie instynktownie. Jeżeli Wincenty podarował Lidii coś, czego pochodzenia ani znaczenia nie знаła dokładnie nawet żona – chociaż od niepamiętnych czasów była przekonana, że ten obraz z młynem wisiał nad łóżkiem męża tylko ze względu na tradycję – to może w życiu Wincentego naprawdę było coś, o czym nie wiedziała, i dlatego najpierw sama musi się o tym przekonać.

Nie było to łatwe zadanie. Ale nie wolno płakać.

Iza spała niespokojnie. Staruszka słyszała przez otwarte drzwi, jak córka porusza się i wzdycha, przewracając się z boku na bok.

Wyciągnęła górną szufladę sekretarzyka, ale przez dłuższy czas nie dotykała niczego. Przymknęła oczy, aby nic nie widzieć. Wzdragła się przed tym, co miała zrobić. Czuła, że to wstrętne. Jakby ograbiła i upokarzała Wincentego, który leżał bezradnie w klinice, nie będąc w stanie się bronić ani zapobiec temu, co ona robi. Nawiasem mówiąc, w tej chwili czuła się bardziej z nim związana niż w ostatnich dniach, a nawet w ciągu owego ostatniego popołudnia. Te szuflady oznaczały żywego Wincentego. Ze wszystkich drobiazgów spoglądał na nią żywy człowiek. Wszystko, co wzięła w rękę, było żywe i wymierne.

W biurku panował nienaganny porządek, jak zawsze wśród wszystkich rzeczy Wincentego. Ład był cechą charakterystyczną zarówno jego, jak i Izy, w przeciwieństwie do niej samej, która nie była zbyt systematyczna.

W górnej szufladce leżały poukładane różne papiery i pudełka przewiązane sznurkiem w barwach narodowych. Były to pudełka mniejsze i większe, takie, w jakich dzieci przechowują swoje skarby. W pierwszym pudełku, które odwiązała, znalazła włosy Jędrka. Nie wiedziała, że Wincenty także odciął dla siebie pukiel włosów synka. Ona przechowywała loki swoich dzieci w medalionie pod szkłem. Kosmyk włosów Jędrka był czarny, miękki.

Jak żywo przypominał jej tę ukochaną pogodną twarzyczkę, podobną do niej, tak nagle utraconą! Nie pozostało po nim nawet żadne zdjęcie. Gdyby żył, miałby teraz czterdzieści osiem lat! Mój Boże! Boże!

Obracała w palcach czarny, lśniący kosmyk włosów. Teraz jest już razem ze swoim ojcem. Musi być niezgrabnym aniołkiem. Zawsze był niezgrabny. Wszystko leciało mu z rąk. Miał słabe mięśnie.

Jak też może wyglądać niebo?

Oto świadectwa szkolne. Wincenty kiedyś je pokazywał. Świetne stopnie od początku do końca szkoły powszechnej i gimnazjum. Uczeń Wincenty Szöcs, wyznania ewangelickiego, ur. 11 stycznia 1880 roku w Karikásgyüd, ojciec Mateusz Szöcs, z zawodu strażnik przy tamie.

Jaka wściekła była ciotka Emma – postawiła filiżankę z czarną kawą na spodek z taką siłą, że się roztrzaskała. Strażnik przy tamie! Co to w ogóle oznacza? Siostrzenica ledwo mogła ją uspokoić, tłumacząc, że to nic specjalnego i że ten strażnik od bardzo dawna już nie żyje. Wincentego zaś wychował Gergely Dávid.

– Ten nauczyciel wiejski? – pytała ciocia Emma. – Wspaniale! Wydaje mu się, że jak skończył prawo, to już z niego wielki pan! Strażnik przy tamie! I jeszcze synalka wykształcili! Wspólnym wysiłkiem, cała wieś, że niby taki zdolny. Typowe dla tego liberalnego kraju!

Popijała w altance swoją kawę.

Nad jej siwiejącą głową zwisała gałąź rozkwitłego bzu i ciotka wyglądała jak zwiędła druhna z wysuszoną, wymalowaną twarzą. Na palcach ciężkie, za szerokie pierścienie. Kiedy ciocia Emma mówiła o niej, nazywała ją swą chrestną córką. Ta córka przeważnie pracowała w kuchni, a do pokoju wołano ją tylko wtedy, kiedy byli goście. „Sierota po świętej pamięci mojej siostrze, Marii.” Kiedy chciała, traktowała ją jak córkę, kiedy indziej zaś jak służącą.

Kto będzie wieczorami czytał cioci Emmie, jeżeli ona wyjdzie za Wincentego? Kto będzie czuwał przy niej, jak dostanie ataku astmy?

W nocy ciotka nie wpuszczała służącej do mieszkania. Jej miejsce jest w suterenie. Noc jest sprzymierzeńcem złoczyńców, a służąca może coś ukraść, a nawet – kto wie – czy nie zamordować.

Trzymała w ręku pustą filiżankę do kawy, ale nie pobiegła z nią do kuchni, tylko do bramy. Wincenty czekał na nią siedząc na ławeczce. Kręcił w rękach kapelusz i roześmiał się na jej widok, bo zdyszana od biegu wciąż nie wypuszczała z ręki filiżanki cioci Emmy.

– Odda mi ciebie? – zapytał, ona stała w miejscu nie wiedząc, czy ma się śmiać, czy płakać, bo miała ochotę i na jedno, i na drugie. Wreszcie odpowiedziała: „Zapytaj ją!”

Indeks uniwersytecki: I tom *Instytucji* Gaiusa – jedna godzina tygodniowo. Konstytucja węgierska i historia prawa – siedem godzin tygodniowo.

Dwie pocztówki z Szentmatyja – to ona mu je posłała, kiedy była tam z ciocią Emmą na letnisku. Rachunki. Jakaś nagroda w dowód uznania dla Ilony Dávid od Żeńskiej Szkoły Handlowej z lat 1904 – 1905. Jakiś rachunek za leczenie w szpitalu nauczyciela Gergelya Dávida w 1907 r. od 4 – 27 listopada. Za pomnik dla św. pamięci Gergelya Dávida w 1909 r.

– Nie masz pojęcia, jaki to był człowiek – mawiał Wincenty. – Chłop na dwa metry, a cienki jak nitka. Zawsze się uśmiechał, mimo że był takim nędzarzem. Ledwie miał co dać jeść swoim dzieciakom. Kiedy rzeka przerwała tamę, ludzie uciekli na pagórek, gdzie znajdował się cmentarz.

Było to jedyne wzniesienie we wsi. Była noc i biły dzwony. Dwie moje ciotki pobiegły za matką, która pędziła w stronę tamy. Ja za nimi, ale upadłem i biegnący stratowali mnie w ciemnościach. Całe życie straszyla nas ta tama. Znalazł mnie nauczyciel, podniósł, wziął na ręce i zaniósł na pagórek. Ścisnąłem go za szyję i płakałem. Już nigdy nie zobaczyłem nikogo z rodziny. Nawet nie odnaleziono zwłok mego ojca. Strasznie się boję wody, Etelko.

Jakieś kamyki. Prawdopodobnie zebrane z grobu Jędrka lub nauczyciela Dávida. Gładkie, śnieżnobiałe kamyki. Złamany nóż z kości słoniowej do przecinania książek. Jakaś nie zaadresowana koperta. Bursztynowa cygarniczka, także wyszczerbiona.

Wstażka z jej włosów. Nie usiadła przez cały wieczór. Wirowała tańcząc walca w pięknej sali balowej, a w lustrze iskrzyły się światła żyrandoli. Był to wieczór, kiedy zapomniała, że jest ubogą krewną cioci Emmy i że od ósmego roku życia jest sierotą. Tańczyła z Ernő Szekeresem. Ciocia Emma patrzyła na nich. Jej kok naszpikowany był kolorowymi piórami i wyglądała jak podstarzała papuga. Patrzyła złym okiem, bo Ernő Szekeres nie był dobrą partią. Nie miał nic prócz znanego nazwiska.

– Kto to jest ten chłopiec, który tam stoi i nie tańczy? – zapytała, kiedy już po raz nie wiem który okrażali salę.

– Wincenty Szöcs – odpowiedział Szekeres. – Rejent sądowy. Nie umie tańczyć.

O mały włos nie pomyliła kroku, tak ją zdziwiło, że młody człowiek może nie umieć tańczyć, tylko stoi pod lustrem i obserwuje inne pary. Niestosownie, niedyskretnie spojrzała na Wincentego Szöcsa. Właśnie w tej chwili pozdrowił Szekeresa i spotkał się z jej wzrokiem.

A to jest nekrolog cioci Emmy. Nazwisko jej siostrzenicy nawet nie zostało wymienione. Nekrologi rozesłała inna uboga krewna, którą ciotka przyjęła na jej miejsce.

Tu znów trochę ziemi w puszcze. Pusta skarbonka. Jakiś wycięty z gazety artykuł z 1907 roku:

„Dziś mija 20 lat od chwili, kiedy rzeka Karikás wystąpiła z brzegów. W okolicach Karikasrév przerwała tamę, w wyniku czego w nocy z 18 na 19 marca spustoszyła pięć okolicznych wiosek. Liczba ofiar powodzi sięgała blisko 200 osób. Najdotkliwsze straty poniosły dwie miejscowości, Karikasrév i Karikasgyüd.”

List Weissa z Ameryki.

Och, mój Boże, to ten drogista Weiss! Jakże marzył tam na strychu. Zanieśli mu koldrę, ale i pod nią dygotał z zimna. Siedział w kącie na materacu i oplakiwał swoją rodzinę. Wincenty wyciągnął go z kolumny, która zatrzymała się podczas alarmu lotniczego przed bramą domu na ulicy Darabont. Niebo było czarne, gęste – Wincenty podbiegł i wyciągnął z szeregu tego, który stał najbliżej bramy. Wyły syreny i strażnicy obserwowali niebo, a nie eskortowanych.

Lokator spod pierwszego w piwnicy zawodził swoje psalmy z jakąś upartą, rozpaczliwą skargą w głosie. Czyżby nadaremnie płynęły słowa pieśni?

Czyżby nawet one nie sprowadziły pokoju na ziemię? Bomby padają bez przerwy, czyżby ogłuchł Bóg na niebie? Czy nie słyszy jego modlitwy? Wincenty nie znalazł uznania w oczach sąsiada. Lecz po raz pierwszy słaby przebłysk zrozumienia ukazał się na twarzy lokatora spod pierwszego, kiedy wśród grznotu wybuchających bomb dotarli wreszcie do schronu w piwnicy. „Ten człowiek jest złoczyńcą. Swego czasu wyrzucili go z posady – myślał. – Co to muszą być za ludzie, skoro nawet ich córki nie chcieli przyjąć na uniwersytet? Ale co prawda, to prawda, trzeba przyznać, że tchórzem Wincenty Szöcs nie jest.” A przecież Wincenty bał się tak, że ręce i nogi dygotały mu ze strachu. Bał się z powodu Weissa i bał się bomb.

Nie! Trzeba odrzucić te wspomnienia. Są zbyt bolesne. Nagle wszystko stało się tak jasne, słowa i głosy powracały jak żywe. Iza szeptała:

– Dlaczego ukryłeś tego człowieka?

– Bo nadarzyła się okazja – odpowiedział cicho jej ojciec.

Iza zamyśliła się, splotła ręce, widocznie nad czymś się zastanawiała.

– Zawsze postępujesz słusznie, ale nigdy się nie zastanawiasz – powiedziała patrząc na niego. – Nie uświadamiasz sobie tego, co czynisz.

– A jednak i ja coś robię – odpowiedział Wincenty i drgnęła mu twarz, gdyż gdzieś uderzyła bomba i okropnie się przestraszył.

W dolnej szufladzie znalazła jakieś zdjęcia. Były to fotografie Izy i jej. Na zdjęciu maturalnym Iza miała dość posępną minę. Włosy krótko przycięte, oczy pochmurne, wyglądała jak chłopiec. Tu są negatywy Wincentego. Kiedyś dużo fotografował, ale potem, w dwudziestym trzecim, sprzedał aparat. Podniosła kliszę pod światło. Próbowała odgadnąć, co które zdjęcie przedstawia. Widziała czarno-białe cienie, jakieś nieznane twarze wąsatych mężczyzn, jakieś kobiety w kapeluszach z piórami, w długich do ziemi spódnicach.

Kim byli ci ludzie? Dlaczego ich fotografował? Jakieś lasy, o ile to były lasy, wiejskie domy. Ostatnie nie wywołane zdjęcie poznała. Był to negatyw obrazu подарowanego Lidii. Klisza odżyła, jakby sparzyła ją w rękę.

Jej własne listy. Obce miasta, prospekty z Wycieczek zagranicznych. Plik numerów „Fizyki popularnej”. Widokówki z nieznanymi miast. Zbierał je, chociaż nigdzie nie jeździł. Kiedy mógł sobie pozwolić na podróżowanie, zabrakło mu sił i zdrowia. Jakieś rodzinne dokumenty, prace Izy, metryki chrztu.

Oto list, którym zwolniono go z pracy, a tam, na samej górze pismo rehabilitacyjne. Nr 9590/1945. E.M...

– Jeżeli z nim zerwiesz, możesz wrócić i wszystko zapomnę – powiedziała ciocia Emma. – Co za katastrofa! Ale ostrzegałam cię. Cóż to może być za człowiek, którego wyrzucają jak sługę-złodzieja? Pomimo że był sędzią! Wróc do domu, jestem bardzo samotna, a ty już wiesz, jak i co przy mnie trzeba zrobić. (Aranka, którą ciotka wzięła do siebie później, właśnie wtedy uciekła z Pistą Vitárym.)

Ciocia Emma piła kawę drobnymi łyżkami i gderiała:

– Przecież dobrze wiedział, jakiego wyroku od niego oczekują. Oszalał czy co? Miał taką dobrą posadę, wychowano go za żebracze grosze. Nauczyciel rokrocznie urządzał na niego składkę, no i doczekał się, proszę. Chyba wiedział, że musi tych oskarżonych ukarać, to wszyscy wiedzieli, ale on uwolnił tych czterech podłych chamów w imię Świętej Korony Węgierskiej – idiota! A kiedy koledzy wspaniałomyślnie starali się załagodzić tę sprawę i dali mu możliwość naprawienia błędu, to zamiast cicho usunąć się w cień, on jeszcze wrzeszczy o sprawiedliwości i buntuje się. Teraz może się przekonać na własnej skórze, co to jest sprawiedliwość. Twoja biedna matka w grobie by się przewróciła, gdybym zostawiła cię samą. No więc wróć do mnie, do domu, moje dziecko. Możesz czuć się tu jak dawniej i chociaż opuszczając mnie dałaś dowód niewdzięczności, przyjmę cię z powrotem, jeżeli zechcesz, ale bez niego. O pieniądze mnie nie proś, nie dam, bo nie mam. A gdybym nawet miała, to nie dla twego męża. Niewdzięcznik! Mam nadzieję, że się wyniesie z miasta. Tu przecież nie może zostać! To nie do pomyślenia!

Nie poszła wtedy prosto do domu, ale na cmentarz. Było lato. Wczesne lato, a na grobie Jędrka kwitły róże. Nie żył już od ośmiu lat. Usiadła na ławeczce i zatrzymała wzrok na kamiennym nagrobku, po którym pięła się róża. Patrzyła na gęstą, zbitą trawę i kłębiaste, wolno przesuwające się chmury.

Przyroda była taka spokojna! Nie obojętna – spokojna.

Nad grobami latały pszczoły. Czuła się oszukana, kiedy tak wpatrywała się w żywą czerwień róż i błękit nieba.

Jakie to wszystko piękne, ale komu to tutaj potrzebne na tym cmentarzysku? To brzęczenie pszczół, ten świergot ptaków wśród gałęzi? Kiedy nie to jest tutaj rzeczywistością.

Rzeczywistością jest przemijanie i ta okropność, która czeka na nią w domu. Siedziała bez ruchu. Nagle za jej plecami zazgrzytał żwir. Odwróciła się przerażona. Był to Wincenty. Usiadł przy niej na ławeczce i jak zwykle, kiedy tu przychodził, pogładził nagrobek synka.

– Tak sobie myślałem, że tu przyjdiesz – powiedział Wincenty.

Spuściła głowę; wstydziła się, że najpierw pobiegła do ciotki Emmy po pieniądze i aby się przed nią wyzalić. Jak mogła tam pójść choćby na chwilę, wiedząc, jak bardzo ciotka nienawidzi Wincentego? W głębi serca ciotka cieszyła się z tego, co się stało. Przypomniła sobie strażnika przy tamie oraz ich pierwszą rozmowę. A jaka była dumna ze swojej przepowiedni sprzed dwunastu lat, kiedy to małżeństwo uznała za niewłaściwe!

Dziwne także wydawało się Staruszce teraz, tej nocy, że za życia Wincentego, kiedy był jeszcze zdrowy, istniało coś, czym się mogła przejmować.

Jak gorzko opłakiwała niegdyś utratę posady męża, mimo że Wincenty tłumaczył jej, iż rację miał on, a nie ci, którzy go zwolnili. Mimo że uwierzyła mężowi – była nieszczęśliwa. Z powodu pieniędzy, z wielu błahych powodów:

że utraciła przyjaciół, że rodzina ich unika, że ktoś tam nie ukłonił jej się równie głęboko jak dawniej.

Teraz wstydziła się powodów swoich utrapień. Jakim była tchórzem, jakim godnym pogardy tchórzem, że jednak mimo wszystko gdzieś na dnie serca pozostało coś z tego, co mówiła ciotka. Pewnej nocy próbowała namówić Wincentego, żeby się przenieśli do innego miasta. Dokądkolwiek. Jeżeli chce – nawet do Gyüd, przecież Wincenty lubił tę miejscowość. Jako uczeń jeździł tam każdego lata do swoich nauczycieli i do dziś wspomina, jaka to piękna wieś, jak pachną wierzby obsypane baziarnymi nad brzegiem Karikás i jak na kępach szumi sitowie.

Ale Wincenty nie chciał się przenieść i to był następny powód do płaczu. Ona uważała przeniesienie za bardzo dobre rozwiązanie sytuacji. Nie spotkają tam nikogo z dawnych znajomych. Na wsi życie jest tańsze, mogą się utrzymać z wdowiej renty. (Wincenty nie otrzymywał poborów, tylko jej wyznaczono rentę z Ministerstwa Sprawiedliwości, mimo że mąż jej żył.)

– Nie – powiedział Wincenty i jego twarz zrobiła się purpurowa.

Nigdzie nie pojedzie. Nie jest winien. Nie ma powodu ukrywać się przed ludźmi.

Odwrócił się od niej i nie chciał więcej mówić na ten temat.

Nie mogła go namówić na wyjazd do Gyüd, dopóki go nie zrehabilitowano. Kiedy jednak w listopadzie 1946 roku nadeszło oczekiwane pismo, drżącymi rękami zdjął małą walizkę z szafy i zaczął się pakować. Nawet go nie spytała, dokąd jedzie, tak wyraźnie było to wypisane na jego twarzy.

Poprosiła Izę, aby go odprowadziła, ale córka zatopiona w książkach potrząsnęła tylko głową. O niczym nie chciała słyszeć – przygotowywała się do ważnego egzaminu.

Ona też starała się wyperswadować ojcu tę podróż.

Cały wieczór tłumaczyła mu, że w Gyüd nie ma hotelu, a spośród jego starych znajomych na pewno nikt już nie żyje. Nauczyciel zmarł dawno. Dzieci Dávida, w poszukiwaniu pracy, rozpiechły się po świecie. A ci, którzy jeszcze zostali, będą się gapić na niego jak na raroga.

– Co cię tam tak ciągnie? – zapytała ojca.

Wincenty uparcie układał rzeczy w walizce i odpowiedział:

– Tama!

– Nie gniewaj się, ojcze, ale mnie ta twoja tama jakoś nie pasjonuje – powiedziała Iza i pogłaskała go czule po ramieniu.

Niestety, wspomnień nie można przekazać nikomu w spadku.

Ręce Wincentego znieruchomiały nad walizką. Twarz mu stężała i jakby się nagle ściągnęła.

Ostatecznie nie wyjechał. Właśnie wtedy rozchorował się na tę złośliwą gripę.

Póki był chory, żona nie chciała go puścić od siebie. Kiedy zaś wyzdrowiał, była fatalna pogoda i tak oto podróż nie doszła do skutku. Już nigdy nie zobaczył rodzinnej wioski. Rzadko ją nawet wspominał. Postarzał się, osłabł i niewiele wychodził z domu. Kiedy go zrehabilitowano, ukończył sześćdziesiąt

sześć lat. Poruszał się z trudem. Męczył go reumatyzm i już wtedy dokuczał mu żołądek. Ale nikomu wówczas nie przyszło do głowy, czego te bóle są zwiastunem.

Zamknęła szufladę. Nie było w niej nic nadzwyczajnego poza tym, że mieściła wszystko, co łączyło ich przez tyle lat wspólnego pożycia. Nie było tam ani tajemnic, ani fotografii kobiet, zasuszonych kwiatów ani tajemniczych listów. To, co było, odnosiło się do młodocianych lat męża albo do spraw rodzinnych.

Zawstydzila się teraz, że przez chwilę zwątpiła – powinna była go lepiej znać. To był już wpływ Antala i Lidii.

Kiedy dziś poszła do szpitala, profesor Dekker powiedział, że mąż jest nieprzytomny. Nie odzyskał przytomności nawet wtedy, kiedy usiadła przy nim. Może wcale nie powiedział Antalowi, aby oddał obraz Lidii, tylko szeptał coś, co zięć mógł źle zrozumieć.

Ciągle coś szeptał, biedaczek, po zastrzykach. Bez przerwy coś szeptał. Jakże mógł mówić o śmierci, przecież nie wiedział, co go czeka. Ani przez chwilę się nie domyślał.

Wyszła do przedpokoju, otworzyła drzwi i wyjrzała na podwórze. Deszcz padał nadal, ale powietrze było łagodniejsze niż po południu. Kapitan zauważył ją i wskoczył na schody. Przed dziesięcioma laty, biegnąc na ich spotkanie przez otwartą bramę, podskakiwał z taką samą zuchwałą pewnością siebie. Pierwszego maja rozsypywano kwiaty z samolotu i wypuszczono gołębice, a oni obserwowali to stojąc w progu domu. Gazety zapowiadały tę imprezę na zakończenie święta. Nagle usłyszeli jakieś stukanie w bramę i na podwórze wbiegł mały czarny szczeniaczek nie większy niż pięść.

– Oto nasz gołąb – powiedział Wincenty i roześmiał się.

– Nadęty niby jakiś kapitan, tylko że czarny.

Wspomnienie było tak żywe, że nie była w stanie pogłaskać zwierzęcia i wróciła do przedpokoju.

W sąsiedztwie zapał kogut. Przeciągłym wołaniem budził śpiących. Niebo było czarne jak wielka ciemna bryła.

„Świta – pomyślała Staruszka. – Czy on aby to widzi?”

W sypialni było ciepło, zbyt ciepło po chłodnym ranku. Zrzuciła szlafrok i ułożyła się do snu obok córki. Iza obróciła się, ale nadal spała. Wzdychała smutno przez sen. Teraz, kiedy Staruszka stała naprzeciw ścianie, wyraźnie widziała obraz, który czuwał nad jej snem. Idzie dziewczynka. W rękach trzyma koszyczek z poziomkami, stąpa po chwiejnej kładce, a pod tą kładką pieni się górską rzeczka. Niemal wyraźnie słyhać, jak woda szumi wśród skał i o mało nie wciągnie w swe nurty małej osóбки w fartuszk. Ale Staruszka nie obawia się o nią, ponieważ za plecami dziewczynki idzie anioł. Jego stopy w sandałach pewnie stąpają po rozchybotanej desce, a wyciągnięte ręce chronią dziecko biegnące beztrudnie za ulatującym motylem nad groźną przepaścią i rwącym strumieniem.

## Rozdział V

Według zwyczaju panującego na prowincji następne dni upływały na przyjmowaniu kondolencji. Goście zdawali się nie pamiętać, że nie powinni zostawać dłużej niż przepisowych piętnaście minut. Ale Staruszka nie miała im tego za złe. Lubiła mówić o Wincentym. Często odwiedzała odwiedzających likierem, ponieważ dni były wyjątkowo chłodne jak na marzec, który walczył o swoje prawa z zimnymi falami chłodu. Iza twierdziła, że to barbarzyński zwyczaj, takie zbiegowisko ludzi przed pogrzebem... Nie mogła znieść gości i wychodziła z domu. Oczywiście, miała tyle roboty, że nie mogłaby z nimi siedzieć, nawet gdyby chciała. Jedno przedpołudnie spędziła w klinice u Dekkera. Załatwiała formalności związane z pogrzebem i prawie cały czas spędzała w biurze pośrednictwa handlu nieruchomościami na pertraktacjach w sprawie sprzedaży domu, co nie było wcale takie proste.

Składający kondolencje – z wyjątkiem radnego i jakiegoś zupełnie obcego młodego urzędnika sądowego – rozmawiali nie tylko o Wincentym, ale także i o Izie. Zajmowała ważne stanowisko w stolicy. Przysyłała co miesiąc pieniądze do domu na opał, na szewca, krawca, na leczenie i było to nieustannym tematem rozmów ludzi z ich ulicy. To, że zabierze teraz matkę do Budapesztu, nikogo nie dziwiło. Leżało to w jej charakterze. Iza jest nie tylko świetnym lekarzem, nie tylko wdzięczną córką, ale i dobrym człowiekiem. Pani Szöcs będzie u niej na pewno szczęśliwa. Pan Wincenty odszedł wprawdzie, ale zostawił córkę, aby opiekowała się matką. Co to musi być za przyjemność przeprowadzić się do Budapesztu! Zostawić za sobą smutne wspomnienia i w nowym środowisku odpocząć na stare lata. Nie będzie musiała znosić trosk, ciężarów i samotności, lecz w siedemdziesiątym piątym roku życia odda się spokojnym rozważaniom. Iza będzie o nią dbała. Nie zazna już więcej zmartwień w swoim życiu.

Iza rzeczywiście uczyniła dla matki wszystko. Pomyślała nawet o na pozór nic nie znaczących drobiazgach. Gotowała, karmiła ją, a kiedy u bramy zadzwieczył dzwonek, a ona była jeszcze w domu, spieszyła otworzyć drzwi, aby zaoszczędzić matce wychodzenia na dwór. Gdy tak biegła, jej długie włosy rozwiane na wietrze trzepotały wokół twarzy.

Wincenty już od dawna nie był taki jak kiedyś. Przywykł do wygod i powoli cały ciężar gospodarstwa spadł na barki żony. Nawet tak drobne pozornie sprawy jak otwieranie bramy podczas ulewy, mrozu czy szarugi urastały do rozmiarów problemu. Teraz Iza biegła z kluczem, obsypana mokrym puchem śnieżnym. W czarnej spódniczce i swetrze wyglądała tak młodo jak wtedy, gdy mieszkała tu jeszcze jako panienka, a potem w pierwszym okresie swego małżeństwa.

Miała pełne ręce roboty i nie było czasu ani na lamenty, ani na rozmyślanie.

Zanim wyjechała z Budapesztu, poprosiła o swój letni urlop i przez ten czas chciała ostatecznie załatwić wszystko: pogrzeb, sprawy spadkowe,



sprzedaż niepotrzebnych rzeczy, przeprowadzkę i w jakiś sposób zamierzała rozwiązać problem domu.

– Nie chcę, żebyś była przy wynoszeniu rzeczy – powiedziała do matki. – Wiem, że nie wytrzymasz i zaczniesz mi zaraz pomagać, a przecież po pogrzebie nie będziesz miała tyle sił. Pojedziesz na kilka dni do Dorozs, mam, zadzwonię wieczorem do sanatorium. Poleżysz, popatrzysz na drzewa, poczytasz, pośpisz, jeżeli chcesz, możesz wziąć parę kąpiel. Nie zaszkodzą na twoje kości. Kiedy uporam się tutaj ze wszystkim, przyjadę po ciebie. Dekker jedenastego jedzie do Budapesztu. Zabierze nas obie swoim autem.

Uzdrowisko Dorozs leżało niedaleko od ich miasta. Około piętnastu kilometrów. Wzmianki o ciepłych siarczano-jodowych źródłach znajdują się w kronikach już sprzed trzystu lat. Ale sanatorium i miejscowość kuracyjna powstały dopiero sześć lat temu. Oboje od dawna marzyli o Dorozs. Niezliczone razy projektowali z Wincentym wycieczkę do tego uzdrowiska, ale zawsze kończyło się na niczym. Mimo że do Dorozs autobus kursował co godzinę, jakoś nigdy nie udało im się tego projektu zrealizować. Tak samo nie mogli się wybrać nad morze lub do innych krajów, o których rozmawiali wieczorami.

Usłyszawszy słowa Izy, Staruszka spuściła oczy, a potem sięgnęła po chusteczkę. To było bardzo pocieszające, że Iza otaczała ją taką miłością i troską, ale mimo że miała pojechać do wymarzonego Dorozs, czuła się bardziej nieszczęśliwa niż kiedykolwiek w życiu. Świadomość, że nie zostanie sama wśród pustych ścian, była bardzo uspokajająca, ale myśl, że nie będzie jej przy wynoszeniu rzeczy z domu, napawała ją przerażeniem.

– To byłoby dla ciebie zbyt męczące – powiedziała Iza. – Już dosyć się namartwiłaś. Przecież znam moje mieszkanie i wiem, gdzie cię wprowadzam, co gdzie się mieści i co najlepiej będzie tam pasowało. Chcę, abyś odtąd miała same przyjemności.

To, że ktoś myśli za nią, że się o nią troszczy, znowu ją wzruszyło. Oczy jej napęłniły się łzami wdzięczności. Oczywiście Iza znowu ma rację. I istotnie bardzo by ją bolało, gdyby sama musiała porządkować rzeczy Wincentego. Może by nawet tego nie zniosła. Tak dobrze знаła te rzeczy, jego staromodne ubrania i wesołe kapelusze. Odkąd się postarzał, Wincenty nie lubił nosić kapeluszy. Zawsze nosił skórzane czapki. Niech lepiej Iza spakuje te rzeczy do waliz, a w Budapeszcie, kiedy wróci trochę do sił, uporządkuje je w szafie. Będzie to tak, jakby oboje zamieszkali u Izy. Może nawet porozmawia czasem z laską Wincentego, z jego grubą szklanką, z blaszanym kubkiem, w którym grzała mu wodę do golenia podczas mroźnych, zimowych dni. W głębi duszy liczyła na to, że w stolicy wszystko się przyda. Iza wychodząc za męża nie dostała odpowiedniej wyprawy. Bardzo się wstydziła oboje z mężem, że nie dali jej nic nowego, tylko podzielili się z nią tym, co sami posiadali. Teraz chętnie odda jej tę resztę i niech zawiezie wszystko do Budapesztu. Obserwowała twarz córki, chcąc zobaczyć, jakie wrażenie wywarła jej propozycja, ale Iza potrząsnęła tylko głową i powiedziała, żeby nie zastanawiała się nad tymi sprawami i żeby kłopoty związane z

przewodzątką pozostawiła jej. Uspokoili się. Iza zawsze wiedziała wszystko lepiej od niej, więc prawdopodobnie i teraz wie lepiej, jak postąpić.

Niestety Iza nie będzie mogła zabrać wszystkiego. Niech sobie matka wybierze, na co ma ochotę i co jej będzie potrzebne, a resztę...

Nieprzyjemnie było o tym myśleć. Toteż odegnała sprzed oczu przykry obraz.

Wiele lat przeżyła pośród tych mebli. Razem z nią postarzały się i wyblakły. Każdy ma swoją własną historię. Bolało ją to, że nie może zabrać ze sobą wszystkiego. Bolało ją, że nie może wziąć całego domu na plecy i zanieść go do Budapesztu. Ten dom opuszczony przerażał ją, ale zamieszkały przez Izę był najpiękniejszym miejscem na świecie. Iza ma własne mieszkanie, po co więc płacić podatki za dwa domy, ma rację, że tego się chce pozbyć. Kto go kupi? To nie ma znaczenia. Każdy, kto go nabędzie, zrobi dobry interes. Ale szkoda zostawiać te drobiazgi. No, wszystko jedno, już nic się nie da zmienić. Dopóki Wincenty był zdrowy, decydował o wszystkim za nią. Teraz robi to Iza. Jak to dobrze, że nie musi się wyklócać z tym biurem od nieruchomości!

Wieczorem w dzień pogrzebu, w ten nierealny wieczór, kiedy Iza przyrządzała jakąś rybę w nie opalanej kuchni, znowu zjawił się Antal. Przypadkowo ona otworzyła mu drzwi. Iza, zajęta gotowaniem, zawołała z kuchni, żeby matka podeszła do drzwi, bo ona nie może oderwać się od roboty.

Już od kilku dni padało bez przerwy. Antal był z gołą głową, z jego włosów i czoła ściekała woda. Nie pamiętała, by go kiedykolwiek widziała w kapeluszu. W zimie czubek jego głowy zawsze był biały od śniegu.

Kiedy Iza usłyszała jego kroki, wyjrzała na korytarz. Na widok Antala jej twarz zastygła w uprzejmym uśmiechu. Przeprosiła go za niedbały strój – zajęta jest właśnie gotowaniem – i zapytała, czy nie zjadłby razem z nimi kolacji. Wszystkiego jest dosyć. Antal podziękował mówiąc, że jest już po kolacji. Było oczywiste, że skłamał, ale na to nie można było już nic odpowiedzieć.

Antal nie bawił się w długie wstępy. Zapytał Izę, ile zamierza wziąć za dom, bo chciałby go kupić. Dziś w klinice wspomniła, że pragnie go sprzedać. On ma zamiar kupić mieszkanie, więc o ile dojdą do porozumienia, chętnie go nabędzie.

Spojrzała na niego ze zdumieniem. Nigdy nie myślała o nim jako o człowieku, który kiedyś będzie miał swój własny dom.

– Jeżeli mama zostawi tu niektóre meble – powiedział Antal – to również je kupię.

Twarz Staruszki rozjaśniła się po raz pierwszy, od czasu gdy przed kilku miesiącami usłyszała diagnozę doktora. Nawet nie wiedziała dokładnie, co Iza chce sprzedać z domu, a już żałowała, że jej rzeczy przejdą w obce ręce, jakby to były żywe istoty, które po długiej, wiernej służbie zostają przepędzone. A w nocy, kiedy martwe przedmioty nabierają życia, będą

tęsknić i wzdychać za jej kojącą ręką. Wprawdzie Antal opuścił ich, ale kiedyś przecież należał do tego domu.

Iza pachniała rybą i oliwą, i zapach ten czynił ją jakąś obcą. Iza była zawsze tak czysta, chłodna, tak niesłychanie dbała o siebie, wyłączona zupełnie z wszelkich spraw kuchennych, trzymająca się z daleka od domowych trosk i obowiązków, że Antal zdziwił się, kiedy ją zobaczył w tym stanie.

Musiała być zaprzętnięta czymś naprawdę ważnym, skoro pokonała ją kuchnia. Ona nigdy nie szła na żadne ustępstwa.

– Wszystko jest kwestią odpowiedniej postawy – tłumaczyła mu kiedyś. – Jeżeli się chce, można ją zachować nawet w kuchni.

Jej zasada okazała się teraz kłamliwa. Iza została pokonana. Tego wieczoru nie dbała o swoją postawę. Gdzie błądziły w tej chwili jej myśli?

Na stojąco wysłuchiwała, w jakiej sprawie przyszedł.

Staruszka długo łamała sobie głowę, co mogło oznaczać to jej dziwne spojrzenie. Dlaczego nie ucieszyła się propozycją Antala? Staruszka drżała z obawy, aby Iza nie odmówiła mu sprzedania domu, niezależnie od tego, co między nimi było. Jeżeli oni muszą stąd odejść, niech przynajmniej Antal pozostanie. Nie śmiała się odezwać, przecież dotychczas inni wyręczali ją w załatwianiu jej spraw, ale w duchu mówiła sobie, że oddałaby ten dom Antalowi za byle co, byle tylko pozostawił na miejscu rynnę ze smokiem i pilnie przestrzegał podlewania kwiatów Wincentego.

Antal zawsze pomagał teściowi rąbać drzewo i wie, że pniak do rąbania drzewa nazywano w domu „Grubaskiem”.

– Czy chcesz założyć dom? – zapytała Iza.

Głos miała spokojny, beznamiętny, ale nawet Staruszka zauważyła, że za tym pytaniem musi się kryć inna, całą siłą woli powstrzymywana myśl.

Antal nie odpowiedział. Szukał papierosów. Iza stała naprzeciw niego. Staruszka bąknęła coś; czuła, że nie powinna tu pozostać. Iza z pewnością się nie pogniewa, jeżeli wyjątkowo tym razem nie będzie obecna przy rozmowie. Już przedwczoraj, a i wczoraj także zmuszali się do rozmowy, kiedy Iza poszła do kliniki podziękować Dekkerowi i tej pielęgniarce za opiekę nad Wincentym. Mruknęła coś na temat kolacji i wysliznęła się z pokoju. Na kuchni skwierczała oliwa, mimo że Iza odsunęła już patelnię z ognia. Nagle poczuła, że nie byłaby w stanie przełknąć ani kawałka ryby, która połyskiwała jak żywa.

Przez długi czas siedziała bez ruchu. Podniosła się z miejsca dopiero na głos Izy. Córka zawołała, że Antal chciałby się pożegnać.

– Doszliście do porozumienia? – zapytała matka z nadzieją w głosie.

Antal odpowiedział, że tak.

Iza nie mówiła nic. Już nie była zaróżowiona. Jej własny fartuszek w kwiaty, który Iza włożyła na siebie do gotowania, był na nią za wąski i na tle czarnej żałobnej sukni wyglądał niemal frywolnie.

Antal już wychodził. Teraz rzeczywiście nie chciała ich zostawiać samych i odprowadziła go do drzwi. Antal zatrzymał się na progu. Zawahał się przez

moment, jakby chciał jej powiedzieć coś na pocieszenie, ale w końcu nic nie powiedział, tylko ją pocałował. Podniósł kołnierz płaszcza i wyszedł na deszcz. Patrzyła, aż zniknął jej z oczu. Ale ona nie za nim patrzyła tęsknym wzrokiem. Wchłaniała otaczający ją krajobraz, który chciała zapamiętać. Ten łagodny zakręt ulicy, blask padający z okien domów, dumnie oświetlone, naiwne dekoracje wystawy sklepu Kolmana. Przechodnie brnęli poprzez kałuże, a parasolki połyskiwały w świetle lamp. Południowy wiatr znowu przepędził chmury, a niebo zdawało się opierać o dachy domów. W tej chwili po raz pierwszy w życiu uświadomiła sobie, że ziemia nie jest płaska, lecz okrągła, i powoli, lecz wyczuwalnie porusza się pod jej nogami. W jaki sposób to słabe, chore ciało Wincentego mogło stanowić dla niej takie oparcie? Stała oparta o bramę, która od wielu dni wydawała jej się czymś nierealnym, jakby Wincenty zabrał ze sobą kamień i drewno, z których była zrobiona, i pozostawił w zamian jakąś gęstą, lepką mgłę. W ten mroczny deszczowy wieczór, pod czarną kopułą nieba, po raz ostatni czuła bliską obecność męża. Widziała jego długie siwe włosy w świetle latarni. Mgła opadała. Powolna, wiosenna mgła. Od strony głównej ulicy dochodziło skrzywienie kół przejeżdżających wozów, rozpryskujących wodę na obydwie strony.

Dekker zawiózł je na pogrzeb swoim własnym samochodem. Profesor był taktowny. Sam zamówił dla siebie taksówkę, pozostawiając Staruszkę samą na sam z Izą. Pani Szöcs chciała pójść na cmentarz jeszcze na długo przed pogrzebem, ale Iza nie pozwoliła jej na to, co ją bardzo zmartwiło. Pragnęła być przy trumnie, kiedy nie będzie tam jeszcze nikogo obcego.

– Jesteś jedyną bliską mi istotą – powiedziała Iza, a jej piękne poważne oczy spoczęły na matce. – Jestem twoją córką i twoim lekarzem, mamó. Nie tylko umarli potrzebują wypoczynku, żywi również. Nie chcę, żebyś się zapłakiwała na śmierć; masz słabe serce. Już nie jesteś młoda. Muszę na ciebie uważać.

Z początku nie płakała. Nie dlatego że połknęła proszek, który Iza kazała jej zażyć. Po prostu ból zastygł w niej i ustąpił miejsca jakiejś tępej, bezmyślnej radości. Tyle już dni nie widziała Wincentego, a teraz zobaczy go jeszcze raz, będzie mogła go pocałować i poprawić mu krawat. Po drodze nie rozglądała się, tylko z oczami wbitymi w ziemię rozmyślała nad tym, co mu powie, kiedy go zobaczy. Prawdopodobnie już wie, że Iza postanowiła ją zabrać do Budapesztu. Ale może nie wie jeszcze nic o propozycji Antala. Obieca mu, że będzie odtąd więcej jadła, i przeprosi go, że nie dawała mu dosyć środków uśmierzających, ale przecież chciała, żeby żył, żył tak długo, jak to tylko możliwe. Przygotowywała się do tej rozmowy, jakby niedługo miała się spotkać z kimś żyjącym, a czas naglił.

Kiedy ujrzała katafalk, zaczęła się trząść. Czarne draperie zawieszane nad drzwiami i sztywne ozdobne drzewka w czarnych donicach przeraziły ją. Kiedy weszła, najpierw spostrzegła Kolmana w czarnym krawacie. Sprawilo jej to przyjemność. Potem spojrziała na katafalk. Zatrzymała się na progu i nagle wybuchnęła płaczem. Trumna była zamknięta.

To zabolalo ją bardziej niż wszystko, co przeżyła w ciągu ostatnich czterech dni. Iza trzymała ją pod rękę i zaprowadziła do ławki. Usiadła. Między palcami w rękawiczkach spływały łzy. Iza milczała. Siedziała obok wyprostowana, nieruchoma. Staruszka wiedziała, że córka chciała jej pomóc. Wiedziała, że jest mądrzejsza, że broni jej i staje między nią a wszystkimi troskami, a jednak bolało ją to, że nie może jeszcze raz zobaczyć tej twarzy, która już przed czterema dniami wydawała się jej obca. Płacząc wysłuchiwała nabożeństwa do końca. Miała wrażenie, że to jej nie dotyczy. Nie była w stanie nadażyć za modlitwą i w tej chwili spokój zaświatów i myśl o zmartwychwstaniu była dla niej bardziej daleka niż kiedykolwiek. Szlochała jak dziecko i nie pocieszało jej to, że po burzach i znojach tego życia nastąpi cisza i światłość wiekuista po śmierci.

W tej chwili czuła się związana fizycznie z Wincentym tak jak w pierwszych burzliwych i pełnych napiętności miesiącach ich małżeństwa. Zaświaty były dalekie i nie stanowiły dla niej żadnej rekompensaty.

Kiedy wreszcie kondukt żałobny ruszył z miejsca, szła za trumną wspierając się na ramieniu Izy, nie widząc idących za nimi ludzi. Wyczuwała tylko, że jest więcej osób, niż się spodziewała. Koła karawanu żłobiły w błocie głębokie ślady, a ubrania nasiąkały wilgocią. Nikt nie otwierał parasolek. Nie wypadalo. Wincenty nigdy w życiu nie jeździł w tak dostojnym paradnym powozie, jak ten, na którym wieźli go w tej chwili. Nigdy nie oddawano mu takich honorów, jakich doczekał się od pracowników zakładu pogrzebowego.

Wszystko, co miała mu do powiedzenia, wezbrało w niej, lecz nie była w stanie ułożyć myśli w zdania, a z Wincentego i tak nie zostało już nic, poza drewnianą trumną, która go pochłoneła.

Podczas składania kondolencji ksiądz był nieco urażony, że jego słowa pełne wzniosłej pochwały życia wiecznego nie sprawiły należytego wrażenia. Staruszka ze szlochaniem wsłuchiwała się w dudnienie uderzających o wieko trumny grudek ziemi. Grób Wincentego był niewielki. Jakoś o wiele mniejszy, niż sobie wyobrażała. Nie zwracając na nikogo uwagi, uklękła przy trumnie i pocałowała miejsce, gdzie znajdowała się jego głowa. Kiedy podniosła zapłakane oczy, zobaczyła Lidię. Miała na sobie czarny płaszcz. Na pewno pożyczony od kogoś, bo źle na niej leżał. Kapelusz i rękawiczki również miała czarne. Nigdy nie lubiła tej dziewczyny. Jej smutne oczy i gest, którym położyła na grobie Wincentego skromny bukiet, ubodły ją.

Kiedy wracały do miasta, samochód zamiast skręcić w ich uliczkę zatrzymał się na głównym placu. Przed nią żółcił się hotel, a nie opodal kawiarenka z czerwonymi zasłonami, gdzie trzy miesiące temu rozmawiały z Izą o nieuniknionej śmierci Wincentego. Poprzez zasłonę deszczu widziała znajdujące się obok kawiarenki biuro linii lotniczych i stację autobusową. Stał tam dalekobieżny autokar. Jego wielkie niebieskie cielsko splukiwał deszcz.

Iza wysiadła. Podeszła z kierowcą do bagażnika i wydobyli walizkę. Była to lekka brązowa walizka Izy, z którą tu przyjechała. Dziewczyna podała rękę kierowcy i samochód odjechał.

– Teraz wypijesz kawę, a potem pojedziesz.

Nic nie rozumiejąc przypatrywała się córce.

– Wypijesz kawę, ponieważ zmarłaś na kość, a potem wsiądziesz do autokaru. Za dziesięć minut odjeżdża do Dorozs. Tu jest twoja walizka.

– Zaraz?

– Zaraz – odpowiedziała Iza. – Już dość było płaczu. Jeżeli wrócisz do domu, zaczniesz wędrować po pokojach i znowu się zdenerwujesz. Jak tylko wszystko tutaj załatwię, przyjadę po ciebie. Książki i lekarstwa włożyłam do walizki i poprosiłam portiera, żeby tam na miejscu pomógł ci wypełnić kartę meldunkową.

Milczała posłusznie. W kawiarni były zaledwie trzy osoby. Natychmiast przyniesiono im kawę. Wpatrzyła się w piankę i zamieszała ją. Miała wrażenie, że śni.

Idzie drogą mała dziewczynka z koszyczkiem, a duża Iza – jej matka, prowadzi ją za rękę. Iza w czarnej sukni, blada. Iza ma silną rękę. Jej głos także jest silny, kiedy mówi: „Nie płacz.”

Może nigdy już więcej nie zobaczy tego miasta i tego domu, gdzie żył i mieszkał Wincenty.

Iza podniosła się i zapłacała.

W autokarze pachniało benzyną. Prawie nie było pasażerów. Przed nimi wsiadła jakaś kobieta o lasce. Iza ułożyła walizkę na siatce. Na pewno spakowała jej rzeczy w nocy, kiedy jeszcze matka spała, i chyba wtedy musiała rozmawiać z kimś z sanatorium.

Tak szybko ruszyli z miejsca, że nawet nie zdążyła pożegnać się z córką. Ledwie Iza zdążyła wyskoczyć, konduktor zatrzasnął drzwiczki autokaru. Padał tak gęsty deszcz, że z trudem rozpoznawała postać córki stojącej pod arkadami hotelu.

– Do Dorozs? – zapytał konduktor.

Słowo to pachniało kwiatami i latem, i Wincenty krył się za tymi słowami, lecz nagle, jakby go ktoś odciągnął, zaczął się oddalać i w końcu zniknął jej z oczu. Autokar pędził przez dzielnicę kolejową, zadudnił na wielkim moście. Zobaczyła białą tablicę z nazwą stacji. Pod mostem sapały pociągi. Deszcz lał strumieniami.

– Do Dorozs – odpowiedziała Staruszka. Wycieraczka gumowa rytmicznie poruszała się to w jedną, to w drugą stronę.

**Część II**

**OGIEŃ**

## Rozdział I

Chociaż widziała niejedną fotografię uzdrowiska, wyobrażała sobie Dorozs zupełnie inaczej.

Kiedy była małą dziewczynką, pewnego razu ciocia Emma zawiozła ją do Szentmáté, i miejscowość tę zapamiętała jako wielką atrakcję. Bijące w południe dzwony, studnia z wodą do picia w cieniu jaworów, orkiestra w parku, żaluzje, szerokie podjazdy dla powozów, niesymetryczny kształt gospody u podnóża łańcucha gór, plaża nad stawem; mieniące się fiołkowe, zielone, stalowe, czasem ciemnopurpurowe fale i pomarszczone śnieżnobiałe grzebienie na wodzie, kiedy dał wiatr.

Wieś Szentmáté leżała na wzniesieniu. Ulice wspinały się ku górze i wyglądało to tak, jakby osiedle uciekało ku szczytom. Kiedy przechadzały się po wsi, chudzi, pochmurni mężczyźni kłaniali im się niechętnie. Zamiast garnków i dzbanków na płotach – sieci. Ciemnoskóre kobiety o podłużnych oczach. Za kurami uganiające się bose dzieci, przypatrujące się gościom z kąpieliska. Domy pokryte strzechą, a na dachach – bociany. Nad wsią zimne, twarde niebo, w dali miniaturowe kopuły pagórków. Na wystawach sklepowych żółte, zakurzone lepy na muchy.

We wsi nie było urzędu pocztowego, był tylko w kąpielisku. Tam znajdowała się apteka i lekarz. Za to przedsiębiorca pogrzebowy Kamermann umieścił się na głównej ulicy wsi i nie opodal warsztatu szewskiego reklamował swoje trumny. Na terenie uzdrowiska sklep Kamermann wywoływałby nieprzyjemne wrażenie.

Dorozs było miejscowością niziną, rozciągało się na piaskach, otoczone pierścieniem wielkich lasów. Niczym nie przypominało ani Szentmáté, ani żadnej innej wsi, jaką kiedykolwiek widziała.

Przed oknem autokaru przemykały: cukiernia, kino, stadion sportowy, przychodnia lekarska. Przejeżdżali obok jakiegoś wielkiego budynku. Sądząc po nalepionych przy wejściu plakatach, był to teatr. W witrynie sklepowej wyłożonej kafelkami czerwieniły się sterty wieprzowiny. Odwróciła głowę, bo drażnił ją widok świeżego mięsa. Sama nie wiedziała dlaczego. Przez szyby cieplarni widać było wczesną, zieloną paprykę i główki młodej sałaty. Na dachach zamiast bocianich gniazd widniały druty anten radiowych, a gdzieś tam nawet i telewizyjnych. Na wystawie sklepu z towarami mieszanymi widziała obrusy ze sztucznego tworzywa, rozpylacze, pończochy nylonowe i maszynę do zmywania naczyń. Przed szkołą na podwórzu było pełno dzieci. Dziewczynki nosiły na niebieskich mundurkach fartuszki z kieszonkami, a w warkoczach powiewały jedwabne wstążki. Nie wiadomo dlaczego wyobrażała sobie, że zobaczy chłopców w wysokich butach, ale tymczasem mieli na nogach trampki albo buty narciarskie. Byli pucołowaci, czyściutcy, a ich piski witające przerwy i dzwonek zwiastujący koniec lekcji – stosunkowo umiarkowane.



Jakaś matka popychała wózek z niemowlęciem. Różowy wózek o opływowych kształtach.

Stara kobieta pomyślała, że wśród młodych zupełnie nie widać chłopskich twarzy. Zdziwiło ją to bardzo i zawstydzila się.

Chmury na niebie rozwiały się. W nagłym jaskrawym świetle zadrżały suche gałęzie drzew, jakby po długim biegu chciały zaczerpnąć powietrza. W wypełnionych wodą rowach przeglądało się słońce, aby za chwilę znowu się schować. W rozmiękłym błocie ulicy grzęzły motocykle. Terkocząc skręcały w boczne uliczki traktory. Niebo na widnokręgu było jeszcze szare, ale u góry lśniło już błękitem, a powietrze nad wsią mieniło się osobliwie, jakby cała wioska była oświetlona reflektorami; wśród domów przemykały snopy światła, które chwilami zasnuwał szary, niekiedy złotożółty dym. Droga skręcała w las i tam, niedaleko wsi, tuż za ostatnim budynkiem, w całej okazałości ukazało się sanatorium. Sanatorium Izy.

Widziała je dziś po raz pierwszy. Izę od małego dziecka interesowały wozy przyjeżdżające z Dorozs i jeżeli tylko spostrzegła małe, kudłate koniki Daniela Bérczesa, nie można już jej było od nich oderwać. Stała i przyglądała się, jak ludzie wnoszą do domu wodę, i jej mała twarzyczka w kłębach gorącej pary nabierała uroczystego i tajemniczego wyrazu. Ojciec wytłumaczył jej, dlaczego mieszczenie sprowadzają wodę z Dorozs. Opowiedział jej, że kiedy był jeszcze młody, chłopcy siadywali z podwiniętymi spodniami wokół źródła i moczyli w gorącym błocie powykręcane artretyzmem nogi.

Ostatnim dwóm latom przed ślubem Izy i Antala towarzyszyła energiczna walka o Dorozs. Wielkie plany. Teren na miejsce uzdrowiskowe, a przede wszystkim sanatorium; analiza wód, ankiety, zebrania. Zanim otwarto sanatorium, Iza rozeszła się z Antalem. Wincenty zaczął poważnie zapadać na zdrowiu i tylko z gazet dowiedzieli się, jaką wielką uroczystością stało się oddanie sanatorium do użytku publicznego. Córka powinna była wziąć udział w otwarciu, ale posłała tylko telegram i nie pojechała. Antal był tam sam.

- Praca Izy tak się zrosła z tym uzdrowiskiem jak te kamienie - wyraził się pewnego razu profesor Dekker.

A teraz wznosił się przed Staruszką pięciopiętrowy budynek ze szkła i betonu. Sanatorium, które zrodziło się z woli i myśli jej córki, jakaś nieprawdopodobnie wielka, do niczego niepodobna budowla, w samym środku osiedla, która w niczym nie przypominała Szentmáté z jego studnią i zajazdem z żaluzjami. Iza pokazywała im plan budowy oraz zdjęcia gotowego gmachu, ale na fotografiach w gazetach jakoś nie uwydatniały się proporcje. A teraz Staruszka dziwiła się, przelykała ślinę i przypatrywała się olbrzymim literom szyldu z nazwą lecznicy na frontonie budynku.

Ta pani z laską, która razem z nią weszła do autokaru, wysiadła pierwsza. Z trudem wydostała się z wozu, a konduktor podał jej walizkę. Na stacji jakiś człowiek w liberii zajrzał do autokaru i zapytał, czy nie jest przypadkiem

panią Szöcs, bo wyszedł jej na spotkanie. Bąknęła coś, podniosła się i wyciągnęła ręce, aby zdjąć z siatki walizkę, ale człowiek w liberii podbiegł do niej i uprzedził ją. Pomógł jej także przy wysiadaniu. Ujął ją pod rękę i wprowadził do hallu budynku, gdzie uderzył ją zapach siarki i gdzie, mimo że wszędzie unosiła się para, było sucho i ciepło. Wokoło stały palmy w wielkich fajansowych donicach, pod nimi zaś malutkie żółte stoliki. Nie bardzo wiedziała, gdzie ma stanąć, ale człowiek w liberii poprowadził ją na dywan. Lśniaca, ułożona w kwadraciki kamienna posadzka była gładka i bardzo śliska. Przy ladzie, za którą siedział portier, wypełniono za nią kartę meldunkową, musiała się tylko podpisać. Człowiek w liberii wprowadził ją do windy i to była jedyna nieprzyjemna chwila od jej przyjazdu. Nie lubiła jeździć windą. Drzwi, które przed nią otworzył, prowadziły do przedpokoju. Człowiek w liberii postawił walizkę pod ścianą szafy, otworzył wewnętrzne drzwi i zniknął. Staruszka zmieszana obejrzała się za nim, wydawało się jej, że powinna mu była dać pieniądze. Przecież był dla niej taki uprzejmy. Ale potem uspokoiła się, bo przypomniała sobie, że gdzieś czytała czy też dyszała, że dzisiaj już się nie daje napiwków.

Nigdy w życiu nie mieszkała sama w hotelu i trochę się bała. Chciałaby wiedzieć, czy aby na prawo i na lewo mieszkają ludzie i czy może spokojnie zostawić swoje rzeczy w szafie, bo a nuż wśliznie się jakiś złodziej? Pocieszyła się myślą, że ze względu na Izę będą na nią szczególnie uważać, i rozejrzała się dookoła. Otworzyła wszystkie drzwi po kolei, nawet od szafy, myśląc, że prowadzą do saloniku. Weszła do łazienki i zajrzała do ubikacji. Uznała, że to wszystko jest jakieś dziwnie niewygodne i obce. Przesunęła palcem po poręczy fotela i odczuła rozczarowanie. Przecież te wszystkie przedmioty są jakieś groteskowe. Kolory, wzór, obicia mebli, wazon, popielniczki, wszystko, co tylko widziała w pokoju, było śmieszne, brzydkie, wręcz odrażające. Współczuła Izie, że jej piękne plany nie doszły do skutku i że zepsuto wszystko, co sobie tak pięknie obmyśliła. Na ścianie wisiał obraz. Niezrozumiały. Mnóstwo chaotycznych plam, domyśliła się tylko, że ten obraz może ewentualnie przedstawiać jakiś pejzaż. Ona też rysowała za panińskich czasów i uważając, że się zna na malarstwie, z miejsca oceniła obraz jako bohomaz. Z początku nie była również w stanie połapać się we wzorze dywanu, ale potem dostrzegła ptaka, który wylaniał się z niebieskiego tła tkaniny. Jakiś ptak ze złamanym skrzydłem. Biedny.

Staruszka rozpakowując się nie mogła wyjść z podziwu, jak dokładnie wiedziała Iza, czego ona może potrzebować. Przybory toaletowe, lekarstwo na obniżenie ciśnienia i środki przeczyszczające. Iza wybrała także mały tomik z książek Wincentego i ułożyła go obok liliowej lizezki i okularów do czytania. Iza oczywiście o tym nie wie, że ona mało czytuje i że ma coraz słabsze oczy. Przerzuciła kartki i oniemiała. Za obwolutą książki były schowane pieniądze. Same setki. Co za szczęście, że je zauważyła, przecież mogłaby zostawić książkę na wierzchu! Czemu córka dała jej tyle pieniędzy? Przecież sama niedługo przyjedzie i osobiście zapłaci rachunki. Jak ona pójdzie na spacer z taką sumą? Jeżeli zaś zostawi ją tu w pokoju, nie będzie miała spokojnej

chwili. Będzie łamać sobie głowę nad tym, że ktoś ją okradnie, a jeżeli weźmie pieniądze ze sobą, będzie się bała każdego przechodnia na ulicy. Pięćset forintów! Straszliwa suma. Odeszła jej ochota na spacer. Pieniądze włożyła do kieszeni swetra i zapięła agrafką.

Zastanawiała się, co robić. Nie miała ochoty na spacer. Najchętniej położyłaby się do łóżka. Ale obawiała się, że zaśnie, i co będzie wtedy z obiadem? Chciałaby i to mieć już za sobą. Przerazała ją myśl, że ma zejść do sali jadalnej i zamówić obiad. Iza włożyła jej do walizki robotkę szydełkową. Gdzie ona ją znalazła? Od dawna nie miała jej w rękach. Przed przeszło trzema laty zaczęła ten piękny gwiazdzisty wzór, ale potem coraz więcej kłopotu sprawiał jej Wincenty, mnożyły się troski, a tymczasem oczy zepsuły się tak, że zostawiła robotę nie wykończoną. Ale przyjemnie byłoby znów poszydełkować!

Spróbowała wykonać gwiazdkę, pracowała przez kilka minut, ale potem kłębek włóczki spadł jej z kolan. Jakoś nie szła jej robota. Szkoda! Odpadła jedna rzecz, którą by mogła zabijać czas. Ten wzór otrzymała od Gicy. Piękna serwetka wyszłaby z tego. Przydałaby się Izie do nowego mieszkania. Przestraszyło ją wspomnienie o Gicy. Surowe obyczaje prowincji zamajaczyły jej groźnie przed oczyma.

Znikły bezlistne, rozkołysane drzewa, znikło światło słoneczne. Wielki Boże! Nie zauważyła nawet, kto był na cmentarzu. Iza wsadziła ją do samochodu, zanim zdążyła się zorientować, kto przyniósł wieńce i bukiety, i nie wiedziała, komu podziękować. Zwyczaj wymagał, aby po pogrzebie przez tydzień pozostać w domu. W ciągu następnego tygodnia powinna oddawać wizyty i pisać listy z podziękowaniami za przesłane kondolencje i kwiaty. Nie pamiętała nawet ludzi, którzy przyszli do domu z wyrazami współczucia, ani kto ścisnął jej rękę na cmentarzu. Na Izę nie może liczyć, ponieważ nie zna wszystkich w mieście. Jeżeli ona nie zwróciła na nich uwagi, to jak można tego oczekiwać od Izy, która poza wszystkim musiała się opiekować matką. Oprócz twarzy kilku dobrych przyjaciół utkwiała jej w pamięci tylko jedna twarz – Lidii; w kącikach jej oczu dziecinnie połyskiwały łzy. Jacyś obcy lekarze, może dawni koledzy Izy. Kto jeszcze mógł być na pogrzebie? Do kogo powinna napisać?

Iza nie zapakowała jej listowego papieru, ale może ma przy sobie wizytówki. Ciocia Emma nauczyła ją, żeby zawsze nosiła przy sobie wizytówki. Znalazła je. Wyciągnęła ołówek i zanotowała nazwiska osób, które odwiedziły ją w domu. Ulżyło jej trochę. No, przynajmniej tę sprawę mogła załatwić, skoro tak nagle i nieoczekiwanie, bez pożegnania, musiała opuścić miasto. Co za szczęście, że opamiętała się na czas – jakież nieporozumienia wynikłyby, gdyby tego zaniedbała.

Przestraszyło ją pukanie. Nie odpowiedziała. Czekala, aż zapukano drugi raz, podeszła do drzwi, uchyliła je i wyjrzała przez szparę. Był to kelner, przyniósł spis potraw, bo naczelnny lekarz zdecydował, że pani Szöcs ma otrzymywać obiady do pokoju.

Staruszka ucieszyła się jak dziecko. Była zachwycona. Wybrała skromny obiad, ponieważ był najtańszy, a kiedy potem wyniesiono naczynia z pokoju, wyciągnęła się na krótkiej kanapce z przedziwnym obiciem i natychmiast usnęła.

Po raz pierwszy od śmierci Wincentego nic się jej nie śniło. Obudziła się z uczuciem lęku. Była przygnębiona. W tych dniach jakoś zawsze czuła koło siebie obecność męża. Ukazywał jej się w snach, a teraz czuła, że właśnie dzisiaj opuścił ją na zawsze. Już go nie ma, odszedł gdzieś na wieki. W domu tak ją przerażał powracający wciąż obraz Wincentego, że w nocy budziła się i wybuchała płaczem, tu natomiast było jej przykro, że te sny się skończyły.

Najpierw pomyślała, że pójdzie się przejść, ale potem zmieniła plan. Wyprawa do wsi Dorozs byłaby zbyt męcząca. Będzie dużo rozsądniej, jeżeli zasiądzie do pisania listów. Zeszła na dół do portierni i zapytała, czy mogłaby dostać trochę papieru listowego. Otrzymała cały tuzin pięknych cienkich arkuszy i podłużnych kopert z wypukłym niebieskim nadrukiem w rogu: „Sanatorium w Dorozs.” Obok widniał rysunek przedstawiający wysoko tryskające źródło. Nie trzeba było nic płacić. Portier uśmiechnął się do niej.

Do wszystkich napisała to samo. Pisała powoli, z namysłem, od czasu do czasu przecierała oczy, gdyż męczyła ją ta czynność. Adresowanie wprowadziło ją w niemały kłopot, gdyż nie wiedziała, jak pozmieniano nazwy ulic. Zmieniano je tak często, że przychodziły jej na myśl albo nazwy z okresu wojny, albo jeszcze starsze, z czasów jej dzieciństwa. Na przykład do sprzedawcy gazet zaadresowała: „Apteka Pod Jeleniem”, ale to nie było dobrze, bo apteka otrzymała ostatnio zamiast nazwy jakiś numer, a na miejscu smutnej głowy niezdarnego jelenia widniał teraz nad wejściem czarny lśniący szyld. Odkąd wprowadzono tę zmianę, wchodziła do apteki z pewnym ociąganiem. Dlaczego taki szyld nie jest czerwony? Czerwony jak samo zdrowie. Dlaczego właśnie czarny? Nie mogła sobie również przypomnieć dzisiejszej nazwy ulicy, na której mieszka nauczycielka. Napisała: „ul. Franciszka Józefa”, i zawstydzila się, ponieważ Wincenty tak bardzo nie lubił Franciszka Józefa. W nawiasie dodała: „dawniej”. Ulice Sívágó, Salétrom, Oldalkosár, Gubás. Wszystkie te nazwy zostały zmienione. Nawet Balzsamárok. Na poczcie na pewno znają obecne nazwy.

Pomyślała, że na kolację spróbuje poprosić o kawę, jajko i sucharki. Długo szukała, ale niczego z tych rzeczy nie znalazła w jadłospisie. Nieśmiało wspomniała o tym kelnerowi, a on po krótkim wahaniu przyniósł jej wszystko, o co prosiła. Myślała, że nie będzie mogła spać, bo po południu długo leżała, ale kiedy znalazła się w łóżku, natychmiast zasnęła. Kanapkę uważała za niewygodną, za krótką i dziwiła się, jak można na niej odpoczywać.

Rano obudziła się z przeświadczeniem, że właściwie nie lubi Dorozs. Ale uczucie to nie było wcale takie proste. Z czasem polubiła samą wieś, a także i uzdrowisko, spacerowała po nim codziennie, z podziwem przyglądała się wystawom, obserwowała niewielki wiejski ruch uliczny i przysłuchiwała się rozmowom obcokrajowców, którzy nabywali miejscowe pamiątki, robili

zakupy w sklepach i ze wszystkich stron fotografowali hotel. Kąpiel także jej się podobała, ten wielki zbiornik z wodą, parujące małe komórki i kąpiel w źródle. W wyżłobionej grocie, za oszkloną ścianą wokół kipiącego źródła, pod chłodzącymi natryskami siedzieli ci, którzy musieli się leczyć.

Bardzo jej się podobała ta część uzdrowiska, w którym były urządzenia lecznicze, ale nie sam hotel. Nie czuła się tam jak w domu, nawet nie jak gość. Wszystko było dla niej obce i niezrozumiałe, tak jak elektryczna maszynka do robienia grzanek, którą dostała od Izy. Z trudem mogła się doczekać wyjazdu do Budapesztu, żeby tam znów stworzyć sobie dom. Dom, w którym będzie Kapitan, rośliny pokojowe, jej stare meble...

Na kilka godzin zapomniała o swoim smutku oddając się rozmyśleniom nad urządzeniem wspólnego gospodarstwa. I wtedy czuła się dobrze, była pogodna, niemal szczęśliwa. Nigdy jeszcze nie widziała mieszkania Izy, nie znała też Budapesztu. Była w stolicy tylko raz, w podróży poślubnej. Jej małżeństwo z Wincentym poprzedziły niesnaski rodzinne, troski i kłótnie, a ich przyszłość wydawała się tak niepewna, że z początku musieli bardzo oszczędzać. Ale gdzieś trzeba było wyjechać, przecież wszyscy jej znajomi wyjeżdżali w podróż poślubną. Do Wenecji, w Tatry... Dla niej i Wincentego nawet Siedmiogród był zbyt odległy. Stać ich było tylko na wyjazd do Budapesztu. Właściwie nie odgrywało roli, dokąd pojedą, ważne było tylko to, żeby się nie dostać na języki sąsiadów w miasteczku. Po prostu w czasach jej młodości nie wypadało nie pojechać w podróż poślubną.

Budapeszt był dla niej wielkim, niezapomnianym przeżyciem. Do dziś zachowała w sercu to uczucie cudownej lekkomyślności, odrobiny frywolności i czegoś nieuchwytnego, co unosiło się nad miastem; zachowała w pamięci obraz kobiet tak różnych od tych, które znała, i obcych mężczyzn. Mieszkała w prawdziwym hotelu z prawdziwymi łózkami i z lustrzanymi szafami. Biedna Iza! Z jakim zachwytem opowiadała o swoim sanatorium. Kiedy patrzy na ten budynek, odczuwa pewnie to, co czuje matka na widok swego brzydkiego dziecka, które dla niej jest najpiękniejsze.

Antal odszedł od Izy w pięćdziesiątym drugim roku. Ona opuściła klinikę i dom rodzinny w rok później. Dopiero od sześciu miesięcy ma odpowiednie mieszkanie w stolicy. Dwa pokoje, hall, służbowy pokój – tak Iza opisała swoje mieszkanie. Jeszcze dużo brakuje do całkowitego urządzenia. Nie dziwiło to ani jej, ani Wincentego. Przecież z takim trudem dochodzi się do nowego mieszkania! Pewnie jest u niej mniej więcej tyle miejsca co w dawnym domu, tylko że niestety brak ogrodu, ale można będzie coś zrobić z balkonu. Jakie to będzie szczęście urządzać mieszkanie Izy! Jaka radość, kiedy po raz pierwszy córka wróci do domu i zastanie wszystko gotowe, na swoim miejscu, tak jak do tego przywykła od dzieciństwa. Będzie jadła dobre potrawy przyrządzane przez matkę.

Narysowała plan mieszkania Izy, tylko tak, z pamięci, i zaczęła rozplanowywać i zaznaczać, gdzie jakie meble postawi. Pokój będzie trochę przeładowany, ale za to wszystko się dobrze zmieści, z wyjątkiem szafy kuchennej. Oj, jaka głupiotka ta córeczka: kazała swoje szafy wbudować w

ściany, tak że trzeba będzie sprzedać stare urządzenie kuchni, przynajmniej pewną jego część, a przecież były to rzeczy z doskonałego drzewa, nawet farba jeszcze z nich nie zesła.

Rysowała pilnie, dokładnie, małymi półkami zaznaczała krzesła, kwadratami stoły, a prostokątami łóżka. Pieczołowicie schowała rysunek do torebki, aby był pod ręką i żeby zaraz po przyjeździe na miejsce mogła się zabrać do pracy. Do tego czasu meble będą już na miejscu. Iza wysła je ciężarówką. Będzie dość roboty po przyjeździe do Budapesztu. Ale to pożyteczna praca i z góry się na nią cieszyła.

Przez cały tydzień Iza po nią nie przyjeżdżała. Kiedy trzeciego dnia na nocnym stoliku odezwał się telefon, spała już i przerażona wymacała ręką lampkę. Nie umiała się obchodzić z nocną lampką, zapalała zawsze górne światło. Niezgrabnie chwyciła za słuchawkę, z takim samym uczuciem paniki, z jakim odbierała w domu telefon z Budapesztu. Tak naprawdę, to Staruszka bała się telefonu, jakby musiała dotknąć jakiejś pozornie tylko obłąskawionej dzikiej bestii.

Iza, jak się okazało, telefonowała z Budapesztu. W jaki sposób się tam znalazła? Dlaczego ją tu zostawiła?

– Wszystko ułożyło się inaczej, niż sobie wyobrażałam – powiedziała Iza. – Musiałam sobie inaczej rozłożyć czas. A poza tym doszłam do przekonania, że będzie lepiej, jeśli najpierw przyjadę tutaj i wszystko załatwię. Czy słyszysz mnie, kochanie?

Słyszała.

– Przyjedziesz i wszystko już będzie gotowe. Cieszysz się?

Nie. Nie cieszyła się. Ale nie powiedziała tego. Przyjęła do wiadomości, że jak zawsze, i tym razem wszystko za nią zostało załatwione. Pomyślała o papierze ze swoim planem na dzień torebki i oczy jej napełniły się łzami. Tak by chciała urządzać to ich mieszkanie.

Zawsze Iza zamezczała się wszystkim sama! Teraz znowu opanowało ją takie uczucie jak wtedy, kiedy oboje z Wincentym mieli nadzieję, że może Iza jeden jedyny raz zapomni o prezentach dla nich i że pod zapaloną choinką będą jedynie ich – rodziców – drobne, nic nie znaczące upominki. Iza przyjeżdżała zawsze obładowana górą prezentów, przy których tak ubogo wyglądało wszystko to, co oni dla niej kupowali, że za każdym razem, kiedy zapalali świece na choince, ogarniała ich wstydliva bezradność. Poza tym odnosili czasem wrażenie, że Iza, aby być z nimi, musiała się oderwać od tyłu obowiązków, że nawet Wigilia jej nie cieszy.

– Przyjadę we czwartek – obiecała Iza. – Przyjadę pociągiem, jeżeli chcesz, czekaj na mnie na dworcu. Wrócimy tego samego dnia, jak tylko zjemy obiad. Porwę cię jak piesek swoje szczenię i ucieknę z tobą do Budapesztu. Już bardzo czekam na ciebie, mamó!

Słowa córki uspokoiły ją i ucieszyły, mimo że do czwartku były jeszcze cztery dni, a ona dotychczas i tak nie bardzo wiedziała, co począć z czasem. „Czekaj” – powiedziała jej córka. Powtarzała sobie to słowo nazajutrz, kiedy przechadzała się drogą między sanatorium i wsią. Przyglądała się ziemi,

która przygotowywała się już na przyjęcie wiosny. Czowała w powietrzu zapowiedź ocieplenia, obietnicę roztopów. W powietrzu unosił się gorzkawy zapach kory drzewnej.

Skreśliła do lasku, ale nie zapuszczała się głębiej, chodziła tylko po ścieżce biegnącej równolegle do drogi. Tam czowała się bezpieczniej. Od czasu do czasu schylała się i podnosiła jakąś gałązkę. Kiedy pierwszy raz rozpała ogień w piecu, niech zapłoną zebrane przez nią gałązki. Wysuszy je w hotelu, tam zawsze jest tak strasznie ciepło. Gorące powietrze w pokojach napływa przez jakieś otwory w metalowych płytach pod oknem. Jeżeli tam położy gałązki, wyschną na pieprz. A kiedy zapali je u Izy, przypomni się jej miasto rodzinne, stary dom i będzie właściwie tak, jakby nic się nie zmieniło; dawne życie potoczy się dalej swoim torem.

Chciała, aby zebrane przez nią gałązki były jednakowe, zdrowe, a nie spróchniałe, takie, które do zimy się rozpadną. Nie było to wcale łatwe zadanie. Przez cztery dni chodziła po lesie tym swoim wolnym zalęknionym krokiem, przez pełne cztery przedpołudnia, zanim zebrała naręcz gałązek. Popołudniami spała, czasem marzyła, czasem popłakiwała trochę. Myślała o Wincentym i o ludziach, od których odeszła. Czy nie jest czymś chełpliwym i wyzywającym, że jej listy opatrzone są w nadruki z obrazkiem sanatorium? Może i nie. Przecież ludzie ją znają.

W czwartek człowiek w liberii zawiózł ją samochodem na dworzec i po drodze opowiadał jej, że zawsze wyjeżdża po naczelnego lekarza, kiedy ten przybywa do sanatorium. Pociąg przyszedł punktualnie. Iza nie była w żałobie. Twarz miała bardzo spokojną, prawie pogodną. Nie narzekała, że jest zmęczona, raczej z radością zdawała matce sprawę z wszystkiego, co załatwiła.

Antal rzeczywiście kupił dom i przeprowadził się. Pieniądze za sprzedany dom i meble Iza włożyła na książeczkę oszczędnościową. Całkiem ładna sumka się uzbierała. Matka dobrze wyglądała i Iza cieszyła się z tego. Oczywiście, ten tydzień nie był łatwy. Ale jak mogło być inaczej?

Po obiedzie, kiedy Staruszka pakowała przybory toaletowe do walizki wypełnionej suchymi gałązkami, przyłapała się na tym, że się uśmiecha, a nawet nuci pod nosem jakąś starą piosenkę. Dziś wieczór zapali w piecu i znowu będzie w domu. Zacerwieniła się i przestraszyła, jakby dopuściła się zdrady. Jak mogła się czuć tak dobrze bez Wincentego?

Iza poszła do recepcji zapłacić rachunek.

Żegnała się, dziękowała, regulowała należności. Staruszka z podziwem przypatrywała się córce, jaka jest uprzejma, jaka koleżeńska, jak wie, co i kiedy powiedzieć i zrobić. Często myślała o tym, że Iza powinna powtórnie wyjść za mąż. Przecież należy jej się coś od życia poza pracą lekarza. Ale teraz cieszyła się, że nikt obcy nie będzie na nie czekał w domu. Tego popołudnia stara kobieta była radosna i silna. Przypomniała sobie o ukrytych w kufrze gałązkach i pomyślała, że Iza wcale nie wie o tym, że to nie ona, lecz matka wprowadza Izę do nowego domu, bo właśnie ona rozpała ogień w ich prawdziwym, własnym mieszkaniu.

Człowiek w liberii wniósł walizkę do wagonu, ale Iza sama ułożyła ją na półce. Musiała przy tym wspiąć się na palce, lecz i tak przyszło jej to z trudem.

– Chyba soli nakupiłaś w Dorozs? – stwierdziła.

Staruszka nie odpowiedziała, tylko uśmiechnęła się i wyjrzała przez okno.

Jazda pociągiem zachwycała ją i trochę napawała przerażeniem. Od dawna nie siedziała nawet w pociągu osobowym, a ten pociąg w kształcie węża, składający się zaledwie z kilku wagonów, lśniący i rozpędzony, fascynował ją. Zjadły kolację w wozie restauracyjnym, ale zmartwiło ją, że nie mogła dość sprawnie pokroić mięsa w tym błyskawicznie mknącym wagonie. Iza pomogła Staruszce, pokrajała pieczone żeberka i nalala piwa. To też ją martwiło, że jada zbyt szybko i nie może podziwiać okolicy, mimo że jest jasny dzień. Kiedy Iza powiedziała, że zbliżają się do Budapesztu, uśmiechnęła się i poczuła lekkie wzruszenie. Kiedy jechała tędy czterdzieści dziewięć lat temu, Wincenty miał na sobie czarną, szeroką pelerynę z kołnierzem, czapkę podróżną, a ona szarą sukienkę. Ściskali się za ręce, osłonięci gazetą i obładowani torebkami cukierków. Budapeszt, ten dawny, znany im Budapeszt, wydawał się kolorowym balonem ulatującym gdzieś we wspomnieniach. Bliżej był nieba niż ziemi.

Z przedmieść nie zobaczyła nic. Ekspres błyskawicznie przemknął przez tereny wielkiego Budapesztu, a na dworcu zupełnie straciła głowę. Iza była zdenerwowana, bo nie mogła znaleźć bagażowego i musiała sama dźwigać walizkę, raz po raz przekładając ją z ręki do ręki. Nie śmiała zapytać córki, czy razem z meblami zabrała z domu także opał. Nie chciała jej denerwować pytaniami, chociaż właśnie w tej chwili przyszło jej do głowy, jakby im się przydało drzewo. Oby tylko Iza nie zapomniała! Córka, przechylona pod ciężarem walizki, biegła w stronę wolnej taksówki, a Staruszka przestraszona biegła w ślad za nią przepychając się przez tłum. W tym mieście wszystko wydawało się jej obce, chociaż Iza objaśniała ją, któredy przejeżdżają. Staruszka pamiętała doskonale, że oboje z Wincentym byli kiedyś na sztuce „Namiestnik Bank” w Teatrze Narodowym. Bulwar był zupełnie inny, niż go zapamiętała. Było jej wstyd, że wyobrażała go sobie takim, jakim był dawniej. Teraz kursują tutaj tylko autobusy, samochody i tramwaje. Przecież nawet w ich miasteczku rzadko kiedy już można zobaczyć konny zaprząg.

A tu zawrotny ruch! Na frontonach domów roztańczone lśniące reklamy. Budapeszt w rzeczywistości był o wiele większy niż w jej wspomnieniach. Aż przerażająco wielki.

Wpatrywała się w dom, przed którym wysiadły. Iza zapłaciła kierowcy i kiedy odwróciła się, na jej twarzy nie było już ani śladu zdenerwowania. Uśmiechnęła się do matki, pogłaskała ją po ramieniu i skierowała wzrok w stronę ich mieszkania. Był to sześciopiętrowy dom, zbudowany z kamiennych bloków, z oszkloną ścianą frontową. Brama ozdobiona była mozaiką przedstawiającą tęgą młodą matkę, siedzącą na schodach i karmiącą niemowlę. Stara kobieta starała się wyobrazić sobie, że przyjechała do domu, ale nie udawało jej się to. Stała i patrzyła przed siebie.



Iza poszła przodem i zadzwoniła po windę. Na tablicy ze spisem lokatorów czerniły się nazwiska mieszkańców domu. Było ich mnóstwo. Opanowała się, aby jej twarz nie zdradziła rozczarowania. Przecież ta nieszczęśliwa dziewczyna widocznie nie mogła nic na to poradzić, że tylko w takim domu udało jej się otrzymać mieszkanie. Nie wolno jej martwić swoim rozczarowaniem. Kiedy przekroczą próg domu, i tak znajdą się w dawnym mieszkaniu, i jeżeli z niego nie wyjdą, mogą zapomnieć, gdzie są. Co za szczęście, że przywiezły ze sobą stare rzeczy, co za wielkie, błogosławione szczęście!

Teraz znowu udało się jej uśmiechnąć.

Winda zatrzymała się na trzecim piętrze. Drzwi mieszkania także w niczym nie przypominały normalnych drzwi. Wyglądały tak, jakby je ktoś położył w długie wąskie rowki. Iza postawiła walizkę i drzwi otworzyły się.

– W szczęśliwą godzinę! – powiedziała Iza. Głos jej był poważny, kochający.

Oślepiający blask. Na suficie lampa dziwnego kształtu. Na ścianach przedpokoju nie wisiało nic prócz kilku czarnych żelaznych haków na płaszcze.

Gdzie ta dziewczyna podziła wieszaki? Parkiet. Co prawda, Kapitan umie się zachować, ale jednak byłoby straszne, gdyby mu się raz zdarzyło... Gdzie jest Kapitan?

Mieszkanie miało inny rozkład, niż to sobie wyobrażała w Dorozs. Dwa duże łączące się pokoje wychodziły na ulicę. Obydwa były kompletnie umeblowane. Niebieskie, złote, liliowe i czarne krzesła. Ściany też były kolorowe. Każda inna. W oknach nie wisiały koronkowe firanki, ale jakieś zasłony z grubego płótna w liliowo-niebieskie ukośne pasy.

Czy ta Iza wstawiła wszystkie stare meble do jej pokoju? A więc tak ogromny jest jej pokój, że zmieszczą się tam wszystkie rzeczy?

– A gdzie ja będę mieszkać? – zapytała. Wyszło jej w ustach, jakby miała gorączkę.

Iza otworzyła drzwi do hallu i z tym samym uśmiechem, z jakim wprowadziła ją do domu, a który jeszcze weselej lśnił w jej oczach i na wargach, otworzyła przed nią identyczne jak wszystkie inne drzwi i sięgnęła do kontaktu.

– Tutaj, mamo.

Znowu blask, blask. Niewielki kwadratowy pokój. Jej stare łóżko w rogu, obok jakaś nie znana jej lampa, jakiś czarny ptak trzymający w dziobie żółty abażur. Jej najlepsza szafa, wielki fotel, może to był fotel Wincentego, tylko że obity na nowo. Przed nim jej stolik do szycia, przy oknie malutkie biurko i krzesło. Jej stara komoda. Więcej nic. Jakaś nowa etażerka z książkami, na ścianach półki, a na półkach różne nieznane przedmioty. Dywan także nowy. Stary, wytarty znikł. Stała na wykwintnym, błękitnym dywanie perskim. Na biurku leżała jej książeczka, oszczędnościowa.

Coś musiała zrobić, aby zyskać na czasie, aż będzie w stanie się odezwać. Cośkolwiek powiedzieć. Podreptała do biurka, wzięła do ręki książeczkę oszczędnościową i zajrzała do środka. Bez okularów nie mogła dojrzeć sumy,

ale patrzyła w taki sposób, jakby czytała. Ręce jej się trzęsły tak, że cienki papier dygotał w palcach.

Iza uścisnęła ją.

– Kochanie, reszta mebli została w dawnym domu. Te, które tu widzisz, dałam przerobić. Czy nie wyglądają jak nowe? A jak ci się podoba lampa? Wspaniała, prawda? A co sądzisz o dywanie? Śliczny, co?

Nie odpowiedziała.

– Przyszłaś do, domu. Popatrz na mnie! Cieszysz się?

– Gdzie jest Kapitan? – zapytała Staruszka.

– U Antala. Przecież nie chcesz chyba przywozić tu psa?

Już się nie pytała o pokojowe rośliny, o czapki Wincentego i jego laski z wiśniowego drzewa. Rozpięła płaszcz pod szyją, miała wrażenie, że się dusi. Było ciepło, za gorąco. Odwróciła głowę szukając wzrokiem pieca. W pokoju nie było pieca, tylko malutki czerwony kaloryfer. Żeberka miały kształt półkolisty, jak uśmiechnięte czerwone usta.

W hallu zadzwonił telefon. Iza wybiegła. Staruszka opadła na fotel. Dawniej zawsze wystawała z niego jakaś sprężyna, teraz był gładki, miękki i wygodny. Po chwili zerwała się przerażona, uklękła przy walizce i otworzyła ją. Wyszarpnęła najniższą szufladę komody i wrzuciła tam wyschnięte gałązki, aby córka nie mogła zobaczyć w czasie rozpakowywania, co jej matka przywozła z Dorozs.

## Rozdział II

Miała wrażenie, że sprzysięgły się przeciwko niej wszystkie wrogie siły. Dopiero teraz poczuła się naprawdę samotna i opuszczona.

Dopóki Iza była w pokoju, nie płakała. Była tylko bledsza niż zwykle. Mimo to starała się w niezgrabnych słowach pochwalić praktyczne urządzenie mieszkania, dobroć i wspaniałomyślność Izy. Otworzyła drzwi szafy. Znalazła tam swoje suknie i bieliznę, ale nie wszystko. Połatany sweter, zeszyte z dwóch starych podartych kawałków ręczniki i prześcieradła znikły bez śladu. Iza zapakowała tylko całkiem dobrą i nie łataną bieliznę. Naczyni ani porcelany nie znalazła nigdzie. Iza powiedziała, że rondle nie nadawały się do użytku, bo każdy miał jakieś usterki, odbitą emalię, cud, że już od dawna nie dostali zapalenia ślepej kiszki. Zamiast tamtych są tu naczynia Izy, a wszystkie kubki wyszczerbione, nadtluczone i bez ucha zostawiła tam, w domu. Na co mogą się one komu przydać? Przecież ona ma tu całe, nie uszkodzone. Stolnica? Po co? Przecież u niej ciasto wałkuje się na ognioodpornej i wodoodpornej płycie szafki kuchennej. Maszynki do mięsa także nie było sensu taszczyć tutaj, skoro ona ma robota do wszelkich prac kuchennych. Drobiazgi z serwantki, bucik porcelanowy i myszkę bez ogona odziedziczył także Antal. Ale trzy nie uszkodzone figurki przywiozła ze sobą. Prawda, jak ładnie wyglądają na tej małej półce? Pastuszek został tam, miał utraconą głowę. Połamane figurki porcelanowe są okropne. Przygnębiające, nie należy ich trzymać w domu.

Kiedy wreszcie Iza zostawiła ją samą, życząc jej wiele szczęścia w nowym domu, Staruszka podreptała do fotela Wincentego i usiadła w nim. Ileż razy i z jaką troską cerowała podarty fotel, który teraz już tylko swym pięknym kształtem przypominał dawny grat. Nowe szaroniebieskie obicie odmłodziło go, stał się przez to jakiś czupurny. Znikło wszystko, co niegdyś z takim sprytem i dzięki niewyczerpanej pomysłowości zdołała uchronić przed druzgocącą zagładą. Nie ma już świadków walki, którą z taką fantazją prowadziła przeciw niszczycielskiej sile czasu. Pokój był piękny i, jeżeli trzeźwo się zastanowić, nie potrzeba jej było niczego więcej poza rzeczami, które znalazła. Iza sownie wynagrodziła ją za utracone skarby. Świeże, nowe ręczniki leżały na półce. Nowe powleczenia na pościel w nylonowych opakowaniach. To było straszne przeżycie.

Pierwszą noc spędziła na rozmyślaniach, co znikło z jej dawnych rzeczy. Łóżko zostało to samo, z tym tylko, że na poduszce nie było cienkiej jak pajęczyna po czterdziestodziewięcioletnim używaniu, delikatnie pocerowanej poszewki. Wszystko było nowe. Iza zamieniła jej również koldrę. Staruszka nie wstydziła się posłużyć ołówkiem, aby spisać na papierze wszystkie przedmioty, których nie przywieziono do Budapesztu. Kiedy szukała w torebce papieru, znalazła naszkicowany przez siebie plan mieszkania i rozpłakała się.

Oczywiście, że tutaj nie wytrzymałyby rośliny pokojowe Wincentego. Nie ma takiej rośliny, prócz kaktusa, która by utrzymała się w tym zabójczym upale buchającym z kaloryferów. Ale mimo wszystko trzeba je było przywieźć. Miałaby zajęcie, pielęgnowałaby chore listki, przenosiłaby je z miejsca na miejsce i wreszcie znalazłaby im odpowiedni kącik. A Kapitan! Kapitan, ostatnia żywa istota, która wywołała uśmiech na twarzy Wincentego w dniu, kiedy go zabrali do kliniki. Kapitan, który kiedyś nie wiadomo dlaczego ukradł jej chusteczkę i wyniósł na podwórze. Chusteczki też dostała od Izy. Dwa tuziny. Stare znikły. Prawie każda z nich była pocerowana.

Siedziała w dużym fotelu i starała się płakać cicho, tak aby Iza nie usłyszała jej poprzez cienkie, jak jej się zdawało, ściany. Weszłaby i odkryła, jaka jej matka jest niewdzięczna. I rzeczywiście miałaby rację. Przecież córka powiedziała, że sprzeda dom i wszystkie niepotrzebne rzeczy, a to jest już jej wina, że nie pomyślała, co należało zachować, a czego się pozbyć.

Iza zawsze się z nich wyśmiewała, że każdy kąt ich domu to skład mebli i że skoro nikt w domu nie pali fajki, to po co trzymać woreczki do tytoniu. Oczywiście, znowu ma rację, tylko że starzy ludzie zrastają się z przedmiotami, które dla nich znaczą o wiele więcej niż dla młodych.

Starała się pomyśleć o tym, ile pieniędzy nagle się jej uzbierało, ale zamiast radości odczuła taki wstyd, jaki musiał odczuwać Judasz przyjmując słynne srebrniki. Jakby sprzedała najbliższych, najlepszych przyjaciół! Cóż ona pocnie z taką ilością pieniędzy?

Płakała więc i spisywała rzeczy, które poszły na śmietnik lub zmieniły właściciela. Niektóre z nich dopiero później sobie przypominała, inne znów znajdowała wśród przywiezionych drobiazgów i musiała je skreślać z listy. Prawie że głośno krzyknęła z radości, kiedy przekonała się, że znalazła się jedwabna saszetka na chusteczki. Był także budzik. Wydzwaniał teraz godziny w Budapeszcie. Odnalazła również obraz z dziewczynką z koszykiem. Iza powiesiła go nad jej łóżkiem. Miała wszystko, co mogło zapewnić jej wygodę, a mimo to odnosiła wrażenie, że ją obrabowano.

Płakała, notowała, bolały ją osłepłe od łez oczy, a tymczasem myślała, że Iza jest dla niej nieprawdopodobnie, bezgranicznie dobra. Pomyślała z jakimś naiwnym nabożeństwem, że kiedyś w starożytności istniały ludy, które razem ze zwłokami swoich zmarłych grzebały przedmioty ich osobistego użytku. Może więc rzeczy, które były świadkami ich wspólnego życia, odprowadziły Wincentego i towarzyszyły mu w jego ostatniej drodze. Przestała płakać, bo Wincentemu nie żałowała niczego.

Jakiś inny wydał jej się wschód słońca w Budapeszcie niż tam, w domu, i pomyślała, że nie ma wielkiej różnicy między świtem i nocą. Niebo rozjaśniło się nagle, a na ulicy zaczął się ruch, który uciszył się trochę na kilka zaledwie godzin. Sporo czasu upłynęło, zanim zrozumiała, dlaczego świt tutaj jest tak nierealny.

Kogut Gicy zaczynał piąć zawsze o wpół do trzeciej, kiedy jeszcze było ciemno. Wincenty mówił, że jego zegarek się śpieszy. Znowu rozplakała się na wspomnienie koguta i na myśl, że już nie ma Wincentego.

Zasnęła dopiero, kiedy usłyszała, że córka wstaje. Iza myślała się co dzień o szóstej i słychać było wtedy w łazience szum wody. Błogie poczucie bezpieczeństwa spływało na Staruszkę z cichego odgłosu jej kroków. Kiedy córka chodziła, poruszała się w domu, czuła, jak powoli się odpręża, i wreszcie zasnęła na kilka godzin.

To był ostatni dzień urlopu Izy. Spędziły go razem od rana do wieczora. Nawet były na spacerze. Staruszcze przyszła ochota na precla. Iza spełniła jej życzenie. Staruszka schrupała go przed Teatrem Narodowym, a potem zjadły obiad „U Korwina”. Z podziwem i lekkim przerażeniem obserwowała dziwy wielkiego miasta, do którego się dostała, i zastanawiała się, dlaczego tak bardzo różni się od tego, które zapamiętała z przeszłości. Łamała sobie głowę, czym wypełni dni i w jaki sposób będzie mogła najlepiej pomóc Izie, która jest dla niej tak dobra, jakby nie była jej córką, ale matką.

Staruszka zaczęła sobie uświadamiać, że to, co sobie postanowiła w domu, nie będzie bynajmniej takie proste. Trudno będzie wyszukać coś, w czym mogłaby córce ulżyć. Bo Iza miała zupełnie takie same zamiary wobec matki i pełnymi rękami spłacała dług zaciągnięty w latach dzieciństwa.

Wiedziała od Izy, że gospodarstwem zajmuje się Teresa. Dzisiaj prosiła o zwolnienie. Usuwają jej ząb. Córka zapewniła ją, że Teresa jest doskonałością i na pewno nie będzie miała z nią kłopotów. Ale Staruszka ani przez chwilę nie brała słów Izy na serio. Dla spokoju Wincentego ona sama zawsze miała pomoc domową, ale pamiętała, że praca tylko wtedy idzie dobrze, kiedy służącej drepcze się po piętach, a ciocia Emma także uczyła ją, że należy pilnować kucharek, aby nie ulegały pokusom. Postanowiła więc zdjąć Izę z barków ciężar dopilnowania Teresy. Sprzątanie pozostawi jej, jeżeli jest naprawdę czysta, ale to się dopiero później okaże. Z początku one wszystkie dobrze pracują – natomiast gotowaniem sama się zajmie. Przecież jej kuchnia znana była z doskonałości. Teresa niech tylko zapali gaz i może sobie iść na zakupy.

W sobotę rano Staruszka poszła na Kórut, wyszukała sklep papierniczy i kupiła zeszyt do zapisywania wydatków związanych z prowadzeniem domu. Iza naturalnie nie ma na to wszystko czasu. Powiedziała, że Teresa podaje jej tylko końcową sumę, ale nie omawia z nią szczegółów wszystkich wydatków. Teresa jest bardzo uczciwa, a gdyby nawet tak nie było, któż by miał tyle czasu, aby tracić cenne chwile z powodu pęczka pietruszki.

A więc od tej chwili sytuacja ulegnie zmianie. Teresa nie kupi sobie domu za ciężko zapracowane pieniądze Izy. Lecz nie chodzi tylko o oszczędności i porządek; Iza jest taka chuda, że trzeba ją podtuczyć. Pamięta, jak lubiła w dzieciństwie kapustę. Biedaczka, odkąd wyjechała z domu, nie jadła nic naprawdę dobrego. Cóż to może być za jedzenie w stołówce przychodni i coż może jej ugotować ta cała Teresa? Jeżeli się zastanowić nad tym, to biedna Iza od lat nie jadła prawdziwych, dobrych potraw. Kiedy przyjeżdżała do nich, nigdy nie jadła w domu. Stołowała się w hotelu i nawet słyszeć nie chciała o żadnych specjalnie dla niej przyrządzanych obiadach ani też o tym, aby matka się dla niej męczyła.

Teresa przyszła około dziesiątej. To już był zły początek. Staruszka oczekiwała jej o wpół do dziewiątej. Kobieta przedstawiła się jej, uścisnęła rękę, oznajmiła na wstępie, że zacznie sprzątanie od jej pokoju, aby jak najprędzej mogła wypocząć.

– Dopóki nie skończę pokoju, proszę sobie poczytać książkę albo posłuchać radia – powiedziała Teresa.

Teresa rozmawiała z nią jak równy z równym. Miała olbrzymi brązowy kok, płaszcz bordo i kiedy się rozebrała, wyjęła ze ściennej szafy robocze ubranie, coś w rodzaju kombinezonu, co – jak się później okazało – było jej własnością.

Opróżniła siatkę z zakupów. Była na rynku, już załatwiła wszystko.

Stara kobieta oświadczyła jej, że odtąd ona będzie gotowała.

Teresa spojrzała na nią. Miała ciemnobrązowe oczy, tak ciemne, że nie można było odróżnić źrenic. Staruszce zdawało się, że dojrzała szyderstwo w tych oczach. Teresa poprosiła, żeby dziś jeszcze jej zostawiła całą robotę, bo tak uzgodniły to z Izą. Od jutra może gotować, jeżeli ma ochotę, ale niech z łaski swojej jeszcze dziś zdecyduje, co należy kupić, żeby jutro nie trzeba było specjalnie wychodzić po sprawunki.

Wzięła szczotkę do zamiatania i włączyła radio. Stara kobieta natychmiast wstała, wyłączyła aparat i powiedziała, że w domu jest żałoba i nie można słuchać muzyki. Teresa spojrzała na nią ze zdumieniem, wzruszyła ramionami, powiedziała, że niech będzie tak, jak sobie życzy, i wyszła. Nie była miłą służącą. W ogóle nie była taką jak inne służące.

Oczywiście nie postąpiła tak, jak radziła Teresa, lecz deptała jej po piętach, patrzyła na ręce, zwracała uwagę, kiedy uważała, że tamta robi coś po łebkach. Teresa odpowiadała coraz chłodniej, aż wreszcie umilkła. Kiedy służąca wreszcie odeszła, Staruszka była zmęczona, lecz tryumfująca. Czuli, że było bardzo potrzebne, aby przyjechała do Budapesztu i wzięła zarządzanie domem w swoje ręce. Teraz nie interesowały jej już zostawione w domu meble ani porzucone rzeczy. Z dumą jadła obiad. W duchu krytykowała gotowanie Teresy. Ot, tylko gadać ta kobieta umie, ale smaku potrawom to nadać nie potrafi. Jakieś dietetyczne jedzenie. A przed wyjściem nie zawahała się zamknąć w łazience. Tam też by weszła za nią, ale uniemożliwił to zamek. Zresztą i tak wiedziała, co ona tam robi, słyszała, jak leje się woda. Miała czelność kapać się w wannie Izy!

– Proszę cię, mamó, nie zaczynaj z Teresą! – powiedziała po południu Iza z jakąś niezwykłą surowością, która ją przeraziła. – Bardzo cię proszę, nie mieszaj się do niej! Oczywiście, że się kąpie. Chwała Bogu, jest niezwykle czysta. Wolałabyś, żeby była brudasem? Tu się kąpie, bo tu pracuje, a nie lubi wychodzić na ulicę przesiąkniętą zapachem kuchni.

Logika ta była dla Staruszki zupełnie niezrozumiała, ale trzeba było ją przyjąć. Iza nie wiedziała jeszcze, że odtąd ona, matka, będzie gotować. Zachowała to w tajemnicy, jako niespodziankę. Ciekawa była chwili, kiedy Iza zorientuje się, że jedzenie jest teraz prawdziwie domowe. Na szczęście książka kucharska nie znikła z domu. Tylko półka, na której Iza ułożyła jej

książki, była nowa. Na pierwszy obiad ugotuje kapustę z mięsem, niech się córka ucieszy.

Ale Iza się nie ucieszyła. Kiedy weszła, pociągnęła nosem i oświadczyła, że pachnie jedzeniem i że całe mieszkanie przesiąknie tym zapachem.

– Co Teresie mogło strzelić do głowy, przecież wie, że nie znoszę kapusty.

To ją oburzyło. Przypomniała córce, jak się z niej wyśmiewano, kiedy była dzieckiem, że jadła kapustę w każdej postaci, surową, gotowaną – tak jak ją podawano. Dlatego przezwano ją „Kapuścińską”. Czy o tym też zapomniała?

– Kiedy to było, kochanie! – odpowiedziała Iza. – Od tego czasu tyle się wydarzyło: wojna światowa, wyzwolenie, gdzie mój stary żołądek, gdzie ta nieszczęsna Kapuścińska? Powiedz Teresie, żeby nie wprowadzała nowych zwyczajów, niech gotuje to, co było uzgodnione.

Minął prawie tydzień, zanim Iza dowiedziała się, że matka sama gotuje. Powiedziała jej o tym Teresa, która pewnego dnia zaczekała na nią przed przychodnią i oświadczyła, że o ile matka nie przestanie się kręcić po kuchni, to ona, Teresa, będzie musiała sobie poszukać innej pracy. Starsza pani wiecznie zostawia włączony piecyk elektryczny albo naczynia wstawia na niewłaściwe miejsce, wszystko się przypala, wszystko jest zadymione, cuchnące. Ona, Teresa, nie będzie odpowiadać za rachunek za elektryczność. Nagrzała dzisiaj piekarnik nie wiadomo po co, bo nic w nim nie było. Matka nie ma zaufania do lodówki, twierdzi, że nie ma w niej prawdziwego lodu, więc wszystkie możliwe resztki jedzenia chowa po rondlach, a wieczorem wystawia na balkon. Mieszkanie jest wiecznie zachlapane i ciągle trzeba po niej sprzątać. Kiedy zwróciła jej uwagę, żeby nie zanieczyszczała balkonu, wystawiła rondle na parapet okna w swoim pokoju; jeżeli je wiatr pozrzuca komuś na głowę, będzie awantura. Poza tym matka każdą rzecz gotuje dwa razy, bo wszystkie resztki zużywa następnego dnia. Kto będzie odpowiadał, jeżeli kiedyś się potrują?

Iza, zaalarmowana, uspokajała ją, próbowała tłumaczyć, że nie można liczyć na cudowne przemiany w starej kobiecie z prowincji, która nawet robienia grzanek nie wyobraża sobie inaczej niż przy pomocy widelca. Ale Teresa się nie uspokoiła. Miała starej kobiety powyżej uszu i powiedziała Izie nawet to, o czym z początku nie chciała wspominać, a mianowicie, że matka podejrzliwie patrzy na jej torbę, kiedy po skończonej pracy wybiera się do domu. Niespodziewanie, systemem zaskoczenia wchodzi do kuchni, otwiera puszki z kawą i cukrem i bada, czy ona nie kradnie. Nie, do czegoś takiego ona nie jest przyzwyczajona.

Teresa już od pół roku pracowała u Izy. Była niezwykle szybka, absolutnie godna zaufania i wyjątkowo inteligentna.

Iza wiele miesięcy męczyła się, zanim natrafiła na tak odpowiednią pomoc. Teresa pilnie zapisywała wszystkie telefony do niej i pracowała z zamiłowaniem, a nie z konieczności. Została wdową w stosunkowo młodym wieku. Z emerytury po mężu ostatecznie mogłaby się utrzymać. Ale nie chciała do śmierci zajmować się jedynie własną osobą. Lubiła Izę, która знаła od lat i która wyleczyła ją kiedyś z zapalenia stawów.

Któregoś wieczoru, kiedy Iza wróciła do domu, już w przedpokoju poczuła zapach gotowanego bobu. Ciężki, słodkawy zapach osiadł na wszystkim. Weszła do pokoju matki i poprosiła ją, żeby zechciała wziąć pod uwagę życzenia Teresy.

Stara kobieta siedziała w wielkim fotelu. Jej twarz tonęła w cieniu. Oświetlony miała tylko lewy bok i rękę, na której połyskiwały dwie obrączki, mniejsza i większa, robiona nie na jej rękę.

– Mamo, gotować musi Teresa – powiedziała Iza. – Za to jej płacę. Teresa będzie gotowała obiad dla ciebie, a dla nas obu kolację, zrobi zakupy, przyniesie mleko i zagotuje. Tak się z nią umówiłam. Ona prowadzi całe gospodarstwo. Chyba nie wyobrażasz sobie, że sprowadziłam cię tutaj po to, abyś pracowała.

Staruszka milczała. W tej chwili uważała swoje argumenty za tak błahe i nieważne wobec oskarżenia, że denerwuje Teresę, iż nie odważyła się nawet ust utworzyć. Czy ma się bronić tym, że chciała Izę podtuczyć, czy może tym, że chciała się troszczyć o córkę, spełniać wszystkie jej życzenia? To, że pracowała przez całe życie i że lubi pracować albo że chciałaby w jakiś sposób okazać swoją wdzięczność za to, że córka nie zostawiła jej samej, to nie był dostateczny argument. Więc nic nie powiedziała.

– Jesteś już stareńka, kochanie. Nie musisz pracować. Odpoczywaj!

– Co mam robić przez cały dzień? – zapytała Staruszka.

Iza poradziła jej, żeby chodziła na spacer. Przecież już jest wiosna. Niech się przejdzie po Körút, niech sobie siądzie na jakimś placu i przypatruje się ruchowi ulicznemu albo bawiącym się dzieciom. Najmądrzej by zrobiła, gdyby poszła do jakiegoś parku. Powoli nauczy się orientować. Są miejsca, gdzie jest doskonale powietrze, i nietrudno się do nich stąd dostać. Dobrze jej zrobi, jeżeli trochę posiedzi na słońcu. A popołudnia niech spędza w domu, niech sobie poczyta trochę, weźmie jakąś robótkę, postawi pasjansa. W trzecim domu stąd jest kino, może na to będzie miała ochotę.

Staruszka obserwowała rąbek swojej sukni. Dopóki nie minie rok żałoby, pójście do kina jest nie do pomyślenia. Chciała powiedzieć córce, że niedowidzi, że w Dorozs wyobrażała sobie, że Iza będzie jej czytać na głos stare powieści i gazety, tak jak to robił Wincenty po kolacji. Ale wystarczył jeden tydzień, aby zrozumiała, że nie może jej o to prosić. Iza nie ma wolnego czasu. Wraca wieczorem zmęczona, kąpie się, słucha muzyki, coś niecoś zjada, potem się kładzie albo wychodzi. Na pewno ma kogoś, bo często pyta o nią telefonicznie jakiś męski głos, a poza tym jest mało prawdopodobne, aby wieczorami wychodziła sama.

– A resztki jedzenia – mówiła dalej Iza – wyrzucaj, kochanie. Jeżeli z obiadu pozostanie coś bardzo dobrego, to włóż do lodówki, a odpadki wyrzucaj i nie chowaj ich po parapetach.

Prosiła ją ładnie, cierpliwie, serdecznie.

– Chciałabym oszczędzić ci wydatków – powiedziała Staruszka.

Iza roześmiała się.



– Nie trzeba. Zarabiam wystarczająco, a poza tym nie znoszę odgrzewanego jedzenia.

„Tego też nie jestem w stanie jej wytłumaczyć – pomyślała Staruszka. – Nie mam daru wypowiedziania się tak, aby Iza zrozumiała, jak bardzo ją szanuję, jak staram się być dla niej użyteczną i jak usiłuję pilnować jej domu, żeby nie przetrwonić tego, co ona z takim trudem zdobywa.”

– Tu nie ma psa ani świń, mamusiu, po co więc zbierać resztki?

– Czy przychodzą tu żebracy? – zapytała Staruszka. Oczy jej miały wyraz niewinny, były pełne zrozumienia, szczerze i niebieskie. Wówczas na balu Wincenty zakochał się właśnie w tych ładnych, uczciwych, jasnych oczach.

Iza znowu się roześmiała. Powiedziała, że nie. Jeżeli rozejrzy się po mieście, to przekona się, że tam także nie znajdzie żebraków. Przecież nie wyobraża sobie chyba, żeby w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym roku istniał człowiek, który by chodził od domu do domu po talerz zupy?

Począwszy od następnego dnia resztki jedzenia wylewała, a gotowanie przekazała Teresie. Od tej chwili unikała służącej. Trzeba przyznać młodej kobiecie, że nie nadużywała swojej przewagi ani nie tryumfowała ze zwycięstwa. Przeciwnie, była dla Staruszki bardziej uważająca. Dbała o nią więcej niż o Izę. Od czasu kiedy stara kobieta przestała się mieszać w nie swoje sprawy, Teresa ją polubiła. Karmiła ją słodyczami, zgadywała jej życzenia, rozpieszczała jak dziecko. A Staruszka nienawidziła jej. Nie była w stanie nawet patrzeć na nią. Kiedy Teresa wychodziła, długo wietrzyła mieszkanie. Teresa była złodziejką, ukradła część jej własnych zajęć.

Tam w domu bieliznę rozwieszała na strychu. Nie znała pralki, ale w końcu nauczyła się z nią obchodzić i cieszyła się jak dziecko, że tak wygodnie można prać bieliznę. Wodę grzała na elektrycznej maszynie, gdyż nie miała zaufania do bojlera, który syczał podejrzanie, kiedy zapalała gaz. Bała się, że wybuchnie. Kiedy Teresa wychodziła z domu, sama robiła przepierkę. Znalazła ukryty w ścianie schowek na brudną bieliznę z osobistymi rzeczami Izy. Wyjęła cienkie, delikatne koszulki i przeparała je troskliwie, z miłością. Ciężiej szło jej z rozwieszaniem, bo nie sięgała do sznura. Iza nie powinna była sprzedawać taborecika. Gdyby go tu teraz miała, byłoby na czym stanąć, nie chwiałaby się na tym dziwacznym krześle kuchennym z żelaznymi nogami. Dotychczas Teresa zabierała w walizce brudną bieliznę, bo prać i prasować lubiła u siebie. Po tygodniu przynosiła czysto wypraną bieliznę z powrotem. Dostawała za to osobne wynagrodzenie. Odtąd nie trzeba już będzie dodatkowo wydawać na pranie.

Kiedy Iza wróciła, załamała ręce. Tak się zdenerwowała na widok ociekającej na mozaikową posadzkę bielizny wyżętej słabą starczą ręką, że uśmiech, z jakim Staruszka oczekiwała na pochwałę, zamarł na jej twarzy.

– Przy twoim ciśnieniu, kochanie! – zawołała Iza.

– I w ogóle! Nienawidzę, kiedy mi woda kapie za kołnierz. Tu jest suszarnia, zaraz koło schronu, ale jest dużo prościej, żeby Teresa zabierała bieliznę do domu. Nie pozwalam robić tutaj nawet małego prania, po co mają stać w łazience kałuże wody?

Ucałowała matkę w rękę i twarz, na chwilę zatrzymała palce na przegubie Staruszki, badając puls. Uderzenia były miarowe i silne. Na szczęście nie zaszкодziło jej to pranie. Iza weszła do kuchni zagrzać kolację, a Staruszka zdjęła ze sznura swoją bieliznę, majtki i flanelowe koszule; przynajmniej one niech nie kapie Izie na głowę. Rozłożyła je u siebie na kaloryferze i obracała po kolei, aby się nie przypaliły. Wszystko wyschło niespodziewanie szybko, jakby jakiś gorący oddech suszył bieliznę od spodu. Wygładziła rzeczy i włożyła je do szafy, potem stanęła w oknie i wyjrzała na ulicę. Oślepił ją silny, podobny do błyskawicy niebieski blask; metalowe maski, ludzie w grubych rękawicach pochylali się nad szynami. Sypały się iskry. Wyglądało to jak ogień, a przecież to nie były płomienie. Była bezradna, przerażona, samotna.

Spróbowała jeszcze jednego eksperymentu.

Iza piła mnóstwo kawy. Zarówno kiedy była sama, jak i wtedy gdy przyjmowała gości. Stale włączała do kontaktu elektryczną maszynkę. Staruszka często zastanawiała się, jakie to musi być dla córki krępujące, to ciągle wstawanie i włączanie tej maszynki, kiedy ma gości. Musi bez przerwy uważać, czy kawa kapie i jak kapie, też mi maszynka! Oni w domu, za czasów jej młodości, pijali kawę po turecku. Wincenty bardzo ją sobie chwalił.

Mężczyzna – chyba ten, który codziennie telefonował do Izy – był u córki może trzeci raz, kiedy zaskoczyła ich kawa. Odczekała z piętnaście minut po jego przyjściu, pamiętała z przeszłości i z własnego doświadczenia pani domu, że nie wypada natychmiast zaczynać od poczęstunku. Najpierw pali się papierosy i prowadzi rozmowę. Przed południem przeszła się po głównej ulicy. Powoli zaczynała się już orientować w pobliskich sklepach. Kupiła miedziany kubek w znajdującym się obok sklepie komisowym, znalazła również spirytusową maszynkę do kawy, co ją bardzo ucieszyło. Gdyby Iza nie zostawiła maszynki w domu, teraz nie trzeba by kupować nowej. Ta, którą miała, była doskonała. Grzała na niej żelazko do prasowania, kiedy to było jeszcze w modzie. Na niej również podgrzewała mleko dla malutkiej Izy i rumianek, kiedy kogoś w domu bolały zęby. Ale nowa maszynka też była przyjemna w użyciu. W sklepie z artykułami gospodarstwa domowego kupiła spirytus. Od dawna nie czuła się tak zadowolona jak dziś po powrocie do domu.

Kiedy usłyszała, że gość dzwoni do drzwi, odmierzyła w kubku do gotowania kawy dwie porcje. Nie oszczędzała, wsypała nawet więcej kawy, niż było trzeba, i podczas gotowania nucila sobie, czerwona z emocji. Dotychczas nie poznała jeszcze nikogo ze znajomych Izy.

W jakich dziwnych porach przychodzą tutaj ludzie z wizytami! Po dziewiątej, koło dziesiątej, kiedy ona już się kładzie do łóżka. Słyszy, kiedy przychodzą, ale nie słyszy, jak wychodzą, bo wtedy już śpi. Pomrukiwała z uciechy, że udało jej się przewyciężyć sen i że może wyręczyć Izę w podaniu kawy. Odtąd zawsze będzie nad tym czuwać. Starzy ludzie nie potrzebują dużo snu. Tyle może zrobić dla córki. Nawet kiedy nie będzie gości; jak Izie

przyjdzie ochota na kawę, zawsze jej poda. Zrobiła już sobie miejsce w kredensie kuchennym. Postawiła na tacy duże, bardzo dziwnego kształtu filiżanki (dlaczego nie dogadzała Izie jej porcelana z koniczynką i ze złotym brzegiem – tego do dziś nie rozumie. Czy te dwa liliowe kubki są ładniejsze?). Otworzyła łokciem drzwi do pokoju Izy. Na środku tacy parowały filiżanki gorącej kawy. Cukier podała na małym spodku, bo nie znalazła cukiernicy. Kiedy matka weszła, Iza podniosła się. Mężczyzna również wstał. Staruszka rozpromieniona zatrzymała się na progu.

– To jest Domokos, mamó – powiedziała Iza.

Mężczyzna pocałował ją w rękę – ucieszyła się tym.

Była zadowolona, że do Izy przychodzi ktoś, kto zna się na formach. Córka popatrzyła w bok, w kierunku kontaktu. Jej maszynka nie była jeszcze włączona.

– Przyniosłam trochę kawy!

– Jesteś bardzo miła. Dziękuję.

Staruszka usiadła. Założyła ręce i czekała. Nikt się nie odzywał. Oczywiście. Zrozumiała, że chcą być sami, nie zostanie z nimi, tylko zaczeka, aż spróbują kawy i twarz Izy rozjaśni uśmiech wdzięczności za to, co dla niej zrobiła.

Iza naląła kawę i włożyła cukier do filiżanki. Mężczyzna pił gorzką. Wypili ją powoli, potem Iza nagle pozbierała wszystko i wybiegła z tacą do kuchni.

„Jaki milczący kawaler – myślała Staruszka. – Nie jest piękny, ale nie jest też brzydki. Ciekawe, czym się zajmuje?” Była trochę rozczarowana, że nie bardzo ją chwalono. Iza w ogóle się nie odezwała, tylko mężczyzna spojrział na nią i powiedział, że kawa była bardzo smaczna.

Pożegnała się i wyszła zadowolona z siebie. W kuchni zmęła jeszcze trochę kawy i przygotowała wszystko na następny dzień. Naląła do maszynki spirytusu i położyła się spać. Gość nie został długo, jeszcze nie spała, kiedy usłyszała, że wychodzi. Gdy drzwi w przedpokoju zamknęły się, Iza weszła do niej.

Przychodzi mi podziękować. Zawsze była wdzięczna za wszystko.

Iza nie siedziała długo – kilka minut. Wychodząc zgasiła nawet światło, aby matka szybciej usnęła. Ale Staruszka nie spała, tylko leżąc w ciemności szarpała brzeg poduszki. Kawa miała smak spirytusu. Wszystko pachnie spirytusem i Iza bardzo pięknie ją prosi, żeby na drugi raz już się nie trudziła. Parzenie kawy to dla niej drobiazg. Robi to z przyjemnością. Cały dzień ma do czynienia z reumatykami, z rozkoszą więc zajmie się czasem czymś innym. Bardzo był miły ten odruch ze strony matki, bardzo jej dziękuje, ale prosi, żeby tego więcej nie robiła. I niech z łaski swojej wyleje spirytus, bo nie można wytrzymać z tym zapachem w mieszkaniu.

Było późno. Jak każdego wieczoru, nad Körút lśniły neony, tańczyły świetlne reklamy i z głośnym dudnieniem przejeżdżały tramwaje. Patrzyła przed siebie. Jutro wyleje spirytus, choć palił się takim prawdziwym płomieniem jak w małym piecyku żelaznym. W tym mieszkaniu nie ma żywego płomienia, tylko sam prąd elektryczny. Oczywiście, że spirytus

śmierdzi, prawdopodobnie pogorszył się jej węch na starość, bo nie zauważyła żadnego zapachu.

Od tej pory nie próbowała już nowych eksperymentów.

### Rozdział III

Nigdy w życiu nie miała tyle czasu. Odkąd pamięta, cały dzień wypełniały jej różne czynności. Wieczorem zaś nie potrzebowała środków nasennych.

W pierwszych latach małżeństwa, choć miała służącą, krzątała się cały dzień po kuchni i sama często gotowała lub sprzątała. Ciocia Emma niegdyś ciągle ją rugała. Potem, kiedy dobiła do własnego portu, była wprost nieprzytomnie szczęśliwa i rozkoszowała się tym, że może sprzątać, kiedy sama uważa za stosowne, i że na jej polecenie zostają wykonywane różne ważne czynności. Kiedy Wincenty stracił posadę, a ona została bez służącej, zwała się jej na głowę całą robotą, łącznie z dzieckiem, koło którego trzeba było wszystko zrobić. Na starość tak przywykła do tego, że nie ma pomocy, że nawet po rehabilitacji Wincentego wynajmowała kogoś tylko do najcięższej roboty. Już nie dźwigała drzewa na opał, nie prała bielizny pościelowej, a nawet przy generalnych porządkach brała pomoc i tylko kierowała pracą.

Wincenty pomagał jej, dopóki był zdrow. Nigdy nie dzielił czynności na męskie i kobiece. Antal także pomagał w domu, choć był lekarzem, a nie emerytem jak Wincenty. Twierdził, że odpoczywa przy pracy domowej. Nawet zanosił i rozwieszał na strychu bieliznę. Robił to o wiele lepiej niż Mała, która przychodziła do prania.

Staruszka lubiła uczucie zmęczenia domowymi czynnościami. Po ugotowaniu smacznego obiadu lub pod koniec miesiąca, kiedy udało jej się zaoszczędzić trochę grosza, tryumfowała jak bohaterka, która musiała zwalczać niezliczone drobne złośliwości ze strony krążących po domu chochlików. Psociły bez przerwy, przypalając jedzenie albo gasząc ogień. Kiedy udawało się jej coś zrobić bezbłędnie, czuła, że złośliwe chochliki uciekają przygnębione i zawstydzone, uskarżając się na niepowodzenie.

Kiedy wszystko było już w porządku, Wincenty został zrehabilitowany i sąd przyznał mu emeryturę, a Iza została lekarzem, nie trzeba już było wojować z chochlikami. Mieli więcej pieniędzy, niż potrzebowali, ale stara kobieta, przywykła do oszczędności w latach chudych, nadal łamała sobie głowę nad każdym forintem, tak jak wtedy kiedy ten jeden forint stanowił w ich domu prawdziwy problem. Wincenty zawsze chwalił ją za tę cechę. Czuł, że należy się jej pochwała za skromne zwycięstwo, kiedy pod koniec miesiąca zamykała kratkowany zeszyt, gdzie skrupulatnie notowała wszystkie wydatki, i sięgała pod poduszkę, aby wydobyć stamtąd z rozpromienioną twarzą stary pamiętnik, do którego wsuwała zaoszczędzone banknoty.

Teraz nie było już gospodarstwa domowego, nie było trosk ani swojsko brzmiących głosów przekupek na targu. Minęły czasy, kiedy rozważała w myśli, czy może kupić jabłka pierwszego gatunku, czy też drugiego. Skończyła się również wieczna walka z bielizną i z ubraniami. Zabrakło przeciwnika. Przestała się kłopotać, z czego można by wykroić kawałek płótna i uszyć kołnierzyk do starej koszuli.

Właściwie wszystko się skończyło. Córki nie widywała od rana do wieczora, a kiedy Iza wracała do domu, to jedynie po to, żeby wpaść na chwilę, przywitać się z nią i zapytać, jak się czuje. Wzdychała z ulgą, że nie musi już oglądać obcych twarzy, że może zostać w domu i oczekiwać na gościa albo się gdzieś wybrać. Czasami spieszyła się do teatru lub na koncert, czasem zaś zasiadała do biurka, studiowała fachowe książki, robiła notatki albo pisała artykuły.

Iza zarówno do wszystkich swoich czynności, jak i do odpoczynku potrzebowała dużo spokoju. Staruszka nigdy zbytnio nie lubiła radia. Ale kiedy minęło przepisowych sześć tygodni żałoby, w czasie których nie należało słuchać muzyki, czując się ciągle osamotniona, polubiła i przyzwyczaiła się do radia. Czowała trochę gorzkie, ale błogie uczucie szczęścia, że właśnie wieczorem, kiedy audycje są najciekawsze, nie włącza radia i wyrzeka się tej przyjemności dla spokoju córki. Przynajmniej w ten sposób niech coś dla niej zrobi.

Miała szaloną ochotę zrobić coś dla Izy, ale nigdy nie nadarzała się do tego okazji.

Iza nie skorzystała z gotowania matki, z jej kawy ani z propozycji, że pomoże córce obsługiwać gości, z którymi chciałaby się także zaprzyjaźnić. Córka dziękowała, ale odmawiała, twierdząc, że jej goście przychodzą o takiej porze, kiedy matka powinna być już w łóżku.

Czasami, kiedy Iza była w szpitalu, a Teresa poszła już do domu, Staruszka podchodziła do biurka Izy, otwierała jej teczki i starała się wniknąć w zawilą pracę córki. Chciała odgadnąć, czym też się ona zajmuje i zabierała do siebie niektóre z jej fachowych książek, z naiwną wiarą, iż może coś niecoś zdoła pojąć z tego, co umie Iza. A może kiedyś Iza będzie potrzebowała jednej z tych książek, wtedy matka odszuka ją i ułatwi córce pracę, aby sama nie musiała się fatygować. Lecz niestety, książki Izy były albo w języku francuskim, albo rosyjskim, tak że nie była w stanie odczytać nawet tytułu. Z notatek też nic nie potrafiła zrozumieć i daremnie wysilała oczy, bo wszystkie te skróty i znaki nic jej nie mówiły. Nawet nie wspominała córce o swoich planach.

Nie śmiała już myśleć nawet o takich najdrobniejszych i najprostszych czynnościach jak wyrzucanie zawartości pełnych popielniczek czy porządkowanie pokoju, kiedy Izę nagle wywoływano z domu. Pewnego razu razem z fusami i niedopałkami wyrzuciła do śmieci łyżeczkę do kawy. Na drugi dzień przyniósł ją dozorca, a Teresa położyła nieszczęsną łyżeczkę przed nią na stole z takim komentarzem, że od tego czasu bała się wyrzucać nawet zwiędłe kwiaty. W ogóle bała się Teresy jak ognia.

Okna ich mieszkania wychodziły na Bulwar Józefa.

Najwięcej czasu spędzała przesiadując w oknie; przysuwała sobie fotel Wincentego i przypatrywała się przechodniom, tępych nosom autobusów, światłom na skrzyżowaniu i plakatami filmowym, rozpostartym nad jezdnią między domami. Tak już przywykła do tego widoku, że myśli jej automatycznie odbiegały od tego, co widzi. Myślała o Gicy, krojczyni szat

liturgicznych, która miała teraz tak niewiele roboty. A przecież jakie to piękne rzemiosło! To wcale nie takie łatwe tak skroić płaszcz, aby na ramieniu nie było za wiele zmarszczek. Ulica tam w dole nie przemawiała do niej, daremnie się jej przyglądała. Niekiedy Teresa zwracała jej uwagę, że jest piękna pogoda, i prosiła, żeby wyszła trochę na świeże powietrze. Wstawiała wtedy posłusznie z fotela, ubierała się i dochodziła do rogu ulicy Rádaiego, do skwerku. Tam siadała i zaczynała się przyglądać dzieciom bawiącym się w piasku. Ale to wszystko razem wydawało się jej jakieś zupełnie nierealne, to, że tędy spaceruje, siedzi na skwerze, patrzy – nie widziała sensu tego, co robi. Teresa miała najlepsze chęci. Dbała o jej zdrowie, chociaż był to daremny wysiłek, bo korzyść ze świeżego powietrza które wdychała w czasie spaceru, była niewspółmiernie mniejsza od szkody, jaką sprawiała jej emocja przy przechodzeniu na skrzyżowaniach, na których nie było milicjanta. Denerwowało ją ogromnie stanie na rogu ulicy, wyczekiwanie na zielone światło, a potem dojście do skweru, kiedy przed jej nosem mknęły tramwaje i pędziły autobusy.

Natomiast sam skwer był bardzo przyjemny. Głównie dzięki gołębiom. Przypominały jej Kapitana. Z czasem zaczęła zabierać dla nich okruchy chleba i wydawało się jej, że jeden gołębek z kołnierzykiem i niebieskimi oczkami polubił ją, bo często siadywał na jej ławce. Poza nią na skwerze opalały się również inne staruszki. Nawet mężczyźni tu przychodzili. Byli podobni do Wincentego. Zwiędłe szyje ze zwisającą skórą, otulone mimo ciepłej wiosny w szaliki. Starzy ludzie czytali gazety albo siedzieli z zamkniętymi oczyma obracając twarze ku słońcu i rozmyślali nad swoimi sprawami, tak jak i ona. Powoli przyzwyczała się do skwerku, a nawet polubiła go. Nie było tu jeszcze parku, dopiero jego zaczątki. Ogrodnicy robili klomby, robotnicy budowali uliczkę. To też było rozrywką – obserwować kocioł z wrzącym asfaltem, pod którym palił się miniaturowy stos żółtym, a potem purpurowym płomieniem.

Tam w domu, w jej dawnym mieście, staruszkowie opalali się wokół pomnika Kossutha. Tam wszyscy się znali.

Ona nigdy nie należała do grupy „emerytów”, gdyż na ławkach tych siadywali również ludzie, którzy niegdyś krzywo patrzyli na Wincentego, więc do dziś nie kłaniała się ani Beli Tahy, ani Teodorze Kovács. Nikomu. Natomiast tutaj można by się zaprzyjaźnić z kimś, kto tak samo jak ona wygrzewa się samotnie na słońcu. Ci ludzie nigdy nie znali Wincentego i żaden z nich go nie obraził.

Dzień po dniu obserwowała te twarze. Staruszkowie ze skweru przychodzili mniej więcej o tej samej porze, kiedy południowe słońce grzało najsilniej. O ile im się to udawało, zawsze siadywali na tych samych miejscach. Po jakimś czasie poznała ich wszystkich. Byli wśród nich szczęśliwcy, którzy opiekowali się małymi dziećmi. Byli też przyjaciele, którzy rozgrywali partie kieszonkowych szachów, jedli precle, a nawet śmiali się. Był pewien starszy pan, do którego z pobliskiego warsztatu mechanicznego zawsze przychodził ktoś w czasie przerwy obiadowej porozmawiać lub

zapytać o radę. Czasami pokazywali mu jakieś rysunki albo przyrządy, zasięgając jego opinii. Nie śmiała się zbliżyć do mężczyzn, których było tu więcej, bo uważała, że to nie wypada nawet w jej wieku. Siedziała na skwerze do obiadu, żywiąc co dzień nadzieję, że jednak może się ktoś do niej odezwać. Ostatnio zaczęła spóźniać się na obiad. Teresa dziwiła się.

Przez długi czas nic się nie zdarzało.

Aż wreszcie spełniło się to, na co czekała. Przysiadła się do niej jakaś starsza pomarszczona kobieta. Miała na sobie futrzany kołnierz i ubrana była młodzieżowo jak podłotek. Twarz i paznokcie umalowane, buciki na wysokich obcasach. Odsunęła się od niej i ogarnął ją smutek. Inne kobiety dbają o siebie. A ona nawet do tego nie jest zdolna. Jeszcze nigdy nie miała lakieru na paznokciach. Czowała, że ta obca kobieta waha się, czy odezwać się do niej, czy nie. Drżała z radości. A jednak ktoś chce z nią rozmawiać. „Odezwij się” – powiedziała w duchu. Było to jakby westchnienie w modlitwie. Ogarnęła ją radość, kiedy usłyszała, że kobieta zapytała, czy nie uważa, że po tylu deszczach zawitała do nich nadzwyczaj piękna wiosna.

Po pół godzinie opowiedziała tej obcej kobiecie prawie wszystko o sobie. Słowa płynęły z ust Staruszki jak rzeka, a tamta słuchała jej nie przerywając, kiwała głową, paliła papierosy, okazywała smutek, to znów wesołość, zależnie od tego, o czym opowiadała przygodna znajoma.

Teraz, kiedy Staruszka opowiedziała wszystko o swoim życiu, ulżyło jej. Tamta wsłuchiwała się zachłannie w jej słowa i patrzyła na nią z nie ukrywaną zazdrością. Pani Szöcs dodała, że nie ma nic do roboty, i nagle zrozumiała, że nie dzieje się jej żadna krzywda. Tylko po prostu nie brała pod uwagę faktu – będąc daleko od córki – że Iza nigdy na nic nie ma czasu i nie potrzebuje matczynej pomocy, i że wszystko, co się dzieje w jej domu, wynika z serdecznej troskliwości o matkę. Nieznana kobieta nazywała się Hilda. Hilda Kwiatek. Okazało się nawet, że mieszka niedaleko, o jakie trzy domy dalej.

Hilda Kwiatek mieszkała w jednym pokoju z młodymi kuzynkami, więc nie mogły spotykać się u niej, tylko u Staruszki. Pani Szöcs ucieszyła się i zapewniła ją, że choćby tego samego popołudnia o czwartej będzie ją oczekiwać, o ile to tylko jej dogadza. Owszem, dogadzało jej.

Idąc do domu, Staruszka postanowiła upiec ciasto. Ale potem rozmyśliła się. Nie warto ryzykować. Teresa zauważy. Kupiła trochę keksów. W domu zjadła obiad z doskonałym apetytem, upiększyła pokój i doszła do wniosku, że jest niezwykle wspaniały. Każdy mebel w tym pokoju był piękny, nie zniszczony. Jaka mądra była Iza, że zabrała tylko najlepsze rzeczy i urządziła jej pokój w ten sposób. Aż przyjemnie było się rozejrzeć dokoła.

Hilda Kwiatek była punktualna. Pochwaliła kawę. Nie chciała mówić o swojej rodzinie, chociaż Staruszka pragnęła się dowiedzieć, kim jest. Wreszcie dała spokój pytaniom i pozwoliła jej mówić, o czym sama chciała. Hilda знаła zabawne historyjki z dawnego Budapesztu. Przypomniało to Staruszce podróż poślubną w 1911 roku. Wymieniała nazwy kabaretów i teatrzyków z owych czasów. W jednym z nich była również i ona z



Wincentym, ale po przerwie wyszli zawstydzeni i zmieszani. Hilda Kwiatek znała różne piosenki, miała przyjemny głos, mimo że się trochę zanadto trząsał. Powiedziała tylko tyle, że wcześniej została sierotą. W życiu radziła sobie bez niczyjej pomocy. Jej młode kuzynki, zajęte tylko sobą, zupełnie się nią nie zajmują, oczekują od niej, żeby spełniała wszystkie czynności służącej, i to bez żadnego wynagrodzenia. Dotychczas nigdy jeszcze nie wygrała na loterii, chociaż tak bardzo by tego pragnęła!

Niewiele brakowało, a byłaby jej zaproponowała pożyczkę, ale w porę się powstrzymała. Hilda Kwiatek wymieniała wśród swoich byłych znajomych tak wielkie nazwiska, że Staruszka pomyślała, że nawet mowy być nie może, aby jej mogła ofiarować pomoc. Obraziłaby się. Jeżeli te młode krewne tak dalece się o nią nie troszczą, to ona sama w ten czy inny sposób przyjdzie z pomocą Hildzie Kwiatek. Jakie to miłe stworzenie! Jak doskonale się z nią bawi! Pokazała jej fotografię Wincentego i Izy z lat dziecięcych. Hilda była wszystkim zachwycona. Z entuzjazmem obmacywała kaloryfer i powiedziała, że byłaby szczęśliwa, gdyby bodaj raz w życiu mogła mieć takie mieszkanie, w którym nie trzeba palić w piecu. Jakie tu panuje boskie ciepło! Staruszka z niewinną dumą rozglądała się wokoło i miała wrażenie, że jej mieszkanie jest naprawdę cudowne. A że dotąd tego nie dostrzegła, to chyba tylko z powodu zmartwień. Nie mogła się jeszcze połapać w swoim nowym życiu. Teresa! – wzdychała Hilda Kwiatek – gdybyż ona miała taką Teresę! Ale tam gdzie mieszka, to właśnie ona jest „Teresą”. Straszne!

Iza była zdumiona, kiedy wróciwszy do domu usłyszała śmiechy. Głos matki brzmiał żywo, donośnie, a ktoś coś nucił. Jakiś okropny, starczy głos. Zdjęła płaszcz i weszła do pokoju matki.

– Moja córeczka – promieniała Staruszka. – To moja córeczka, lekarka. Teraz wróciła do domu z pracy, zmęczona, biedactwo. Siadaj, Izuniu!

Iza stała na progu i patrzyła na Hildę Kwiatek. Gość mamrotał coś i wstał z miejsca. Staruszka poczuła się dosyć nieswojo. Dlaczego starsza kobieta podnosi się, kiedy do pokoju wchodzi młoda osoba? Nie. Tu musi być jakaś inna przyczyna. Iza nie usiadła. Była okropnie nieuprzejma. Powiedziała: „Dzień dobry”, obróciła się na pięcie i wyszła. Rozmowa się urwała. Hilda Kwiatek wyjąkała z uznaniem, że jej córka jest energiczną kobietą. Staruszka nie wiedziała, gdzie się podziać ze wstydu, gdyż Iza wcale nie była energiczna, tylko po prostu impertynencka. Kobieta przy pożegnaniu była o wiele mniej wesola, niż kiedy przyszła, i nie zaprosiła Staruszki do siebie, chociaż ta aż drżała z niecierpliwości – przecież czekała na to całe popołudnie. Jej wcale nie przeszkadzały młode krewne. Zawsze lubiła młodzież. Aby dojść do domu Hildy Kwiatek, nie trzeba nawet przechodzić na drugą stronę ulicy. Jakaż by to była wygodna znajomość!

Wyplukała filiżanki. Niestety, Iza zauważyła, że ona nie wylała jednak spirytusu i zrobiła kawę na maszynce. Ale ostatecznie to był jej pokój i może w nim śmierdzieć spirytus. Staruszka nie umie obchodzić się z elektryczną maszynką Izy. Córka nie pokazała się w jej pokoju aż do kolacji. Przyszła późno.

– Gdzieś znalazła tego wycirusa? – zapytała Iza.

Z początku nie zrozumiała. Myślała, że córka mówi o jakiejś szmacie. Iza nazywała tak swetry polatane różnokolorową włóczką. Staruszka dwa razy spytała, o co jej idzie, ale za drugim razem Iza użyła epitetu, który wreszcie zrozumiała i tak się przeraziła, że oczy jej nabiegły łzami.

– Wracam do domu i zastaję cię przy kawie ze starą prostytutką. Mamo, czy ty straciłaś rozum? Co to był za pomysł?! To jest Budapeszt, dwumilionowe miasto, czy myślisz, że jesteś w domu? Na prowincji?! Gdzie ją znalazłaś? Na placu Rádaiego? Skąd ty wiesz, kto koło ciebie siada? Ona zaczęła rozmowę? Kiedyś wprowadzisz do domu mordercę, który ci poderżnie gardło, jakiegoś chuligana, który ci się przedstawi jako kleryk. Nie nawiązuj znajomości na ulicy, mamo, i niech ci nie wpadnie do głowy sprowadzać kogoś do domu. Dziś po południu wyjątkowo nie miałam niczego w planie, byłam zmęczona i chciałam po prostu wypocząć, ale może się zdarzyć, że przyjdę z gośćmi albo z pilną robotą. A tu siedzi sobie taka damula i wykrzykuje, że jakiś Bob to chłop na schwał. Niesłychane!

Okruchy, które zebrała dla gołębia z kołnierzykiem z placu Rádaiego, wysypała na balkon i ze strachem patrzyła w dół na ulicę, czy nie przyjdzie milicjant, który ukarze ją za nieporządek. Nie śmiała wynieść do kuchni woreczka z okruskami. Może ją skarżą i zapytają, co to znowu ma znaczyć, co to za mania żebracza – zbieranie okruszków ze stołu i przechowywanie ich w woreczku. Nie poszła więcej na plac, tylko dreptała po sąsiednich ulicach i oglądała wystawy. Próbowwała zgadnąć, na co miałyby ochotę, ale nic jej nie przychodziło do głowy. Hildę Kwiatek widziała jeszcze raz. Wyszła z domu, o którym mówiła, że w nim mieszka. Szła z siatką w kierunku sklepu. Znowu była potwornie wymalowana, a pod smutnymi oczami miała ciemne koła. Schowała się przed Staruszką do bramy, aby się nie musiała kłaniać. Wstydziała się jej.

Po doświadczeniu z Hildą Staruszka bała się wszelkich nowych znajomości.

Kiedy Teresy nie było w mieszkaniu, nie otwierała drzwi nikomu. Nawet listonosza nie wpuszczała. Listy polecane do Izy przynosił na górę dozorca domu wieczorem i zawsze robił przy tym jakieś uwagi. Jeżeli matka nie rusza się z domu przez cały dzień, to dlaczego inni muszą się fatygować i przynosić pocztę na górę? Dostało się jej za to, i od tego czasu uchylała drzwi i przez małą szparkę wołała, że córki nie ma w domu, i zależnie od tego, czego chciał interesant, informowała go, że nie może nikogo wpuszczać, że nie kupi ani szcztoki, ani proszku do prania, ani szmacianych dywaników, gdyż jest wdową i ma bardzo małą emeryturę, której także nie trzyma w domu.

Czuła się nieswojo nawet wówczas, kiedy ktoś, kto dzwonił, oddalał się. Raz, kiedy Iza pojechała na weekend, nie rozebrała się wcale, tylko położyła się w ubraniu i medytowała, jak się będzie bronić, kiedy na nią napadną.

Dnie uciekały jeden za drugim, szybkie, nierzeczywiste.

Rano musiała czekać, aż Iza skończy się myć w łazience, i dopiero wtedy mogła się tam wśliznąć szybko i umyć się, żeby Teresa jej tam nie zastała.

Potem trzeba było unikać Teresy; chowała się w wielkim fotelu albo uciekała na ulicę. Potem czekała na Izę, na niepewne powroty Izy. Siedziała w oknie, patrzyła w dół na przystanek z tym uczuciem gryzącego niepokoju, który ją zawsze prześladował również i w dawnym domu. Bała się, że córka uległa jakiemuś wypadkowi i dlatego nie wraca. Któż mógł sobie wyobrazić, że może istnieć tak wielki ruch jak w tym mieście! Kiedy córka wreszcie wracała, musiała znowu czekać, aby jej jak najmniej przeszkadzać, dopóki Iza nie wyjdzie do kuchni, by zjeść kolację. Wtedy można było mieć nadzieję, że tego dnia Iza zje może trochę więcej niż zwykle. Z daleka nie mogła przypilnować, co i ile jadła ta dziewczyna. Kiedy zaś była zmęczona, nie potrzebowała niczego prócz wody z cytryną, zjadała naprędce kawałek sera, czasem jabłko. Po kolacji Staruszka głowiła się nad tym, czy przyjdzie wreszcie ten jakiś pan Domokos, który odwiedzał Izę. Co oznaczają te szmery, te rzadkie szmery dochodzące z tamtego pokoju? Co też mogą oni tam robić, chyba przecież nie to, o czym ona myśli? Pewnego razu Staruszka przypomniała sobie, jak Iza nazwała Hildę Kwiatek, i zaczęła popłakiwać. Jeżeli coś takiego łączy Izę z Domokosem, to właściwie Iza także nie jest już porządną kobietą.

Czas oczekiwania wypełniały jej myśli. Nigdy nie przypuszczała, aby wspomnienia mogły się stać aż tak aktywne. Staruszka powoli przypominała sobie całe swoje życie. Nigdy przedtem nie miała na to czasu. Wskrzeszone w pamięci i przemyślane zdarzenia nabierały plastycznych kształtów. Na przykład wspomnienia o zjawieniu się Kapitana, jego oswojeniu, nauczaniu czystości, czyniły go tak realnym, że zdawało się, iż pies jest gdzieś tutaj, tylko schował się pod łóżkiem, gdzie zawsze szukał schronienia, kiedy usłyszał kroki Izy. Bo Kapitan bał się Izy. Przyszła jej na myśl ciocia Emma. Ogarnęło ją rozgoryczenie na wspomnienie różnych złośliwości, jakich od niej doznała. Wspomnienia te nie zbladły nawet po tylu latach.

Teresa patrzyła na nią podejrzliwie, kiedy siedziała tak w kompletnej beczynności w swoim dużym fotelu, z jakimś nieokreślonym uśmiechem lub smutkiem na twarzy. Na Boga, co też tej kobiecie chodzi po głowie?

Staruszką do końca przemyślała utratę Jędrka, odżyły w niej dni spędzone z Wincentym. Okazało się, że mimo upływu tylu lat pamiętała wszystko. Nie tylko to, co się działo z nią samą, ale również to, co się działo w całym mieście. Przypominała sobie ówczesny ruch uliczny na Körút, jak również to, że w dziewięćset trzecim roku w małym lasku postawiono pawilon, w którym co niedziela grała orkiestra wojskowa. Teresa skamieniała ze zdumienia, kiedy z pokoju starej kobiety doleciało ją pewnego dnia jakieś beczenie. Nie знаła tej melodii; Staruszka nie miała słuchu. Teresa nie wiedziała, że chce zanucić niemiecką piosenkę: „*Alle miteinander, grüsst euch Gott.*”

Suknię królowej także zachowała w pamięci; bukietek fiołków w ręku Zity, który ta raz po raz nerwowo przytykała do nosa. Na pewno był cały skropiony środkiem dezynfekcyjnym. Król i królowa przybyli do miasta akurat wtedy, kiedy panowała tam hiszpanka. Wówczas umarła także Dórika Kubek i Aurél Inárcs. Ona, Staruszka, stała w ostatnim rządzie wśród kobiet. Poszła tylko

dlatego, aby zrobić na złość cioci Emmie, chociaż Wincenty tak ją prosił, żeby tego nie robiła. Był to jedyny wypadek, kiedy się poważnie pokłóciła z mężem, który nie chciał się ruszyć z domu, a w sądzie powiedział, że jest chory i ma lekką hiszpankę. Został w domu i czytał Dickensa, nawet zapamiętała tytuł książki: *Dombey i Syn*. Wincenty oświadczył, że nie interesują go królowie, że woli czytać.

Myślała także o sobie, stwierdzając z naiwną dumą, że zawsze uczciwie wypełniała swoje obowiązki. Widziała siebie przy balii; nad oświetlonym grobem Jędrka w dzień pierwszego listopada; przy kuchni, jak piecze kołaczki; jako młodą dziewczynę na balu; przy łóżu Wincentego; z pierwszą złowioną myszą w spiżarni, którą z wielką dumą wyciągnęła z pułapki, ponieważ ta mysz była symbolem dobrobytu. „Gdzie jest mąka, tam są i myszy” – wiadomo.

Najczęściej powracała do wspomnień o Izie, częściej nawet niż o Wincentym. Do chwili kiedy Izy nie było jeszcze na świecie. Nosiła ją pod sercem i trudno znosiła tę ciężę. Bez przerwy dręczyły ją mdłości. Wskrzeszała w pamięci obraz małej, poważnej dziewczynki z wielkimi oczami, którą zawsze karano przez pomyłkę i która w obronie ojca zaatakowała kiedyś sąsiada, niczym mały filozof, wygłaszając sentencje tak głębokie jak na kazaniu. Stawała jej przed oczyma uczennica, której nie trzeba było napędzać do odrabiania lekcji ani do pracy w gospodarstwie domowym. Maturzystka, która z płonącymi oczyma przyjęła do wiadomości, iż nie przyjęto jej na uniwersytet. Od dwóch lat trwała już wtedy wojna. Niech jej Bóg wybaczy, ale tego wieczora czuła żal do męża. To właśnie przez męża prześladował córkę wilczy bilet, przez niego nie chcieli jej przyjąć na wyższą uczelnię, dopóki Dekker nie wstawił się za nią, robiąc wiele hałasu w jej sprawie. „Była dobrym dzieckiem – powtarzała w myślach. – Była dzieckiem dobrym, lojalnym, rozsądnym i pilnym.” Wiedziała o świecie więcej niż matka. Jako dziecko była chorowita, trzeba było bezustannie nad nią czuwać. Na samym początku jakoś dziwnie opornie szła jej nauka czytania. Ile wieczorów spędzała na ćwiczeniach z córką! Ile nocy przesiedziała przerabiając dla niej swoje zbyt krótkie i zbyt ciasne sukienki z lat panińskich. Nie chciała, żeby córka raziała ubraniem wśród koleżanek. Kiedyś, gdy Iza była już na uniwersytecie, przygniotła sobie rękę w drzwiach tramwaju. Przez długie tygodnie rodzice musieli z wielkim trudem przepisywać dla niej notatki z wykładów anatomii, pożyczone od kolegów. Były tam straszne rzeczy. Staruszka bała się to czytać. Przypomniała sobie Iżę, która nawet gdy wyszła za mąż, troszczyła się o matkę. Pamiętała tę Iżę niezręcznie szczęśliwą, nadąsaną i promienną, jak również tę milczącą, która pojechała do Budapesztu, by wywalczyć zaległą emeryturę dla ojca. I tę masę pieniędzy, którą im wówczas przysłała, choć nie potrzebowali aż tyle. Wskrzesiła w pamięci obraz Izy, która przyjeżdżała do nich co czwartą niedzielę i pomagała im w każdej potrzebie. Jak teraz, ostatnio, po śmierci Wincentego. Dzień w dzień myślała o córce, która nie zostawiła jej samej w

dawnym domu. Wszystko załatwiła za nią. Odsunęła ją od wszelkiej pracy. Troszczy się o nią. Otacza dobrobytem.

Potem płakała długo i bezradnie, wstydząc się samej siebie.

## Rozdział IV

Ostatnio Iza zostawała w przychodni nawet po godzinach pracy.

Właściwie nikt się temu nie dziwił. Iza lubiła swój zawód. Z dużo większą ambicją niż jej koledzy podchodziła do swoich codziennych czynności. Każdej skargi wysłuchiwała z zainteresowaniem, notowała sobie, co mówi pacjent, nie tylko dane o przebiegu jego choroby. Starła się zawsze każdego pacjenta jakoś umiejscowić w świecie. Wierzyła w to, że aby odkryć i zwalczyć chorobę, trzeba dokładnie poznać stan psychiczny chorego. Każdy pacjent był dla niej interesującym problemem. Nikt nie wychodził z jej gabinetu z przekonaniem, że jest jednym spośród wielu, którzy znaleźli się na ruchomej taśmie; że przesuwa się z numerkiem w rękę, dostaje się do rentgena, robi mu się zastrzyki, analizy i dokonuje się na nim w sposób bezduszny najróżniejszych zabiegów. Każdy chory, który trafił do Izy, od pierwszej chwili nabierał przekonania, że lekarz traktuje go tak, jakby był dobrze płacącym prywatnym pacjentem.

Jej ordynator twierdził, że Iza jest znakomitym diagnostą, tylko trochę marudzi i dlatego może zbadać mniej chorych niż jej koledzy, za to wśród jej pacjentów była większa liczba wyzdrowień. Chorzy pozwalali sobie wobec niej na zwierzenia i obarczali ją dodatkowo swoimi troskami, a Iza nikogo nie odsyłała nie wysłuchawszy go uważnie. Bardi, najmłodszy z jej kolegów, ułożył na nią uszczypliwy pamflet w czasie jednej z karnawałowych zabaw. Dołączył do niego rysunek Izy z mnóstwem uszu i rąk niby jakiegoś bożka w fartuchu lekarskim. Bardzo lubił Izę i tylko dlatego pozwalał sobie czasem wobec niej na podobne złośliwości, bo mu było wstyd, że tak wysoko ją ceni.

Iza częściej od innych lekarzy dostawała specjalne premie, ale nigdy nie była zaskoczona, bo jako studentka także otrzymywała najróżniejsze stypendia, choć często było to nawet nie w smak władzom uczelni. Posiadała wrodzony pociąg do nauki i zawsze można było na niej polegać. Nie miała pustych, zmarnowanych dni, planowo przygotowywała się do każdego egzaminu, była pełna spokoju i wewnętrznego ład.

Matka często śmiała się z niej, że wróciwszy z wykładów śmiertelnie zmęczona, zamiast odpocząć i zjeść coś, zabierała się do porządkowania mieszkania.

– Jeszcze ci było dzisiaj mało? – pytała z uśmiechem.

– Nie mogę się tak położyć – skarżyła się Iza. – Nie zamknęłaś porządnie kranu i zostawiłaś w łazience porzrzućcane buciki.

Kiedy jeszcze jako dziecko coś obiecała, można było na nią liczyć jak na dorosłego. A na Wincentego nigdy.

Jej mąż niezliczone razy coś obiecywał, ale potem zapominał o tym albo nie miał pieniędzy, żeby daną obietnicę zrealizować. Znajdowała potem Izę płaczącą w spiżarni, opartą o półki. Zawsze miała wrażenie, że jej dziecko płacze nie dlatego, że nie dostało prezentu, ale dlatego, że nie dotrzymano danego mu słowa.

Powodem wielkiego zdenerwowania Bárdiego – kolegi Izy – był fakt, że kiedy on sam zanosił do dyrektora przychodni swoje półroczne sprawozdanie statystyczne, na biurku zawsze leżał pięknie opracowany raport doktor Szöcs. Zawsze i wszędzie musiała być pierwsza!

Nigdy się nie spóźniała, ale i nigdy nie zostawała dłużej w przychodni. Nie miała tego zwyczaju. Kiedy kończyła pracę, a nie była zbyt zmęczona, szła z kolegami na kawę albo na piwo, jeśli ją zaprosili. Czasami sama proponowała spacer! ale lubiła tylko towarzystwo młodych dziewcząt albo rozwódek. Nie znosiła przysłuchiwać się zwierzeniom szczęśliwych matek albo kobiet żyjących w zgodzie z mężami. Wspomnienie o Antalu wciąż jeszcze było zbyt świeże.

Ostatnio, kiedy porządkowała notatki, parzyła kawę, przeglądała gazetę albo tylko siedziała i kreśliła coś na papierze. Iza, podobnie jak jej matka, rozmyślała nad swoim życiem. Ale rzadko sobie na to pozwalała.

Łamała sobie głowę nad tym, co począć z matką.

Kochała swoich rodziców nie tylko z powodu normalnych więzów krwi, ale także i dlatego, że łączyło ich wspólne cierpienie. Wcześniej zrozumiała, dlaczego i w czym życie rodziców różni się od życia ich znajomych. Była przekonana – bardziej niż jej matka – że to żaden wstyd być córką Wincentego – przeciwnie, zaszczyt. Żona Wincentego może być tylko dumna, że ma takiego męża. Trudności finansowe nie wzruszały jej zbyt. Wręcz odwrotnie, nawet ją to bawiło, że jako dziecko mogła pomóc matce w rozwiązywaniu jakichś trudnych problemów. Iza była przekonana, że jej własny światopogląd uformował się na gruncie zupełnej nieświadomości politycznej ojca i dzięki jego odruchom wrodzonej uczciwości. Wierzyła również, że ukończyła uniwersytet i otrzymała dyplom jedynie dzięki praktycznemu zmysłowi matki i jej sprytowi. Teraz więc Iza zaczęła spłacać swój dług wdzięczności bez próśb z niczyjej strony. Ot tak, po prostu.

Bárdi jęczał w każdy dzień wypłaty i narzekał, że mu mało zostaje z poborów, bo musi się dzielić ze starą matką. Iza nigdy nie opowiadała, że w ogóle ma jakąś rodzinę, że komuś pomaga. Jej sprawy osobiste znali tylko ludzie w jej rodzinnym mieście. Ci naiwni, nie grzeszący nadmiarem intelektu ludzie ze świata Wincentego i Staruszki. Gdy Iza poprosiła o urlop z powodu śmierci ojca, a potem po pogrzebie potrzebowała kilku dni na sprowadzenie matki, Bárdi, który ją miał zastąpić, czuł się bardzo nieswojo i nie poszedł nawet złożyć jej kondolencji. Bo cóż, na Boga, można powiedzieć w takich wypadkach! A w duchu myślał, że on na pewno wolałby oddać więcej jak połowę pensji, niż brać sobie matkę na kark.

Słowa Antala zawiadamiające Izę o nieszczęściu były dlatego tak wstrząsające, że nie było w nich ani śladu patosu. Ten brak jakiegokolwiek patosu charakteryzował wzajemny stosunek obojga nawet w okresie największego nateżenia ich miłości. Kiedyś wracali do domu przez las, rozmawiali o jakimś filmie i nagle Antal ni stąd, ni zowąd zapytał, czy Iza wyjdzie za niego za męża. Odpowiedziała, że oczywiście. Na drodze do lasu stał pomnik jakiegoś miejscowego poety. Na skrzyżowaniu jak korkociąg cokołe

źle wykonane popiersie z brązu. Tam się zatrzymali. Przerwali rozmowę w pół zdania i Antal pocałował ją. Był jasny, słoneczny dzień, wczesne popołudnie. Nagle nadszedł Dekker i odskoczyli od siebie.

Dekker zawsze wracał piechotą przez lasy do swojej willi.

– Pokój z wami – powiedział Dekker, kiedy Antal zaczął się tłumaczyć. Profesor wiedział już to, czego Iza jeszcze nie wiedziała, a mianowicie, że sprawa jej pracy została załatwiona pomyślnie.

Antal tylko tyle powiedział przez telefon: „Twój ojciec jest umierający, byłoby dobrze, żebyś przyjechała do domu.”

Widoczne z samolotu chmury były ołowianoszare, to znowu nierealnie białe i puchate jak stado baranów. Pojechała natychmiast ze względu na matkę, bo i tak wiedziała, że ojca nie zastanie już przy życiu. Postanowiła sobie, że tym razem nie załamie się. Tylko raz jeden w życiu jej się to zdarzyło – wystarczy. Teraz szczególnie potrzebowała wszystkich sił. Już wtedy kiedy Dekker pokazał jej wyniki badań, w duchu pożegnała ojca na zawsze. Patrzyła na stół i dziwiła się, jak dziecinnie małe biurko posiada tak wielki uczony. Niepozorne biurko, na którym leżało mnóstwo gumek do wycierania i kolorowych ołówków, tak jakby w wolnych chwilach Dekker rysował w swoim notesie domki i bałwanki ze śniegu. Jej twarz mokra od łez pochyliła się nad błyszczącymi stalówkami na biurku.

O tym, że będzie musiała zabrać do siebie matkę, nie wątpiła nigdy ani przez chwilę.

Kiedy pokazali jej plan przyszłego mieszkania w Budapeszcie, Wincenty był jeszcze stosunkowo zdrowy, tylko wyglądał wyjątkowo staro jak na swój wiek. Iza ołówkiem przesuwiała na planie ściany, żeby wygospodarować w mieszkaniu jeszcze jeden pokój. „Przecież któreś z rodziców prędzej czy później umrze – myślała – a żadne z nich nie może zostać na świecie samotne. Wykluczone!”

„Zawsze swoje sprawy seksualne organizuje sobie na koniec miesiąca” – myślał Bárdi, kiedy zauważył, że w każdą czwartą sobotę Iza zjawia się w lecznicy z walizką w rękę, a po pracy wzywa taksówkę i każe się odwozić na dworzec kolejowy. Później, kiedy wyszło na jaw, że dziewczyna jeździła do rodziców, zawstydził się. Iza, podobnie jak jej ojciec, była z natury bardzo taktowna. Pamiętała o imieninach kolegów, o ich awansach. Właściwie całkiem nietrudno było sobie wyobrazić, jak pod koniec każdego miesiąca, obładowana prezentami, zjawiała się na prowincji, świergocąc i śmiejąc się jak mała dziewczynka, chowając różne przekomiczne drobiazgi po kieszeniach płaszczy i szlafroków.

A seksualne życie Izy wyglądało zupełnie inaczej, niż to sobie wyobrażał Bárdi czy ktokolwiek inny.

Przez długi czas nie mogła się otrząsnąć ze wspomnień o Antalu. Iza nie była osobą prózną i w życiu jej nie było najistotniejsze to, czy jeden, czy też wielu mężczyzn przekona ją o tym, że mąż, porzucając ją, postąpił jak głupiec. W pierwszym okresie po sprowadzeniu się do Budapesztu Izę absorbowowała przychodnia i starała się jak najgłębiej zapuścić tam korzenie.



Nie zależało jej na trwałych związkach. Spotykała się z kolegami, ale każdy z nich był żonaty, kawalerowie zaś byli od niej znacznie młodsi. Towarzystwo, w którym bywała w owym czasie, było zabawne i nie wiążące.

Czasem wśród jej pacjentów trafiał się ktoś specjalnie polecony, jakiś ceniony fachowiec, przodownik pracy czy też znana osobistość.

W przychodni, gdzie pracowała, na ogół lekarze nie mieli praktyki prywatnej. W jej specjalności chorzy prawie zawsze wymagali leczenia klinicznego. Iza badała swoich sławnych pacjentów, stawiała diagnozę, ustalała metodę leczenia i zapominała o nich. Było rzeczą nie do pomyślenia, żeby na terenie lecznicy widziała w swoich pacjentach coś więcej niż ich chorobę.

Mężczyźni z cierpiącą miną, pojękując spuszczaali głowy w czasie badania. Artyści potulnie, zmienionym, niemal dziecięcym głosem uskarżali się na swój los, kiedy im oznajmiała, że muszą się poddać różnym zabiegom lub brać gorące kąpiele. Nawet jej na myśl nie przychodziło, że któryś z nich może później podnieść słuchawkę telefoniczną i zapytać, czy nie zechciałaby się z nim spotkać poza godzinami przyjęć.

Zdarzyło się to jeden jedyny raz w wypadku Domokosa.

O tym, że Domokos ma do niej przyjść, zawiadomiono ją ze Związku Literatów. Miał jakieś bóle w łokciu.

Przyjrzała mu się dokładnie, jak wszystkim innym pacjentom podczas badania. Co powiedzą oczy, gatunek włosów – jeżeli jest chory, całe ciało świadczy o chorobie. W czasie badania zauważyła, że Domokos patrzy na nią nie jak pacjent, lecz jak mężczyzna, który się nią zainteresował. Nie zmieszała się, tylko ją to rozzłościło. Powiedziała Domokosowi, żeby przestał się na nią gapić i pozwolił się zbadać. Zachowywała się wobec niego ostro, co bynajmniej nie było w jej zwyczaju. Zapisała mu elektroterapię i pożegnała go. Elektroterapia mieściła się w tym samym gmachu i należała do przychodni jako pierwsze tego rodzaju naprawdę nowoczesne urządzenie. Domokos przychodził więc na zabiegi do lecznicy, w której pracowała Iza, tylko wchodził innym wejściem. Za każdym razem wpadał do niej na krótko, żeby się pochwalić, że polepsza się stan jego zdrowia. Nie patrzyła, zachowywała się chłodno i odnosiła się do niego z większą rezerwą niż do kogokolwiek innego. A Domokosa to bawiło, bo nie mógł tego nie zauważyć, i po każdym zabiegu posyłał jej bukietek kwiatów, z którymi nie bardzo wiedziała, co począć. Od samego początku oddawała je żonie dozorczy. Nigdy nie wspomniała mu o kwiatkach ani nie dziękowała za nie, w nadziei, że przestanie je posyłać. Ale kiedy Domokos po raz piąty skorzystał z okazji, żeby przyjść i zademonstrować, że już zgina łokieć bez bólu, postanowiła sprawę wyjaśnić. Wysłała pielęgniarkę z gabinetu pod pretekstem przyniesienia kartoteki, zapytała Domokosa wprost, jaki ma w tym cel, żeby przysyłać jej kwiaty, i oświadczyła, że niezależnie od owego celu, prosi go, aby był łaskaw tego zaprzestać.

Domokos odpowiedział, że nie ma żadnych złodźnich zamiarów i że uważa to za zwykłą uprzejmość. Chyba nic w tym nadzwyczajnego, że

mężczyzna posyła kwiaty młodej przystojnej kobiecie, wobec której ma w dodatku dług wdzięczności. Poza tym dobrze by było, gdyby sama kazała się komuś zbadać, bo jest bardzo nerwowa bez specjalnej przyczyny. Wtedy po prostu wyprosiła go z gabinetu. Otworzyła mu przed nosem drzwi i poprosiła następnego chorego. Tego wieczoru Domokos po raz pierwszy do niej zatelefonował.

Ich stosunek szybko nabrał intymnego charakteru. Iza biernie, trochę podejrzliwie uległa jego na wpół żartobliwej, na wpół wzruszającej namiętności. Później, kiedy Wincenty leżał już w klinice, a ona po raz pierwszy spotkała Antala, zaczerwieniła się. Poczuli się nieswojo, jakby ukrywała jakiś sekret i była obowiązana wobec niego do wierności czy tłumaczenia się. Domokos był wesół, pełen pomysłów, zawsze miał czas, kiedy Iza chciała go zobaczyć, cierpliwie znosił jej humory, robił wszystko, aby mogła odpocząć. Ona jednak, kiedy byli sami i przeżywali chwile namiętności, nigdy nie miała uczucia, że leży obok mężczyzny, jak dawniej, kiedy była żoną Antala. Niewątpliwie wpływało na to w pewnej mierze specyficzne zajęcie Domokosa, a częściowo sam Antal. Nawet po tak długim czasie Iza zawsze wszystko i wszystkich porównywała z Antalem. Antal zapamiętywał się w pieszczotach, był zarazem dziki i pokorny. Jeśli zaś chodziło o Domokosa, to odnosiła wrażenie, iż ją obserwuje, przygląda się jej, a potem, kiedy się rozstają, analizuje, przeżuwa, porządkuje i wykorzystuje te obserwacje w swojej twórczości literackiej. Nie było to przyjemne przeświadczenie, choć z Domokosem życie układało się jej lekko i bez zgrzytów. Cechowała go prostota i pogoda ducha, co przypominało jej trochę Wincentego.

Teraz, kiedy wszyscy już wyszli, ona nadal siedziała na swoim miejscu. Przeglądała fachowe pisma, ale ich nie czytała. Paliła papierosy i telefonowała. Próbowwała się połączyć z Domokosem. Nie zastała go w domu. Ale właściwie nawet tego nie żałowała. Nakręcanie numeru i czekanie, czy ktoś podniesie słuchawkę, było tylko oszukiwaniem czasu, obroną przed powracającymi Wspomnieniami, usprawiedliwieniem. Ma jakiś powód, żeby tu siedzieć. Chce z kimś rozmawiać, jest zajęta. Kiedy wszyscy się już pożegnali i usłyszała trzask zamykanych drzwi z korytarza, telefon przestał ją interesować. Usadowiła się wygodnie w fotelu i patrzyła w niebo. Nad miastem przesunęły się ciężkie, ponure chmury. „Będzie burza – pomyślała Iza – pierwsza prawdziwa burza w tym roku.”

Okropnie ją to martwiło, że wieczna obecność Staruszki jest dla niej taka drażniąca. Ani trochę nie kochała mniej swojej matki niż ojca, tylko uczucie to było zupełnie inne. Od siedmiu lat nie przebywała już w domu, nawet jako gość. Kiedy przyjeżdżała do rodziców, nocowała w klinice albo zatrzymywała się w hotelu. Dopiero teraz, tu w Budapeszcie, poznała matkę jako starą kobietę i nagle zrozumiała, że w myślach zachowała jej młodzieńczy obraz. Obraz istoty pogodnej, wyrozumiałej i przystępnej. Uśmiechała się do niej z przeszłości trochę bojaźliwa, urocza trzpiotka. Jej matka była z natury osobą niesystematyczną, ale swoje drobne wady stokrotnie wynagradzała słodyczą

charakteru oraz czymś nie dającym się bliżej określić, dzięki czemu w domu panowała tak przytulna, pogodna atmosfera. Dopóki nie mieszkały razem, było coś wzruszająco zabawnego w tym, że matka nie miała najmniejszego pojęcia o wielkich przemianach w kraju i na świecie. Natomiast Wincenty dobrze orientował się w tych sprawach i zawsze opowiadał żonie, co wyczytał w wieczornej prasie, jeżeli tylko nie była zbyt zmęczona, aby go słuchać.

Z daleka można było zbywać uśmiechem nieprzejeđnany feudalizm matki, przejawiający się na przykład w sposobie traktowania pracowników fizycznych. Do młodszych od siebie zwracała się po imieniu. Człowieka, który rąbał drzewo na podwórzu, praczkę i dochodzące dziewczyny także nazywała po imieniu, tak jak ją kiedyś nauczyła ciocia Emma. Z bliska jednak nie było to wcale takie zabawne. Iza już od lat mieszkała samotnie w Budapeszcie. To, że ma dom, czuła naprawdę tylko w tym okresie, kiedy mieszkała z rodzicami pod „smoczą rynną” i wieczorami wracała z Antalem, wesoła i głodna. Zasiadała do nakrytego stołu, zjadała wszystko, co jej tylko dano, grzała ręce na gładkiej powierzchni białego, kaflowego pieca i czuła, jak przez żelazne ozdobne drzwiczki bije przyjemne ciepło od płonącego ognia. Matka miała dobrą rękę do rozpalańia. Tylko przytknęła do drzazgi zapalke, i już trzaskał wesoły płomień. Tak, taki dom chciałaby mieć i teraz, z tym samym dawnym pogodnym nastrojem. Tymczasem już w kilka tygodni po sprowadzeniu się Staruszki wiedziała, że jej nadzieje były płonne.

Upiększanie rzeczywistości nie miało sensu. Staruszka zdecydowanie działała jej na nerwy.

W pierwszych dniach zaskoczona była tym potwornym, starczym podnieceniem, które odkryła u matki, tą niezmordowaną energią, z jaką Staruszka chciała sobie wywalczyć miejsce w życiu córki. Krzątanie się, otwieranie drzwi, nieustanny ruch. Do jej domu wtargnęło coś niepokojącego, coś, co mąciło i zakłócało ciszę, w której dotąd nic się nie działo i która oznaczała spokój i odprężenie. Działo to na nią deprymująco i doprowadziło w końcu do tego, że przebywała w domu tylko wtedy, kiedy to było absolutnie konieczne.

Dotychczas Teresa rozwiązywała wszystkie jej domowe problemy. Teraz Iza czuła, że niebezpieczeństwo zagraża nie tylko jej samej, ale również i Teresie. Z dala od domu opanowywały ją niespokojne myśli, jakby zostawiła w domu niegrzeczne dziecko bez opieki, które w każdej chwili może podpalić firanki. Przez tyle lat pobytu w Budapeszcie jej żołądek odzwyczaił się od tłustej, ciężkiej kuchni matki. Z biegiem lat przywykła do smutnej wolności samotnego człowieka. Nie potrzebowała nikomu zdawać sprawy z tego, dokąd idzie, co robi i kiedy wróci. Właściwie sama nie bardzo rozumiała, dlaczego tak ją drażni, kiedy musi się tłumaczyć, dokąd wychodzi, nie urzędując przecież żadnych tajemniczych eskapad.

Jej rozdrażnienie nie miało innego uzasadnienia poza tym, że przyzwyczaiła się do ciszy i samotności. Dlaczego ją nie cieszy, że ktoś na nią czeka, że ktoś wybiega naprzeciw, kiedy przekręca klucz w zamku? Dlaczego

tak się irytuje, kiedy ją zasypują pytaniami, zanim zdoła ściągnąć rękawiczki? „Gdzie byłaś, co robiłaś, z kim się spotkałaś?”

Iza nie umiała dostarczać matce jakichś sensacyjnych wiadomości. Kiedy wracała do domu, była zmęczona i marzyła o spokoju. Sama się zdziwiła, kiedy spostrzegła, że nie ma ochoty na rozmowy o takiej porze dnia. Z obojętnością znosiła obecność Staruszki drepającej jej po piętach. Kiedy zamierzała wyjść z domu, stara kobieta zasypywała ją radami, żeby pod kostium włożyła sweterek albo zarzuciła coś na żakiet, może płaszcz deszczowy, może prochowiec. Mówiła, że jest kiepska pogoda, że zmarznie lub przemoknie, aż w końcu twarz Staruszki kurczyła się w grymasie rozczarowania, kiedy nie udało się jej namówić córki nawet na wzięcie parasolki.

Iza siedziała i szukała wyjścia z sytuacji. Co robić? Czym zająć tę straszliwie, młodzieńczo wybujałą i nigdy nie gasnącą energię, która do tej pory znajdowała sobie ujście w pielęgnowaniu Wincentego? Zaabsorbowana była tym tak dalece, że sama nie zdawała sobie nawet z tego sprawy. Nawet mowy być nie mogło, aby poznała matkę ze swoimi nielicznymi przyjaciółmi. Naiwna, prowincjonalna poufałość matki w zadawaniu pytań i absolutny brak wyrobienia politycznego bardzo szybko wszystkich by odstraszyły. Nie mogłaby jej zająć pracą domową nawet wtedy, gdyby się nie orientowała, jak wielkich wygód potrzebuje ta postarzała kobieta. Gdyby matka się wciąż koło niej kręciła, wprowadziłoby to zamęt do jej zwykłego trybu życia. „Cóż za zwierzęce przywiązanie! – przeraziła się Iza. – Jakie to bezlitosne! Czy wszyscy tak kochają? Jeżeli kochają w tak absorbujący sposób...”

Znowu stanął jej przed oczami Antal. Cofnęła się w nieodwracalną przeszłość i przyjrzała mu się uważnie. Nie mogła o nim myśleć z obojętnym wzruszeniem ramion, tak jakby tego pragnęła. Chciałaby myśleć o nim jak o kimś, kto kiedyś w jej życiu odegrał rolę bez znaczenia. I w takich razach ogarniał ją wstyd. Przecież nikt nie mógł mieć lepszej żony niż on. Dlaczego ją opuścił? Gdyby się nie byli rozeszli, ani przez chwilę nie zawahałaby się poprosić go o radę, co ma począć z matką. Ale tamtego Antala już nie ma. Antala, z którym mogłaby mówić o swoich porażkach, zwłaszcza po tym, jak proponował, żeby Staruszka została w domu. Jakby z góry przewidywał, co nastąpi.

Nie może powiedzieć Domokosowi, że się dusi we własnym mieszkaniu, jakby stała nad krawędzią olbrzymiego naczynia z miodem, a matka napelnia jej usta słodką, mdlącą ciecżą. Domokos nie może się o niczym dowiedzieć, bo zaraz to wykorzysta. Dla niego wszystko jest tematem. Cały świat. Aż sama się przeraziła, że z taką wrogością odnosi się do jego zawodu.

Na korytarzu trzasnęło jakieś okno, które ktoś zapomniał zamknąć. Zerwał się wiatr. I tym razem nie wymyśliła niczego nowego, tylko stwierdziła, że sytuacja, jaka się wytworzyła, jest nie do zniesienia. Wszystko wyszło zupełnie inaczej, niż zamierzała na początku, niż sobie to kiedyś wyobrażała. W domu przy Wincentym i potem, kiedy Iza była jeszcze

dzieckiem, a później młodą mężatką, matka była pełna życia, pogodna i przyjemna.

„Postarzałam się – pomyślała Iza i przeraziła się nie tyle samego faktu, ile tej diagnozy. – Dopóki mieszkałam z nią pod jednym dachem, byłam jeszcze młoda i pod wieloma względami uzależniona od niej. Nawet kiedy wyszłam za mąż, gotowała, sprzątała nasz pokój i cerowała bieliznę Antala. Ona tego nie dostrzega, że dojrzałam jako kobieta i że nie potrzebuję już matki. Natomiast sama postarzała się, osłabła, zdana jest na pomoc córki i to właśnie ona potrzebuje rady. Gdybym chciała, żeby była przy mnie szczęśliwa, musiałabym udawać, że jestem bezradnym dzieckiem, wtedy mogłaby się wyżywać w opiece nade mną. Sprowadziłam ją do siebie, bo chciałam, aby jej było dobrze. Musiałabym jednak żyć tak, jak ona to sobie wyobraża. Lecz ja nie pragnę ani przesadnej czułości, ani pomocy. Czy matka to wytrzyma? Czy ja to wytrzymam? Jak się wszystko ułoży?”

Zagrzmiało. Trzeba by przeczekać, aż minie burza, ale nie miała odwagi siedzieć tutaj. Raczej sprowadzi taksówkę i pojedzie do domu, żeby tylko złapała samochód.

Staruszka ciągle obawia się jakiegoś wypadku. Kiedy Iza się spóźnia, matka zamartwia się na śmierć. Iza nie znosi, żeby ktoś się o nią niepokoił. Podczas wojny przenosiła w starej aktówce ojca broń i ulotki na uniwersytet, a kiedy ją ktoś legitymował, z taką zuchwałością patrzyła mu prosto w oczy, że natychmiast pozwalano jej iść dalej.

Antal, nawet kiedy się o nią lękał, nigdy nie robił jej żadnych uwag, choćby nie wiem jak późno przychodziła na uniwersytet. A on naprawdę miał powód, żeby się o nią bać, bo nigdy nie wiedział, co może ją spotkać, kiedy przemyka się po zaciemnionych ulicach i rozlepia ulotki na murach. Kiedy w ostatniej chwili wpadała na wieczorne ćwiczenia, Antal najwyżej mruczał pod nosem, że jakież tam może być lekarz ze studenta, który jest tak niepunktualny i niesystematyczny.

W obecności obcych Antal był szczególnie chłodny, a nawet szorstki wobec Izy.

Podeszła do okna i wyjrzała na dwór. Na ulicach panował straszliwy ruch. Z góry jeszcze lepiej było widać, jak ludzie wracają z pracy albo spieszą do kina czy teatru. Nieprzerwany strumień ludzki przelewał się przez chodniki i jezdnię w ucieczce przed burzą. Jeżeli nie złapie taksówki, to może minąć dobra godzina, zanim dostanie się do domu, a poza tym zmarznie na kość. Wprawdzie Staruszka nalegała, żeby Iza wychodząc z domu zabrała ze sobą płaszcz deszczowy, ale wybiegła bez niego, ponieważ w południe świeciło przecież słońce.

Wezwała telefonicznie taksówkę. Jakimś cudem obiecano ją przysłać. Zebrała szybko rzeczy, śpieszyła się, żeby kiedy samochód nadjedzie, być już na dole. Jeszcze raz wyjrzała przez okno, czy nie zobaczy stojącego na placu samochodu. Lecz kiedy spojrzała w dół, serce zabiło jej mocno.

Naprzeciw przychodni, na przystanku, w jednym z wagonów tramwaju, wśród ciasno zbitego tłumu pasażerów zrobił się ruch, jakby jakaś straszna

siła wypychała ich z wozu. Ludzie rozstępowali się, spośród zbitej masy ciał przepychała się jakaś czarna postać i gdy niezgrabnie wylądowała na jezdni, poprawiła zsunięty na tył głowy, przekreślony kapelusz. Iza drżąc przypatrywała się swojej matce, jak stała tam przerażona, rozglądając się dookoła, a wiatr rozwiewał połę jej czarnego płaszcza. Jakiś obcy mężczyzna ujął ją za ramię i przeprowadził przez jezdnię; stara kobieta ledwie śmiała przejść przed zwalnającymi autami: Mężczyzna tłumaczył jej coś, aż doszli do chodnika.

Iza wybiegła z gmachu, rzucając klucze na stół portiera, który spojrzał na nią ze zdziwieniem. Nigdy nie wychodziła bez podania ręki. W momencie kiedy przed gmach zajechała taksówka, stara kobieta przestąpiła próg przychodni i stanęła twarzą w twarz z Izą. Rozpromieniona wyciągnęła ręce z siatką, w której leżał liliowy przeciwdeszczowy płaszcz córki.

Gwałtowna ulewa spadła prosto na nie. Nawet nie wiedziała, jak doprowadzić matkę do samochodu.

Staruszka siedziała wyprostowana, sztywna i ze spuszczonej oczami. Kiedy przyszła, była rozpromieniona. Teraz przygasła. Iza wyjęła z jej rąk siatkę i cisnęła ją na podłogę taksówki.

– Jesteś bardzo uważająca, kochanie – powiedziała uprzejmie. – Ale nie powinnaś była się tym tak przejać. Niemniej dziękuję ci bardzo.

Staruszka nie odpowiedziała: Patrzyła w plecy kierowcy. Grzmiało.

„Jeździ taksówkami – pomyślała Staruszka. – Jakie to proste. Kiedy jest zła pogoda, zamawia taksówkę i wraca nią do domu.” Czują, jak nierówno bije jej serce i jak robi jej się duszno. Potworna była droga, którą przebyła do tego miejsca w przepelnionym tramwaju. Tak późno, w neonowym świetle reklam nigdy jeszcze nie chodziła po ulicy. W dodatku ten paniczny strach, ta bezsilna rozpacz na myśl, co będzie, jeżeli burza zastanie jej córkę gdzieś w drodze.

Iza była blada, w złym humorze.

„Jeździ taksówkami” – jeszcze raz pomyślała Staruszka. Popatrzyła na swoją torbę. Była to bardzo brzydka torba.

## Rozdział V

Nie porozumiewając się ze sobą, zarówno Iza, jak i Teresa, postanowiły jakoś pomóc Staruszce.

Teresa przyjęła tę pracę u Izy dlatego, że nie miała zbyt wiele roboty w domu. Nie prowadziła gospodarstwa, a próżniactwo nie leżało w jej pełnej energii naturze. Z początku przyglądała się Staruszce bardzo podejrzliwie. Nabrała przekonania, że do domu przybył wróg – antypatyczna stara baba, która depta jej stale po piętach i otwarcie okazuje brak zaufania. Teresa chciała pokazać starej kobiecie, gdzie jest jej właściwe miejsce i co myśli o jej zachowaniu. I pokazała. Iza dała Teresie pełną satysfakcję. A Staruszka usunęła się jej z drogi. Od czasu kiedy Teresa nie czuła stale za plecami jej obecności, kiedy Staruszka przestała jej wszystko przewracać w kuchni, brudzić dopiero co wyfroterowaną podłogę i zasiadała w dużym fotelu wyglądając przez okno na Körút – odniesione zwycięstwo napawało ją raczej niepokojem niż zadowoleniem.

Teresa była mądra, przemyślała sobie to, na co w pierwszych tygodniach nie zwracała uwagi.

Jakże jałowa i zawieszona w próżni jest egzystencja tej prawie osiemdziesięcioletniej kobiety, którą dotąd trzymały przy życiu codzienne konkretne zajęcia. Powoli zaczynała rozumieć coś niecoś z tej niewymiernej goryczy, która wprawdzie nigdy nie objawiała się w słowach, ale którą przesiąkła ta żywa i aktywna starsza pani w pierwszym okresie żałoby.

Kiedy już Teresa dała poznać Staruszce swą siłę, uznała, że może okazać się łaskawsza bez narażenia na szwank swojej godności i pozycji w tym domu.

Któregoś dnia zjawiła się z pustą siatką, widocznie przyszła nie z hali, lecz prosto z domu. Zajrzała do pokoju Staruszki, która słysząc skrzypnięcie otwieranych drzwi odwróciła się z przestraszeniem. Wymamrotała coś i zerwała się z miejsca, ponieważ myślała, że Teresa wyjątkowo dziś zaczęła sprzątać od jej pokoju. W takich wypadkach przechodziła do pokoju Izy. Zwróciła się ku wyjściu.

– Nie miałam czasu zrobić zakupów – powiedziała Teresa. – Jeżeli pani chce, proszę pójść do hali i kupić, co potrzeba. Tu jest wszystko spisane.

Sama się zdziwiła, z jakim entuzjazmem została przyjęta jej propozycja. Staruszka się zaczerwieniła i włożyła okulary, żeby w hali mogła dokładnie odczytać listę sprawunków Teresy. Zeszła lekko po schodach, nawet nie trzymając się poręczy, jakby nieoczekiwanie odkryła w sobie mnóstwo sił, które kpiły ze schodów. Teresa nastawiła radio, zaczęła sprzątać i od czasu do czasu kręciła głową myśląc w duchu, że chyba zwariowała proponując Staruszce robienie zakupów! Będzie musiała pracować dłużej niż zwykle. Zanim ta stara się przywlecze, ona by już dawno nastawiła obiad.

Właśnie skończyła sprzątać, kiedy Staruszka wróciła. Przyniosła wszystko, co miała zapisane. Teresa podziękowała jej za uprzejmość,

przejrzała sprawunki na stole kuchennym i posunęła się w swojej dobroci aż tak daleko, że zapytała, czy siatka nie była za ciężka, a potem szybko zabrała się do gotowania. Staruszka z błyszczącymi oczyma stała za jej plecami w otwartych drzwiach kuchni. Teresa nie miała sumienia jej wyrzucić, chociaż straszliwie ją denerwowało, kiedy ktoś patrzył jej na ręce. Prawie zawsze musiała się wtedy skaleczyć albo obetrzeć rękę na tarce. Och, gdyby przynajmniej ta ofiara zrobiła dobre zakupy! Ale kupiła najtańsze, co było do znalezienia. Mięso pełne żył i kości, można by je właściwie od razu rzucić psu. Ale Teresa nic nie powiedziała. Nawet nie mruknęła. Staruszka przez jakiś czas obserwowała, jak to, co przyniosła, zamienia się w potrawy, a potem wycofała się do pokoju. Była śmiertelnie zmęczona i wniebowzięta.

Od tego czasu Teresa pozostawiła jej robienie zakupów, chociaż niemało się nazłościła z tego powodu. Czasem trzeba było coś czymś na gwałt zastąpić. Za pozostawioną w hali puszkę kakao albo szklankę musztardy, która wypadła z siatki, nie gniewała się. Nigdy nie robiła Staruszce żadnych wyrzutów. Czasami sama siebie podziwiała za swoją dobroć, rozczulała się nad sobą i myślała, jaka to niesprawiedliwość, że została taka samotna bez męża i dzieci. Wystarczyło jej tylko spojrzeć na Staruszkę, żeby ogarniał ją jakiś niewy tłumaczony smutek. Teresa lubiła płakać. Chętnie chodziła na takie filmy, których końca nawet już nie widziała ze wzruszenia. Czuła, że pięknie postępuje ze Staruszką, nie mszcząc się za jej różne złośliwości okazywane na początku. Była z siebie zadowolona. Pierwszego czerwca, w dniu urodzin Teresy, obok koperty z pieniędzmi od Izy leżała staromodna srebrna broszka z kolorową rzeźbioną dłonią pośrodku. Teresa zmieszana obracała ją w rękach. Broszka właściwie się jej nie podobała, ale wzruszyła ją. Trochę zawstydzona przypięła ją do sukni.

Kiedy wysłała Staruszkę po zakupy, broszka już leżała na stole. Spostrzegła ją dopiero później. Tego dnia siatkę ze sprawunkami przyniósł na górę dozorca i powiedział, że starsza pani poszła na spacer i posyła do domu zakupione rzeczy. Teresa daremnie czekała na nią z obiadem, co ją do tego stopnia zdenerwowało, że zostawiła na ogniu potrawy, a sama zbiegła na dół i okrążyła cały blok w poszukiwaniu Staruszki. Spostrzegła ją dopiero za rogiem kina: siedziała przy wejściu z przymkniętymi oczami. Kiedy Teresa ją zawołała, Staruszka podniosła się przestraszona i posłusznie poszła w stronę domu. Teresa miała ochotę ją zbesztać, ale nie zrobiła tego. Czuła, że stara kobieta schroniła się tu przed jej podziękowaniami, co wzbudziło w niej jakieś dziwaczne uczucie szacunku. Kto mógłby się spodziewać, że jest taka wrażliwa? Teresa podała obiad i odwrócona do Staruszki tyłem, niezwykle zmieszana, podziękowała za prezent. Stara kobieta szepnęła coś, a jej twarz i szyja pokryły się ciemnymi plamami ze zdenerwowania i szczęścia.

Po pierwszych tygodniach całkowitej bezradności również Iza wzięła się w garść. Zawdzięczała to w pewnym stopniu również Domokosowi, chociaż najmniej się tego spodziewała. Zdziwiła się, kiedy raz w teatrze zwrócił się do niej z niespodziewanym pytaniem:



– Co właściwie zamierzasz zrobić z mamusią? – Pytanie to brzmiało dość frywolnie właśnie w ustach Domokosa. Zawsze myślała, że poza oryginalnym sposobem wysławiania się nic go w gruncie rzeczy nie interesuje. Nigdy nie dostrzegła w nim żadnych charytatywnych skłonności.

Milcząco patrzyła na scenę.

– Jeżeli ją tak dalece wyłączamy z rodziny – ciągnął dalej Domokos bezlitośnie – mogłaś ją spokojnie zostawić na prowincji. Nie byłaby tam bardziej osamotniona.

Iza pochyliła się do przodu. Na scenie aktorka wygłaszała jakiś monolog. Ze wszystkich dziedzin sztuki Izę najmniej interesował teatr. Jeżeli – bardzo rzadko – zabierała się do czytania, wołała powieści zrozumiałe, rozsądne i realistyczne. Do teatru chodziła ze względu na Domokosa, a długie monologi aktorów drażniły ją. Uważała to za objaw patologiczny, żeby ktoś rozmawiał sam ze sobą.

Nie odpowiedziała. Nie dlatego, żeby nie doceniała pytania Domokosa, ale po prostu nie wiedziała, co odpowiedzieć. Sama już od kilku tygodni dręczyła się tym pytaniem. Nie wiedziała, co robić.

Domokos dodał jeszcze:

– No więc łam sobie sama głowę nad tym problemem! – Rozparł się w fotelu i mruknął, że aktorka ma złą dykcję.

Wtedy, tego wieczoru, Iza po raz pierwszy pomyślała poważnie, że właściwie mogłaby wyjść za Domokosa. A Domokos – nikt, kto go znał powierzchownie, by w to nie uwierzył – od dawna już zastanawiał się nad możliwością tego małżeństwa. Iza odsuwała od siebie i zwalczała tę myśl nie dając nic poznać po sobie, bo ciągle jeszcze miała przed oczyma lśniąca włosy Antala, drżące liście na drzewach w lasku i słyszała głos Dekkera.

„Może jednak nie napisze o mnie” – pomyślała i obudziła się w niej nadzieja. Uchwyciła jego wzrok, kiedy odwrócił głowę od sceny. Powiedziała półgłosem, jakby z prośbą:

– Prawda, że nie napiszesz o mnie?

Wezbrało w nim współczucie. Nagle poczuł się nieprawdopodobnie stary. Przecząco potrząsnął głową.

Kiedy wieczorem wróciła do domu, zaczęła się zastanawiać nad rozkładem dnia. Tak jak za studenckich czasów przed egzaminami, wypisywała na kawałku papieru program dziennych zajęć. Rano wstaje, ubiera się i pędzi do pracy, po południu, po uporaniu się z robotą, przeważnie jest już tak zmęczona, że kiedy wraca do domu, nie może spędzać czasu z matką i nie może jej nigdzie ze sobą zabrać. Ale tak od siódmej – jeżeli nie ma dodatkowej pracy – do kolacji może u niej posiedzieć. A po kolacji znowu może być sobą i swobodnie dysponować swoim czasem, bo Staruszka o tej porze już śpi. Jeżeli ma po południu dyżur, to naturalnie odwiedziny u matki odpadają. A kiedy jest wolna przed południem, to spędza czas na pisaniu artykułów. Najchętniej rano pisze i robi notatki.

Trochę stremowana oznajmiła matce o swoim rozkładzie dnia; bała się, że Staruszka nie zrozumie, że tylko o tej porze i tylko tak niewiele może

poświęcić jej ze swego czasu, ale matka bardzo się ucieszyła tą wiadomością, a obietnicę odwiedzin Izy przyjęła z taką radością i wdzięcznością, że córka aż się zmieszała. Od tego dnia cztery razy w tygodniu odwiedzała matkę jak gość. Staruszka czekała na nią zawsze w uporządkowanym pokoju z jakimiś łakociami, które odbierały Izie apetyt, ale nie miała serca odmawiać. Matka utyła trochę i zaczynała bardziej przypominać dawną, pogodną panią Szöcs. Dwoma najważniejszymi wydarzeniami dnia były: załatwienie sprawunków dla Teresy i wizyta córki. Iza przychodziła do matki, opowiadała jej o swoich sprawach w przychodni i o tym, co robiła tego dnia. Przeżycia córki wystarczały Staruszce, żeby odzyskać dawne siły i odwagę do życia. Serce Izy ścisnęło się z litości, kiedy spostrzegła, jak matka usilnie stara się ją zrozumieć, kiedy do niej mówi, jak pamięta wszystkie nazwiska i z jaką dumą powraca później do tematu poruszonego przez córkę.

„Czy to był ten kolega, który ożenił się w Chinach?” albo: „Czy znalazłaś książkę, która znikła w przychodni ze stołu?” Iza nigdy nie była wypoczęta w czasie tych krótkich godzin spędzanych z matką, ale nie okazywała tego. To, co miała zaplanowane na wieczór, niekiedy przesuwano się w czasie albo odkładała to na kiedy indziej. Teraz już tylko w niedzielę po południu znajdowała czas na przyjmowanie gości, różne spotkania czy pójście do kina. Iza nienawidziła popołudniowych rozrywek. W jej mniemaniu tylko wieczory nadawały się na koncerty i towarzyskie spotkania. Towarzystwa wyrzekła się bez żalu, ale z chodzenia na koncerty tak łatwo zrezygnować nie mogła. W dniach, kiedy odbywały się recitale, nie odwiedzała matki. Widząc jednak jej boleśnie skurczoną twarz, gdy mówiła, że nie przyjdzie tego wieczoru, na drugi dzień nadrabiała straconą wizytę, niczym zadaną lekcję. Domokos przychodził teraz po dziesiątej, kiedy Iza miała już za sobą rodzinne obowiązki i w domu panowała cisza.

Staruszka powoli poznała lokatorów z piętra, na którym mieszkała. Zatrzymywała się i rozmawiała z matkami małych dzieci. Kobiety polubiły ją. Teresa powierzała jej także załatwianie sprawunków w sklepie z artykułami gospodarstwa domowego. Staruszkę znano już wszędzie. W sklepie z nabiałem, kiedy musiała czekać, podawano jej krzesło.

Lato w mieście było trudne do wytrzymania.

Staruszka zносиła je ciężko i nie wiedziała, gdzie się skryć przed kanikują. Prawie do wieczora nie podnosiła w oknie żaluzji. Potykała się chodząc w półmroku. Zamiast chłodu i zapachu kwiatów, którymi rozkoszowała się o tej porze roku na prowincji, musiała się pogodzić z torturą upałów. Iza nie cierpiała tak bardzo, ale jej matka wprost się dusiła. Kiedy Teresa zauważyła, że Staruszka blednie i z trudem łapie oddech, zabroniła jej chodzić po zakupy. Powiedziała, że jeżeli będzie to nadal robiła, osłabnie, i co wtedy powie pani doktor? Wyrwała jej siatkę z ręki, posadziła Staruszkę na tapczanie, z mokrym kompresem na czole, i wybiegła z domu.

Staruszka tym razem była jej wdzięczna za troskliwość. Upał, osłabienie i zmartwienie dały się jej we znaki. Na Dzień Zaduszny zamierzała postawić Wincentemu nagrobek i zamknąwszy oczy planowała, z jakiego kamienia i z

jakim napisem będzie najładniej. Korespondowała w tej sprawie z Gicą. Krój czyni miała dobry gust.

Kanikuła utrzymywała się przez długie tygodnie. Kiedy wieczorem można było otworzyć okno, powiew z ulicy niewiele łagodził żar bijący od nagranych murów. Iza również zaczynała chudnąć. Robiła projekty na wakacje. Z początku myślała o wyjeździe do Czechosłowacji, aby zobaczyć Tatry, ale później zmieniła decyzję.

– Teraz nie pojedziemy w Tatry – powiedział Domokos. – Spędzimy twoje wakacje w kraju. Wynajmiemy pokój gdzieś w zakolu Dunaju i zabierzemy ze sobą matczyńsko, bo wygląda już jak tyka.

Domokos starał się, aby jego porównania w rozmowie nie były zbyt poetyczne.

Planowali więc wyjazd na urlop, a Staruszka sprzyjała im całym sercem, choć jej radość nie pozbawiona była pewnej goryczy. Nie pamiętała bowiem, aby od wczesnej młodości wyjeżdżała gdziekolwiek, a ponadto uważała za nieprzyzwoitość układanie jakichkolwiek planów na lato teraz, kiedy Wincenty nie żył. Jednocześnie jednak, trochę zawstydzona, cieszyła się, że ucieknie przed upałem, który tak ciężko znosiła.

Czas między odejściem Teresy a powrotem Izy upływał teraz jeszcze prędzej. Wyobrażała sobie, jakie będą te dni spędzone razem z Izą i z tym zwariowanym pisarzem, który zawsze kiedy przychodził, witał ją słowami: „Sługa uniżony, babciu.” Sama nie wiedziała dlaczego, ale polubiła Domokosa, mimo iż często zamartwiała się myślą, jak bardzo niestosowny jest związek łączący Izę z tym mężczyzną.

Teresa, odkąd sama chodziła na zakupy, kończyła pracę o półtorej lub dwie godziny wcześniej.

Pewnego popołudnia, kiedy Teresa postawiła koło jej fotela talerz z morelami i pożegnała się, Staruszka zaczęła się zastanawiać, co może być powodem, że od kiedy Teresa sama robi zakupy, o wiele prędzej kończy gotowanie. Pomyślała, że dzieje się tak może dlatego, że Teresa załatwia sprawunki po drodze, idąc z domu. Ale zauważyła, że nawet wtedy wszystko jest prędzej załatwione, kiedy zbiega po zakupy już po przyjściu do pracy. Dlaczego? Spróbowała morelę, ale jej nie smakowała. W dawnym domu morele miały inny smak. Ta była jakaś niedojrzała, kwaśna, chociaż tyle słońca było w tym roku. Nagle znieruchomiała – zrozumiała, dlaczego Teresa ostatnio kończy pracę tak szybko. Odsunęła talerz.

Odkrycie, że nie pomagała Teresie, lecz przeciwnie, hamowała jej pracę, było przerażające. Stara kobieta przeżyła w tym upalnym dniu w swoim pokoju ze spuszczoneymi żaluzjami jedną z tych rzadkich chwil, kiedy człowiek z niezwykłą ostrością widzi wszystko, co się dokoła niego dzieje. Nagle ogarnął ją potworny wstyd, że tak źle rozumiała Teresę i tak niesprawiedliwie osądzała ją od samego początku.

„To jest kobieta z charakterem – myślała Staruszka i gorzkie łzy popłynęły jej z oczu. – Tylko pozornie jest szorstka i krzykliwa, a w rzeczywistości ma dobre serce i jest bardzo taktowna.”

Ujrzała nagle tę wrzaskliwą kobietę o ostrym spojrzeniu w nowym, pięknym, łagodnym świetle, jako uosobienie doskonałości uczuć. Teresa litowała się nad nią i w odruchu miłosierdzia, nawet kosztem własnego cennego czasu, gotowa była jej pomóc, wypełnić puste, bezcelowe dni. Było oczywiste, że Teresa lepiej załatwiała sprawunki niż ona, zna handlarzy na rynku, a ona dotąd nie zdecydowała się na kupowanie stale w tych samych sklepach. W hali było przecież tyle przekupek, wszystkie trzeba było wypróbować. Tak, nie pomagała Teresie, lecz hamowała jej pracę. Gdyby nie ta kanikuła, podczas której Teresa dzięki Bogu wróciła do swych dawnych zajęć, Staruszka nigdy by się nie domyśliła prawdy. Nigdy.

Nazajutrz nie śmiała spojrzeć na Teresę, chociaż rozmawiały ze sobą. Teresa chętnie opowiadała o sobie, o swoim nieżyjącym mężu, a Staruszka o Wincentym. Nie miało znaczenia, że dzieliła je różnica dwudziestu lat. Wspólny los wdowieństwa jakoś to wyrównywał. Staruszka ostatnio stała się milcząca. Teresa nie mogła zrozumieć, co się stało, raz przyłożyła nawet rękę do jej czoła, żeby zbadać, czy przypadkiem się nie rozchorowała. Nawet kiedy się skończyły wielkie upały, Teresa nie zdołała namówić Staruszki do robienia zakupów, co ją bardzo dziwiło, a nawet czuła się dotknięta, że zlekceważono jej życzliwość. Od tej pory przestała się interesować starszą panią, która znowu wróciła do drzemki w swoim fotelu, do wędrówek po ulicach miasta i która łamała sobie głowę, jakby Teresie dać do zrozumienia, że po prostu nie ma prawa przyjąć od niej takiej uprzejmości i że woli raczej umrzeć niż żyć z przeświadczeniem, że nie tylko nie jest pomocą, ale przeciwnie – zawadą i ciężarem.

Od tej pory zaczęła podejrzewać również Izę.

Córka wieczorami niezmiennie przesiadywała u niej, ale była zmęczona, oczy miała zapadnięte, a twarz ściągniętą. Podczas lata złapała gdzieś grype. Siedziała więc daleko od matki i zasłaniała usta chusteczką, kiedy przychodziła z nią porozmawiać. Staruszka obserwowała ją w półmroku. Iza była zawsze jednakowo dobrze usposobiona, nigdy na nic nie narzekała, zawsze przynosiła jej pomyślne wiadomości o premiach, o tym, że chcą ją wysłać za granicę. Kiedyś wieczorem, kiedy Iza sądziła, że matka śpi, Staruszka podeszła cicho do drzwi i przez szparę przysłuchiwała się telefonicznej rozmowie Izy z Domokosem.

– Nie, nie przychodź, nie jestem w stanie zdobyć się nawet na rozmowę, chcę się położyć. Zrozum, że chcę być sama, nie mogę już wytrzymać. Ja też muszę mieć kilka godzin zupełnej samotności, kiedy leżę i patrzę w sufit.

Noc po tym nowym odkryciu podobna była do nierealnej, nie mającej końca białej nocy po śmierci Wincentego.

Wrzawa miejska ucichła nieco, ale nie ustała całkowicie. Tutaj, wokół placu Józefa, nigdy nie było zupełnie cicho, szum wielkowiejski odpływał jak fala, żeby znowu powrócić.

Staruszka nie rozbierała się po wyjściu Izy. Ubrana siedziała w swoim wielkim fotelu. Zaciskała, to znów rozwierała dłonie. Przypomniła sobie słowa naiwnej modlitwy z dziecinnych czasów: „Aniele boży, stróżu mój,

chroń mnie, abym nie zbłądziła, chroń mój każdy krok, abym wyrosła w bojaźni bożej.” Jako małe dziecko miała piastunkę katoliczkę i od niej nauczyła się czcić anioły. Bóg był daleko, miał długą brodę i był mężczyzną, a anioł-stróż był jakiś bliższy, bardziej wyrozumiały i uchwytany... „Aniele, stróżu mój” – raz po raz powtarzała stara kobieta. Co to za dziwny pomysł! Przecież aniołowie nie mają ani płci, ani wieku, a ona sama jest już tak stara, że pewnie i jej anioł musi być bardzo zmęczony tym pilnowaniem. A może ci niebiescy stróżowie starców zatracili poczucie czasu i sapiąc i potykając się postępują za nimi coraz wolniejszym krokiem?

Iza skarży się przed Domokosem, o ile w ogóle przed kimkolwiek skarży się na swoje kłopoty. A ona, jej matka, nie jest w stanie pomóc córce, może ją najwyżej pocieszyć słowami albo pogłaskać po głowie jak za dawnych lat. Ale teraz Iza jest już dorosła i Staruszka nie wie, w czym mogłaby jej ulżyć. Iza jest zmęczona. Przepracowana. Jej przedpołudnia i popołudnia należą do chorych. A tę odrobinę wolnego czasu, która jej zostaje, poświęca matce. Dla Izy nie zostaje już nic. Rozdziela siebie jak chleb. Wincenty umarł, Jędrrek umarł, dawne miasto gdzieś przepadło. Wszystko przepadło.

Choroba Wincentego, ciężka praca w czasie jego pielęgnowania, męczące obowiązki, nawet piekielny strach przed grożącą katastrofą wypełniały jej dni, ale wszystko to było godne zazdrości w porównaniu z tym, co przeżywa obecnie. Ręce trzęsły się jej w bezradnej męce. To jasne, że Teresa lepiej sobie radzi bez niej. Iza nie może sobie pozwolić w jej obecności nawet na najmniejsze odprężenie. Nie ma Kapitana, nie ma Gicy ani Kolmana. Nie ma nikogo, komu by naprawdę zależało na rozmowie z nią.

Może ona też już nie żyje, tylko sobie tego jeszcze nie uświadomiła. Może człowiek umiera prędzej, niż sobie z tego zdaje sprawę.

Na ulicy zadzwonił spóźniony tramwaj. Staruszka zaczęła obliczać, jak długo jeszcze może pożyć. Rodzice jej umarli wcześniej. Nie mogła znaleźć żadnego przykładu w swojej rodzinie. Z jakimś naiwnym przesądem pomyślała, że może pożyje tak (Hugo jak Wincenty, to znaczy gdzieś do osiemdziesiątego roku. Jakby to było dobrze, gdyby to nie potrwało już długo!

Iza mogłaby sobie jeździć na wczasy sama i nie musiałaby się męczyć z matką wieczorami.

Nazajutrz, kiedy Iza weszła do pokoju matki, zastała ją w łóżku. Powiedziała córce, że już zjadła kolację i jest dziś bardzo wyczerpana. Prosiła, żeby Iza się nie gniewała, ale wolałaby już spać i nie rozmawiać.

Iza kazała matce usiąść. Zbadała puls i uważnie przyjrzała się jej twarzy. Rzeczywiście malowało się na niej zmęczenie, ale matka miewała dni, kiedy była zdumiewająco świeża. W tej chwili jednak wyglądała na swoje lata. Nawet na więcej niż na siedemdziesiąt pięć. Puls miała może odrobinę szybszy niż zazwyczaj, ale dość regularny. Nie sprawiała wrażenia chorej. „Może ją znudziłam?” – zastanawiała się Iza, wchodząc do swojego pokoju.

Nuciła coś pod nosem. Otworzyła i zamknęła jakąś szufladę. Potem zaczęła się ubierać.

„Może znudziły ją te wieczorne rozmowy i woli spać? Może się już przyzwyczaiła do nowego miejsca i nie jestem jej potrzebna?”

Nakręciła numer. Staruszka słyszała, że Iza telefonuje. Ale nie wstała z łóżka i nie podsłuchiwała. Już nie była ciekawa, z kim i o czym rozmawia. Nawet stąd, z łóżka, docierał do niej radosny dźwięk głosu córki. Niedługo po tym dał się słyszeć szum spływającej wody w łazience. Następnie uchyliły się drzwi jej pokoju. Staruszka nie poruszyła się udając, że śpi. Poczowała słodkawo chłodny zapach wody kolońskiej. Córka wsłuchiwała się chwilę w jej oddech, któremu matka starała się nadać spokojny, równomierny rytm, po czym przytknęła drzwi. Staruszka słyszała, jak trzasnęły drzwi w korytarzu.

Podeszła do okna i przez podniesione żaluzje wyjrzała na ulicę. Iza wyszła w białej sukni, a jej włosy, zwykle upięte w kok, opadały na ramiona jak u małej dziewczynki.

Wybiegła z bramy i wskoczyła do jadącego tramwaju.

Od tego dnia Staruszka wpuszczała córkę do siebie tylko na kilka minut. Iza obserwowała matkę uważnie, ale z czasem, kiedy zawsze zastawała ją śpiącą, przyzwyczaiła się do tego, że znowu może dysponować swoimi wieczorami.

Pisała artykuły, przyjmowała Domokosa, zapraszała kolegów i wychodziła z domu.

Przez dłuższy czas widywała matkę tylko w niedzielę. Staruszka schudła, a twarz jej nabrała jakiegoś twardego wyrazu. Iza zauważyła, że w spojrzeniach matki nie ma już dawnej czułości, i poskarżyła się przed Domokosem, że Staruszka stała się jakaś obca i jakby zdziczała.

Z Teresą zamieniała zaledwie kilka słów i unikała jej. Przez cały dzień nie robiła nic, tylko siedziała w fotelu. Iza opowiadała Domokosowi, że matka natychmiast po przyjściu Teresy wychodzi z domu i wraca tylko na obiad. Gdzie, na miły Bóg, może się podziewać przez cały dzień i co jej się stało, że się tak oddaliła od wszystkich? Domokos nie wiedział, co mogło być tego przyczyną, powiedział tylko, że należałoby więcej z nią przebywać i rozmawiać.

Którejś niedzieli, przyszedłszy na obiad do Izy, był szczególnie miły dla Staruszki. Naprawdę zachowywał się jak mały chłopak. Nie przychodziło mu to z trudem, bo ją lubił. Nie mógł pojąć, dlaczego Staruszka nie odpowiada na jego żarty. Jadła mało, z widocznym brakiem apetytu, i natychmiast po obiedzie pożegnała się, mówiąc, że jest zmęczona i chce się położyć.

– Może po prostu starzeje się – powiedział Domokos. – Na prowincji kłopoty podtrzymywały w niej żywotność i energię, a teraz kiedy ją tu sprowadziłaś, zaczęła się opuszczać, bo świat, którym żyła, runął w gruzy. Bywają takie wypadki. My także się postarzejemy.

– Ty nigdy nie będziesz stary – odpowiedziała Iza potrząsając przecząco głową. – Jesteś na to zbyt mało odpowiedzialny.

Tak powiedziała, ale w myślach sformułowała to inaczej: „Nie masz takiego poczucia odpowiedzialności jak Antal.”

Wciąż jeszcze wszystkich porównywała z Antalem i nienawidziła siebie za to.

Domokos nie był związany godzinami zajęć i przychodził pisać do kawiarni, naprzeciwko mieszkania Izy. Obiecał, że wysledzi tajemnicze drogi Staruszki i to, co robi między przyjściem a odejściem Teresy, a z czego nie chce się przed nikim tłumaczyć. „Spacerowałam” – odpowiada niezmiennie. Było to mało prawdopodobne, ponieważ Staruszka wychodziła nawet wtedy, kiedy pogoda nie nadawała się do spaceru.

Iza patrzyła w osłupieniu na Domokosa, kiedy jej oświadczył, że matka spędza całe godziny w tramwaju. Wsiada do „szóstki” przed domem, jedzie na plac Moskiewski, tam się przesiada na „pięćdziesiąt dziewięć”, jedzie do końca i wraca tą samą trasą. Następnie wsiada do innego tramwaju, jedzie do końcowego przystanku i tak dalej; trwa to całymi godzinami. Domokos sam był zmieszany, kiedy opowiadał, jak Staruszka spędza czas. Zupełnie nie zwraca uwagi na otoczenie, a na przystankach nie rozgląda się. Domokosa nie zauważyła, mimo że przez cały czas ją obserwował. Ogarnął go jakiś niepokój. Staruszka nie odzywała się do nikogo. Na ramieniu miała zawieszoną pustą siatkę na zakupy i przez cały czas obojętnie wyglądała przez okno z jakimś dziwnym napięciem w twarzy, jakby podczas jazdy zadawała pytania mijanym budynkom.

– Niewinna rozrywka – powiedział Domokos, ale raczej po to, aby pocieszyć Izę, która była zupełnie wstrząśnięta tym, co usłyszała. – Poznaje miasto, powinnaś się z tego cieszyć!

Ale Iza nie cieszyła się. Staruszka nigdy nie mówiła jej o swoich eskapadach, jakby ukrywała przed nią jakieś zagadkowe misterium, ostatnio nie mówiła prawie o niczym.

Teresa stała się ponura i nerwowa w otaczającym ją milczeniu. Uznawała albo przyjaźń, albo wojnę, lecz taka nijaka sytuacja, jaka się między nimi wytworzyła – to ustępowanie jej z drogi i znikanie z domu – nie, to nie było w jej guście.

Kiedy Iza zaczęła urlop i wynajęto trzy pokoje w Zebegény, Staruszka oświadczyła, że nigdzie nie pojedzie. Woli zostać w mieście. Nieznane otoczenie zmęczyłoby ją. Przez dwa dni Iza namawiała matkę, aby zmieniła, swoje postanowienie, w końcu jednak zrozumiała, że nic nie wskóra, i dała spokój. Zawstydzila się, gdy uświadomiła sobie, że radość z tej odmowy przewyższa niepokój i troskę o matkę. Dwa tygodnie nad Dunajem! Dwa tygodnie całkowitej wolności!

Z Zebegény każdego popołudnia telefonowała do domu i codziennie słyszała zapewnienia matki, że czuje się dobrze. Teresa poszła na urlop, a Staruszka sama sprzątała i przygotowywała sobie coś do jedzenia. Kiedy Iza wróciła do domu, zastała matkę szczuplejszą, lecz spokojną. Pochwaliła wygląd córki i natychmiast wycofała się do swojego pokoju.

Była niedziela. Tego ranka Iza miała matce wyjątkowo dużo do powiedzenia. Była świeża, wypoczęta, pachnąca słońcem i pełna wrażeń. Odłożyła pocztę i weszła do pokoju matki. Staruszka właśnie wybierała się w

drogę. Powiedziała, że przy najbliższej okazji wysłucha, co Iza ma jej do opowiedzenia, ale teraz musi wyjść. Córka spojrzała na nią ze zdumieniem. Staruszka zabrała pustą siatkę, pożegnała się i wyszła. Iza oparła się o parapet okna i przerażona patrzyła w ślad za nią. Nie było już tak zabójczego upału. Matka wyszła na ulicę. Już się tak bardzo nie bała ulicznego ruchu; bez niczyjej pomocy przeszła przez białe pasy na jezdni. Dotarła do przystanku tramwajowego i wsiadła do „szóstki”.



## **Część III**

### **WODA**

## Rozdział I

Sprzedawca gazet już z daleka wymachiwał pismami „Ludas Matyi” i „Népszerü Fizika”.

Antal wsunął ręce do kieszeni w poszukiwaniu pieniędzy. Gazety i czasopisma naukowe otrzymywał w klinice, a pism satyrycznych nie lubił. Miał spokojne usposobienie, dowcipy bawiły go od czasu do czasu, ale opowiadane seryjnie nudziły go. Jednakże nie wypadało odmówić sprzedawcy, kiedy mu proponował gazety. Wyczuwał widać w Antalu prawnego następcę Wincentego. Kiedy po raz pierwszy zauważył, że doktor własnym kluczem otwiera bramę domu „Pod smoczą rynną”, zaczął kiwać na niego ręką, jakby nagle zobaczył ducha Wincentego, majstrującego koło klamki. Wymachiwał ulubionymi gazetami sędziego Szöcsa, którego szczerze lubił.

Antal, kiedy mu pozwalała na to sytuacja materialna, w pierwszym rzędzie opłacał prenumeratę pism. Wincenty zaś kupował je codziennie. Przywykł do tego jeszcze w latach przymusowego próżnowania. Antal nigdy się nie zdradził przed sprzedawcą, że dwukrotnie płaci za czasopisma.

Z trudem przyzwyczajał się do nowego domu. Początkowo odczuwał jedynie ciężary z powodu jego nabycia.

Dopóki w domu pracowali murarze i stolarze, musiał często przychodzić z kliniki, żeby ich mieć na oku. Dojście do porozumienia z Gicą również nie było łatwe. Gica broniła swej pozornej niezależności. Mimo że zawód miała dość niepowszedni, wiecznie biedowała. Trzeba ją było namawiać, a czasem nawet zmuszać, żeby lurę mączną, którą się karmiła, zamieniła na coś konkretniejszego. Antal musiał ją błagać, powołując się na starą znajomość i dawne czasy, aby zechciała mu pomóc w prowadzeniu domu i czasami coś dla niego ugotować. Zwycięstwo nie przyszło łatwo, ponieważ Gica, podobnie zresztą jak i inni mieszkańcy ulicy, nie chciała Antalowi wybaczyć, że opuścił Izę. Kiedy przyjmowała z jego rąk pierwszą pensję, robiła takie miny, jakby mu wyświadczała wielką łaskę, i to jedynie ze względu na rodzinę Szöcsów. Inaczej nigdy by nie usługiwała człowiekowi, który mógł zostawić na lodzie taką dziewczynę jak Iza!

Oczywiście udawała tylko, że robi to niechętnie i że mogłaby wyżyć z szycia szat liturgicznych tak samo jak przed wojną. Parafianie dziedziczyli te szaty z pokolenia na pokolenie, więc zamówienia otrzymywała jedynie z okazji jakiegoś jubileuszu obchodzonego przez proboszcza albo też dzięki ofiarności okolicznych parafii. W duchu Gica była bardzo zadowolona, że trafiło jej się stałe zajęcie, co unormowało jej życie. Krzątała się koło robotników i na jej oczach dom Szöcsów kształtował się na nowo. Mieszkanie nabierało cech nowoczesności. Zainstalowano nowe przewody elektryczne i Gica z prawdziwą przyjemnością zabierała się teraz do pracy. Jednakże kiedy Antal zaskoczył ją przy robocie, rzucała w jego stronę nieprzychylnie spojrzenia, chociaż był jej chlebodawcą. Nigdy nie zapomniała, jak brzydko

postąpił z rodziną Szöcsów. Wcale nie była tym zachwycona, że dom przeszedł na jego własność. Po co synowi woziwody taki dom i po co mu druga żona?

Z powodu kupna tego domu nie tylko Gica i sprzedawca gazet wprowadzali go w kłopotliwą sytuację, ale również i Kolman.

Ilekcóż Antal wracał do domu, zanim przestąpił próg, musiał się zatrzymać. Sklepikarz przyzywał go gestami albo nawet wybiegał mu naprzeciw. Trzymał w ręku koszyk. Od czasu kiedy Antal mieszkał w tym domu, a nie w klinice, zakupy stały się dla niego prawdziwym problemem. Gica oświadczyła mu, że Kolman ją obraził i że nie będzie u niego nic kupować. Sklepikarz miał za złe Antalowi, że ten na początku, kiedy jeszcze się nie orientował w sytuacji, przynosił wszystkie wiktuały w teczce z bufetu szpitalnego. Zatrzymał go kiedyś na ulicy i wyznał, że czuje się dotknięty takim brakiem zaufania.

„Osioł ze mnie” – myślał w duchu Antal, kiedy rano idąc do pracy zostawiał u sklepikarza kartkę zawsze z tym samym zamówieniem: mleko, chleb, masło. Czasami dodawał: sól albo cukier, owoce, papryka. Twarz Kolmana promieniała gorliwością i chęcią przysłużenia mu się. Ta sympatia odnosiła się, być może, nie tyle do Antala, co do wspomnień o Wincentym. Może lekarz także, tak jak kiedyś sędzia Szöcs, będzie w lecie sprzedawał róże kwiaciarkom.

Antal każdego wieczoru zabierał od sklepikarza swoją torbę z przygotowanymi wiktuałami. Była to gorsza torba matki, porozciągana i brzydka. Z boku miała wyhaftowane bratki. Staruszka zrobiła ją ze starego płaszcza. Obrzydliwa była ta torba z płócienną podszewką. Z wielkim trudem otwierał furtkę, pod pachą trzymając teczkę, a w ręce torbę. Sprawunki kładł na wiklinowym stoliku koło bramy, jak niegdyś robiła to Staruszka.

O zmierzchu w ogrodzie rozchodził się słodki, ciężki zapach róż Wincentego. Nawet wieczorem ogród urzekał barwami. Gica bardzo troszczyła się o kwiaty. Na rabatach widoczne były ślady podlewania.

Sapiąc wylazł z drewnutni stary, niezgrabny Kapitan. Na dnie torby Antal miał ukryte odpadki, przeznaczone specjalnie dla niego, ale pies musiał zaczekać.

Ostatnio kiedy Antal zamykał za sobą bramę, ogarniało go nie dające się określić uczucie błogości i nadziei. Cieszył się, że kupił ten dom. Czuł się swobodny wśród starych ścian. Już nie bolało go odejście Wincentego, którego postać pozostała dziwnie żywa wśród krzewów róż. Osobowość i łagodny humor zmarłego wycisnęły jakieś piętno na tych ceglanych murach spowitych bluszczem. Gdy Antal się tutaj sprowadził, świeży tynk i zdrowy zapach malowanych ścian niepokoiły go wspomnieniami, chociaż dom bardzo się zmienił od czasów, kiedy tu mieszkał z Izą. Stare meble przerobiono na nowe lekkie stoliki i wygodne fotele. Mieszkanie odmłodziło i w miejsce milej staroświeckości, która cechowała dom Szöcsów, powstało nowoczesne wnętrze.

Uparcie powracająca zjawia Izy prześladowała go bardziej niż wspomnienie o zmarłym i Staruszce, która odeszła stąd pełna nadziei, kurczowo trzymając się spódnicy córki. Początkowo żałował, że za pieniądze zaoszczędzone z takim trudem nie kupił własnościowego mieszkania w nowej dzielnicy Balzsamárok, z którym nie łączyłyby go żadne wspomnienia i które byłoby dużo bliżej kliniki niż ten dom. Wałęsał się po nowo urządzonym mieszkaniu, nie mogąc sobie znaleźć miejsca. Opanowywało go dziwne uczucie, kiedy przyglądał się meblom, które zatraciły już swój dawny charakter. Iza sprzedała mu je za bezcen. Przerobione, stopiły się z nowym wnętrzem, a półki z książkami pokryły ściany. Wiele tygodni minęło, zanim przyzwyczał się do swego domu i przestał się wahać, kiedy miał otworzyć jedną ze ściennych szaf. Oto szuflada, gdzie Iza niegdyś trzymała ich wspólną bieliznę. Iza w pewnym okresie była mu zbyt bliska, aby mógł ją tak szybko wykreślić z pamięci.

Przebudowa, roboty stolarskie i tapicerskie przeciągnęły się aż do połowy lata, chociaż wszyscy robotnicy byli kiedyś jego pacjentami i pracowali solidnie. Mógł się wprowadzić dopiero pod koniec czerwca, a kiedy nastał sierpień, również Iza powoli stopiła się z przeszłością. W końcu nie pozostało już nic poza zacierającym się wspomnieniem miłego, ciekawego wejrzenia Staruszki, jej zgrabnych, wiecznie zajętych rąk, małych, mądrych oczu Wincentego i jego zniszczonych skórzanych czapek. Iza nie pozostawiła w jego pamięci pogodnego obrazu. Była ponurym wspomnieniem, kiedy zdarzało mu się o niej pomyśleć. Od czasu do czasu niektóre z jej powiedzeń powracały jak echo przeszłości.

Potem Iza przestała istnieć, tak jak wiele innych rzeczy i spraw.

Kapitan sapiąc podreptał za nim po schodach prowadzących do mieszkania. Pocztę nadal otrzymywał Antal w klinice. Tutaj przychodziły tylko kartki od drobnych rzemieślników, oferujących swoje usługi. Dziś nie było nic. Antal był zmęczony. Miał za sobą trudny dzień. Bawiła go myśl, jakie żarty stroi sobie z niego jego własny system nerwowy. Gdyby Lidia nie miała dziś nocnego dyżuru w klinice, wcale nie czułby się zmęczony. Wałęsałby się z nią po ulicach albo siedzieliby jak zwykle w leśnym pawilonie. Kiedy oboje byli wolni, spędzali razem wieczory i noce niemal do świtu. Ale dziś Lidia była zajęta.

Kiedy nocą w klinice nie było ciężkich przypadków, wymagających obecności lekarzy, ani nie trzeba było pisać artykułu do miejscowej gazety, no i przede wszystkim kiedy Lidii nie było przy nim – Antal kładł się spać.

Wykąpał się i przebrał. Na najwyższej półce ściiennej szafy stały różne pudełka. Zawartość ich bawiła go, ile razy otwierał szafę. Stare rupiecie Staruszki, jakieś rzeczy Wincentego, jego zbiór znaczków pocztowych, okulary. Powinien był to wszystko wyrzucić, ale jakoś przykro mu się było z tym rozstawać. Rzeczy w dziwny sposób zbliżają nieobecnych, a w szafie było tyle miejsca, że nie przeszkadzały mu. Wszystko tam można było pomieścić. Na strych wyniósł jedynie bezwartościowe obrazy. Iza zostawiła mu także

komplet naczyń kuchennych. Porządnie utrzymane staromodne naczynia, które razem z Gicą poustawiali w kuchennym kredensie.

Przez wiele lat Antal nic nie posiadał, więc teraz bawiła go myśl, że jest właścicielem nie tylko domu, ale i różnych narzędzi gospodarczych. Było tam mnóstwo gratów takich jak polewaczka, pieniek do rąbania drzewa, siekierka. Woreczek na tytoń – własność Wincentego – cudownie pachniał pursiczanem. Antal powiesił go na ścianie w przedpokoju obok skrzyżowanych na gwoździu fajek. Była tam również wiśniowa laska sędziego. Kiedy się postarzeje, może i on będzie palił cybuch. Ta cała groteskowa mieszanina starego z nowym robiła bardzo miłe wrażenie, tale że koledzy Antala wchodząc do jego nowego domu cmokali z zachwytu. Sanyi Vári załamywał ręce z żalu, że tak nieopatrnie kupił garsonierę na piątym piętrze w domu czynszowym. Za tą samą cenę Antal nabył cały dom razem z tymi wszystkimi rzeczami. Naprawdę było tu uroczo, przytulnie.

Kapitan zaczął się upominać o jedzenie, więc nakarmił go w kuchni, w tym samym miejscu, gdzie niegdyś karmiła go Staruszka. Antal również zjadł kolację. Z przyjemnością chrupał chleb zostawiony mu przez Kolmana i popijał kefirem. Teraz uważał za zupełnie naturalne, że ma na palcu pierścionek. W dniu zaręczyn jego wzrok często zatrzymywał się na błyszczącej obrączce. Przez długi czas przeszkadzała mu. Jakoś niezdarnie szło mu mycie rąk, ale nie chciał urazić Lidii.

„Lubię wiedzieć, że jak ktoś patrzy na ciebie, to widzi, że kogoś masz” – mówiła dziewczyna.

Izie obrączka nie była potrzebna. Gardziła tego rodzaju symbolami. Natomiast Lidia, gdyby mogła, pisywałaby artykuły do gazetki ściennych na temat swego narzeczeństwa. Niekiedy bywała zazdrosna. Iza nie była w stanie zdobyć się na takie uczucia. Oczywiście zazdrość Lidii była zupełnie bezpodstawna. Ale wystarczała jej sama świadomość, że Antal, zanim ją poznał, przyjaźnił się z innymi kobietami. Czasem sprzeczała się z nim, ale potem przeproszała go z tak promienną twarzą, że na ich miłość nie padał żaden cień nawet w chwilach namiętnych wybuchów. Antal wiedział, że jeżeli chodziło o niego, to Lidia była gotowa popełnić nawet zbrodnię i drżąc ze strachu oddać za niego życie. Miłość Lidii była absolutnie pozbawiona egoizmu. Była świeżym, nie doświadczonym jeszcze doznaniem.

W pierwszym okresie ich znajomości, kiedy oddał jej obraz z młynem, po wszystkich gorzkich doświadczeniach z Izą Antal próbował przełamać milczenie i rezerwę młodej dziewczyny. Kiedy objawiła mu się prawdziwa natura Lidii, z jej całą niepohamowaną, wstrzymywaną dotychczas namiętnością, poczuł się jak człowiek, który nagle w obcym kraju usłyszy swój ojczysty język, i odpowiedział jej na to z całego serca.

Tu, w tej kuchni, odbyły się ich zaręczyny. Połączył je z uroczystością otwarcia nowego domu. Zaproszone panie aż piszczwały z emocji, kiedy z brzękiem rzucił obrączki na blat kredensu. O ile związek Antala z Izą nie był dla nikogo niespodzianką, o tyle nikt nie podejrzewał czegoś. poważniejszego między lekarzem a pielęgniarką. Antal zawsze asystował jakiejś dziewczynie,

a teraz po prostu przyszła kolej na Lidie. Kiedy otwierał butelkę szampana, przemknęła mu przez głowę myśl, że dawnych mieszkańców tego domu na pewno bawiłoby to beztrioskie szaleństwo. Wincenty cieszyłby się widząc, jak tu tańczą i podśpiewują. Na pewno z ochotą częstowałby gości orzechówką własnej roboty. Mama zaś wychodziłaby ze skóry, szczęśliwa, że ma u siebie tyle gości, jak niegdyś u cioci Emmy, kiedy była jeszcze małą dziewczynką z rozpuszczonymi włosami, rumieniącą się przy każdej okazji.

„Jedna Iza – pomyślał Antal – powiedziałyby, że szkoda sobie takimi sprawami zawracać głowę. Zaręczyny, wymiana obrączek i tym podobne bzdury nie dają nic, ot, zbyt techniczna głupota.” Tamtej nocy, choć nie opuszczał Lidii ani na chwilę, Iza była mu bliższa niż kiedykolwiek. Wśród największej pijatyki, kiedy Sanyi zaczął grać na gitarze i zupełnie na inną melodię zaśpiewał „Mały domek nad Dunajem”, Antal opuścił na chwilę towarzystwo i zaczął z Lidia spacerować po ścieżkach ogrodu. Ten niepozorny budynek był dla niego jedynym ogniskiem domowym, jakie posiadał kiedykolwiek w życiu. Teraz znowu tu wrócił, ale już bez Izy. Dom ten był owocem jego bezsennych nocy spędzonych na ciężkiej pracy. Podczas tych długich nocnych godzin marzył o własnym domu, właśnie o takim, w którym będzie wiśniowa laska Wincentego i Kapitan. Pies leżał teraz schowany w drewnianej klatce i sapał astmatycznie, jak zawsze, kiedy był obrażony.

Lidia milczała i pozwalała mu samemu rozprawić się ze wspomnieniami. Iza była towarzyszem i szła razem z nim przez pewien czas. Z Lidia było inaczej. Będąc z nią nie odnosił wrażenia koleżeństwa ani też nie starał się kierować jej postępowaniem. Lidia po prostu zespoliła się z nim i tworzyli jedno. Bez wielkich słów, zupełnie instynktownie postępowała za nim w tym czy w innym kierunku.

Przygotował wszystko. Lubiał krzątać się po kuchni, otwierać konserwy, nakrywać do stołu i trochę marudzić po kolacji, czemu Iza zawsze przyglądała się z ironicznym pobłażaniem. Ale te drobne domowe sprawy posiadały dla niego nieodparty urok i doskonale wpływały na jego samopoczucie. Oznaczały one, że jest posiadaczem domu i że wszystko, co ma, sam sobie kupił, a nie otrzymał od kogoś. Otwierał i zamykał szuflady. Nigdy nie zostawił Gicy brudnych naczyń. Byłby to dla niego wielki wstyd, skoro miał ciepłą wodę w kuchni. Właśnie o takim domu z nakrytym stołem i zaścielonymi łóżkami marzył od dawien dawna. Jeszcze będąc w internacie żył myślą o chwili, kiedy ziszcza się jego sny o własnym kącie. Był ubogi i tylko sam, własnymi siłami mógł kształtować swój los. Albo mógł wyzbyć się nadziei posiadania kiedykolwiek domu, albo dojść do celu. Kiedy zaręczył się z Izą, sądził, że w domu Wincentego znajdzie to, czego szukał. Promieniał ze szczęścia, kiedy Staruszka wręczyła mu klucze od furty.

Tej wiosny, tuż po pogrzebie Wincentego, powiedział Izie, że chce kupić ten dom. Przyjęła tę wiadomość z wyrazem pobłażania na twarzy, jakby chciała powiedzieć: „Widocznie lubisz płacić podatki. Nie chcę ci psuć humoru. Rozkoszujesz się świadomością, że dom, który był jedynym prawdziwym domem w twoim życiu, teraz będziesz posiadał bez żadnych

zobowiązań wobec kogokolwiek. Nie będziesz musiał mówić szeptem i ostrożnie oddawać się miłości, aby przypadkiem staruszkowie niczego się nie domyślili.”

Iza uważała, że zajmowanie się przyziemnymi sprawami i troszczenie się o ciepłą odzież czy opał na zimę jest drobnomieszczańskim zawracaniem głowy i niepotrzebną stratą czasu. Niech kłopotują się tym inni, słabsi od niej.

Antal bez żadnego zakłamania, otwarcie cieszył się swoimi osiągnięciami.

Jego rodzinna wioska, Dorozs, nie wyróżniała się niczym specjalnym prócz siarkowych źródeł. W domu, w którym ujrzał światło dzienne, było duszno i cuchnęło z pobliskiego źródła. Nie pamiętał matki, która pewnego dnia znikła z wioski. Babka tłumaczyła mu dość niepewnie, że „poszła do miasta”. Później, kiedy dorósł, domyślił się, dlaczego poszła do miasta i jaki los ją spotkał. W tej wiosce nie po jednej dziewczynie zaginął wszelki ślad.

Ojca znał. Nawet był przy jego śmierci. Jak większość mężczyzn w Dorozs, ojciec jeździł po mieście wozem należącym do Daniela Bérczesa. Nie był woźnicą, lecz woziwodą. Tak nazywano we wsi ludzi, którzy jeździli z beczkami leczniczej wody i sprzedawali ją w domach stałych klientów. Daniel Bérczes dzierżawił źródła i miał sto pięćdziesiąt wozów, które objeżdżały okolicę. Trzeba było mieć nie lada siłę i odwagę, żeby otworzyć taką beczkę. Woda była piekielnie gorąca, nawet stać w pobliżu było niebezpiecznie. Należało beczkę przetoczyć z wozu do łaźni, otworzyć ją, odmierzyć wodę, wlać do wanny i uważać, aby przy tym nikogo nie oparzyć. Bérczes nigdy nie naprawiał swoich wozów. Były zniszczone i zbutwiały. Pewnego dnia przed wyruszeniem w drogę ojciec Antala przykucnął pod jednym z nich, żeby coś naprawić, i wtedy wóz załamał się, czop wyskoczył z beczki i cały wrzątek wylał się na plecy woziwody. Zaniesiono go do domu i aż do śmierci nie odzyskał przytomności. Przez te parę godzin życia wykrzykiwał tylko najgorsze przekleństwa.

Dziadkowie Antala mieli za dużo kłopotów na głowie, aby się mogli pograżyć w żałobie. Dziadek do samego świtu naradzał się z babką, jak najlepiej wykorzystać ten cios, który spadł na ich dom.

Bérczes uprzedził jakiegokolwiek ich działania, zapłacił. przez adwokata za pogrzeb, kazał im wręczyć trochę pieniędzy i powiedzieć, żeby nie drażnili go rozprowadaniem o tym, co się stało, ponieważ okazał dobrą wolę i może to w każdej chwili udowodnić. Wiosną tego samego roku dziadek poszedł do Bérczesa, który poszukiwał w tym czasie dozorca. Ale wtedy jeszcze go nie zatrudnił. Później natomiast, po wypadku, dał mu znać, że może przyjść do pracy i że dla dzieci również znajdzie się jakieś zajęcie przy źródle. Antal nosił błotnisty szlam na kąpiele borowinowe, ale nie wpuszczano go na teren prymitywnych łaźni.

Chłopak, który liczył sobie wtedy nie więcej niż osiem lat, wiedział, że obawiają się, żeby czegoś nie ukradł, gdyż biedacy nie nadają się do robót wymagających zaufania. Przecież pilnowanie dobytku jest o wiele trudniejsze niż otwieranie drzwi do kabin. Kogo stać na wynajęcie kabiny, a nie kąpie się we wspólnym dole z borowiną, temu można przy nadarzającej się okazji coś

niecóż świsnąć. Dziadek więc stróżował, a chłopak nosił błoto. Obaj zarabiali. Wśród rodzin woziwodów niejedni im zazdrościli.

Kiedys jakieś lewicowe pismo stołeczne zwróciło uwagę na sprawę ojca Antala. Poruszono ją nawet w parlamencie. Wtedy po raz drugi w domu dziadków zjawił się adwokat Bérczesa. Przyprowadził ze sobą dziennikarza, współpracownika jakiegoś rządowego pisma. Zaskoczyli staruszków, którzy tak się przestraszyli obcego człowieka notującego ich bełkot, że wszystko pozostawili do załatwienia adwokatowi. Ten zaś oświadczył, że pan Bérczes nie tylko pamięta i troszczy się o los starych rodziców ofiary nieszczęśliwego wypadku, ale skłonny jest nawet kształcić syna woziwody, który zdradza pewne zdolności do nauki. Może go umieścić w internacie znanego gimnazjum w pobliskim mieście.

Dziadek przysłuchiwał się temu w milczeniu. Bardziej by się ucieszył gotówką. Babcia płakała. Babcia przy każdej okazji płakała, bo zawsze była czymś przerażona. Przecież ciągle istnieje jakiś powód do łez. Ale tym razem poruszyło ją coś więcej, z czego nie umiała sobie zdać sprawy. Coś, co było równie nieuchwytnie jak cień przelatującego nad polem ptaka. Antal ryczał i bronił się. W pracy czuł się znakomicie. Oczy babci nagle obeschły i patrzyły tak, jakby spostrzegły coś bardzo dalekiego, coś, czego nikt inny nie widział. I stała się dziwna rzecz, która nie zdarzyła się w ciągu długich lat ich małżeństwa – odezwała się w obecności męża. Powiedziała, że o ile jej mąż nadal zostanie dozorcą u pana Bérczesa, a chłopak będzie się kształcić, to ona sądzi, że nie będą mieli żadnych dalszych żądań ani zastrzeżeń w stosunku do chlebowawcy.

Antal bronił się zażarcie i wierzgał, kiedy wsadzali go na wóz. Adwokat Bérczesa zawiózł go do miasta. Musieli się dwa razy zatrzymać po drodze, bo chłopak zeskoczył z wozu i jak psiak pędził z powrotem do swojej wioski.

Poza świadectwem ukończenia czterech klas z wynikiem dobrym żadne dobra doczesne nie obciążały jadącego do miasta. Świadectwo to było wynikiem skromnych wymagań i pobłażliwości nauczyciela z Dorozs, gdyż Antal umiał zaledwie czytać i pisać, a o podstawowych wiadomościach nie miał pojęcia. W ciągu roku zaglądał do szkoły tylko przez kilka tygodni, w jesieni i na wiosnę, kiedy miał trochę wolnego czasu i całe buty. Nauczyciel nie notował nawet dziesiątej części jego nieobecności, bo mógłby się przez to narazić swoim władzom.

Gmach, w którym mieścił się internat, liczył pięćset lat. Daniel Bérczes przez trzy kwartały w roku dostarczał nauczycielom wodę leczniczą za naukę Antala. Przez pierwsze dwa lata wychowawcy sądzili, że źle postąpili przyjmując do internatu tego chłopca, który nie umiał dosłownie nic. Poza tym był grubiański, przekorny, bił się z chłopcami i w ogóle w niczym nie przypominał zastraszonego wiejskiego wyrostka. Nienawidził nauki i kiedy mu się tylko udawało, uciekał przez furtkę i wałęsał się po mieście. Kiedy zaś zobaczył wóz Bérczesa znikający pod sklepieniami bramy, której wnęki z obu stron ozdobione były wizerunkami założycieli klasztoru – książąt



siedmiogrodzkich i dawno zmarłych biskupów – wybuchał stekiem straszliwych przekleństw, sam zresztą nie bardzo wiedząc dlaczego.

Internat w porównaniu z Dorozs był rajem.

Pod koniec drugiego roku, kiedy jako tako nadrobił ogromne braki, powoli zaczął zapalać się do nauki. Niemniej nadal wyczekiwał na wóz z Dorozs i woziwodę. Przekleństwa Antala nie były skierowane do niego. Kłaniał mu się z większym szacunkiem niż wychowawcom w szkole. Koledzy z czasem przestali z niego kpić. Antal jako sierota cieszył się wśród nich dużym autorytetem, był odważny, kłął jak nikt inny i bił się skutecznie. Na początku ani łagodnością, ani karą wychowawcy nie byli w stanie skłonić go do nauki, co było rzeczą wręcz niespotykaną w wypadku darmowych uczniów. Za niego płacono wodą, nie gotówką, a jego ojciec zmarł w okolicznościach, jakimi żaden inny chłopiec nie mógł się poszczycić.

Bérczes nie troszczył się o chłopca. Nie przysyłał mu nawet najdrobniejszej kwoty pieniężnej. W internacie miał utrzymanie i dach nad głową. Ponadto kształcono go. To powinno wystarczyć. Na Boże Narodzenie i Wielkanoc pozostawał sam w całym gmachu.

Służba lubiła go. Antal z nudów chętnie pomagał im w pracy. Poza tym nie musieli dla niego specjalnie palić w sypialni. Podczas wakacji spał u kucharza. W lecie któryś z woziwodów zabrał chłopca do domu. Kiedy po pierwszym roku nauki w gimnazjum przyjechał do Dorozs z okropnym świadectwem, ubrany na wpół po wiejsku, na wpół po miejsku, patrząc spode łba na obce otoczenie w uzdrowisku, babka załamała ręce. Czymże nakarmi tego drągala, który wyrósł na olbrzyma na szkolnym wikcie?! Ale okazało się, że w mieście wcale nie zrobił się z niego próżniak. Natychmiast zdjął buty, rozebrał się i w samych tylko spodenkach pobiegł do źródeł, aby się zabrać do pracy. Zarobek przynosił do domu. Aż żał było potem dziadkom puścić go z powrotem do miasta.

Miał trzynaście lat i był w trzeciej gimnazjalnej, kiedy zasmakował w nauce. Dogonił swoich kolegów i wszyscy przekonali się, że ma wyjątkowo tęgą głowę i jest bardzo pilny. Literatura nie interesowała go specjalnie, natomiast pasjonował się geografią, przyrodą i matematyką. Nawet gramatyka go ciekawiła, chociaż przedmiot ten nie był zbyt popularny w jego klasie. Przyswajał sobie z ochotą każdą naukę opierającą się na logice. Nagle wszystko, co dawniej było obce i niepojęte, zaczęło mu się wydawać jasne i przystępne, jakby opadła zasłona ciemności, przepuszczając promienie wiedzy i olśnienia. W tym nowym świetle wiele stało się dlań zrozumiałe. Zobaczył nagle swoją matkę, której twarzy nigdy nie widział, i pojął wszystko. Zobaczył w nowym świetle ojca, dziadków i Daniela Bérczesa z jego wozami. Widział ich prawdziwych, takich, jakimi byli w istocie lub jakimi mogli być. Jeśli wóz z wodą zjawiał się w godzinach, kiedy w szkole obowiązywała cisza, prosił, aby mu pozwolono wyjść i pomóc woziwodom. Było to zajęcie niebezpieczne, ale młody wychowawca nie orientował się w tym myśląc, że chłopiec traktuje to jako rodzaj sportu. Antal całe swoje dotychczasowe życie spędził w pobliżu źródła. Furman i woziwoda wierzyli, że to woda lecznicza

przywołuje do siebie zbiegającego z piętra chłopca, który kiedyś i tak wróci do dawnego zajęcia ojców. Niby dlaczego miałby nie wrócić? Bérczesa prędzej czy później znudzi własna dobroczynność i odeśle chłopca tam, skąd przyszedł, bardzo więc dobrze, że uczy się teraz pracy, którą będzie wykonywał przez całe życie.

W następnym roku Antal poprosił o rozmowę z dyrektorem szkoły. Dyrektor się zdziwił. To on wzywał uczniów, a nie przyjmował każdego z byle głupstwem. Znał dobrze Antala. Z początku mówiono o nim z lekką ironią, lecz z czasem dyrektor nabrał dla chłopca szacunku. Nie miał jeszcze nigdy ucznia, za którego płacono by wodą.

Wychowawcy, cierpiący na reumatyzm, dzięki Antalowi mogli się leczyć do woli.

Kiedy chłopiec wszedł do gabinetu, dyrektor przyjrzał mu się uważnie. Niezgrabny czternastoletni dryblas wiejski w źle skrojonym ubraniu. Czwartoklasista poprosił dyrektora, aby mu umożliwił przebywanie w internacie bez pomocy Daniela Bérczesa, w zamian za udzielanie korepetycji słabszym uczniom lub za jakąkolwiek inną pracę wykonywaną w szkole. Chciałby pracować, żeby samemu zarobić na naukę i utrzymanie.

Dyrektor był wybitnym specjalistą od łaciny i greki, namiętym zwolennikiem starożytności. Wszelkie męskie cnoty, jak dzielność, ambicja oraz piękno, w jego mniemaniu wywodziły się ze świata antycznego. Piastując wysokie stanowisko w szkole, nie musiał wykładać. Ale rokrocznie zatrzymywał dla siebie kilka klas z samego zamiłowania do uczenia. Wierzył głęboko, że wpływ starożytnego Rzymu i Grecji może korzystnie oddziaływać i kształtować młode pokolenie. Antal doskonale sobie radził z łaciną. Jego chłonny, analityczny umysł pomagał mu w przewycięzaniu trudności językowych.

„Oto wyniki naszego systemu wychowawczego” – pomyślał dyrektor i przed oczyma zamajaczył mu Kapitol na jednym z siedmiu wzgórz i nigdy nie widziane, lecz po stokroć wyimaginowane oblicze Romulusa. Natomiast przed oczyma chłopca przemknął obraz ojca z roztrzaskanym ramieniem. Dorozs, borowina – obraz nie mający wiele wspólnego z łaciną i światem antycznym, lecz ściśle związany z krajobrazem naddunajskim. Ale o tym trudno było mówić. Nie rozumiał, dlaczego dyrektor jest tak uradowany, wyczuł jednak, że jego prośba spotkała się z życzliwym przyjęciem. Ucieszył się.

Dyrektor tymczasem rozmyślał z politowaniem o biednym kierowniku niedawno otwartej szkoły ogólnokształcącej. On nigdy nie będzie miał podobnych przeżyć, po prostu nie może ich mieć. Podniósł się z miejsca, poklepał chłopca po okrągłej głowie, zacytował Horacego i obiecał, że pomówi z panem Bérczesem, a sprawę Antala osobiście przedłoży wraz ze swoim poparciem radzie pedagogicznej.

Chłopiec stuknął obcasami, jak go tu nauczono, a dyrektor z rozrzewnieniem patrzył, jak oddala się miniaturowy *civis Romanus*.

Kiedy Antal znalazł się na korytarzu, mruknął pod adresem Bérczesa coś wielce szpetnego z repertuaru swego ojca. Przechylił się przez żelazną poręcz,

która od półtora wieku, od czasu odbudowania klasztoru po wielkim pożarze, zabezpieczała drewniane schody, i pocałował ją jak coś żywego.

Dyrektor wzruszony spacerował po gabinecie obiecując sobie święcie, że tego chłopca nigdy nie opuści. I w taki oto przypadkowy sposób Antal otrzymał wychowanie od człowieka, który go karmił ideałami antycznego świata i klasyką. Kiedy Antal był na uniwersytecie, jego opiekun umarł nie mając pojęcia, kogo wychował.

Bérczes był wniebowzięty, że pozbył się chłopaka. O sprawie woziwody już dawno zapomniano w Budapeszcie, a przedsiębiorca lubił, żeby mu za wodę płacono. W internacie Antal udzielał korepetycji tak wielu uczniom, że z powodzeniem zarabiał na swoje miesięczne utrzymanie. *Sub pondere crescit palma* – myślał dyrektor „Katon”, ilekroć widział Antala w portierni z przepustką w ręku, wychodzącego do pracy.

Chłopak ogromnie imponował niektórym ze swoich kolegów. Aż do matury zwolniony był od płacenia czesnego, a ubranie i bieliznę otrzymywał od koła dobroczynnego kobiet.

Nawet latem przestał jeździć do rodziny. Dyrektor umieszczał go podczas wakacji w domach innych uczniów z okolicy. Byli to synowie ziemian albo miejscowej inteligencji. W jesieni Antal wracał do szkoły, pełen sił, opalony, a jego uczniowie z pomyślnym wynikiem zdawali egzaminy poprawkowe. Matki nie darzyły go zbyt dużą sympatią, gdyż w wypadku kiedy synalkowie nie chcieli się uczyć, a dobre słowa nie pomagały, bez żadnej złości czy uniesienia wlepił im lanie i traktował uczniów jak lekarz pacjentów, którym zapisuje się gorzkie pigułki.

Na książki nie starczało mu już pieniędzy. Kupował natomiast gazety, które kosztowały grosze, a przecież z nich także można się było wiele dowiedzieć – przede wszystkim o polityce. Kiedyś dyrektor zastał go w sypialni, zagłębionego w czytaniu gazety. Studiował pilnie jakiś artykuł redaktora działu polityki zagranicznej.

Dyrektor nie lubił, kiedy jego wychowankowie czytali gazety. Szkoła nie należała do zacofanych. Wprost przeciwnie, niegdyś cieszyła się nawet opinią postępowej ze względu na swobodę poglądów i szersze horyzonty myślowe wykładowców. Gimnazjum powinno było otrzymywać o wiele większe poparcie ze strony państwa, niż to miało miejsce w rzeczywistości, lecz właśnie ze względu na swoje zbyt liberalne zasady, zajmowało dość dalekie miejsce na liście subwencyjnej.

Przez pewien czas szkoła miała wiele kłopotów z władzami państwowymi. Poprzedni dyrektor w 1920 roku został nawet zwolniony z zajmowanego stanowiska. Jego następca był zwolennikiem postępu umiarkowanego i szczerze się lękał, że chłopak, którego tak polubił, może pójść niebezpieczną w jego pojęciu drogą. Antal z zapalem bronił swoich racji. Nie ustąpił nawet wtedy, kiedy dyrektor w drodze wyjątku pozwolił mu korzystać nie tylko z biblioteki szkolnej, ale również ze słynnej biblioteki profesorskiej. Antal odpowiedział na to, że w bibliotece są przeważnie dzieła klasyczne, a on chce się dowiedzieć czegoś o sprawach aktualnych.

„Jest za młody – myślał ze wzruszeniem „Katon” – ma zaledwie szesnaście lat. Może interesuje go raczej nowoczesna literatura miłosna, dziwaczne wiersze, których nie rozumie nikt poza ich autorem. Młodzieżą nie kieruje rozum, lecz uczucie. Antal chce mieć własną bibliotekę. To też jest pasja godna pochwały. Cycero również zbierał niezliczone ilości zapisanych zwojów i trzymał je w stenogramach na dnie *scrinium*. Ambicja godna pochwały, szkoda byłoby ją zaprzepaścić. Syn Mitasiów już teraz biega za spódniczkami i kurzy papierosy. Ten zaś tęskni za książkami, niechże je więc ma.”

Aha, kiedy to zwykł przychodzić do internatu Wincenty Szöcs? Dyrektor znał sędziego. Kiedyś byli szkolnymi kolegami. Chodzili do tej samej szkoły. Ale potem Szöcs zapisał się na prawo, a on został pedagogiem. Wincenty był sierotą. Wychował go jakiś nauczyciel. Był cichym, spokojnym studentem, niezbyt lubił łacinę, ale świetnie zdał egzamin z prawa rzymskiego. Kiedy skończył studia, został rejentem w sądzie.

Kiedyś, w okresie świąt Bożego Narodzenia, sędzia Szöcs przyszedł do szkoły; obracając w ręku laskę, wbiegł na drewniane schody i wchłaniał zapach znanych mu murów. Dopóki go nie zwolniono ze stanowiska, często tu wpadał, właściwie zawsze, ile razy tędy przechodził.

Szöcs był lojalny wobec dawnej szkoły. Wręczał czasem dyrektorowi pewną sumę i był ogromnie zażenowany, kiedy to czynił, jak zawsze zresztą, gdy chodziło o sprawy pieniężne.

Zwierzył się raz dyrektorowi, że również i jego wychowywali obcy ludzie, nie ojciec. Dlatego chce pomóc komuś w szkole. Nie może dać wiele, ale zawsze jakąś kwotę, która się może komuś przydać. Na każde Boże Narodzenie przynosić będzie pewną sumę dla dziecka, które jest tak ubogie jak on niegdyś. Trzymał w ręku kopertę, położył ją na stole i szybko wyszedł z pokoju. Dyrektor chciał coś powiedzieć i zawołał go, ale Wincentego już nie było.

Zawsze w okresie świąt Bożego Narodzenia sędzia zjawiał się w szkole z dość dużą sumą pieniędzy. Bardzo się ucieszył, kiedy dyrektor powiedział mu, kto ją otrzymuje. Kazał sobie pokazać tego chłopca przez okno. Ale kiedy chciano mu go przedstawić, wykręcił się. Potem do dyrektora doszły słuchy, że Szöcsa zwolniono z pracy, i myślał, że go już więcej nie ujrzy. Ale w okresie świąt sędzia znowu się zjawił. Przyszedł wieczorem, jak ktoś, kto się wstydzi pokazać za dnia. Zeszczuplał i postarzał się, ale jakoś wydorósł, jakby dopiero teraz stał się mężczyzną. Wincenty Szöcs przez długi czas nie robił wrażenia człowieka dojrzałego. Może dlatego, że był wyjątkowo miły, może nawet zbyt miły jak na mężczyznę. Dyrektor przyjął jego dar z podwójną serdecznością, ponieważ Wincenty postąpił w myśl zasad wyniesionych ze szkoły: litera prawa jest święta, a sprawiedliwość tylko jedna. Widząc go teraz u siebie „Katon” pożałował, iż nie odwiedził sędziego natychmiast po ciosie, jaki na niego spadł. Wincenty na pewno bardzo by się ucieszył.

Szöcs nie zabawił długo. Suma, którą tym razem przyniósł, była naprawdę skromna. Powiedział, że te pieniądze można będzie zużytkować na zakup

tylko jednej, najwyżej dwóch książek. Na pewno znajdzie się jakiś uczeń, który lubi czytać. Pożegnał się i wyszedł.

Dyrektor patrząc na jego stary, zniszczony płaszcz pomyślał, że może nie powinien był przyjmować tych pieniędzy. Ale przyjął je tak jak co roku. Suma wynosiła dwanaście pengö.

Wtedy, w 1933 roku, kiedy sędzia przyniósł pieniądze, dyrektor wezwał Antala. Chłopiec nie chciał przyjąć daru, nawet gdy go zapewniono, że pieniądze są przeznaczone na książki, które miały zapoczątkować jego bibliotekę. Upierał się, twierdząc, że może przyjąć jedynie te pieniądze, które sam zarobi. Dyrektor przyglądał mu się ze wzrastającym podziwem. Chłopiec spojrział w kierunku wskazanym mu przez wychowawcę. Zobaczył przez okno drobnego, źle ubranego siwego mężczyznę, który bojaźliwie okrażał empirowy cokół pomnika dłuta holenderskiego rzeźbiarza.

– Pieniądze pochodzą od tego człowieka, który idzie tam koło pomnika. On również był synem wieśniaka, jak ty, i nic nie płacił za internat. Cała wieś go wspierała. A potem, odkąd zaczął zarabiać, przeznaczał pewną sumę na szkołę. W dwudziestym trzecim roku przepędzili go z pracy. Od tego czasu nie stać go na hojniejsze dary, ale przynosi pieniądze przynajmniej na kilka książek.

– Przepędzili go? – zapytał chłopak.

Jego głos brzmiał bezbarwnie. Nie okazywał żadnego zainteresowania. To właściwie nawet nie było pytanie, ale raczej obojętne stwierdzenie faktu. Tak jakby zabieranie głosu w tej sprawie uważał za nietakt.

– Był sędzią – powiedział dyrektor i jeszcze raz wyciągnął w stronę ucznia rękę z kopertą. Zależało mu na tym, żeby chłopiec nie myślał, iż Szöcs ukradł coś albo popełnił jakieś przestępstwo, a on mimo to przyjmuje od niego pieniądze. Dodał więc: – Mówią, że powodem tego był jakiś wyrok. W owym czasie na terenie województwa wybuchł strajk żniwiarzy...

Antal skłonił głowę i powiedział, że z wdzięcznością przyjmuje pieniądze. Dyrektor spojrział na niego uradowany. Był dumny z Antala, jakby to był jego własny syn. Dopiero w momencie kiedy chłopiec cicho – jak go uczono – zamknął za sobą drzwi, dyrektor poczuł się nieswojo. Śmiałyby się sam z siebie, gdyby miał się przyznać, że przeląkł się nieoczekiwanej namiętności w oczach chłopca, która przeobraziła jego zwykle obojętną, wychudzoną twarz i zniknęła nagle, jakby pod wpływem jakiegoś wewnętrznego nakazu. Dyrektor sam nie był pewny, czy go wzrok nie mylił.

## Rozdział II

Maturę, ze względu na język węgierski, zdał tylko na czwórkę. Nigdy nie potrafił napisać porządnego wypracowania z węgierskiego. Nudziło go ujmowanie tematu według ustalonego wzoru: wprowadzenie, rozwinięcie i zakończenie, a już absolutnie nie interesowała go węgierska literatura XIX wieku.

Do tradycji szkoły należało już, że na przewodniczących Maturalnych Komisji Egzaminacyjnych powoływano byłych wychowanków szkoły, którzy z czasem stali się znakomitościami miasta. Profesor Dekker z dziecięcym zainteresowaniem wczytywał się we wszystkie wypracowania; pracę Antala odłożył jako jedyną, która dawała pełny obraz węgierskiej literatury, ale pracę tę Antal napisał w formie suchej, robiącej wrażenie spisu treści lub bibliografii do jakiejś rozprawy naukowej. W czasie ustnego egzaminu chłopca profesor przysłuchiwał się jego odpowiedziom ze specjalnym zainteresowaniem. Sposób mówienia Antala był zwięzły, chłodny, poprawny. Znał doskonale przedmioty ścisłe, natomiast unikał patosu i nie bawił się w barwne opisy dawnych dziejów. Był tak zajęty przygotowaniem się do odpowiedzi, że prawie zapomniał o obecności profesora. Gnębiły go poza tym inne myśli. Nie wiedział, czy będzie przyjęty na uniwersytet, czy mu obniżą czesne i czy „Katonowi” uda się wtłoczyć go do zagęszczonego ponad miarę Akademika.

Był mile zdziwiony, kiedy po ogłoszeniu wyników maturalnych sam przewodniczący komisji obiecał mu poparcie w tej sprawie. Dekker w owym czasie znał już z opowiadań dyrektora dzieje syna woziwody. A właśnie w tym roku on został dziekanem. Kiedy wciągnięto Antala na listę studentów pierwszego roku, dziekan podał mu rękę, zatrzymał go u siebie i powiedział:

– Nie chciałbym, żeby się pan wdawał w politykowanie. – Mówiąc to obserwował swoje przykrótkie palce. Nie była to ręka lekarza, lecz zapaśnika.

Spojrzał na młodego człowieka i szybko odwrócił wzrok. Antal pasjonował się polityką, a, o Dekkerze wtedy jeszcze nic nie wiedział.

– Niech się pan uczy i myśli – mówił dalej dziekan. – To nie jest rozkaz, lecz pobożne życzenie.

W gimnazjum chłopcy z internatu omawiali wszystkie wydarzenia światowe. Orientowali się też w lewicowym ruchu młodzieżowym wśród studentów. Antal sądził, że profesor to właśnie miał na myśli, radząc mu trzymać się z dala od polityki. Wstał i patrzył na profesora. Nie powiedział ani tak, ani nie. Dekker pozwolił mu odejść.

Antal nie potrzebował dużo czasu, żeby się zorientować w sytuacji na uczelni. Kiedy w październiku zaproponowano mu przystąpienie do korporacji, wykręcił się, tłumacząc swoją decyzję wielkim nawałem pracy, co zresztą było prawdą. Teraz musiał się troszczyć o siebie sam. Już nie mógł korzystać z darów dobroczynnych kół kobiet ani innych pomocy społecznych.

Tymczasem Dorozs też przestało być dla niego podpora. Dziadkowie już nie żyli i nie miał nikogo bliskiego. Smutna to była świadomość – oznaczała zupełne osamotnienie. A on lubił czuć się za kogoś odpowiedzialnym i chociaż jego stosunki z dziadkami miały raczej podłoże materialne niż uczuciowe, brak ich odczuł jako dotkliwą stratę.

Słowa Dekkera dopiero po jakimś czasie stały się dla niego zrozumiałe. Któregoś dnia spotkał profesora *in plenis coloribus* w auli, idącego w gronie profesorskim na spotkanie z młodzieżą. Kiedy dziekan zobaczył Antala, dotknął dwoma palcami ozdobionego złoceniami biretu i zatrzymał się. Wzdłuż korytarza stały palmy, a na szklanym dachu auli bielił się śnieg. Zapalone były tylko boczne kinkiety i ich światło odbijało się blaskiem na marmurowej powierzchni ścian.

– Jest pan w cywilu? – zapytał Dekker zatrzymując wzrok na jego kapeluszu. – Nie idzie pan?

Antal z pobłażliwą życzliwością przyglądał się bogatym insygniom połyskującym na profesorskiej szacie.

– Nie należę do korporacji – odpowiedział.

Dekker zdjął bilet i zagłębił krótkie palce w gęstą czuprynę.

– Cieszę się, że mnie pan usłuchał – powiedział i odwrócił się w stronę schodów.

Dekker nigdy w życiu nie chodził normalnym krokiem. Albo spacerował, albo biegał. Tego dnia pędził. Antal patrzył za nim i czuł, że go lubi.

Później, już w czterdziestym piątym roku, Antal stał na czele komisji rozpatrującej sprawę Dekkera. Nie zabierał głosu, dopóki któryś z członków komisji nie wyjaśnił, dlaczego profesor nie może nadal zachować swojej katedry i jak poważnie zaważyła na tym jego działalność społeczna z okresu wojny. Wtedy dopiero odezwał się Antal i ujawnił rolę Dekkera. Przedstawił jego działalność społeczną w prawdziwym świetle, odsłaniając całą prawdę, kryjącą się za zewnętrznym blichтром insygniów profesorskich. Mówił o ważnej roli Dekkera w ruchu oporu, o jego mądrych posunięciach, niesłychanej odwadze w przeprowadzaniu sabotaży w klinice podczas ewakuacji miasta. Profesor był wściekły. Machnął ręką, mówiąc, że to wszystko idiotyzm. Nie cierpiał, kiedy go chwalono.

Sprawy erotyczne w życiu Antala były raczej nie skomplikowane. O ile dość trudno radził sobie z tymi problemami w internacie, o tyle w akademiku wszystko stało się nagle bardzo proste. Bawił się i szalał na zabawach urządzanych przez medyków w mieście. Antal został przyjęty na uniwersytet w 1935 roku. W owym czasie studentów rozpierała duma i zachłystywali się własną ważnością, uważając za szczytowe osiągnięcie wejście na bojową drogę kariery lekarskiej. Zniknęły wszelkie hamulce i z zupełną swobodą oddali się uciechom erotycznym.

Antal oczywiście przyjmował od koleżanek to, co mu ofiarowywały, a w zamian dawał im tyle, ile wymagały tego względy grzecznościowe. Obtańcowywał dziewczęta i pomagał im przed egzaminami. Cierpliwie wysłuchiwał ich żalów. Na uczelni były cztery wydziały, ale studenci

mieszkali wszyscy razem, niezależnie od fakultetu, na jaki uczęszczali. Antal żył w zgodzie ze wszystkimi współmieszkańcami, ale przyjaciół dobierał sobie ostrożnie. Aktywiści ruchu młodzieżowego dali mu spokój. Widocznie Dekker obronił go przed ich nagabywaniem, tłumacząc go doskonałymi osiągnięciami w nauce i trudnymi warunkami materialnymi. Były to dostatecznie silne argumenty, aby nie musiał włączać się do aktywu młodzieżowego na uczelni. Pewnego razu sam przewodniczący obronił go przed zarzutami kolegów, iż rzekomo lekceważy sobie związek. Oświadczył, że Antal uczy żydowskie dzieci i zarabia na utrzymanie w domach bogatych adwokatów i lekarzy, którzy nie wpuściliby go za próg, gdyby się dowiedzieli, że jest członkiem znanego ruchu antysemickiego.

Jego światopogląd i zmysł krytyczny uformowały się jeszcze w latach chłopięcych. Dojście do władzy Hitlera i sytuację na Węgrzech w latach trzydziestych obserwował i śledził razem ze wszystkimi kolegami. Czuli się wówczas jak młode, czające się lwy w klatce, ale wiedzieli, że kiedyś nadejdzie czas skoku i że wtedy przydadzą im się mocne mięśnie.

Na pogrzebie dawnego dyrektora szkoły śpiewał wraz z innymi pieśni żałobne. Ze łzami w oczach stał przy katafalku i po raz ostatni patrzył na swego mistrza, zagorzałego wielbiciela cnót rzymskich bohaterów, który lepiej orientował się w świecie antycznym niż wśród synów własnego narodu.

Na pogrzebie tym Antal spotkał po raz drugi Wincentego Szöcsa. Poznał go natychmiast, mimo że sędzia mocno się zmienił od tamtego czasu. Ubranie miał jeszcze bardziej zniszczone i był o wiele szczuplejszy niż wtedy, kiedy Antal widział go po raz pierwszy stojącego w za cienkich jak na zimę butach pod pomnikiem dłuta holenderskiego rzeźbiarza.

Szöcs stał przed kaplicą, w tyle, z dala od katafalku. Robił wrażenie człowieka, który nie może się zdecydować, czy wejść, czy też zostać na uboczu, bo może jego pojawienie się w tym miejscu rzuci jakiś cień na pamięć dawnego kolegi. Kiedy kondukt pogrzebowy ruszył z miejsca, Szöcs również znalazł się na jego końcu, rozglądając się bacznie w koło, żeby w razie jakiegoś nieprzychylnego spojrzenia wycofać się i zniknąć wśród grobów.

Nikt jednak nie zwracał na niego uwagi, a ci, którzy mu się kłaniali, byli pogrążeni w smutku i nie objawiali żadnych innych uczuć poza bolesną powagą należną w takiej sytuacji.

Wincenty Szöcs nie był sam. Prowadziła go pod rękę młoda dziewczyna, wyjątkowo zgrabna i wyższa od niego. Antalowi trudno się było zorientować, ile mogła mieć lat. Była dziecięco szczupła, ubrana jak podlotek, tylko rękawiczki miała za luźne, jakby pożyczone, a torebkę starą i zniszczoną. Jej czoło, twarz, a przede wszystkim oczy wprawiły go w zdumienie. Dziewczyna miała wyraz twarzy młodego żołnierza stojącego na warcie. Prowadziła Wincentego w taki sposób, jakby podpierała człowieka po ciężkiej chorobie, którego powierzono jej opiece, a ona zastanawia się, czy aby powietrze nie jest zbyt ostre dla rekonwalescenta. Jej oczy o nieruchomych powiekach z uwagą obserwowały tłum żałobników.



Później, kiedy chciał przywołać w pamięci twarz Izy, zawsze ukazywało mu się to młodzińcze oblicze bez określonego wieku, żołnierskie, czujne spojrzenie, jej za obszerne rękawiczki, nie umalowane usta i zawsze widział ją prowadzącą Wincentego pod rękę.

Antal był razem z Dekkerem. Profesor nazywał go już po imieniu. Kazał mu pracować przy sobie, jakby chciał go wychować na swego asystenta. Od lat prowadził z nim namiętne dyskusje polityczne.

Dekker nie rozglądał się. Patrzył w ziemię. Męczyła go i nudziła ceremonia pogrzebowa. Według jego filozofii śmierć była sprawą czysto osobistą. Pozagrobowe życie duszy uważał za ludowy zabobon i fantazję. Ale przyszedł tu, ponieważ lubił tego Rzymianina-protestanta. Przyszedł, żeby uczcić pamięć ich wspólnych przeżyć z lat młodzińczych, kiedy zabawiali się przy kieliszku zawodząc pijackie pieśni. Brodził po jesiennym błocie i mrucał do siebie:

– Dłaczego, na Boga, ten stary „Katon” nie kazał się spalić na stosie? To właśnie byłoby w jego stylu. Mogłoby się to wszystko odbyć tu, na tym placu.

Nie Dekker, lecz Antal zauważył, iż Wincenty Szöcs pragnie mu coś powiedzieć. Nietrudno było to spostrzec. Od chwili kiedy zalęknione spojrzenie sędziego zatrzymało się na profesorze, już się od niego nie oderwało. Wincenty Szöcs szepnął coś do dziewczyny, a ta jeszcze bardziej się wyprostowała. Cały czas trzymała się prosto jak łodyga kwiatu, ale teraz jakby nagle urosła. Antal zwolnił kroku. Po chwili zrównali się z tamtymi. Nie wypadało zwrócić Dekkerowi uwagi, żeby się obejrzał, ale wreszcie sam profesor zauważył Szöcsa i uklonił mu się z szacunkiem. Po twarzy sędziego przemknął jakby nieśmiały promień nadziei. Dziewczyna czujnie obserwowała profesora taksującym spojrzeniem, jak człowiek, który ocenia, ile coś jest warte.

Antal bardzo, rzadko odczuwał jakiś przymus wewnętrzny. Jeżeli jednak zdarzało mu się to, poddawał się. Właśnie taki przymus kazał mu pójść do gabinetu „Katona”, żeby zaofiarować swoją pracę w zamian za wodę Bérczesa. Antal czasem kierował się instynktem. Kiedyś, będąc jeszcze na trzecim roku studiów, siedział w pokoju Dekkera. Profesor po raz pierwszy poczęstował go kawą i właśnie wtedy młody człowiek wyczuł, czego może się spodziewać po swoim profesorze i jakim człowiekiem jest on w rzeczywistości. Ten sam instynkt podszeptał mu teraz, żeby się trzymał rodziny Szöcsów. Ta dziewczyna musiała być córką sędziego. Dziwna dziewczyna – żołnierz o podłużnych oczach.

Przez długie lata Antal kupował sobie co roku książki za dwanaście pengö. Ciekaw był, czy „Katon” wspomniał Szöcsowi o tym, kto otrzymuje te pieniądze.

Dekker przerwał jego rozmyślenia. Pożegnał go mówiąc, że spotkają się później w klinice, bo teraz ma coś ważnego do załatwienia z przyjacielem. Profesor cofnął się o kilka kroków i ujął Szöcsa pod ramię. Nawet nie spojrzał w stronę dziewczyny.

Organista zaintonował żałobną pieśń nad trumną. Dekker nie zwrócił na to uwagi. Tłumaczył coś półgłosem sędziemu, który nabierał coraz żywszych rumieńców w miarę słów profesora. Równocześnie z pojawieniem się kolorów na twarzy w nim samym zaszła widoczna zmiana, w całej jego postaci pojawiło się nagle coś, czego Antal dotychczas nie dostrzegł; jakby odradzająca się pewność siebie. Antal zobaczył nagle w wyobraźni sędziego jako młodego, czupurnego człowieka, z zaczepnym uśmiechem na ustach, leżącego w lesie pod dębem na jakimś pikniku, z gałkawką wina w ręku. Częstuje „Katona” i śmieje się, zarumieniony, pełen młodzieńczej werwy i nadziei.

Dyrektora pochowano, ale ani sędzia, ani profesor nie zwrócili na to uwagi. Dziewczyna patrzyła na grób. Nie modliła się jednak. Twarz miała napiętą, uprzejmą, jakby była kimś obcym wśród tego tłumu wierzących, ale nie chciała obrazić niczyich uczuć religijnych. Po pogrzebie Dekker nadal pozostał z Szöcsem, rozmawiając z nim w cieniu bocznej kaplicy. Antal nie miał okazji podejść do nich, żeby poznać młodą dziewczynę. Wrócił na uczelnię w złym humorze. Przełknął coś niecoś w stołówce. Korepetycje miał dopiero po południu.

Zatrzymał się na półpiętrze przed tablicą z ogłoszeniami. Znajdowała się tam również skrzynka na listy. Zawsze go bawiło, że tylko on jeden spośród asystentów nigdy nie otrzymywał listów. Rzucił okiem na terminy dodatkowych egzaminów, na zarządzenia rektora i przyjrzał się liście nowo przyjętych studentów. Znowu jest ich tylu, a potem nie wiadomo, co z nimi począć. Wysyła się ich po studiach do Siedmiogrodu i na tereny odzyskane od Czechów. Wysyłają ich tam, jakby nie wiedzieli, że za rok, dwa, ziemie te znowu zmieniają gospodarzy.

W prawej rubryce listy, po stronie „nieprzyjętych” widniało tylko jedno nazwisko – Izabella Szöcs.

Tego popołudnia w czasie ćwiczeń ze studentami Antal był bardzo roztargniony. Chciał się zobaczyć z profesorem. Wiedział, że Dekker pod wieczór jeszcze raz odwiedza najciężej chorych na swoim oddziale. Szukał go więc wszędzie, ale nie mogąc go nigdzie znaleźć, miał nadzieję spotkać profesora przed portiernią. Obliczał, ile mu jeszcze zostało czasu do tego spotkania. Musiał się dowiedzieć, czy jego domysły były słuszne i jaki związek istnieje między Izabellą Szöcs, Wincentym i ich dzisiejszą rozmową na cmentarzu. Antal mówił sobie w duchu: „Nie jesteś osamotniona, dzielna dziewczyno. Kiedy przyjdiesz do nas na uczelnię, Dekker będzie się opiekował tobą i – czy wierzysz mi, czy nie – ja także. Nie tylko ze względu na twego ojca, ale również na ciebie, bo promieniuje od ciebie jakaś dziwna siła, tak rzadko spotykana u młodych kobiet.”

Wieczorem Dekker oznajmił bez ogródek, że wybiera się do rektora, aby przyjął na uczelnię córkę jednego z jego byłych kolegów szkolnych, której władze uczelniane nie mają odwagi umieścić na liście studentów, bo uważają, że jest równie „trędowata” jak jej ojciec. I po co takiej potrzebny dyplom?

– Przyjmą ją po dodatkowych egzaminach – dodał Dekker, popychając filiżankę w stronę małego porcelanowego słonia. Profesor nie znosił widoku czaszki, którą lekarze zwykli trzymać na swoim biurku. U kogokolwiek spostrzegł coś takiego, podnosił to, obwąchiwał, jakby wąpił w świeżość danego przedmiotu, przez co zresztą przysparzał mnóstwa kłopotliwych chwil jego właścicielowi.

Antal wiedział, że ta sprawa zakończy się tak, jak przepowiedział Dekker. Był rok 1941. Cały kraj ogarnięty był pożogą wojny. Chociaż wszyscy głośno utyskiwali na Niemców, znaleźli się również i tacy koledzy, którzy trzymali się z daleka od Dekkera. Ten zaś wsadzał dla kpiny biret na głowę tyłem do przodu i w dzień największego zwycięstwa hitlerowców śpiewał na całe gardło: „Wyniszczamy się, gubimy i jak snopy rozsypuje się nasz naród.” Kiedy rektor wezwał go, aby wytłumaczył się ze swego zachowania, Dekker bez zmrużenia powiek oświadczył, że był pijany. Wszyscy wiedzieli, że Dekker nie pije, o ile tylko może się od tego wykręcić. Pija jedynie mleko i soki owocowe, tak jak nauczono go za czasów studenckich w Szwecji.

Po dwóch tygodniach Antal drugi raz zobaczył Izę. Szła po schodach Akademii w tej samej krótkiej zniszczonej kurtce, w której była na cmentarzu. Pod pachą trzymała bardzo starą aktówkę. Usiadł i czekał, aż dziewczyna wypełni ankietę i zapłaci wpisowe. Nie miała żadnych ulg ani zniżek. Serce mu się ścisnęło, kiedy zobaczył, jak odlicza sto cztery pengö i wpisowe. Wincenty Szöcs był emerytem z konieczności, ale rokrocznie przynosił do szkoły dwanaście pengö na zakup książek. Co też sprzedali tym razem? Może nie jadają obiadów w tym miesiącu i nie będą w zimie palić w piecu?

Kiedy dziewczyna przystanęła na korytarzu, Antal odezwał się do niej:

– Cześć, fuksie! Jestem na waszym roku opiekunem. Przedstaw się wujciowi.

Iza zmierzyła go wzrokiem. Nie odpowiedziała. Spojrzała na tablicę orientacyjną, przybitą do ściany nad schodami, i skierowała się w stronę sali wykładowej wydziału lekarskiego. Antal poszedł za nią, ale Iza udała, że go nie widzi.

Studenci drugiego roku wychodzili właśnie z sali wykładowej. Ulla Deák mrugnęła okiem na Antala. Ogarnęła go wściekłość, kiedy dostrzegł w jej sennych oczach pożądanie, wywołane wspomnieniami minionego lata. Nieznacznie skinął jej głową. Iza szła przed siebie spoglądając na mijane kolejno drzwi i w końcu zatrzymała się przed wejściem do pokoju Dekkera.

Antal stał za jej plecami. Dekker jeszcze nie wrócił, zajęty był w wielkiej sali wykładowej. Kiedy się zapalił do jakiegoś tematu, nie interesowało go, czy był dzwonek, czy nie. Mówił dalej, dopóki hałasy na korytarzu nie przypomniały mu, że znowu się zagalopował w swoich wywodach.

Iza zapukała. Antal wyjął z kieszeni klucze do gabinetu Dekkera. Miał do niego wolny wstęp, ponieważ porządkował papiery profesora. Otworzył przed Izą drzwi.

– Proszę wejść.

Dziewczyna stała w miejscu. Uparcie patrzyła w kamienną posadzkę, jakby z jej mozaikowego wzoru chciała odczytać klucz do tajemniczego szyfru. Antal zamknął drzwi i zbliżył się do niej. Ich twarze dzieliło nie więcej niż pięć centymetrów. Ale chłód bijący od Izy sprawiał, jakby dzieliły ich metry.

Później, po wielu latach, nawet wtedy kiedy Iza przestała już być jego żoną, pamiętał, że zakochał się w tej dziewczynie od pierwszego wejrzenia i pragnął związać z nią swoje życie.

Nareszcie nadszedł Dekker. Otworzył przed Izą drzwi i przywołał Antala. Powieki jej lekko drgnęły i chłodno pozdrowiła młodego człowieka nie podając mu ręki.

– Antal będzie pani we wszystkim pomagał. Proszę się stosować do jego rad i uczyć się od niego. Proszę nie dziękować i iść na wykład.

Zapalił papierosa i poprzez kłęby dymu powiedział coś, co dotyczyło już tylko Antala:

– Uważaj na nią, chłopcze!

Każda inna dziewczyna uśmiechnęłaby się do niego po tym, co zaszło u profesora. Jednakże twarz Izy pozostała poważna, pełna rezerwy. Nie wiedział, co ma do niej powiedzieć, od czego zacząć.

Przechodzili obok pokoju studentek. W drzwiach znowu ukazała się twarz Ulli. Odpowiednio oceniła starą kurtkę i wyświechtaną aktówkę, ale to spostrzeżenie bynajmniej jej nie uszczęśliwiło. Widziała bowiem również oryginalny kształt oczu Izy, jej lśniące wargi i dziwne napięcie w twarzy Antala, kiedy szedł obok niej. Ich kroki stukwały po kamiennej podłodze. Sale nareszcie się opróżniły i zaludnił się bufet. Antal wiedział, że ta dziewczyna nie może mieć pieniędzy, ale wiedział również, że daremnie by ją zapraszał, bo i tak nie przyjęłaby niczego. Okropnie drażniła go ta myśl, ale równocześnie był z niej dumny.

Przed wielką salą wykładową musieli się zatrzymać. Dziewczyna otworzyła trzymany w ręku niebieski rozkład zajęć, gdzie oznaczone były wykłady dla pierwszego roku. Na swój pierwszy wykład w życiu szła z taką pewnością siebie, jakby również i szkołę średnią skończyła w tym gmachu. Dwie minuty brakowało do dzwonka. Wargi Izy zadrżały. Teraz się pożegna i zamknie za sobą drzwi.

– Znam pani ojca – powiedział Antal.

Jej obojętna twarz zwróciła się ku niemu. A jednak ten młody wojak umiał się tak uśmiechać jak każda inna dziewczyna.

– Przez wiele lat kupował mi książki na Boże Narodzenie. Wie pani o tym?

Dziewczyna przecząco potrząsnęła głową. Lewą rękę podniosła do szyi, jakby nie ufała sobie, jakby się bała, że powie coś, o czym mądrzej byłoby milczeć.

– Dawał rocznie dwanaście pengö na moją szkołę. Od szóstej klasy ja byłem tym szczęśliwcem, który otrzymywał tę sumę od dyrektora. Ojciec nic pani nie powiedział?

Oczy dziewczyny zaprzeczyły.

– Kiedyś, jak przyniósł pieniądze, widziałem go. Był wtedy młodszy, ruchliwszy. Szedł bardzo szybko wśród kopców zgarniętego śniegu na placu, jakby się obawiał, że ktoś go dogoni i podziękuje mu. Czy teraz także nie chce pani ze mną rozmawiać?

Twarz młodej bohaterki zmiękła, jej rysy złagodniały. Wyglądała teraz jak dziecko.

– Co miesiąc dostawał od mamy trzy pengö kieszonkowego – powiedziała córka Wincentego Szöcsa. – Jeden dawał mnie, drugi wydawał na gazety w niedzielę, bo bardzo lubił czytać. Z trzecim nie wiem, co robił. Zbierał dla ciebie?

Odezwała się do niego per ty, tak naturalnie jak do brata.

– Chodź! – zawołał Antal.

Dopiero co przyjęto ją na uniwersytet i straciła już tyle, że nie zrobi jej wielkiej różnicy, jeżeli na swój pierwszy wykład pójdzie dopiero w południe. Tymczasem wpadną do bufetu, wypiją kawę, wypalą papierosa, zjedzą coś, a potem wyskoczą na spacer do lasu. Na wykład z fizyki musi pójść między dwunastą a pierwszą i to zupełnie wystarczy jej na dzisiaj. On, Antal, pójdzie razem z nią. Pójdzie z nią wszędzie! Jako pierwszy wprowadzi ją do prosektorium.

Iza włożyła swój rozkład zajęć do teczki i posłusznie szła u jego boku. Była wysoka. Nawet odrobinę wyższa od niego. Włosy jej miały kolor dziecinnie brązowy, bez żadnych jaśniejszych odcieni, jak z biodermeierowskiego portretu.

Jedli tort. Iza poprosiła o wodę sodową. Piła ją zachłannie. Widać było, że jej smakuje niby jakiś szlachetny trunek. Nie chciała papierosa, ale przyjęła od niego batonik czekolady i chrupała go w drodze do lasu uniwersyteckiego.

W dzień tamtego pogrzebu niespodziewana fala ciepłego powietrza przepędziła chłód. Niebo było teraz błękitne, a zwiędłe liście nawet nie drgnęły na drzewach. Wśród dębów smutnie drzemały brzozy, a sosny zamarły w bezruchu. Na pagórku stały ławki. U jego stóp romantycznie szumiał strumyk. Oczywiście, wszystko to było sztuczne, ten pagórek i strumyk wijący się wśród piasku, ale nie pozbawione wdzięku. Iza usiadła na poręczy mostku. Kiwała w powietrzu nogą, teczka zsunęła jej się na ziemię. W wodzie pływały karpie. Grube brązowe karpie. Obrzuciła je żwirem.

– Odwiedzę cię w niedzielę – powiedział Antal.

– Doskonale.

– Czy nie zapomniałaś, że Dekker mi ciebie powierzył?

– Nie.

Z bliska jej ciało i włosy pachniały mydłem jak u małej dziewczynki.

– Dekker to wielki człowiek. Słuchaj go. Słuchaj go we wszystkim.

W duchu pomyślał: „Jest nowa i starsi będą się z niej naigrawać w najrozmaitszy głupi sposób.” Lękał się o nią bardziej niż kiedykolwiek o siebie. Jak ją obronić? Co dla niej zrobić? W jaki sposób uchronić ją od niebezpieczeństw? Byłoby straszne, gdyby związek młodzieżowy zaczął jej

zawracać głowę jakimis nacjonalistycznymi koncepcjami i wmówił w nią, że niedługo wygramy wojnę i kraj nasz znowu będzie się rozciągał od Karpat aż po Morze Adriatyckie. Chwycił ją za rękę, w której trzymała batonik czekolady. Dziewczyna nie zaoponowała.

– No i nie baw się w politykę!

Mała dziewczynka zniknęła raptownie i znów spojrział na niego młody żołnierz. Przestała jeść. Wyrwała dłoń z ręki Antala i wrzuciła batonik do wody. Zeskoczyła z poręczy mostku, podniosła teczkę z ziemi i skierowała się ku ścieżce prowadzącej do głównego gmachu. Kiedy przechodzili przez las, milczała. Potem zatrzymała się i spojrzała na niego w taki sposób, jakby chciała położyć specjalny nacisk na to, co powie:

– Będę się bawić w politykę, póki mi starczy sił.

Przyszła mu do głowy głupia myśl, że ożeni się z tą dziewczyną.

### Rozdział III

Ożenił się z Izą w 1948 roku w pewien pogodny, wietrzny sierpniowy dzień. Cieszyło go przeświadczenie, że ożenił się z dziewczyną, której sposób myślenia i metody pracy jak również światopogląd poznał dostatecznie dobrze w ciągu ostatnich siedmiu lat. Widział ją przy egzaminach, kiedy się uczyła, przy łożu chorych i umierających. Tańczył z nią i dostarczał jej ulotek ujawniających prawdziwą sytuację na froncie. Ulotki te Iza rozlepiała w nocy na ścianach budynków i słupach z ogłoszeniami, między najbardziej atrakcyjnymi i rzucającymi się w oczy plakatami. Świadomość, że pragnie Izy nie tylko w ślepym zapamiętaniu miłosnym, że pragnie nie tylko jej ciała, lecz dopuszcza do głosu również i zdrowy rozsądek – była bardzo pocieszająca i dodawała mu otuchy. Iza była człowiekiem, którego szanował i od którego wiele się uczył.

Oczywiście bardzo mu to dogadzało, że miłość ich była nieskomplikowana. Od pierwszej chwili czuł do tej dziewczyny gwałtowny pociąg fizyczny. Początkowo starał się go opanować i ukryć pod maską braterskiego przywiązania. Iza wydawała mu się w owym czasie tak wątła jak mała dziewczynka. Była bardzo szczupła, a ręce i nogi miała zupełnie dziecięce. Kiedy wyobrażał sobie, że trzyma to młode ciało w ramionach, wstydził się swoich myśli. Pierwszy ich pocałunek zaskoczył go. Iza odwzajemniła jego uścisk z niepohamowaną namiętnością i ciało jej stało się w jego ramionach jakieś bardzo kobiece. Ani przez chwilę nie wątpił, że jak tylko to będzie możliwe, ożeni się z nią. Ale z równą pewnością wiedział, że chce z nią żyć jak z żoną aż do czasu, kiedy się będą mogli pobrać. Oczywiście Iza nie była dziewczyną w rodzaju Ulli i trudno sobie było wyobrazić, żeby się to mogło odbywać gdzieś w sali bilardowej albo w zaroślach pobliskiego lasu.

Oboje ciężko znosili ten stan. Wychudli i stali się nerwowi. Któregoś dnia rozwiązali ten problem w pokoju Dekkera, w którym również i Iza często przebywała. Dekker od dawna był wdowcem i po śmierci żony życie seksualne właściwie się dla niego skończyło.

Od wielu lat pasjonował go tylko jego zawód i problem uratowania swoich uczniów od niebezpieczeństw związanych z wojną. Łamał sobie głowę nad tym, co zrobić, żeby młodzież jasno oceniała sytuację, w jakiej kraj się znajdował. Wpadał do kliniki w najmniej oczekiwanych chwilach. Do gabinetu w Akademii natomiast przychodził tylko po wykładach, ale nigdy nie wiedział, co się u niego dzieje. O Antalu. i Izie myślał czasem w związku z ich zainteresowaniami naukowymi. Antala zaraz po ukończeniu studiów zatrzymał przy sobie, uważając go za wielce obiecującego internistę, a Iza od samego początku zdradzała duże zainteresowanie reumatologią.

Kiedy zobaczył ich całujących się pod pomnikiem miejscowego poety, szczerze się uradował, że sprawa przybrała taki obrót. Cieszył się, że będzie mógł dać piękny prezent ślubny Izie, która była wówczas na czwartym roku studiów.

Wszczął już starania w sprawie etatu dla niej, a kiedy nadszedł dzień ślubu, ofiarował Izie pracę w klinice. Profesor był ich świadkiem i po ślubie chciał obydwójce zabrać na obiad, ale Antal powiedział, że nie mogą pozbawiać staruszków radości goszczenia u siebie w domu młodej pary. Zjedli więc wszyscy obiad u rodziców panny młodej. Dom w tym czasie należał już do zrehabilitowanego sędziego. Wincenty był tak szczęśliwy, że wydawał się co najmniej o pół głowy wyższy niż zazwyczaj. Miał na sobie nowe granatowe ubranie i częstował wszystkich trunkami. Staruszka, to śmiejąc się, to płacząc, w pośpiechu krzątała się po domu.

Dekker po obiedzie pożegnał się mówiąc, że przez najbliższy tydzień nie chce widzieć młodych w klinice.

Dziwna to była sytuacja, nawet trochę żenująca, że teraz, kiedy stać ich było na wyjazd, nie wybrali się w podróż poślubną. Związek Zawodowy Lekarzy wystarał się nawet o dwa miejsca dla nich w górskiej miejscowości wczasowej. Iza twierdziła jednak, że podróże poślubne należą do głupich mieszczańskich przesądów, a Antal oświadczył, że byłby wariatem, aby jechać gdzieś teraz, kiedy nareszcie ma dom, ojca i matkę.

Staruszka kiwała głową. Nie śmiała przyznać się do tego, że troszeczkę niepokoiło ją to współzycie z młodymi pod jednym dachem. Żenowała ją myśl o zbliżeniach fizycznych.

Wincenty ze szczególną dumą rozpamiętywał Budapeszt. Był to okres, kiedy zupełnie dobrze orientował się w stolicy, podczas gdy żona zmieszana dreptała u jego boku. Jakież to było wspaniałe uczucie wiedzieć, że jest się bywalcem w wielkim mieście, że można pokazać żonie wszystkie wspaniałości stolicy, trzymając ją ze szczególną troskliwością pod rękę w czasie przechodzenia przez skrzyżowania ulic. Pragnął, aby Antal także zabrał swoją żonę w podróż. Aby – tak jak on niegdyś – prowadził pod rękę swą połowicę, aby zwracał jej uwagę na coś, czego ona przypadkiem nie dostrzegła, a co było warte zobaczenia. Ale ta myśl wprowadziła go w stan zakłopotania. Przecież Izy nie można było nigdzie prowadzić, ponieważ znała stolicę lepiej od Antala.

W dniu ślubu córka pod wpływem wzruszenia była niezwykle piękna. Miłość i radość z powodu osiągnięć na polu zawodowym złączyły się w jeden ogrom szczęścia, które promieniowało z jej twarzy. Wincenty przypatrywał się jej, kiedy krzątała się po pokoju, wносиła i wносиła rozmaite rzeczy, podziwiał pewność jej ruchów i tę promienną pogodę ducha, która emanowała z całej jej postaci. Iza wcale nie była zmieszana.

Była pewna siebie i zadowolona. Wincenty śmiał się sam z siebie, kiedy sobie uświadomił, że pragnąłby widzieć ją bardziej naiwną i niewinną. Sam nie wiedział, dlaczego za tym tęskni. To młode pokolenie, które przeżyło drugą wojnę światową, nie miało żadnego powodu do nadmiernego wzruszania się własnym ślubem. Jeżeli przypadek zrządził, że urodziła się kobieta, to jeszcze nie powód do czerwienienia się na myśl o zamażpójściu. Jego zakłopotanie było dla niego samego niezrozumiałe i nie potrafiłby wytłumaczyć, dlaczego pragnąłby ją widzieć bardziej przejętą.



W kilka lat później, kiedy w taki sam słoneczny, ciepły dzień Antal zabrał swoje rzeczy w dwóch walizkach, a Iza zamknęła za nim furtkę, wieszając bezpieczni już klucz obok pozostałych trzech kluczy, i z bezbarwną twarzą zaczęła się krzątać po domu – Wincenty znowu zapragnął, aby córka jego rozplakała się. Ale Iza nie płakała. Narzuciła fartuch, zawiązała chusteczkę na głowie i zabrała się do sprzątanía. Przemeblowała ich dawny pokój sypialny i starannie uporządkowała opróżnioną przez Antala szafę. Ojciec wszedł do pokoju pod pozorem podania jej szufelki do śmieci. Zastał córkę przykucniętą na podłodze, zwijającą dywanik sprzed łóżka. Wincenty był niższy od obydwóch kobiet. Ale teraz, kiedy stał tak nad córką, jej widok skojarzył mu się z obrazem Izy z lat dziecinnych i może dlatego zapragnął zobaczyć łzy w jej oczach.

Iza była takim samym dzieckiem jak wszystkie inne, które znał w życiu. Śmiała się, gdy miała powód do śmiechu, płakała, kiedy upadła, kiedy zbiła kubek lub gdy czegoś się przestraszyła. Gdzie się podziała ta dziewczynka?

Wszyscy byli w duchu zadowoleni, że odejście Antala odbyło się bez scen. Atmosfera domu ledwo się zmieniła, najwyżej trochę oziębła, tak jakby po przewietrzeniu mieszkania zapomniano zamknąć okno. A jednak Wincenty czuł, że chętnie oddałby parę lat swego życia, by móc w tej chwili zobaczyć Izę szlochającą, a nie tak obojętną.

Antal rozplakał się dopiero wtedy, kiedy odchodził. Całował twarze i ręce teściów. Jego ramiona ugiwały się pod większym ciężarem niż walizki trzymane w rękach. Kiedy popatrzył na Izę, przełknął ślinę i zadrżały mu usta. Gdyby to Iza dążyła do rozwiązania ich małżeństwa, Wincenty rozumiałby, dlaczego Antal zachowuje się tak dziwnie. Ale przecież to on wystąpił o rozwód, Iza tylko wyraziła zgodę.

Antal dawno już doszedł do przekonania, że potrzeba mu żony i domu. Marzył o własnym domu z Izą, a jego przywiązanie do niej mogło się tylko pogłębić przez stworzenie odpowiednich warunków dla ich współżycia. Czuł się szczęśliwy w otoczeniu rodziny, którą pozyskał wraz z żoną. Z kolegami z internatu i przyjaciółmi mógł prowadzić dyskusje prawie na każdy temat, ale o Dorozs i związanych z nim sprawach mógł mówić tylko z Izą.

Dorozs było ich tajemnicą. Z Dorozs łączyli swoje zamiary na przyszłość. O tych sprawach nie chciał mówić z nikim, nawet z najbliższymi.

Przygotowywał się do rozmowy z Bérczesem, ale przedtem pragnął obejrzeć źródło, w pobliżu którego się urodził. Wobec byłego chlebodawcy nie miał żadnych mściwych zamiarów. Nie zamierzał czatować na niego w ciemnej uliczce, aby wbić mu nóż w plecy, ani zaskarżać go o cokolwiek. Jeżeli myślał kiedy o nim, to raczej jako o symbolu świata, który już nie istnieje, jako o wcieleniu anachronizmów, jaskrawym przykładzie dawnego stylu życia. Wydawało się nieprawdopodobne, że Bérczes rozwoził wodę leczniczą wozami do domów. Cieszyła go myśl, że zabierze Bérczesowi źródło, a mięśnie jego pracowników wykorzysta w sposób bardziej racjonalny i humanitarny. Tak, ta myśl była wręcz oszałamiająca. Niepodobna już wskrzesić zmarłych ani zwrócić ludziom straconego zdrowia. Na to nie było

rady. Antal zdawał sobie sprawę, że samym entuzjazmem nic nie zdziała. Ażeby zrealizować plan rozbudowy Dorozs i zamienić ubogą wioskę w modne uzdrowisko, nieodzowna była pomoc państwa. Jakie to szczęście, że mógł omawiać z Izą sprawy wywalczenia uprawnień dla swej wsi i wykorzystania możliwości leczniczych jej wód.

Co tydzień Iza towarzyszyła Antalowi w jego wyjazdach do Dorozs. Z wielkim zainteresowaniem zbadała wszystkie zakątki prymitywnego domu zdrojowego. Pobrała próbki wody do analizy. Wspólnie odszukali pozostałych jeszcze przy życiu znajomych Antala. Przy spotkaniach z nimi Iza była mniej skrępowana niż Antal, który znał tych ludzi od dzieciństwa. Teraz niemal we wszystkich rodzinach miejsce starych woziwodów zajęli ich synowie. Mężczyźni w Dorozs umierali dość wcześnie.

Antal zachował na zawsze w pamięci obraz Izy, kiedy wieczorem w domu Wincentego, pochylona nad prymitywną mapą Dorozs, pisała podania do ministerstwa i listy do najrozmaitszych organizacji społeczno-zdrowotnych. Pamiętał jej wygiętą szyję i pochyloną głowę, kiedy redagowała teksty podań. Czuł, że odebranie Dorozs Bérczesowi i oddanie go społeczeństwu będzie ukoronowaniem jego dotychczasowych osiągnięć, a czyn ten rzuci światło na całą jego przyszłość, że przyjdzie dzień, kiedy na grobie ojca zamiast kwiatów złoży świadectwo uzdrowienia dziesiątków tysięcy ludzi.

Pewnej nocy obudził się nagle w panice obok śpiącej żony. Przypomniawszy sobie jej pochyloną głowę, gdy w skupieniu badała mapę Dorozs i wyniki analizy wód. Nagle jej jasna twarz zwróciła się ku niemu w ciemnościach. Wypuścił z uścisku jej chłodne ramię trzymane przez sen. Chciał krzyknąć, gdyż zadźwięczał mu w uszach wyraźny szept: „Odejdź od tej kobiety.” Ktoś inny, jakby jego drugie ja, doszło do głosu tej nocy. Jedno trzymało swą żonę w uścisku, dzieliło się z nią troskami, a drugie obserwowało ją chłodno i uważnie.

Iza nigdy nie była tak wesoła i pogodna jak podczas tej pamiętnej walki o Dorozs. Jak ptak krążyła po domu. Antal nigdy nie słyszał jej nucącej tak często jak w owym czasie.

Staruszka któregoś dnia upuściła na podłogę naleśnik, podrzucony na patelni bolącą ręką. Iza pocieszała matkę, że niedługo wyleczy jej reumatyzm w nowym sanatorium. Wieczorami w domu promieniowała z niej radość, jak gdyby otrzymała jakiś cenny podarunek. Całe dni biegała po urzędach i biurach, często bez Antala. Nawet do Budapesztu wybrała się w tej sprawie. Chciała przekonać urzędy w stolicy, fachowców i polityków o słuszności swoich żądań. Kiedy wreszcie akt upaństwowienia Dorozs stał się faktem dokonany, cały rząd, wszystkie placówki służby zdrowia oraz instytucje naukowe były dokładnie poinformowane w sprawie projektu rozbudowy Dorozs.

Plan budowy uzdrowiska był jednym z pierwszych zagadnień omawianych i zaakceptowanych na najbliższej sesji rządu.

Kiedy zaczęto budowę fundamentów sanatorium – byli już po ślubie. W przeddzień rozpoczęcia budowy Iza położyła się już o ósmej do łóżka i spała bez przerwy do dziesiątej rano zdrowym, dziecięcym snem.

– Prawda, jaka ja jestem silna? – zapytała z zamkniętymi oczami zaraz po przebudzeniu się i jak zawsze wyciągnęła rękę w kierunku Antala, szukając po omacku jego twarzy. – Prawda, jaka ja jestem silna?

Usiadła na łóżku i przeciągnęła się. Była nadal bardzo szczupła i naprawdę trudno było sobie wyobrazić, że kobieta tak krucha i wiotka mogła się podjąć walki o Dorozs. Antal z przerażeniem stwierdził, że z pewną nieufnością analizuje jej słowa.

Staruszka zapukała do drzwi. Może dziś wyjątkowo pragną zjeść śniadanie w łóżku? Czytała w gazecie, że Dorozs zmieni się w uzdrowisko na skalę międzynarodową i że właśnie rozpoczęto tam budowę najnowocześniejszego sanatorium. Śmiała się i gratulowała Izie. Wspomniała coś o Szentmáté, dokąd w lecie jeździła z ciotką Emmą. Mieszkały tam w starym odrapanym hotelu i okropnie marzły. Iza wyjęła z rąk matki tacę ze śniadaniem. Smażona słonina, jej ulubiony przysmak!

– Zamiast nam gratulować – powiedziała – schowaj lepiej gdzieś słoninę, ojciec ma słaby żołądek i może mu to zaszkodzić. A on nie lubi sobie niczego odmawiać.

Staruszka szybko wybiegła i Iza usłyszała, jak spiera się z mężem o tę nieszczęsną słoninę. Tymczasem Iza pokroiła chleb na drobne kawałki i wycierała z wielkim smakiem talerz z tłuszczu.

– Kochasz mnie? – spytał Antal wbrew swojej woli.

Młoda kobieta odpowiedziała spojrzeniem, bez słów. Twarz jej rozjaśniła się niewinnym, promiennym, nic nie podejrzewającym uśmiechem. A niebezpieczeństwo czaiło się tuż tuż. Było tak blisko jak pędząca lawina, której powiew Antal już wyczuł. Iza kochała go. Gdyby było inaczej, wszystko potoczyłoby się o wiele prościej. On także ją kochał. I ją, i Wincentego, i matkę.

Kiedy pewnej nocy powiedział sobie w duchu, że odejdzie, serce waliło mu tak mocno, że miał wrażenie, iż się dusi.

Przez kilka lat żyli oddzieleni od staruszków tylko cienką ścianą. Rodzice byli świadkami ich radości, zmęczenia, przygnębienia, a czasem zdenerwowania. Ani Antal, który pracował z Dekkerem, ani Iza w swoim oddziale reumatologicznym nie przeżywali łatwo śmierci swoich pacjentów. Staruszkowie widzieli ich, jak trzymając się pod rękę stoją koło choinki i obserwują rodziców, którzy rozpakowują z wielką pieczołowitością przygotowane pudełka, było z tym niemało wesołości, gdyż prezenty znajdowały się w ostatniej najmniejszej paczuszce, schowanej w wielu innych pudełkach. Słyszeli młodych, jak śpiewali razem, przygotowywali się do konferencji lub egzaminów albo przepytywali wzajemnie. Słyszeli też ich częste sprzeczki. Iza dowodziła swoich racji z opanowaniem, natomiast Antal bił pięścią w stół i krzyczał na całe gardło. Wyczuwali jednak, że te krzyki wcale nie dotyczą Izy, która miała odmienne zdanie w tej lub innej sprawie,

lecz jakiejś kwestii, która wyprowadzała Antala z równowagi. Nie kłócili się nigdy na temat spraw osobistych. Żadne z nich nie było zazdrosne ani porywcze. Staruszkowie byli również bardzo dobranym małżeństwem, ale dopiero teraz, w tej atmosferze doskonałej harmonii wytworzonej przez młodych, czuli się jak w podwójnie bezpiecznym kręgu.

W okresie poprzedzającym rozwód Antala i Izy staruszkowie głowili się, jak by młodych ze sobą pogodzić. Ale w końcu dali za wygraną. Iza nigdy nie pytała ich o radę, nawet za panięskich czasów, kiedy ujęła ster rządów w domu w swoje mocne ręce. Kiedy Antal znikł z ich domu, poczuli, że coś się skończyło. Dla rodziców Iza wciąż była dzieckiem, nawet po ślubie.

Przecież mieszkała tu z nimi pod tym samym dachem, biegła po domu w nocnej koszuli, z wysoko upiętymi włosami, kiedy szła do łazienki przed snaniem.

Nie było dla nich niespodzianką, że zmieniała posadę. Kiedy im to oznajmiła, nawet nie spojrzeli na siebie, chociaż przedtem wieczorami, leżąc w łóżku, często o tym mówili. Jedzie do Budapesztu. Więc jednak zdecydowała się na Budapeszt. Widocznie tak będzie najrozsądniej. Naturalnie, że trudno było się z tym pogodzić. Ciężko zrobiło im się na sercu, kiedy wsiadła do taksówki i odjechała. Wincenty przytulił żonę, jakby razem łatwiej można było znieść ten cios, i tak patrzyli za odjeżdżającą. Iza nie odwróciła się.

„W taki sam sposób kiedyś uleci od nas życie – pomyślał Wincenty – tak nagle, bez oglądania się wstecz. Wolałbym nie wiedzieć, kiedy to nastąpi.”

Teraz kiedy Antal położył się do łóżka stojącego mniej więcej w tym samym miejscu, gdzie kiedyś stały łóżka teściów, nie myślał o Izie, lecz o Staruszce. Owładnęło nim uczucie niepokoju, to samo, które zadreęczało go, ile razy o niej myślał. „Czy mama zdawała sobie sprawę, jak będzie wyglądało jej życie przy Izie? – zastanawiał się. – Czy już się zorientowała, a jeżeli tak, to jak sobie radzi?” Antal nie pamiętał swojej matki, a z pomarszczonej twarzy babki wзираła stale troska i podejrzliwość, które go przerażały. U Staruszki po raz pierwszy w życiu spotkał twarz pełną macierzyńskiej pogody, twarz, jaką widywał na wystawach obrazów. Jak trudno było skojarzyć Izę z obrazem jej matki, u której za brakiem wykształcenia kryły się nieprzebrane skarby zdrowego rozsądku, pogodnego usposobienia i nigdy niewyczerpanej chęci służenia innym. Wspomnił jej wiecznie zajęte robotą ręce, wrodzony spryt, naiwną ciekawość i mnóstwo dobrej woli. „Jak dobrze byłoby z nią porozmawiać – myślał z utęsknieniem. – Ale jej nie zależy ani na moim towarzystwie, ani na mojej pomocy.”

Zamówienie nagrobka dla Wincentego Staruszka powierzyła Gicy. Krojczynię rozpierała duma, że pani Szöcs właśnie do niej zwróciła się w tej sprawie i że ona, Gica, jest jedyną osobą, z którą Staruszka utrzymuje korespondencję. Wymieniały między sobą listy, szkice nagrobka, rachunki i projekty dotyczące napisu.

Do Kolmana, nauczycielki i sprzedawcy gazet napisała dwa razy, do niego, Antala, ani razu. Poza Gicą nie odpowiadała na listy nikomu, jakby ją nagle znudziła korespondencja lub jakby nie miała już o czym pisać.

Kiedy nagrobek będzie gotów, Iza prawdopodobnie nie przyjedzie, ale Staruszka na pewno zechce być obecna przy jego ustawianiu. Właściwie mógłby do niej napisać, żeby zajechała do niego, ale z pewnością nie przyjmie zaproszenia.

Przed wprowadzeniem się kazał przemalować mieszkanie, ze ścian zniknęły bukietki kwiatków oraz złote plamy w kształcie meduz. Wszystko pokryło świeże, białe wapno. Pokoje stały się jakby większe, a Antal coraz rzadziej robił porównania z przeszłością. Dom należał do niego. Kwestię rozmieszczenia rzeczy i umeblowania omawiał z Lidia, której przynosił kwiaty ze swojego ogródka. Dawne przeżycia związane z powstaniem uzdrowiska wspominał jak koszmar. Okres ten był dla niego piekłem.

Pewnego razu, kiedy był już lekarzem, zachwycił się rwącym potoczkiem górskim. Ukląkł nad jego brzegiem i zanurzył ręce w lodowatej, perlistej wodzie. Przeciekający przez palce strumień sprawiał mu taką rozkosz, że trzymał w nim ręce tak długo, aż mu zdrętwiały. Kamyki na dnie potoku pokryte były delikatnym meškem. Jakiś ptak poruszył się na gałęzce krzaka tuż obok, zielone liście musnęły mu kark. Kiedy myślał o Lidii, porównywał ją zawsze z tym źródłem czystej, chłodnej wody.

Wieczór był spokojny. Zanosilo się na deszcz. Kapitan krążył po ogrodzie. Jego sapanie dochodziło aż tu. Staruszka zawsze litowała się nad nim i wpuszczała go do domu.

„Nadajesz się na paprykarz, tłuszczochu, albo ha marynatę” – śmiała się Iza, podnosząc psa za uszy do góry. Kapitan przerażony wykręcał się z jej palców, które trzymały go delikatnie i zarazem silnie, nie sprawiając mu przy tym bólu.

Iza nie lubiła, aby pies wchodził do mieszkania. Oczywiście miała rację, gdyż było nonsensem trzymać w pokoju psa nawet tak inteligentnego i czystego jak Kapitan. No, ale logika logiką...

Iza zawsze myślała o wszystkich i o wszystkim, a jeżeli już o kimś zapominała, to przeważnie o sobie. Wczoraj w stołówce kliniki wyrwała się komuś jakaś uwaga na temat Izy i tego pisarza Domokosa. Antal sam się zdziwił, jak mało interesowało go, w jaki sposób ta kobieta urządzi sobie życie. Pomyślał z niepokojem raczej o pisarzu. Czytywał jego książki. Była to uczciwa, czysta proza, regularnie ukazująca się na półkach księgarskich, a odcinki jego powieści drukowano w czasopiśmie. „On się chyba z nią nie ożeni – myślał z przerażeniem. – Na miłość boską, chyba się z nią nie ożeni!”

Kapitan skamlał błagalnie. Odurzająca woń maciejki napływała z zewnątrz przez otwarte okno. Izy nie było już w tym domu, echo głosów Staruszki i Wincentego kazało mu wstać z łóżka. Klnąc na czym świat stoi, wymacał po ciemku pantofle i wpuścił Kapitana, tak jakby to uczyniła Staruszka.

Dom był pusty, nie musiał się zachowywać cicho.

## Rozdział IV

Korespondencja z dawnymi znajomymi ustała prawie zupełnie, ponieważ Staruszka na listy z reguły nie odpowiadała. Wymieniała korespondencję tylko z Gicą. Często zastanawiała się, co też mogą sobie myśleć o jej milczeniu Kolmanowie. Z pewnością tłumaczą je sobie tym, iż „się rozpieściła, rozleniwiła w dobrobycie”. Na ich miejscu nikt by inaczej nie myślał. „Iza by z pewnością napisała – myśli pewnie sprzedawca gazet – Iza nigdy nie zadzierała nosa.” Tak też było w istocie. Iza na pewno by napisała, gdyż to do niczego nie zobowiązywało, a ona nigdy nie paliła mostów za sobą.

Ale o czym może do nich pisać Staruszka? W jaki sposób tłumaczyć starym przyjaciółom, jak tu żyje, co ją otacza? Czy ma pisać o Teresie? O tym, jak jeden dzień podobny jest do drugiego? O tramwajach mknących po wielkim mieście? Czy może wspomnieć o osobie Domokosa, który coraz częściej wpada do niej, nawet podczas nieobecności Izy? Siedzi u niej i bawi ją rozmową. Jeżeli napisze połowę prawdy, będzie to wyglądało na chępienie się. Jeżeli natomiast wyjawi, co się kryje za jej wygodą i bezpieczeństwem, także nie będzie dobrze.

Nie, z nikim stamtąd nie może korespondować.

Okno kuchenne znajduje się naprzeciw innego mieszkania. Czasem w otwartym oknie z naprzeciwka ukazuje się żona konduktora i pyta, co Staruszka przygotowuje dzisiaj na obiad. Młoda kobieta ma okrągłą twarz i jasne włosy. Często śpiewa. W gospodarstwie domowym używa takich samych zmechanizowanych urządzeń, jakie posiada Iza.

Staruszka, która okazywała nieufność wobec każdego mechanicznego urządzenia, polubiła lodówkę.

Odkryła, że ta biała szafka pomrukuje jak żywe stworzenie. Z początku bała się jej, ale później zaczęła sobie wyobrażać, że lodówka do niej przemawia. Przesiadywała więc koło niej, wsłuchiwała się w jej monotonne pomrukiwanie i nie czuła się osamotniona. Mruczenie lodówki było podobne do mruczenia kota. Zastępowało jej Kapitana. Kiedyś wylała w lodówce zupełną wiśniową i przerażona próbowała zmyć plamy moką ścierką, gdyż bała się, że ją zbesztają. Iza pobladła widząc, co się stało, ponieważ Staruszka oczywiście nie wyłączyła lodówki.

– Kochanie – powiedziała Iza – to nie są żarty, niech cię Bóg broni babrać w środku moką ścierką. Nic nie szkodzi, że wylałaś zupełną, to nie jest nieszczęście. – Wyłączyła prąd. Mruczenie ustało.

Od tego czasu Staruszka przestała przyjaźnić się z lodówką. Zgnębiona łamała sobie głowę, jak postępować, żeby nauczyć się z nią obchodzić. Ale Iza nigdy nie miała czasu wytłumaczyć jej, jak i co trzeba robić, a do żony konduktora wstydziła się zwrócić z taką sprawą. Już nigdy nie dotykała lodówki z takim entuzjazmem jak dawniej, siadywała tylko obok i wsłuchiwała się w jej uspokajające i dobrotliwe pomruki.

Nie śmiała spytać Izy, jakie ma zamiary wobec Domokosa, właściwie sama nie była pewna, czy cieszyłaby się z tego małżeństwa. Na początku gorszyły ją wizyty pisarza. Z czasem jednak przyzwyczaiła się do niego i przyjęła do wiadomości istniejący stan rzeczy. Nie spotykała nikogo ze swych dawnych znajomych i nie potrzebowała się przed nikim tłumaczyć. Może tu, w stolicy, panują inne zwyczaje niż na prowincji. Domokos lubił ją i gdyby się wyzbyła wewnętrznych oporów w stosunku do jego zawodu, on również śmieiej okazywałby jej swoją sympatię. Ale ona pamiętała, co ciocia Emma mówiła o pisarzach: wszyscy literaci są przewrotni i zapijają się alkoholem, a jeżeli nawet z początku są porządni, to na pewno z czasem zejną na złą drogę. Niepokoił ją fakt, że Domokos nie miał stałego miejsca pracy ani normalnych godzin urzędowania, obawiała się, żeby Iza nie musiała go w przyszłości utrzymywać. Oczywiście wszystko to przemyślała sobie w wielkiej tajemnicy, bo przecież nikt jej o zdanie nie pytał ani nie prosił o radę.

Kiedyś żona konduktora przywołała ją do okna i zapytała, czy nie zna jakiegoś taniego przepisu na ciasto. Staruszka znowu poczuła się w siódmym niebie. Przypomniała sobie tort, który Wincenty tak lubił i który rozpałał ogniki zachwyty w oczach małej Izy. Jaki tani i wyśmienity był ten tort! Każdego można było nabrać; ktokolwiek go jadł, był pewien, że to bardzo wykwiłtne i kosztowne ciasto.

Staruszka cieszyła się zawsze, ilekroć widziała pogodną twarz sąsiadki w oknie. Żalowała tylko, że młoda kobieta również pracuje jako konduktorka i nieczęsto spędza czas w swojej kuchni naprzeciwko. Oto ktoś, kogo nie krępowałaby się spytać, co słycać na świecie. Odkąd Wincenty umarł, nie była w stanie nadażyć za aktualnymi wydarzeniami. Prawdę mówiąc, polityka wcale jej nie interesowała. Wincenty często czytywał gazety na głos i jakoś orientowała się w tym, co się dzieje, a jeżeli nawet wielu rzeczy nie rozumiała, to jednak miała o wszystkim jakie takie pojęcie. Teraz chciałyby się czegoś dowiedzieć i rozpaczliwie szukała wyjścia z sytuacji. Odkąd mieszkała w stolicy, w samym centrum wielkich spraw, zauważyła, że brak jej podstawowych wiadomości i orientacji.

Dotychczas zupełnie nie spotykała pewnego typu ludzi. Znała zawsze ludzi bardzo skromnych. Miała do czynienia z konduktorami, listonoszem i przekupkami na rynku. Nigdy w życiu nie rozmawiała z robotnikami, poza tymi, którzy przychodzili naprawić coś w domu, ale ci mieszkali na peryferiach miasta albo pod miastem i mówili językiem używanym na wsi. Jedyną wielką fabrykę – wytwórnię środków farmaceutycznych – w jej rodzinnej miejscowości otwarto dopiero niedawno. Ale z ludzi, którzy tam pracowali, nikt u niej nie bywał. W Budapeszcie strasznie trudno było się zorientować, kto jest robotnikiem, a kto nie. Wszyscy ubierali się tak samo. Kiedy w czasie swoich nie kończących się eskapad przejeżdżała koło fabryki, gdzie przypadkiem była właśnie zmiana, wpatrywała się z uwagą z okna tramwaju w ruchliwy tłum i myślała, że warto by się kogoś zapytać, co tam robią i kim są ci ludzie. Ale tramwaj mknął dalej i wstyd jej było tych

nierealnych pomysłów. Przecież nawet Iza nie ma dla niej czasu, jakże więc mógłby ją zrozumieć ktoś obcy i pojąć, dlaczego interesuje się tym lub owym.

Po jakimś czasie przestało ją ciekawić, co się dzieje za oknami tramwaju. Była zajęta wyłącznie sobą i swoimi sprawami. Wizyty Domokosa napawały ją coraz większą niechęcią. Za każdym razem, ilekroć przychodził, przynosił jej ciastka jak jakiemuś łakomemu dzieciakowi. Przysuwał do jej nóg taboret, co ją specjalnie drażniło, bo tak właśnie siadywała u jej nóg Iza jako dziecko, Iza interesująca się wszystkim, co ją otaczało, pełna nienasyconej ciekawości, z nie kończącymi się pytaniami, na które matka nie nadążała odpowiadać.

Pisarz wypytywał ją o jej przeszłość. Od niego także nie można się było niczego dowiedzieć, mogła najwyżej odpowiadać na pytania. Nie cierpiała jego ciekawości, olbrzymich jak pięść brzoskwiń i melonów maczanych w rumie, które przynosił jej do pokoju. Była niezadowolona, kiedy kazano jej mówić o przeszłości. Przecież to wszystko minęło bezpowrotnie razem z Wincentym. Dawniej było inaczej, Wincenty żył; a ona była potrzebna córce. Domokos wypytywał ją o stare dzieje jej miasta; Staruszcze przyszło do głowy, że jej przymusowe zwierzenia to rodzaj haraczu, jaki płaci za swoje utrzymanie. Ale natychmiast zawstydzila się, iż mogła w tak nieprzyjemny sposób interpretować własną pozycję w tym domu.

W dniu swoich urodzin ostatecznie znienawidziła pisarza. Tego dnia skończyła siedemdziesiąt sześć lat. Iza obiecała jej, że ten wieczór spędzą we trójkę. Zagrają w loterię fantową z najprawdziwszymi nagrodami. Prosiła, żeby matka zajęła się kupnem tych nagród, jako że ma więcej czasu. Niegdyś przepadała za tą grą we trójkę. Kiedy Iza była mała, często bawili się w ten sposób, a rodzice oszukiwali w grze, żeby córka mogła wygrać. Jeśli przegrywała, była nieszczęśliwa i zapłakiwała się. Stara gra jakimś dziwnym zbiegiem okoliczności znalazła się wśród rzeczy przywiezionych z domu do Budapesztu. Staruszka z entuzjazmem wędrowała po sklepach i bazarach, kupując taniutki, drobne przedmioty na fanty.

Tego dnia Iza obudziła matkę jak za dawnych lat, aby jej złożyć życzenia. Teresa przyniosła kwiaty. Staruszka zrobiła wszystko, aby z całą godnością przyjąć życzenia. Poprzedniego dnia poszła do żony konduktora i upiekła u niej ciastka, żeby nie irytować Teresy i nie brudzić kuchni. Młoda kobieta w milczeniu przypatrywała się jej pracy. Nauczyła ją obchodzić się z piecykiem, a kiedy starsza pani zapytała, ile się należy za zużyty prąd, roześmiała się serdecznie, potem z powagą uściśnięła Staruszkę i ucałowała, a w jej miłych okrągłych oczach pojawiły się łzy.

Tak to Staruszkę wzruszyło, że w zmieszaniu rozsypała ciasteczka, kiedy niezdarnie starała się łokciem otworzyć drzwi.

Wieczorem zjawił się z życzeniami Domokos. Teraz miała nastąpić uroczysta część wieczoru z poczęstunkiem i grą w loterię fantową. Takie miłe zebranie rodzinne, które przywoływało wspomnienia dawno minionych lat. Kiedy wpadł do domu jak wichher, zaczął coś szeptać z Izą. W ręku trzymał jakąś ogromną paczkę owiniętą białym cienkim papierem. Paczka wyglądała



przerażająco obco. Iza weszła do pokoju matki i powiedziała radośnie, że Domokosowi udało się zdobyć na dziś wieczór bilety na koncert na Wyspie Małgorzaty. W stolicy gościł sławny dyrygent Feltrini. Właściwie nie było mowy o dostaniu biletów na ten koncert, ale przyjaciel Domokosa dokonał wprost cudu i zdobył trzy miejsca. Trzeba się prędko ubierać. Matkę zabiorą ze sobą. Będzie to wspaniałe przeżycie.

Oczywiście odpadnie przyjęcie. Ale to nic nie szkodzi, przynajmniej nie zmęczy się podawaniem. A jej wspaniałe ciastka? No, trudno. W zamian za to Domokos przyniósł prezent na pocieszenie. Ale trzeba się spieszyć, bo zaraz przyjedzie taksówka.

Iza wybiegła z pokoju. Nie czekając na odpowiedź matki zaczęła się przebierać. Równocześnie wszedł Domokos i odwinął papier z paczki, którą przyniósł jej w prezencie. Była to klatka, a wewnątrz niej znajdował się niesympatyczny ptak o cynicznym spojrzeniu. Domokos długo pamiętał przestraszony wzrok, którym przyjęto jego dar. Zmieszał się, wzruszył ramionami i zapalając papierosa wyszedł z pokoju.

Staruszka nakryła obrusem pięknie zastawiony stół imieninowy, aby nie siadła na nim jakaś mucha. Wprawdzie w Budapeszcie nie widziała jeszcze ani jednej, ale nie chciała przyjąć tego do wiadomości.

W lecie zawsze i wszędzie muszą być muchy. Od początku czerwca wisiał w samym środku pokoju pod lampą lep, który kiwał się jej nad głową.

Wyjęła z szafy czarną suknię.

– Nie zostawimy cię samej dziś wieczór – powiedziała rozpromieniona Iza. – Za nic nie zostawimy, kochanie! Zawiozę cię na koncert i pokażę wszystkim, jaką mam piękną, niebieskooką matkę!

Na stole zostały nikomu niepotrzebne ciastka. Do tej chwili bolał ją jeszcze ręce w przegubach od kręcenia masy do przekładania. Zdawało się jej, że ptak brzydko na nią patrzy. „Oto mój towarzysz” – pomyślała Staruszka, kiedy niezdarnie wciągała przez głowę odświętną czarną suknię i wciskała nogi w eleganckie pantofle. Na ich widok ponownie wezbrały łzy w jej oczach. Buciki te miała ostatni raz na nogach w dniu pogrzebu Wincentego. „Oto mój towarzysz, z nim wolno mi rozmawiać.”

Słyszała, jak w korytarzu Iza trzaska drzwiami, a Domokos ją przynagla. Zziązani dopadli taksówki.

Na wyspie było mnóstwo ludzi. Nagle zrobiło się chłodno. Staruszką wstrząsnął dreszcz. Nie lubiła muzyki klasycznej, a nie było przy niej Wincentego, który by jej tłumaczył, dlaczego ta muzyka jest ładna i dlaczego u Haendla przypomina powiewne strusie pióra, szalejącą wichurę lub odbłask świec w lustrzanej tafli srebrnych tac, a u Wagnera grzmoty rozszalałej przyrody w czarną noc i huk uderzeń fal morskich o skały pod niebotycznymi górami. Ale nie było już przy niej Wincentego. Została tylko niezrozumiała, nie przemawiająca do niej muzyka. Słuchała jej nieuważnie, bez zainteresowania, nie myśląc o niczym. Zauważyła, jak Domokos ścisnął rękę Izy, ona zaś w zachwycie patrzyła na dyrygenta. Widać było, że oboje rozkoszują się muzyką. Od czasu do czasu spoglądali na Staruszkę, której

zgotowali tak cudowny wieczór i nie zostawili samej w domu. Wynagrodzili ją jak grzeczne dziecko, które się dobrze sprawowało.

Staruszka wróciła myślą do swoich ciastek, likieru i nowego szklanego serwisu, który nabyła specjalnie na tę okazję. Stary serwis Iza zostawiła Antalowi. A ten Staruszka kupiła, żeby nie używać kieliszków Izy, poza tym chciała swoich gości częstować na własnej zastawie. Teraz jednak wszystko to zostało w domu, nakryte obrusem. W tej chwili nie ma już żadnego znaczenia. Domokos zauważył, iż zmarzła. Zdjął z siebie marynarkę i okrył jej ramiona. Ci, którzy spostrzegli ten gest, uśmiechnęli się życzliwie, a w oczach Izy pojawił się błysk, który dotychczas był przeznaczony jedynie dla Antala. „Widać, że mimo wszystko jesteś dobrym człowiekiem” – mówiły jej oczy.

Domokos wyprostował się, jego masywne ciało przeżyło się pod niepokalaną białą koszulą. Widzowie myśleli: „Miły oryginał z tego literata, on naturalnie może sobie pozwolić, aby siedzieć na koncercie w samej koszuli, ponieważ okrył swoją marynarką trzęsącą się z zimna Staruszkę.” Wszyscy byli zadowoleni – i rodzina, i publiczność.

Tony muzyki wznosiły się hen, ponad drzewa, i drżały jak skrzydła ptaków. Był to koncert Beethovena, ale Staruszka zrozumiała żeń tylko tyle, że ta muzyka jest zbyt hałaśliwa. Podniosła przerażoną, niemal zbolaną twarz. Nie było tu Wincentego, żeby jej powiedzieć: „Uważaj teraz, Etelko, to przemawia do ciebie ziemia, niebo i sam Pan Bóg!”

Po zakończeniu koncertu Domokos pobiegł naprzód. Jego biała koszula lśniła z daleka. Napięta twarz Izy złagodniała pod wpływem muzyki. Przysłuchiwała się jej z takim samym zachwytem jak ojciec. Po chwili Domokos wrócił z tryumfem oświadczając, że zdobył taksówkę. Staruszkę posadził obok Izy, a sam usiadł koło kierowcy.

Pani Szöcs zastanawiała się, co by też się stało, gdyby ją raptem wysadzili w środku miasta z taksówki. Czy trafiłaby do domu? Jeszcze nigdy nie była autem na Wyspie i nie mogła się zorientować wśród migotliwych świateł i neonów, w jakim miejscu się znajdują i dokąd jada. Chyba nie wiedziałyby, któredy pójść.

– Trzeba by się jeszcze napić kawy – powiedziała w zamyśleniu Iza.

Nagle Staruszka poczuła, jak pierzcha jej zmęczenie: może jeszcze wszystko da się naprawić! Po powrocie do domu ona sama może im podać kawę, najwyżej odpadnie gra fantowa, bo jest już późno! Ale mogą zjeść ciastka i napić się kawy, za którą Iza zateśniała.

– Dobrze – powiedział Domokos. – Pójdziemy później do „Palmy”.

Nagle czar prysnął. Napięcie minęło. Zawieźli matkę do domu i ucałowali ją. Domokos wjechał z nią na górę windą i pomógł jej otworzyć drzwi mieszkania. Ręce Staruszki są już sztywne, niezdarne, może nie dać sobie rady sama. Nawet światło zaświecił w korytarzu, pocałował ją, powiedział, że ptak nazywa się Elemér, i szybko znikł za drzwiami.

W pokoju było gorąco, duszno. Zgarnęła ciastka z tacy i wrzuciła je do wyłożonego serwetką pudełka od bučików. Grę fantową schowała do szafy. Klatkę z ptakiem nakryła chustką, tak jak niegdyś nauczyła ją ciocia Emma.

Zdjęła odświętną suknię i położyła się do łóżka. Skończyła siedemdziesiąt sześć lat. Nagle wydało się jej to tak dużo, że ogarnął ją strach. Pomyślała o Wincentym, o ich wspólnym nagrobku, na którym kazała wyryć także i swoje imię.

Ptak był trochę niespokojny w nowym otoczeniu.

Poruszał się nerwowo w swojej klatce. Staruszka zapałała do niego nienawiścią. Nie mogła znieść jego obecności. Ilekroć się odezwał, zawsze przypominała sobie dzień gorzkiego zawstydzenia, kiedy musiała wrzucić ciastka do pudełka od bučików, przysłuchiwać się niezrozumiałej muzyce Beethovena i schować do szafy nikomu niepotrzebną grę fantową.

Wypuściła ptaka z klatki w piękny letni dzień. Otworzyła okno, ale nie chciał odlecieć. Staruszka przepędzała go ręcznikiem i kiedy nareszcie udało się jej go wygonić, poczuła ukłucie wyrzutów sumienia i litości. Ptak usiadł na smutnej, obwisłej gałęzi, zrezygnowany, bezdomny, poddając się swemu losowi.

Wychyliła się przez okno i nagle pojęła całą ohydę swego czynu. Odezwało się sumienie i ogarnęła ją zgroza, że skazała na bezdomność żywą istotę, nawet jeśli to jest jedynie bezduszny ptak. Zaczęła go przywoływać, lecz ptak nie reagował.

W dole hałasowały tramwaje, szumiał uliczny ruch. Jeszcze przez pewien czas obserwowała, jak ptak bezmyślnie kołysał się na gałęzi, a wśród listowia przeświecało jego barwne upierzenie. Po chwili weszła Teresa i spojrzała na pustą klatkę. Machnęła ręką i mruknęła pod nosem:

– I to niedługo trwało – po czym zamknęła okno dodając: – Teraz już wszystko jedno. Proszę się nie wychylać tak bardzo, jeszcze krew uderzy pani do głowy i wyleci pani przez okno. Córka wystara się o innego ptaka.

Ale Iza nie postarała się o innego ptaka. Domokos czuł się trochę urażony. Staruszka myślała sobie w duchu: „Gdyby mogli, to by rozmawiali przy mnie w obcym języku, tak jak ja mówiłam z jej ojcem, kiedy Iza była mała i nie chcieliśmy, żeby wiedziała, o czym rozmawiamy. Nie warto mi przynosić prezentów. Jestem stara niedołęga.”

Opustoszała klatkę Domokos wyrzucił na śmietnik. A na sercu starej kobiety legł jeszcze jeden ciężar.

W nocy budziła się przerażona. Widziała przed sobą ptaszka, którego imienia nie wymówiła ani razu, póki był przy niej. Nie było to imię stosowne dla ptaka. Teraz jednak wyobrażała sobie, że Elemér jest gdzieś blisko i chowa dziób pod skrzydełko, pozbawiony z powodu jej humorów swojej klatki i odrobiny strawy.

Staruszka chudła i prawie do nikogo się nie odzywała.

Iza przestraszyła się nie na żarty, a Domokos, który w pierwszej chwili zdenerwował się bezmyślnością Staruszki, teraz zmiękł. Córka liczyła się z tym, że śmierć Wincentego, opuszczenie starego domu i zmiana otoczenia w stolicy będzie dla matki ciężką próbą, ale żeby to aż tak źle znosiła, tego się nie spodziewała. Przecież Staruszka nie miała żadnych trosk. Iza dobrze wiedziała, że beczynność fatalnie wpływa na psychikę matki, ale nie mogła

powierzyć jej prowadzenia domu ani pracy, do której dawniej przywykła. Matka nie była już tak ruchliwa i młoda, jak to sobie sama wyobrażała. Poza tym prowadzenie domu w Budapeszcie było o wiele bardziej skomplikowane niż na prowincji, chociaż sam dom był mniejszy. Teresa doskonale załatwiała wszystkie sprawy związane z gospodarstwem i Iza mogła przy niej wypocząć. Nie musiała radzić się specjalisty, żeby wiedzieć, iż matkę trzeba koniecznie czymś zająć i że praca jest tym jedynym ogniwem wiążącym starych ludzi z życiem. Widziała, jak gaśnie dawna dynamiczna energia matki. I nie potrafiła nic na to poradzić. Kupiła włóczkę i poprosiła, żeby Staruszka zrobiła jej na drutach sweterek. Była to piękna włóczka w lawendowym odcieniu.

Któregoś wieczoru przy pomocy Domokosa przewinęła włóczkę w motki. Staruszka podziękowała, obracała w rękach plastikową puszkę z włóczką, ale nie wzięła miary Izy. Mówiła, że zrobi to później.

„Mama wie, że chcę ją tylko czymś zająć – myślała Iza. – I wie także, że nie nosiłabym tego sweterka, bo to, co kupię w sklepie, będzie ładniejsze i elegantsze. Co mam zrobić?”

Domokos zaproponował, aby znalazła matce jakąś, posadę. W pierwszej chwili oburzyło ją to, ale później pomysł ten nie dawał jej spokoju i wciąż w myślach do niego wracała.

O tym, żeby matka zgłosiła się gdzieś do normalnej pracy, nie mogło być mowy. Wszędzie traktowano by ją jak starą emerytkę. Poza tym matka była okropnie roztargniona. Mogłaby ewentualnie zająć się wychowaniem dzieci. Ale trudno było przewidzieć, na jakich ludzi trafi. Niewątpliwie bardzo szybko doszłoby do scysji między Staruszką a chlebobawczynią, gdyby na przykład ta zabroniła jej opowiadać dzieciom historyjki o aniołkach. W opowiadaniach Staruszki zawsze występowały powiewne aniołki o jasnych, długich włosach, które wszystko wiedzą o dzieciach i nagradzają je lub karzą. Oczywiście musi również wziąć pod uwagę, co powiedzą ludzie, kiedy się dowiedzą, że mając tak wysokie pobory posłała starą matkę do pracy. Staruszka też dostawała dość wysoką rentę.

Domokos leżał na tapczanie i zjadał melon. Jadł bardzo brzydko. Po prostu wygryzał miąższ z łupiny. Przeważnie przestrzegał dobrych manier przy stole, ale czasem zachowywał się jak mały chłopiec.

– Jeżeli się w ogóle nie odzywa – powiedział – to poświęć jej więcej czasu! Usta pełne melonu były uśmiechnięte, ale głos brzmiał poważnie.

– Zwariowałeś! Przecież i tak zrezygnowałam z mego życia prywatnego! – powiedziała rozzłoszczona. Rzuciła gazetę na podłogę i podeszła do okna.

Na drugi dzień wybrała się do Ligi Kobiet. Zapraszali ją tam czasami na zebrania i odczyty. Iza nie owijając niczego w bawełnę powiedziała, o co jej chodzi. Urzędniczka spojrzała na nią przyjaźnie. Iza imponowała jej, gdyż pracowała z wielkim samozaparciem nie przejawiając ani cienia egoizmu. Przejrzała kartotekę. Zaczęły się wspólnie zastanawiać nad możliwościami Staruszki. Na opiekunkę chorych się nie nadaje, bo jest za stara i za słaba i może się łatwo zarazić. Nie w każdym domu jest winda. A nogi i serce nie

dopisują już w tym wieku. Dzieci są męczące i hałaśliwe. Może je jeszcze gdzieś pogubić. Oczy Staruszka też ma nadwreżone. Na prowadzenie domu jest za słaba. Urzędniczka przypomniała sobie jakąś spółdzielnię, gdzie wyrabiają różne przedmioty ze sztucznego tworzywa. Łatwa i przyjemna praca. Raczej rozrywka. Płacą od sztuki. Nawet oczu nie trzeba zanadto wysilać. Czy matka ma maszynę do szycia? Oczywiście. Wprawdzie stara maszyna została na prowincji, ale Iza kupi jej nową. Zresztą równie dobrze można pracować na miejscu w spółdzielni. Zatrudniają tam właśnie kobiety w jej wieku, ale gdyby to ją miało męczyć, może zabierać pracę z sobą.

Iza pobiegła do domu jak na skrzydłach. Staruszka wysłuchała ją uważnie. Podziękowała córce za tyle fatygi i powiedziała, że zajdzie do spółdzielni i rozejrzy się tam na miejscu. W tej chwili nie może jeszcze nic zdecydować. Może później, gdy nagrobek Wincentego będzie gotowy: Chciałaby pojechać do domu w dniu ustawienia go na cmentarzu. Może Iza, a nawet Domokos wybiorą się razem z nią.

Widać było, że się nie wzbrania przed powzięciem decyzji. Dawno temu, kiedy byli bardzo biedni, sama robiła przeróżne zabawki dla małej Izy.

Iza odetchnęła z ulgą. Horyzont rozjaśniał się trochę. Nie przerażał jej także zamiar wyjazdu matki na prowincję. Niechże jedzie i uczci pamięć zmarłego według własnego uznania.

Domokos z zasady nie chodził na cmentarz. Twierdził, że na swoim pogrzebie też nie będzie obecny z własnej i nieprzymuszonej woli, tylko zaniósł go inni. Jeżeli jednak Iza sobie życzy, odwiezie ją. Będzie jej towarzyszył w drodze, ale nie na cmentarz.

Staruszce na pewno dobrze zrobi zmiana otoczenia i spotkanie ze starymi znajomymi.

Iza powiedziała matce:

– Nie pojedę z tobą do ojca. Kochałam go bardzo i nie mogę się pogodzić, że tylko grób po nim pozostał.

Staruszka prosiła córkę, żeby nie robiła sobie kłopotów z jej wyjazdem. Droga jest bardzo prosta. Nigdzie nie trzeba się przesiadać. Trafi doskonale sama. Zajedzie do Gicy i ona się nią zajmie. Oczywiście, że zajedzie do Gicy. Nie cierpi mieszkać w hotelu, a do Antala nie pójdzie. Stary dom nie należy już do nich.

Iza kupiła maszynę do szycia. Kiedy ją wniesiono do pokoju, Staruszka przyglądała się jej długo i uważnie. Stara maszyna była inna. W porównaniu z nową była paskudna i niezgrabna. Ale tej nie potrafi ani otworzyć, ani się z nią obchodzić. Maszynę postawiono pod oknem i Staruszka nakryła ją serwetą nie interesując się więcej jej losem.

Kiedy Iza weszła do pokoju matki, zastała ją w wielkim fotelu zaabsorbowaną tym, co się dzieje na ulicy. Z jakąś dziwną zachłannością przypatrywała się robotom tam w dole: jak kładziono szyny, jak rozpruwano pneumatycznym świdrem asfalt. Robotnicy wyjmowali z jezdni kamienne kostki, a pod nimi ukazywała się ziemia brunatna i świeża jak na wsi, gdzie nie jest pokryta asfaltem.

„To naprawdę nie jest takie proste ani dla niej, ani dla mnie – pomyślała Iza i czule pocałowała matkę. – Jej przychodzi to jednak łatwiej niż mnie. Jest zaprzętnięta sprawą nagrobka i to łagodzi ból. Ale przed wyjazdem poproszę kolegów, żeby ją przebadali. To nie zaszkodzi, bo Staruszka bardzo ostatnio schudła.”

## Rozdział V

Wprawdzie kamieniarz obiecał zrobić nagrobek na sierpień, ale był gotowy z robotą dopiero pod koniec października.

Staruszka szczerze cieszyła się myślą o podróży. Stała się bardziej rozmowna i ożywiona niż dawniej. Iza spakowała jej rzeczy i wyrzuciła z walizki wszystkie niepotrzebne graty, które matka chciała zabrać ze sobą. Pani Szöcs jechała na trzy dni, ale wpakowała do walizki tyle rzeczy, jakby wyjeżdżała na długie tygodnie. Iza bezlitośnie usunęła z walizki i schowała z powrotem do szafy dwie pary bucików, olbrzymie prześcieradło kąpielowe i proszek do prania. Gica da jej potrzebne ręczniki, a jedna para bucików poza tymi, które ma na nogach, zupełnie wystarczy. Na cóż potrzebny proszek?! Co, do licha, zamierza prac w przeciągu tak krótkiego czasu? A jeżeli zajdzie już taka potrzeba, może sobie kupić proszek u Kolmana. Natomiast szal trzeba zabrać, bo u Gicy jest przeważnie zimno. Można się po niej spodziewać, że nie napali w piecu nawet na przyjazd gościa.

W walizce były także prezenty. Dla Gicy kupiła po dłuższym namyśle dużą potwornie ciężką popielniczkę. Iżę ten prezent także zdenerwował, ale nie chciała już robić matce uwag. Gica nie tylko sama nie paliła, ale patrzyła krzywo na każdego, kto to robił. Staruszka kupiła tę popielniczkę, ponieważ miała piękny kolor, i wyglądała bardzo kosztownie. Czarna z białymi żyłkami. Może jednak Gica będzie miała jakiegoś palącego klienta i wtedy z przyjemnością poda tak piękną popielniczkę, a nie jakąś brzydką ceramikę.

Staruszka nie chciała zrozumieć, że na stacji może nie być bagażowego i że nie jest obojętne, jaki ciężar będzie musiała dźwigać z dworca do przystanku tramwajowego. Droga miała trwać cztery godziny i nieśmiało napomknęła, że chciałaby wziąć ze sobą coś do jedzenia. Iza kupiła jej paczkę keksów.

W przeddzień wyjazdu matka była niezwykle podniecona. Raz po raz wybiegała na korytarz. Otwierała i zamykała okno w kuchni, to znów milcząc zaszywała się w kącie i stamtąd śledziła wszystko, co się wokół niej działo. Po kolacji nareszcie uspokoiła się, ale spokój ten przypominał raczej rezygnację. O dziesiątej wieczorem rozległ się dzwonek i w drzwiach pojawiła się żona konduktora. Iza omal nie spaliła się ze wstydu, kiedy zobaczyła w jej rękach tacę z pieczonym kurczakiem i talerz pełen ciastek. Kobieta prosiła, żeby starsza pani nie gniewała się za to spóźnienie, ale nie mogła się wcześniej uporać z robotą, bo była zajęta dzieckiem, które marudzi, gdyż wyrzyna mu się pierwszy ząbek.

Iza zaniósła to wszystko do pokoju matki. Z bardzo starej pomarszczonej twarzy spojrzwały na nią niezwykle młode, niebieskie oczy, ale matka zaraz je odwróciła. Zbladła. Obok tykał nastawiony już na rano budzik. Iza kazała obudzić się telefonicznie, ale Staruszka nie wierzyła w takie rzeczy. Telefon może się zepsuć. Przecież zawsze może się coś stać z telefonem.

– Cały dom będzie się bawił naszym kosztem – powiedziała Iza – a jeszcze w dodatku kryjesz się z tym przede mną. To nieładnie, kochanie. Czy wyobrażasz sobie, że jedziesz dylizanssem? Przecież cała podróż trwa nie dłużej niż cztery godziny. Pieczone kurczę! I chyba kilogram ciastek! Gdzie to włożysz? I czy zjesz to wszystko? Gdybyś przynajmniej zjadła! Jeżeli uważałaś, że nie wystarczy ci ta paczka keksów, dlaczego nie powiedziałaś o tym Teresie? Dlaczego zwróciłaś się z tym do pani Botkán, którą ledwie znam? Zapłaciłaś jej przynajmniej za pracę?

Staruszka nie odpowiedziała. Podciągnęła kołdrę wyżej i zasłoniła nią usta. Jej twarz nabrała dzięki temu tak dziwnego wyrazu, że Iza umilkła.

– I tak już jutro pojedę – powiedziała Staruszka bez złości. – Nie krzywdź mnie.

Iza wyszła z pokoju niemal z płaczem. Zadzwoiła do Domokosa, którego naturalnie nie było w domu, chociaż już dawno minęła dziesiąta. „Nie krzywdź mnie!” Kiedyż to ona krzywdziła swoją matkę?! Przecież teraz także chce ją tylko uchronić przed zmęczeniem, przed niepotrzebnym dźwiganiem ciężaru. Po raz pierwszy Iza poczuła się głęboko dotknięta. Nie żałowała już, że matki nie będzie przez kilka dni. Pani Botkán opowie niechybnie wszystko Teresie, żeby się na niej zemścić, bo niedawno pokłóciły się o coś przy trzepaniu dywanów na podwórzu.

Staruszka poczekała, aż Iza wyjdzie z pokoju, potem wstała z łóżka. Owinęła starannie kurczę w jakąś starą lnianą chustkę pozostałą jeszcze z jej wyprawy. Wyciągnęła z szafy flaszkę od piwa napełnioną herbatą. Udało jej się tak zaparzyć herbatę, aby ani Iza, ani Teresa niczego nie zauważyły. Ugotowała wodę na prymusie, ale w powietrzu nie czuło się spirytusu, gdyż było już chłodno i zapach prędejsz się ulatniał.

Przez całą noc nie zmrzyła oka, bo nie dowierzała nawet budzikowi, a nie chciała się spóźnić na pociąg. Telefon odezwał się w przedpokoju odrobinę wcześniej niż budzik, któremu Staruszka przysłuchiwała się z dumą. Ma co najmniej czterdzieści lat, a jak wiernie jej służy! Zapakowała go także do torby z żywnością. A nuż Gica nie ma budzika, i cóż wtedy pocnie przed drogą powrotną?

Izie do rana złość przeszła, ale nie chciała, żeby matka to zauważyła. Przeciwnie, niech sobie myśli, że córka nadal jest obrażona. Kiedy Domokos przyjechał, żeby zabrać panie taksówką na dworzec, weszła do pokoju i stanęła jak wryta na widok pękatej torby przywiązanej do walizki. Nie było przecież mowy o torbie, w rachubę wchodziła jedynie walizka! Jakże ta biedna matka tak obładowana wdrapie się na stopnie tramwaju? Zapytała o to Staruszkę, ale ta spojrzała na nią z taką wrogością jak na kogoś, kto sobie za dużo pozwala. Iza przestraszyła się tego wzroku.

– Wezmę taksówkę – powiedziała matka. – Wezmę taksówkę, kiedy przyjadę na miejsce.

Iza wzruszyła ramionami. Kto by tam wierzył, że mama weźmie taksówkę i zapłaci dziesięć forintów za śmiesznie krótką drogę z dworca do Gicy. Woli skłamać, byle tylko zabrać pieczone kurczę i postawić na swoim. Na dworcu



uspokoila się i jak zwykle zapanowała nad sobą. Przecież z powodu idiotycznej torby nie rozstanie się w ten sposób z rodzoną matką.

– Mamo – powiedziała ściskając jej rękę. – Zostaw te wiktuały. Ta walizka jest za ciężka dla ciebie. Wsadzimy cię do wagonu restauracyjnego i możesz tam jeść, co ci się tylko podoba, aż zajedziesz na miejsce. Nie bądź taka uparta!

Staruszka odtrąciła ramię Domokosa, oświadczając, że niczego nie zostawi, i wdrapała się na pierwszy stopień wagonu. Bez słowa pomogli jej oboje wejść do przedziału i ułożyli walizkę i torbę na siatce. Staruszka usiadła zwrócona twarzą w kierunku jazdy. Domokos przyniósł jej ilustrowane pisma. Podziękowała i splótła ręce na kolanach, jakby chciała dać tym do zrozumienia, że nie potrzebuje ich towarzystwa. Twarz miała, obojętną, prawie nieuprzejmą.

Zostali z nią aż do chwili odejścia pociągu, a Domokosowi udało się nawet wywołać raz uśmiech na jej ustach. Iza w ostatniej chwili wsunęła matce do torby trzysta forintów; a nuż jej się coś spodoba i zechce sobie kupić jakiś drobiazg. Staruszka zauważyła ten gest i znowu twarz jej stężała w grymasie przerażenia. Obawiała się, że ta gruba pani z naprzeciwka widziała, co Iza zrobiła. Ale dama przeglądała jakieś pisma i nie zwracała na nich uwagi.

„Teraz będzie się bała, że ją okradną” – pomyślała Iza i czuła, jak drży ze zdenerwowania.

Dwie minuty przed odjazdem ucałowali Staruszkę i wysiedli z wagonu. Domokos otworzył przedtem okno, żeby matka mogła pokiwać im ręką.

Oczy Izy zabłyśły, Domokos wiedział dlaczego. Twarz, którą zobaczyli w oknie, była uprzejmie obojętna, nie było na niej ani żalu z powodu rozstania, ani radości, że jedzie do domu. Staruszka powiewała śnieżnobiałą chusteczką z czarną wypustką. Od dziecka uczyli ją, że tak należy się żegnać. Nagle Iza rozplakała się. Różne były przyczyny tych łez: budzik, pieczone kurczę, ta obca pani chrupiąca orzechy i czytająca czasopismo kobiece. Pociąg odjechał.

Domokos przyciągnął do siebie Izę i pocałował ją.

Nigdy nie całował jej w miejscach publicznych. Nie znosiła tego. Ale teraz pozwoliła mu na ten odruch, ponieważ peron dworcowy uważała za teren neutralny. Była wzruszona.

Twarz jej była mokra od łez. Otarła ją. „Żałuje mnie? A więc zasługuję na litość?” – pomyślała zmieszana. Ale zakłopotanie zniknęło i ustąpiło miejsca radości. Czuła się tak, jakby błądziła w ciemności, a jakieś miękkie, nieuchwytnie przedmioty głaskały jej twarz i czoło. „Jeżeli zechcę, mogę wyjść za niego” – pomyślała i stwierdzenie to dodało jej otuchy i sił. Cała złość poszła w zapomnienie. „Wyjdę za niego!”

Na Körút szumiał poranny ruch. Żółte oczy i ruda czupryna Domokosa były jej bliskie i napawały ją uczuciem spokoju i bezpieczeństwa. Wziął ją pod rękę jak zawsze, kiedy przechodzili przez ruchliwe ulice w niedozwolonym miejscu, wśród pędzących pojazdów. Pisarz był szczęśliwy, ilekroć udawało mu się wyprowadzić w pole milicjanta regulującego ruch. Iza

jednak czuła, że Domokos lituje się nad nią, co wywoływało w niej mieszane uczucie ulgi, podniecenia i zakłopotania.

Wygodnie było siedzieć w pociągu. Można zapalić światło, kiedy się ściemni, bo tuż nad jej głową do ściany przymocowana była lampka. Obiema rękami przyciskała torebkę do piersi. Odnosiła wrażenia, że ta pani z naprzeciwka, która chrupała orzeszki, od czasu do czasu przypatruje się z uwagą jej torebce. Długo nie mogła się zdecydować na pójście do toalety. A nuż ktoś porwie jej walizkę i ucieknie? Ale powoli uspokajała się. Zamieniła nawet kilka zdań z towarzyszką podróży, kiedy tamta zapytała, czy nie przeszkadza jej dym. Okazało się, że jest nauczycielką i jedzie na jakąś wizytację szkoły. To uspokoiło Staruszkę. Lubiła nauczycielki, a ta miała bilet ulgowy, więc chyba nie kłamała.

Nie była głodna, tylko chciało jej się pić i raz po raz pociągała herbatę z butelki. Cieszyła się, że zabrała ją ze sobą. Z ciocią Emmą odbywała długie podróże i prowianty na drogę zawsze się przydawały. Czuła się bezpieczna na myśl o kurczęciu w torbie. Może nie będzie głodna, ale jaką niespodziankę zrobi nim Gicy! I tak zadręczała ją myśl, że będzie u niej mieszkać za darmo. Przecież Gica jest biedna.

Wyglądała przez okno. Pociąg tylko kilka razy zatrzymywał się po drodze. Pędził jak szatan. Z początku na dworze było szaro i mglisto. Później jednak wypogodziło się. Kiedy jechała do Budapesztu z Izą, nic nie widziała, gdyż ekspres pędził zbyt szybko. Teraz mogła się rozglądać po okolicy. Wszystko wyglądało jakoś inaczej niż we wspomnieniach. Było bardziej uporządkowane. W miejsce porozsiewanych zagród wyrosły duże osady, nad którymi wznosiły się kominy. Tu i ówdzie stały podłużne budynki. Wyglądały jak stajnie, ale były to pewnie jakieś gmachy publiczne. Pośrodku osady, przy skrzyżowaniu polnych dróg, dostrzegła szkołę. Na tle czarnej ziemi biał się okazały budynek. „Nowy krajobraz – myślała Staruszka. – Nie wiem, co to wszystko oznacza, ale wiem, że jest inne, niż było dawniej.” Mostu na Cisie zupełnie nie poznała. Nowy, o dziwnym kształcie, łączył brzegi rzeki. Po kilku godzinach zobaczyła taki sam most i przeraziła się, czy nie jada w przeciwnym kierunku, w stronę Budapesztu. Nauczycielka już dawno wysiadła, ale nowi pasażerowie uspokoiili ją. Mówili o jakimś kanale. Zdziwiła się. Przecież tu nigdy nie było żadnych kanałów! W Dorozs kilka osób wysiadło, inni przygotowywali się do opuszczenia wagonu. Pociąg stał w Dorozs tylko dwie minuty, ale peron zdążył się zaludnić.

Zaledwie kilka kilometrów dzieliło ją od rodzinnego miasta. Została w wagonie całkiem sama. Z zachwytem patrzyła na dobrze znane strony. Oto akacje, które pamiętała. Lasy o anemicznych drzewach mówiły Staruszce, że zbliża się do domu. Miała wrażenie, że gdyby do nich przemówiła, odpowiedziałyby jej. Splotła ręce jak do modlitwy. Pola, które widziały ją jako niemowlę, potem jako młodą mężatkę i wreszcie były świadkiem jej wdowieństwa, otaczały ją ze wszech stron. Nawet Wincenty stał się Staruszce

teraz bliższy niż kiedy indziej, gdyż spoczywał w tej ziemi. Wszystko, co widziała dokoła, zlewało się ze wspomnieniami o zmarłym.

Konduktor zajrzał do przedziału, powiedział, że zbliżają się do stacji i nieproszony zdjął jej rzeczy z siatki. Staruszkę ogarnęło uczucie błogostanu, jak wtedy w kościele, w czasie chrztu Izy. Miała wrażenie, że wszystko wokół niej pływa. Zarumieniła się. Jej oddech stał się szybszy. Poznała dawną kolonię kolejarską, a teraz spostrzegła wielki napis z neonowych liter – nazwę jej miasta. Niewiele brakowało, aby wyskoczyła z pociągu jeszcze w biegu. Ktoś podał jej walizkę i torbę. Z początku stała bez ruchu i rozglądała się wokoło. Dał silny wiatr. Nieprzyjemny, ostry. Ale pachniał jej rodzinnym domem; dobry, znajomy wiatr. Nawet nie czuła ciężaru walizki i torby. Posuwała się razem z tłumem ku wyjściu. Stała na placu, gdzie Petöfi na swym cokole wznosił ku niebu prawicę.

Łzy radości spływały jej po policzkach. Wiedziała, że jest w domu.

Na przystanku tramwajowym był tłok. Do pierwszego tramwaju nie dostała się. Udało się jej wsiąść dopiero do drugiego. Jakoś nikomu nie przyszło do głowy jej pomóc. Sama musiała się uporać z bagażem. Na chwilę zatarasowała przejście i konduktor upomniał ją. Pasażerowie także się denerwowali i w pośpiechu stała się przyczyną jeszcze większego zamieszania. Wreszcie jakiś wyrostek usunął jej walizkę z drogi. Zdenerwowane głosy i krzyki sprawiły, że się opamiętała i otrząsnęła ze stanu oszołomienia. Krzyki te były bardziej swojskie niż pełen napięcia spokój w domu Izy. Upominali ją! „Znowu zrobiłam coś nie tak, jak trzeba – pomyślała zawstydzona. – Zawsze muszę coś nabroić.”

Miała słabą nadzieję, że Gica będzie na nią czekać na dworcu. Ale kroczym nie wyszła jej na spotkanie, a pięciominutowa droga, jaką miała przebyć z przystanku tramwajowego z tym ciężkim bagażem, bynajmniej nie była łatwa. Przystawała, zmieniała ciężary, przerzucając je z jednej ręki do drugiej. Rozglądała się dokoła. Ileż tu domów odnawiają! Również chodnik doprowadzono do porządku. Są nowe skrzynki, pocztowe. Nigdy nie było takich czerwonych skrzynek w mieście. Ostrożnie szła przed siebie, choć w tej chwili ostrożność ta nie była już potrzebna. Zniszczone podczas wojny asfaltowe jezdnie naprawiono. Gdy tak szła ulicami, przekładając walizkę z ręki do ręki, raz po raz wymawiała imię męża. Jeżeli pójdzie zaułkiem Budenza, zaraz zobaczy swój dom.

Przeszła między dwoma rzędami ciasno do siebie przylegających domów i zatrzymała się na rogu. Walizka wypadła jej z ręki. Rzuciła także torbę na ziemię, jakby się jej chciała na dobre pozbyć. Nigdzie nie dostrzegła domu, w którym spędziła życie.

Stała na ulicy i płakała. Dom ten w tej chwili już do niej nie należał, ale chciała go zobaczyć. W Budapeszcie bez przerwy marzyła, aby na niego spojrzeć. Właśnie z tego rogu, stąd chciała go widzieć. Tu, w tym miejscu, odpoczywała zawsze wracając zmęczona z targu. Rozczarowanie, jakiego doznała, było tak silne, iż nie mogła wprost ruszyć się z miejsca. Nie rozumiała, co się mogło stać. Gdzie podział się dom? Ogarnął ją gniew. Dom

przepadł, odkąd stał się własnością Antala. Między domem Gicy i sąsiada stał jakiś obcy budynek.

Staruszka nigdy nie nosiła na ulicy okularów. Niewinna próżność kazała jej ukrywać przed ludźmi, że ma zły wzrok. W Budapeszcie Iza zmuszała ją do noszenia szkieł, ale z chwilą, kiedy pociąg ruszył z miejsca, wrzuciła je do torebki, żeby przypadkiem Gica nie zobaczyła jej w okularach. Kiedy zbliżyła się do dawnego domu, zrozumiała, co się stało. Antal przemaalował parkan i otynkował zewnętrzne mury. Tynk i kolor zupełnie zmieniły wygląd domu. Ściany stały się jakieś żywsze i bardziej szorstkie. Zamiast okiennic w oknach wisiały teraz rolety, tak jak w mieszkaniu Izy. Szparę, wyciętą w drzwiach i służącą do wrzucania listów, obramowano metalową obwódką, a ujście rynny ozdobione smoczą paszczą pomalowano na czerwono. Smok wyglądał teraz jak żywy.

Gdyby chciała, mogłaby spokojnie wejść do środka. Na dnie torebki leżały klucze od furtki i od domu. Nie zachowała ich celowo, tylko tak się jakoś złożyło, że zostały u niej po przeprowadzce. Po pogrzebie nie wróciła już do domu i nie mogła ich oddać Antalowi. Gdyby tylko zechciała, mogłaby wejść do ogrodu, do mieszkania, obejrzeć pokoje, kuchnię i pogłaskać Kapitana. Ale człowiek nie może bez pozwolenia wchodzić do cudzego domu, nawet gdyby był on własnością krewnego. Wyglądałoby to jak włamanie.

Sprzedawca gazet pochłonięty był czytaniem gazety sportowej. Nawet nie podniósł głowy, kiedy tamtędy przechodziła. Ucieszyło ją to. Nie miała sił, aby się teraz zdobyć na rozmowę. Z odwróconą głową przeszła obok sklepu Kolmana, mając nadzieję, że nikt jej nie zauważy, gdyż było samo południe i na ulicach panował dość duży ruch. Kolman przyzwyczajony był do jej starego płaszcza, a nie do tego nowego i do modnego kapelusza nasuniętego na oczy. Iza dawno wyrzuciła jej stary płaszcz i na jego miejsce kupiła ten z kołnierzem z wydry. Czuła, że jest niewdzięczna, iż się nim nie ucieszyła, ale była przywiązana do swoich starych, szlachetnie wytartych i znoszonych rzeczy, które świadczyły o uczciwej biedzie.

Oboje z Wincentym uważali za niewłaściwe wywoływanie zazdrości u innych. Tacy bezradni starzy ludzie jak oni czuli się bardziej bezpiecznie, gdy nie zwracali na siebie uwagi wystawnym sposobem życia i kosztownymi strojami. Bardzo się bali włamania. Kapitan nie mógł ich obudzić, nie był zresztą dla nikogo groźny.

Kolman nie zauważył jej i bez przeszkód dotarła do Gicy. Krojczyni właśnie rozpałała w piecu, kiedy na progu stanęła pani Szöcs.

Gica żyła według swoich własnych zasad. Wszyscy je dobrze znali. Nigdy nie miała w zapasie dość drzewa, ponieważ uważała, że zbyt nagrzany pokój jest szkodliwy dla zdrowia i dlatego pierwszy raz należy zapalić w piecu dopiero, kiedy spadnie pierwszy śnieg. Staruszka niezliczone razy słyszała te wypowiedzi Gicy i na własnej skórze miała nieraz okazję przekonać się o jej zasadach, kiedy do niej po coś wpadała. Rzeczywiście poza kuchnią Gica nigdy nie paliła w piecu przed końcem listopada. Ale Staruszka spodziewała się, że może wyjątkowo dziś choć raz krojczyni odstąpi od swoich zasad i

będzie ją oczekiwać w ciepłym pokoju. Przecież człowiek jednak musi się jakoś liczyć z gośćmi. Kiedy do domu zawita gość, żyje się zupełnie inaczej.

Gica oświadczyła, że dostała rano telegram od Izy, ale nie chciała zapalać w piecu, dopóki starsza pani nie przyjedzie, bo przecież mogło się coś wydarzyć, a wtedy piec grzałby nadaremnie. Po dobrze ogrzonym mieszkaniu Izy, ten pokój wydał się Staruszce lodowaty.

Gica szalała z radości widząc pieczone kurczę i ciastka, a nawet za popielniczkę pięknie podziękowała starszej pani. Jeżeli nawet niezbyt cieszyła się prezentem, który na pewno sprawiał jej mniej radości niż prowianty – nie okazała tego po sobie. Powiedziała, iż spodziewała się, że Staruszka wygląda lepiej, i zaniepokoiła się, czy też starsza pani nie jest chora. Pytanie to zaskoczyło panią Szöcs. Wyczuła instynktownie, że stwierdzeniem tym Gica niejako chciała ugodzić w Izę, i natychmiast zaczęła gorączkowo, fanatycznie wychwalać córkę.

Gica miała Staruszce mnóstwo do opowiedzenia. Wygadywała na Kolmana, że został udekorowany, że od tego czasu strasznie zadziera nosa i rozsadza go duma. Potem oświadczyła, że niestety nie może napalić w łazience, bo piec jest zepsuty. Staruszka dostała gęsiej skóry na samą myśl, że miałyby się myć w lodowatej łazience. Nagle zrobiło jej się wstyd, że rano była taka uparta i mimo protestów Izy zapakowała do walizki prześcieradło kąpielowe. Okazało się, że wiozła je na próżno. Poszła do łazienki i szybko umyła się w zimnej wodzie. Palce jej zdrętwiały. Ledwie mogła się wytrzeć. Trochę ją to żenowało, ale dokładnie sprawdziła piecyk, czy aby naprawdę jest zepsuty, i okazało się, że był w porządku. Krany również działały sprawnie. Zarumieniła się ze wstydu za Gicę. Przecież tych parę kilo węgla...

Poza tymi kilkoma dziwactwami Gica była miła i bezpośrednia. Opowiadała, że dzisiaj tylko po łebkach sprzątała u Antala, bo tak się śpieszyła, żeby zdążyć przed przyjazdem starszej pani. Zapytała ją, czyby nie zechciała wpaść do pana doktora, żeby zobaczyć, jakie zmiany tam zaszły, odkąd wyjechała z domu. Staruszka nie miała na to ochoty, natomiast pragnęła zaraz pójść do kamieniarza, który wykonał nagrobek. Już zawczasu umówiły się z Gicą, że natychmiast po przyjeździe Staruszki pójdą razem do kamieniarza, żeby wykupić nagrobek, a kamieniarz zawiezie go na cmentarz.

Potem obie miały pójść po wieniec i kwiaty, a po południu zanieść je na cmentarz, gdzie nagrobek będzie już stał na swoim miejscu. W Dzień Zaduszny będzie mogła zaświecić na grobie świeczki.

Czy zostanie aż do tego czasu? – spytała Gica i kiedy usłyszała odpowiedź twierdzącą, spuściła swoje okrągłe życzliwe oczka.

Z powrotem poszły ulicą Dobos wzdłuż nowo wybudowanych domów. „Budują tu takie same domy jak w Budapeszcie” – pomyślała Staruszka. Pamiętała, jak powstawał każdy nowy budynek. Dawniej były tu same parterowe domki. Tu, w tym miejscu, znajdował się warsztat powroźniczy, tam znów warsztat sitarski. Ani warsztatu, ani tamtego domku już nie ma. Za to stoi w tym miejscu duża przychodnia lekarska, podobna do tej, w której pracuje Iza w Budapeszcie. Tu znów są pewnie jakieś urzędy.

Nagrobek Wincentego był niezmiernie drogi. Ale kiedy go zobaczyła, odniosła wrażenie, iż ją oszukano. Iza nie mieszała się do spraw pieniężnych ani do wydatków matki. Staruszka była przekonana, że wszystkie pieniądze, otrzymane ze sprzedaży rzeczy męża, muszą być wydane na jego intencję. Zamówiła więc podwójny nagrobek z czarnego marmuru. Najdroższy, jaki tylko mogła znaleźć u kamieniarza. Z projektów, które dostarczyła jej Gica, wybrała najokazalszy. Teraz jednak, kiedy zobaczyła pretensjonalny czarny marmur z obrzydliwie rzeźbionymi różyczkami, wśród których wiły się rażące złote litery imion ich obojga, a pod jej imieniem puste, wyczekujące miejsce, zrobiło jej się smutno. Zupełnie nie знаła się na sztuce, ale odczuła całą szpetotę tego nagrobka i uświadomiła sobie instynktownie, że to, co ma przed oczyma, nie wyraża uczuć, które miały być wyrażone. Nie został wyryty w tym kamieniu jej żal. Właściwie nagrobek ten nic nie wyrażał. Absolutnie nic. Był niezgrabny i okropnie pretensjonalny.

Znowu przypomniawszy sobie Izę, która pałac papierosa namawiała ją na postawienie skromnego kamiennego pomnika. „Nie stawiaj mu nagrobka, mamó. Zwykły krzyż jest o wiele stosowniejszy i nie tak pretensjonalny.” Ale Staruszka chciała koniecznie uczcić pamięć Wincentego i wydała mnóstwo pieniędzy na ten czarny marmur, przed którym stała teraz zupełnie załamana. Kiedy była młoda, kazała wyrzeźbić aniołki na grobie Jędrusia. Ale tamten nagrobek był lekki, pełen wdzięku i przez całe lata wyobrażała sobie, że jej synek bawi się po nocach z tymi aniołkami. Teraz kiedy skończyła siedemdziesiąt sześć lat i stała przed nagrobkiem męża, wiedziała już, że ludzie umierają naprawdę i w niczym nie można im pomóc. Nie można dla nich zrobić nic ani z poczucia obowiązku, ani w odruchu rozpacz, ani z największej nawet miłości.

Gica promieniała szczęściem, a kamieniarz z dumą obchodził swoje dzieło. Od wielu lat nie zrobił nic równie świetnego. Tak okazały pomnik wykonał ostatni raz chyba z piętnaście lat temu. Również i o tamto zamówienie wystarała się dla niego Gica. Czuł się trochę urażony, że nie spotkało go dość wylewne uznanie. Staruszka niespodziewanie szybko się pożegnała. Inni żałobnicy zwykle dłużej podziwiali jego dzieła. Zatrzymywali się przed nagrobkami i zachwycali się ich pięknem. Wychwalali szczegóły. „Może potem na cmentarzu będzie bardziej rozmowna” – pomyślał kamieniarz. O czwartej po południu nagrobek stanie już na miejscu.

Podczas powrotnej drogi do domu Staruszka myślała o Wincentym w ostatniej fazie jego choroby. Jak okropnie wychudł, jak strasznie wyniszczyła go choroba. Na rysunku nie było widać, że nagrobek jest aż tak monumentalny. Wydawał się delikatny i piękny. „Zupełnie się nie orientujesz – powiedziała wtedy Iza i pokazała jej na ścianie, ile to jest mniej więcej trzy metry. – Taki ogromny kamień nie może chyba wypaść ładnie.” – Ale Staruszka nie wierzyła jej. Myślała, że córka przesadza.

Niechętnie wybierała wieniec u kwiaciarki. Po długich wahaniach zdecydowała się wreszcie. Był to wieniec, którym za życia Wincenty na pewno by się ucieszył. Pachniał świerkiem i jeszcze lepkiemi szyszkami. Ożywiały go

czerwone jagody. Owoce te przypominały Staruszce głóg, z którego robiła konfitury na zimę. Gica myślała najwidoczniej, że jej również wypada kupić kwiaty, ponieważ nikt inny poza nią nie zajmował się sprawą nagrobka. Wybrała strzępiastą liliową chryzantemę. Staruszka z przerażeniem spozjrzała na kwiat. Wincenty przez całe życie nienawdził kwiatów pozbawionych woni, a o liliowej chryzantemie powiedział kiedyś, że przypomina mu czerwoną kapustę.

Na obiad zjadły po kawałku kurczęcia przywiezionego przez Staruszkę. Ona przełknęła zaledwie kilka kęsów. Gicy też nie dopisywał apetyt. Zupę ugotowała na zapraźce i wbiła do niej jajko. Była dobra i ciepła.

Gica najwięcej mówiła o Antalu. Opowiadała, że nie trzeba po nim wiele sprzątać, bo jest czysty i porządny. W domu przebywa mało, właściwie tylko po kolacji. Częściowo przerobił meble. Mieszkanie stało się nowoczesne, ładne. Kapitan strasznie się rozbisurmanił, ale nie można się go pozbyć z domu, bo Antal go lubi. Wielki pokój nie zmienił się prawie wcale. Antal poustawiał tam meble, które nie zostały przerobione.

Nie było jej przyjemnie słuchać tego, co opowiadała Gica, ponieważ czuła, że znowu zaczyna ją pociągać dom, w którym sapie Kapitan i – jak zawsze o tej porze roku – zielenią się kwiaty na parapetach. Gica wspomniała, że nie będzie już długo pracować u Antala, ponieważ lekarz zamierza się ożenić. Bierze za żonę jakąś pielęgniarkę, a ona, Gica, nie ma ochoty chodzić koło tej nowej pani.

To wszystko nie interesowało Staruszki. Iza miała swego Domokosa, a sprawy miłosne Antala stały się dla niej tak dalekie, że nie poświęcała im ani jednej myśli. Jeżeli cokolwiek czuła z tego powodu, to raczej cień radości. Antal był dobrym chłopcem, dlaczegóż by nie miał na nowo urządzić sobie życia?

Ten dzień zmęczył ją.

Kiedy zobaczyła grób i ów bezkształtny nagrobek, który stawiała mężowi z tak wielką miłością i nieutulonym smutkiem – uświadomiła sobie ostatecznie, że Wincenty naprawdę umarł. Nie było już wątpliwości, Wincenty odszedł na zawsze. Dopóki nad grobem stał drewniany krzyż, strata ta nie wydawała się jej tak całkowicie nieodwracalna. Na pogrzebie była chwila, kiedy myślała, iż wszystko, co się rozgrywa przed jej oczyma, jest jakąś omyłką. Gdyby usunięto krzyż, Wincenty wstałby z grobu, strzepnąłby z siebie proch i pewnie by powiedział, że to był tylko żart, że zaraz wróci do domu i zasiądzie do obiadu. Ale te rzeźbione złote litery wśród czarnych marmurowych róż przypominały jej o nieodwracalnym fakcie oraz o tym, że nikt tego faktu w żaden sposób już zmienić nie może. Miała wrażenie, że dopiero teraz uniemożliwiła Wincentemu wyswobodzenie się i tym ciężkim kamiennym nagrobkiem przypieczętowała jego śmierć. Wtłoczyła go pod ziemię i odgrodziła od żyjących. Teraz nie może się już niczego spodziewać.

Przyznała Izie rację, że nie chciała na to patrzeć. Spuściła głowę i zakryła usta chusteczką. Gica chwyciła ją za ramię w obawie, że Staruszce zrobiło się

słabo. Ledwie mogła się utrzymać na nogach. Była to chwila wielkiego tryumfu kamieniarza. Nareszcie jego dzieło wywarło odpowiednie wrażenie.

W domu u Gicy było Staruszce jeszcze chłodniej niż przed południem, kiedy była rozgrzana podniecającym oczekiwaniem i dźwiganiem bagażu. Słaby płomień wydobywał się spośród wilgotnych polan. Otworzyła i natychmiast zamknęła z powrotem walizkę. Przypomniała sobie, że jednak nie wzięła ze sobą ciepłej chustki, ponieważ nie chciała robić przykrości Gicy przypuszczeniem, że zastanie u niej taki chłód. Ujrzała rozłożony na fotelu na wpół wykończony ornat. Udała, że chce się bliżej przyjrzeć materiałowi, i owinęła szyję miękkim jedwabiem. Spojrzała w ogień. Był to ogień nierealny, który nie ogrzewał. Gica milczała. Także była zmęczona. Nie rozmawiała ze sobą.

Po szóstej przyszedł Antal.

Gica wprowadzając go do pokoju mamrotała coś pod nosem. Miało to oznaczać, że swoim przybyciem zrobił im miłą niespodziankę. Przed dwoma dniami oznajmiła Antalowi, że przyjedzie do niej pani Szöcs, i obserwowała, jakie to na nim wywrze wrażenie. Staruszka na widok Antala rozpląkała się, przycisnęła go mocno do siebie i ucałowała jak dziecko. Nie było tu Izy, której by się krępowała. Antal popatrzył na nią z podwójnym zainteresowaniem. Wincenty mawiał kiedyś: „Zauważ, że oni patrzą na ciebie jakby w dwojaki sposób: jak twoje dzieci i jak lekarze. Nigdy nie wiadomo, jakim wzrokiem cię widzą.”

Antal zdumiał się na widok Staruszki. Jego twarz ani spojrzenie nic jednak nie zdradzały. Wiele lat praktyki nauczyło go stawiać diagnozy w taki sposób, żeby chorzy nie domyślili się niczego poza rzeczowym i uprzejmym zainteresowaniem. Staruszka była ładna. Jej uśmiechnięte oczy patrzyły przez łyżę trochę nieufnie, jak u dzieci, które skarcono. Płaszcz i kapelusz, rozłożone przez Gicę na łóżku, były jak spod igły – nowe i modne, tak samo jak elegancka suknia, którą miała na sobie. Ale jej dawna wesołość, energia obecnie jakby przycichły i wypłwiałały. Mówiła powoli i ostrożnie. Właściwie prawie się nie odzywała. Odpowiadała tylko zdawkowo, jakby przywykła do takiego sposobu mówienia. Antal przerwał jej w połowie zdania, wstał, podszedł i pochylił się nad nią, potem ją uścisnął i pocałował z wielką czułością. Niebieskie, okolone zmarszczkami oczy ponownie zwilgotniały, ale pani Szöcs odsunęła twarz.

W pokoju było strasznie zimno. Antal zdjął z pleców Staruszki nie dokończony ornat i zarzucił na nią swoją jesionkę. Podniósł z podłogi walizkę i torbę.

– Niech mama idzie. Tu jest bardzo zimno. Pani Gica na pewno nie będzie się na nas gniewać. Obawiam się, że mama się tutaj przeziębi. A u mnie można wołu upiec. Pałę, gdzie się tylko da. Uwielbiam ciepło, przecież mama pamięta? U mnie także może mama przenocować.

Staruszka nie ruszyła się z miejsca. Gicy ze zdziwienia opadła dolna szczęka i na jej szyi utworzyły się liczne zmarszczki. Pomyślała skrycie: „Proszę, jak się huncwot rzadzi! Oczywiście, zarabia tyle forsy, że może



pieniądze rzucać w ogień. Ale przecież ten woziwoda skrzywdził kiedyś Szöcsów i pani Etelka nie może tam pójść spać! Chyba odmówił!”

Antal też się obawiał, że nie uda mu się namówić Staruszki na odwiedzenie jego domu. Jeszcze raz wpatrzył się w tę tak dobrze mu znaną twarz i znowu zaskoczyła go malująca się na niej pustka i tępe posłuszeństwo.

– Tak myślisz? – wahając się spytała Staruszka.

– Oczywiście. Pożegnaj się, mammo.

„Czy naprawdę mam na to ochotę?” – zapytała się w duchu, kiedy poczuła, że Antal zawiązuje jej szalik na szyi. Gica rzuciła mu nieprzychylnie spojrzenie. „Sama nie wiem, czy naprawdę tego chcę. Ale nie wolno się sprzeciwiać. Nie, nie wolno się nikomu sprzeciwiać. Oni zawsze mi mówią, co mam zrobić. Antal jest młody, on wie lepiej niż ja.”

Pocałowała Gicę, mruknęła coś ó kurczęciu i posłusznie poszła za lekarzem. Klucz, dawny klucz Wincentego, do którego dla rozpoznania przywiązali wstążeczkę w barwach narodowych – obrócił się w zamku.

Nad bramą wejściową zabłysło światło. Zmrużyła powieki od nagłego blasku. Dawniej nie było tu żarówki. W zimowe popołudnia trzeba było po omacku znajdować zamek.

Od strony ogrodu dobiegł jakiś tupot. Jakby w półśnie słyszała miękkie, skradające się kroki. Przyszedł Kapitan. Jak przedtem, jak zawsze. Obwąchał Antala i zaskomlał na jego powitanie. Staruszka czekała. Pies spojrzał na nią nieufnie i odsunął się, kiedy się nad nim pochyliła. Nie poznał jej. Ale to jej nie zabolalo. Była już uodporniona. Nic nie mogło jej dotknąć, opanowało ją jakieś odrętwienie. Na ganku, jak dawniej, stały plecione mebelki. Wszystkie fotele były naprawione. Teraz paliła się lampa także na podwórzu. Jakaś bardzo silna żarówka.

W tym oświetleniu widoczne były bezlistne krzaki róż Wincentego, oczekujące nadejścia zimy. Otulały je troskliwie słomiane chochoły. Stary, jakże dobrze znany jej widok. Każdego roku o tej porze róże znikaly pod ciepłym okryciem. Ale nawet to jej zbytnio nie wzruszyło. Szła z Antalem po pięknie wyczyszczonych schodach. To była robota Gicy.

Wszędzie pełno blasku. Ściany korytarza pociągnięte olśniewająco białym wapnem. Zielone wieszaki były przedziwne. Nawet Iza by się ich nie powstydzila. Białe polakierowane drzwi. W obydwu małych pokojach lekkie zielone mebelki. Niczym budapeszteńskie. Wszędzie dużo lamp i mnóstwo kwiatów – ich dawnych kwiatów. Na podłodze rozpostarte różnobarwne dywany. Zielone, fioletowe. Stoły niskie, modne. Dużo małych stolików, jak u Izy. Na oknach wisiały jakieś dziwaczne wzorzyste zasłony. Rzeczywiście było bardzo ciepło. Błogosławione ciepło. To, co widziała, było tak odmienne od tego, co zachowała w pamięci, że nie wywarło na niej głębszego wrażenia. Antal otworzył przed nią drzwi do dużego pokoju. Był to kiedyś wspólny pokój Izy i Antala. A jeszcze dawniej paniński pokój Izy. Najmilszy pokój, jasny, z oknem wychodzącym na różany ogród. W lecie wyglądał jak lśniąca

od słońca, oszklona altana. Antal zapalił światło. Postawił walizkę i torbę na podłodze i przepuścił Staruszkę przodem. Patrzył na nią.

Czekał. Jej twarz nadal była obojętna. Oczy również nic nie wyrażały. Rozejrzała się dokoła. Lekarz oczekiwał jakiejś żywszej reakcji i ogarnęła go trwoga wobec tej zupełnej obojętności. Najchętniej krzyknąłby lub potrząsnąłby nią, ale nie śmiał jej dotknąć. Niebieskie oczy jeszcze raz powoli, bardzo powoli rozejrzały się wokoło. W oknach wisiały stare firanki jeszcze z czasów jej młodości. Szła je wspólnie z ciotką Emmą wiele, wiele lat temu. W kącie pokoju stało stare łóżko Wincentego. Poduszki piętrzyły się wysoko, a na podłodze przed łóżkiem stał czerwony pluszowy podnózek z wyszytym pieskiem o oczach z paciorków. Prawie wszystkie meble i przedmioty, które Iza zostawiła, były zgromadzone w tym pokoju. Wyszczerbiony niebieski wazonik z ptakiem, myszka z obtłuczonym ogonkiem z porcelany meissenowskiej. Niegdyś lubiła te rzeczy. Dywany także były te same, stare i przyniszczone. Przed piecem stał jej parawanik z czarnej laki, chronił kiedyś przed żarem bijącym z pieca. Na odwrotnej jego stronie namalowany był kosz z owocami w wesółych barwach. Czerwone rozkrojone kawony dawały złudzenie miłego chłodu, kiedy paliło się w piecu.

– Bardzo lubię ten pokój, mamó. Tu będziesz spała – powiedział Antal. – A może chciałabyś się wykapać?

Nie oczekiwał odpowiedzi. Zostawił ją samą w pokoju. Staruszka słyszała, jak krząta się po kuchni. Szmery, brzęk naczyń dochodzący z kuchni były niebezpiecznie swojskie. Nawet echa dawnej studenckiej piosenki przypominały Wincentego. Nucił takie piosenki, kiedy był zajęty jakąś robotą, oczywiście wtedy gdy był jeszcze zdrowy.

Rozpięła płaszcz i usiadła na krześle. Teraz cieszyła się, że przecież nie na darmo przywiozła ze sobą prześcieradło kąpielowe. Wyciągnęła przed siebie nogi i popatrzyła na swoje buciki. Powinna je wyczyścić. W ostatnich czasach, kiedy w przedpokoju robiło się chłodno, przynosili pudełko z przyborami do czyszczenia obuwia do tego pokoju. Automatycznie otworzyła drzwiczki nocnej szafki Wincentego. Jakimś dawnym gestem, jakby z przyzwyczajenia. Było tam nowe, czerwono pomalowane pudło, a pasta do butów i szczotki stały na swoim dawnym miejscu. Przykucnęła. Patrzyła na zawartość pudełka i powoli, bardzo powoli podniosła głowę. Odnosiła wrażenie, że słyszy z daleka jakiś głos. Jakby odbite o ścianę lasu echo powtarzało jej imię. Wołano ją i trzeba było odpowiedzieć.

Antal zastał Staruszkę w tej pozycji. Wyglądała jak ostrożne, wietrzące niebezpieczeństwo zwierzę.

W łazience także było ciepło, przyjemnie. Na wieszaku nie wisiały stare połatanne ręczniki z adamaszku, lecz nowy barwny ręcznik kąpielowy. Sama się zdziwiła, że ma takie brudne ręce. Przecież myła je już u Gicy, ale tylko w zimnej wodzie. Antal wesoło kręcił się po domu i pogwizdując przygotowywał kolację w kuchni. Właściwie kuchnia Antala niczym nie różniła się od ich własnej w Budapeszcie. Jej dawna kuchenka znikła bez śladu. Teraz gotowało się wszystko na maszynie elektrycznej. Szafka przypominająca

kredens wisiała nad zlewem. Dotknęła ścianki obudowy i wyczuła pod kolorowym plastykiem swój stary kredens. Przerobili go w ten sposób – bardzo pomysłowo. Antal podał kolację. Przeważnie gotowała Gica. Nie zawsze, ale dzisiaj właśnie ona przygotowała wszystko do kolacji. Staruszcze bardzo smakowała potrawa z nadziewanej dyni i kotlet mielony, nawet bardziej niż to pieczone kurczę przywiezione z Budapesztu. Antal nadal jadał bardzo dużo chleba do wszystkich potraw. Jedli w milczeniu.

– Mamo – spytał Antal po kolacji – czy bardzo jest mama zmęczona?

Zmęczenie przyprawiało ją nieledwie o zawrót głowy. Ale nie śmiała się do tego przyznać.

– Nie – odpowiedziała.

– Rąbałem dzisiaj drzewo i zdarłem sobie skórę z ręki, a nie lubię zostawiać brudnych naczyń dla Gicy. Czy nie mogłaby mama zmyć za mnie naczyni, które zostały z kolacji?

Staruszka bez słowa wstała od stołu i zaczęła zbierać talerze. Antal obserwował ją i zauważył, że z przerażeniem spogląda na kran, zanim zdecydowała się go otworzyć, żeby puścić ciepłą wodę. Spostrzegł również tragiczny wyraz jej oczu, kiedy podnosiła naczynia pod światło, by sprawdzić, czy je dobrze wytarła.

– Gica doskonale sobie radzi, ale nic nie potrafi zrobić tak dobrze jak mama.

Słowa dochodziły do niej powoli, jakby z wielkiej oddali i jedynie z trudnością zdołała zrozumieć ich znaczenie. Tak, Gica to dobra kobieta, ale trochę nieporządna, nigdy nie była zbyt czysta.

– Wszystko, co mama robi, jest zrobione dobrze, a to, co mama myje, jest czyste jak liza.

„Jak liza” – usłyszała i jak echo powtarzała w duchu: „Jak liza.”

– Słyszałem, że liza wychodzi za męża.

Nie odpowiedziała. On także się żeni, nie mają więc sobie nic do zarzucenia.

– Mama zostanie tutaj dłużej, prawda?

„Dłużej – odpowiedziało echo. – Dłużej.” Cieszy się widocznie, że tutaj zostanie. Ale również i teraz nie odezwała się ani słowem. Jak przyjemnie było wycierać naczynia starą, tak dobrze znaną ścierką. Te ścierki nie zostawiają po sobie żadnego śladu, a naczynia błyszczą jak lustro.

– Mam pewne zamiary na przyszłość. Chciałbym je omówić z mamą. Proszę zdecydować, czy to są dobre plany, czy złe... Bardzo bym pragnął, żeby mama tu u mnie została.

Ona miałaby o czymś zdecydować? Ona? Rozwiesiła ścierki i zamknęła szufladę kredensu. Antal wstał i pocałował ją w rękę. Zawsze jej tak dziękował, kiedy mu w czymś pomagała. Za wypranie skarpetek, przyszywanie guzika czy wyprasowanie koszuli.

Patrzyła na Antala, ale nie był bardziej rzeczywisty niż sen. Realne były jedynie te błyszczące czystością talerze i to, że tym razem jej praca była komuś naprawdę potrzebna.

- Czy mama umie się obchodzić z bojlerem? Ja muszę jeszcze wyjść do miasta, ale postaram się wcześniej wrócić. Do tego czasu mama się wykąpie, położy do łóżka, a kiedy wrócę, spróbujemy pomówić o poważnych sprawach. Zjawiała się tu mama jakby prosto z nieba, nawet sobie mama nie wyobraża, jak bardzo tego pragnąłem.

Zaczął chodzić po pokoju. Wyszedł, potem wrócił już w płaszczu. Oczywiście nadal chodził bez kapelusza. Słowa, które wypowiadał, dochodziły do niej jakby z oddali. Były mgliste i niezrozumiałe.

W Budapeszcie zawsze Iza przygotowywała jej kąpiel. Bała się, że Staruszce zrobi się słabo od pary albo że się oparzy. Chciała powiedzieć Antalowi, że marzy o ciepłej kąpeli, ale nie wolno jej się zbliżać do gorącej wody. Nie śmiała się jednak odezwać. Antal pocałował ją. Na odchodnym powiedział jeszcze, że zamknie drzwi wejściowe i furtkę, tak że może się spokojnie położyć, bo nikt nie wejdzie do domu. Gica o tej porze nigdy już tu nie zagląda. Powiedziawszy to wybiegł gwizdząc jak dawniej. Usłyszała za drzwiami sapanie Kapitana i wpuściła go. Teraz kiedy byli sami, pies zbliżył się do niej. Obwąchał ją, stanął na tylne łapy, a przednie oparł o ramiona Staruszki. Spojrzał jej w twarz. Słowa Antala coraz wyraźniej odzywały się w niej echem. Brzmiały jak dzwony. Uklękła obok psa i głaszcząc go patrzyła mu w oczy. Wspomnienia z przeszłości, to, co przeżywała w tej chwili, i to, co ją oczekiwało, wirowało wokół niej jak wielkie świetliste koła. Nie czuła już zmęczenia. Wszystko stało się jasne, rzeczywiste. Nawet ten dom objawił jej się nagle w realnym świetle. Poznawała stare meble pod nowymi obiciami. Dom przemówił do niej, witał ją. Odeszła od Kapitana, który na wpół przerażony, na wpół zadowolony, pomrukując z cicha stapał za nią. Nagle widocznie zrozumiał wszystko i zaczął krążyć wokół niej w szalonych, radosnych podskokach. Cieszył się tak, jak tylko pies potrafi się cieszyć z odzyskania swego pana. Staruszka dreptała po swoich dawnych, tak dobrze jej znanych pokojach, które mimo nowych wesołych barw pozostały te same. Wreszcie stanęła na progu trzeciego pokoju, do którego Antal zaniósł jej bagaże. Oparła się o framugę drzwi. A więc jednak wróciła do domu. A więc pojęcie domu naprawdę istniało. Dom stoi, jak stał, a przeszłość w jakiś sposób wyszła jej na spotkanie. Ktoś ją wołał po imieniu. Staruszka, która od tyłu miesięcy nauczyła się milczeć, teraz z zaciśniętymi ustami odpowiadała w duchu na to wołanie.

Antal biegł po ulicy jak szalony. Dobrze mu to robiło. Tak właśnie wybiegł kiedyś z tego domu, gdy zrozumiał, że musi odejść od Izy. Biegł pod rozedrganym niebem, jakby chwycił uciekające życie. Ulica raptem wydała mu się inna, zmieniona. Powietrze było wilgotne, jak gdyby zgęszczone, pomimo ciemności panującej dokoła podobne do lepkiej, mlecznej mazi. Światło latarni skurczyło się do małego żółtego krążka.

„Zniszczy ją – myślał Antal – tak jakby zniszczyła mnie. Życie Staruszki wisi na włosku. Jeżeli uda mi się ten włoszek uchwycić, może ją uratuje.”

Świadomość, że za chwilę ujrzy Lidę, napełniała go radością. Dotknie jej dłoni. Chłód jej skóry sprawiał mu rozkosz. Lubił myśleć o tym, że już

niedługo będzie mieszkała z nim pod jednym dachem i że w nocy, kiedy będzie miał złe sny, łagodny głos Lidii uwolni go od koszmaru. Opowie jej, co go gnębiło podczas snu.

Ledwie mógł się wcisnąć do tramwaju. Jechał na stopniach. Czuł jakieś napięcie i radosne podniecenie, jak zawsze, kiedy miał się spotkać z Lidia po kilku godzinach niewidzenia jej. Teraz jednak dołączyło się do tego jeszcze coś innego. W głowie tłoczyły mu się myśli o nowych planach, którymi chciał się z nią natychmiast podzielić. Jak to cudownie, że z Lidia może rozmawiać również i o Izie! Tylko z nią. Z nikim więcej.

Kiedy wysiadł przed kliniką, kłął na czym świat stoi, ponieważ nawet drzew nie mógł dostrzec przed sobą. Oświetlone o tej porze okna widmowo majaczyły gdzieś daleko we mgle.

Lidię znalazł w stołówce. Kończyła kolację. Kiedy wszedł, popatrzyła na niego, ale zaraz odwróciła wzrok. „Nie śmie na mnie patrzeć – pomyślał Antal – bo wszystko można wyczytać w naszych oczach.” Usiadł obok niej i czekał, aż skończy kolację.

Często później wspominał ten powrót do domu. Dróżka przez las, tonąca w gęstej mgle, już mu się nie kojarzyła z Izą. Tamto wspomnienie rozwiało się. Teraz istniała tylko Lidia i nikt więcej. Szli przez mgłę złączeni uściskiem. Omijali ławki, drzewa i nagle twarz dziewczyny znalazła się tuż przy jego twarzy. Słyszał jej przyspieszony oddech i czuł, że jest podniecona; sprawiało mu to radość. Lidia cieszyła się tym, co usłyszała od Antala.

Uważała plan Antala za doskonałe rozwiązanie problemu. Opowiadał jej o Wincentym tak jak wtedy, kiedy rozmawiał z nią po raz pierwszy. Mówił o Staruszcze i o młynie z obrazu. Wyczuwał szczupłe ramię Lidii poprzez materiał płaszcza. Zastanawiali się wspólnie nad tym, co powie pani Szöcs, kiedy ją zobaczy. Czy ją zapamiętała? A jeżeli tak, to w jaki sposób?

– Wiesz, Staruszka zrobiła na mnie wrażenie osoby, która zapadła w sen hipnotyczny – powiedział Antal. – Nie bierz sobie do serca, cokolwiek by ci powiedziała, bo ona mówi i porusza się jakby we śnie. Ale obudzi się. Nie ma obawy. Teraz na pewno już się wykąpała i jest w łóżku. Siedzi podparta poduszkami, a na nosie ma okulary. Nakłada je tylko do czytania, bo jest próżna. Przegląda pisma ilustrowane. Mam nadzieję, że je znajdzie na parapecie okna. Teraz znowu nabierze ochoty do czytania. Wiesz, od śmierci męża stało się z nią coś niedobrego.

Idąc ulicą wpadali na ludzi, przepraszali ich, potykali się i wybuchali śmiechem. Nie było nic widać. Mgła była gęsta i żółtawa. Nie mogli trafić na klamkę w furtce. Skóra ich była lepka i wilgotna, jakby pokryta mokrą watą.

W domu paliły się światła we wszystkich pokojach. Drzwi od łazienki zastali otwarte, wannę wyszorowaną. W powietrzu czuć było jeszcze ciepłą parę. Na umywalce leżało jakieś obce mydło, a olbrzymie żółte prześcieradło kąpielowe wisiało na sznurze. Antal pogasił kolejno lampy we wszystkich pokojach. Kapitan wypełził spoza żardyniery stojącej w przedpokoju. Był w złym humorze, jakiś niespokojny.

– Głuptasie! – powiedziała Lidia z sympatią w głosie. – Ty zakuty łbie! Chodźże tu do mnie!

Antal zapukał do drzwi trzeciego pokoju. Nie było odpowiedzi. Zapukał jeszcze raz. Głucha cisza.

– Nie przeszkadzaj jej! – powiedziała Lidia. – Na pewno zasnęła. Poczekaaj do rana.

– Nie. Nie widziałas wyrazu jej twarzy – odpowiedział Antal – wolę ją obudzić.

Otworzył drzwi. Łóżko ze śnieżnobiałą kapą cioci Emmy było nie tknięte. Nikt nie rozpakował walizki. Staruszki nie było w pokoju.

## **Część IV**

# **POWIETRZE**

## Rozdział I

Po wyjściu Antala Staruszka poszła się wykapać.

Długo siedziała w wannie. Rozkoszowała się gorącą wodą. Kiedy wyszła z łazienki, nie położyła się do łóżka, lecz ubrała się i jeszcze raz obejrzała wszystkie kąty. Zaglądnęła do kuchni. Otworzyła lodówkę i zajrzała pod pokrywki garnków. W Budapeszcie, kiedy Iza wieczorem zostawała dłużej w mieście, Staruszka nie była w stanie usnąć aż do jej powrotu. Czuła się tak, jakby zewsząd jakieś upiory czyhały na nią w tym gęsto zaludnionym czynszowym domu. Tutaj nie bała się, choć była sama. Antal nie powiedział nawet, dokąd idzie, Gica zaś nigdy nie wychodziła z domu po zapadnięciu zmroku. Staruszka wiedziała, że Gica na pewno nie przyjdzie, żeby ją stąd zabrać, ani nie wpadnie zobaczyć, co ona robi.

Kapitan roztył się. Stary wiercipięta raz po raz podnosił na nią wzrok wyciągając grubą szyję, jakby coś węszył i starał się z mroków przeszłości wydobyć jakieś wspomnienia. Tutaj Staruszka czuła się bezpieczna, mimo że Kapitan nie gwarantował ochrony. Może sprawiały to stare mury albo stojący pod ścianą zegar zostawiony tu przez Izę. Był to jedyny przedmiot, który Iza z prawdziwą przyjemnością podarowała Antalowi, ponieważ nigdy nie lubiła tego zegara. Od dzieciństwa czuła do niego wstręt. Kiedy słyszała jego głos, płakała ze złości i groziła mu palcem. Chowala się, kiedy pozytywka wygrywała swoją niezmienną melodię. Staruszka i jej mąż często wyrażali zdziwienie z tego powodu. To nie było normalne, żeby dziecko bało się zegara. Jędrak i inne dzieci klaskały z radości słysząc dobrze znaną melodię. Ale Iza była inna.

Tykanie zegara, które dla wszystkich oznacza przemijanie, dla Staruszki oznaczało coś zgoła innego. Szeptalo jej do ucha, że czas stanął w miejscu. Po tylu miesiącach świat stał się wreszcie jakiś realny, taki, jakim był w rzeczywistości, jakby śliska i grząska ziemia nagle stwardniała pod jej stopami. Staruszka zaczęła myśleć. Od bardzo dawna nie zastanawiała się już nad niczym. Wspominała tylko.

Nagle obudzona świadomość, że potrafi za czymś tęsknić i odczuwać coś poza smutkiem, wstrząsnęła nią. Usiadła na bujającym fotelu i rozhuściła go. W ostatnich tygodniach rozmawiała tylko z Wincentym. Teraz zaczęła mówić do siebie. I to, co w tej chwili mówiła, już nie bolało, aż sama się temu dziwiła.

Wstała i włożyła płaszcz. Zawiesiła na ramieniu torbę, która teraz bez kurczenia i ciastek stała się przerażająco lekka. Wzięła ze sobą również i torebkę. Oczywiście ani przez chwilę nie brała pod uwagę, że nie może wyjść na ulicę bez dowodu osobistego. Torebkę zabrała ze sobą dlatego, bo tak ją nauczyła ciocia Emma. Nie wychodzi się na ulicę bez torebki. Włożyła kapelusz, poprawiła włosy przed lustrem i po raz pierwszy od przyjazdu nałożyła okulary. Kapitan pomrukując biegł za nią. Pochyliła się nad nim i wzięła go na rękę, ale był tak gruby i ciężki, że ledwie była w stanie go



utrzymać. Gica nigdy nie umiała się obchodzić ze zwierzętami. Strasznie wypasła Kapitana. Staruszka pocałowała psa w głowę. Kapitan był zaskoczony tak niezwykle pieszczotą i wyrwał jej się z rąk. Sapał ciężko i rozglądał się niespokojnie wokoło.

Zatrzymał się na najwyższym stopniu schodów.

Zdziwiła ją mgła. Nie liczyła się z tym, że może być aż taka gęsta. Myślała, że świeci księżyc. Sama nie wiedząc dlaczego, tęskniła w tej chwili za poświatą księżyca. Tęsknota ta była tak silna, że Staruszka zagryzła wargi z rozczarowania, kiedy stanęła w gęstym brązowym półmroku. Ogród wyglądał, jakby się pochylał pod ciężarem lepkiej mgły. Wieży stojącego nie opodal kościółka prawie wcale nie było widać. „Mój Boże, jak bardzo się wstydę – wyznała Staruszka Izie, którą widziała w tej chwili oczyma wyobraźni. – Gdybyś wiedziała, jak się strasznie wstydę, Izuniu!”

Klucz jej obrócił się lekko w zamku, jakby nie upłynęły długie miesiące od dnia, kiedy go używała ostatni raz. Ulica wyglądała zupełnie nierealnie. Po sklepie Kolmana zniknął wszelki ślad. Ludzi spostrzegła tylko wtedy, kiedy się o nią ocierali. Z mgły wylaniało się to jakieś ramię, to płaszcz, to kapelusz. Za każdym razem powtarzała niezmiennie: „Przepraszam, przepraszam bardzo.”

Asfalt był mokry i czarny. Latarnie nie dawały światła. Jeszcze nie wybiła ósma, a ruch uliczny prawie zupełnie ustał. Samochody posuwały się na oślep, tramwaje dzwoniły bez ustanku. Czowała w sobie jakiś dziki tryumf, że na nic nie zwraca uwagi i że się nie boi. Skręciła w ulicę Könyök, przeszła pod wysokimi podcieniami kościoła, potem przez plac wśród słabo widocznych sygnałów świetlnych. Szła przed siebie odważnie i spokojnie, a za nią powoli sunęły pojazdy. Na chodniku przez pewien czas znowu czowała się całkiem bezpieczna. A potem wszystko zewsząd zaczęło jej zagrażać. W kinie właśnie zakończył się seans. Słyszała napływający tłum ludzi, który wyrzuciła z siebie ciemna otwarta paszcza niewidocznego budynku. Ostatnio w Budapeszcie nie wychodziła z domu, toteż teraz z przyjemnością wdychała mgliste, brunatne powietrze, od czasu do czasu otwierając usta, jakby się dusiła. Mimo to od dawna nie czowała się tak rześka. Połykała mgłę jak za czasów dzieciństwa, kiedy zębami chciała chwycić spadające płatki śniegu.

Gdzie może być Wincenty? Przecież na cmentarzu pod tym groteskowym nagrobkiem go nie ma. Ale gdzieś musi być! Czowała to dobrze, kiedy tu przyjechała. Znajduje się w pobliżu, gdzieś koło niej. Roześmiała się głośno. Musi się znajdować tu za tą mgłą. W domu Antala był blisko, lecz nie tak blisko, żeby go mogła dosięgnąć. W domu Antala odnalazła tylko siebie z dawnych lat, ale nie Wincentego.

Kiedy Iza była małą dziewczynką, przychodziły do niej koleżanki i bawiły się w „zimno – gorąco”. Chowaly jakiś przedmiot, a kiedy któraś z nich szukając zbliżała się do miejsca, gdzie był ukryty, wołały: „letnio”. Tam w domu było także tylko „letnio”. Nie było całkiem „zimno”, ponieważ na wieszaku wisiała laska Wincentego, był także Kapitan i róże w ogrodzie przygotowane na przyjęcie zimy, i cebulki tulipanów na dnię doniczek. Ale

gdzieś musi być także „cieplej” i „gorąco”. Tylko nie na cmentarzu ani nie w domu.

Na pętli, jak dawniej, stał tramwaj. Wspięła się na jego stopnie. Nie miała przy sobie drobnych i konduktorka mruczała gniewnie wydając resztę. Staruszka przypatrywała się jej z ciekawością i wsłuchiwała się w miłe dźwięki i śpiewny akcent tutejszej okolicy. Tu była jej ziemia rodzinna. W Budapeszcie mówią inaczej. Przycisnęła torbę do piersi i wyglądając przez okno wymieniała w duchu nazwy przystanków, których nie mogła widzieć. Za szybą przesuwwały się na zmianę jakieś cienie i światła. Oto przejeżdżają koło poczty, tu znów jest kościół kalwiński, tam stoi stary ratusz, gimnazjum, pomnik Kazinczyego, dalej pomnik żołnierza i szpital zakaźny. Tu jest łaźnia. Gdyby była dobra widoczność, zobaczyłaby stąd młyn parowy, za którym rozciągało się pole, a latem pachniały kwiaty, kiedy wiatr wiał od strony Balzsamárok.

Konduktorka znowu ją ofuknęła, kiedy chciała wysiąść; czy nie widzi, że tramwaj ruszył? Czy jest nieprzytomna? Staruszka chciała jej wytłumaczyć, że pragnęła wysiąść na tym przystanku, ale nie zdążyła, bo jest stara i zmęczona i odwykła już od myślenia. Tramwaj zniknął we mgle, a pasażerowie rozpierzchli się na wszystkie strony. Gdzieś ujadaly psy.

Tu już czuła, że Wincenty jest blisko. Nagle pod jej nogami zmieniła się nawierzchnia. Chodnik znikł. Stapała po betonie. Tuż obok znajdował się oświetlony sklep z napojami. Spróbowała zajrzeć do środka, ale niewiele mogła zobaczyć. Jakieś plecy, ramiona. Prawie wszyscy ludzie mieli na sobie skórzane płaszcze.

„Moje biedactwo – mówiła w duchu do Izy – jak źle musiałaś się czuć ze mną, jak bardzo źle.” Balzsamárok teraz nie pachniało, ale przypomniała sobie odurzający zapach tego miejsca w lecie. Czuła w nozdrzach gęsty, duszący aromat kwiatów. Wincenty był blisko. Nie całkiem przy niej, ale blisko. Kiedy przechodziła tędy ostatnio, właśnie rozpoczęto budowę nowej dzielnicy mieszkaniowej. Było to w dzień jego śmierci. Od tego czasu wyrosły domy. Ktoś przeszedł obok. Jakiś wysoki mężczyzna w mundurze.

– Czy można tędy przejść? – spytała niepewnie.

– Jeżeli ktoś zwariował, to można – odpowiedział nieznajomy w złym humorze. – Błoto tu po kolana.

Błoto Staruszki nie przerażało, tylko wprowadziło ją w zakłopotanie samo wejście na teren budowy. Kiedy była tu ostatni raz, przy wąskim przejściu stały dwa słupy. Nie było ich teraz. Droga rzeczywiście była błotnista, ale nie zbłądziła. Wprawdzie cały teren budowy tonął w ciemnościach, ale tam gdzie stapała, padało dość światła. Widziała doskonale, gdzie idzie.

Jakiś pies zaszczekał i przestraszył ją. Szybko jednak odzyskała odwagę. Ujądanie było donośne, ale głos do niej się nie zbliżał. Terenu budowy pilnował nocny stróż z psem. Ale pies widocznie był przywiązany. Szczekanie podobne było raczej do wycia. Głos psa przypominał przeciągłe zawroźnienie maszyny albo syreny fabrycznej. Strażnik wyszedł ze swojej budki.

Przypatrywał się Staruszce, a nawet się jej uklonił. Był przemarznięty i nudził się. W zębach trzymał fajkę. Chętnie by porozmawiał z kimkolwiek.

– Ten pies nie gryzie – powiedział. – Tylko ma taki przeraźliwy głos. Jeszcze nikogo nie skrzywdził.

Staruszka odkłoniła mu się uprzejmie i przystanąła. Nad jej głową świeciła jakaś olbrzymia żarówka. Dozorca zauważył, że stara kobieta rozgląda się wokół. Domy, z wyjątkiem kilku, były już wykończone, ale w żadnym nie było szyb. W ostatnim budynku na czwartym piętrze trwały jeszcze roboty. Miniaturowe drapacze chmur stały rzędem na wyrównanej obecnie ziemi Balzsamárók. Po cztery domy naprzeciwko siebie. Staruszka przyglądała się im z podziwem. Ten dom po lewej stronie był niższy od pozostałych i miał trochę inną konstrukcję. Widziała tę różnicę nawet we mgle, która teraz jakby zaczęła trochę rzednąć. Był nie wykończony, jak gdyby wyszczerbiony. Nie opodal stała stara studnia. W tym samym miejscu co dawniej. Prócz nieba tylko ona pozostała z przeszłości. Staruszka usiadła na jej krawędzi. Studnia miała piękne czerwone ocembrowanie, błyszczące i wilgotne od wody, która omywała jej boki przez tyle lat.

– Chciałaby się pani napić wody? – zapytał dozorca. – Mogę podać garnuszek.

– Nie, dziękuję.

Staruszka uruchomiła wielkie koło studzienne. Poruszało się łatwo jak niegdyś. Woda szumiała na dnie połyskując świetlnymi plamkami. Dodała jeszcze, że nie jest spragniona, tylko chce zobaczyć tę studnię.

Jakaś kobieta przechodziła obok i również ukloniła się prowincjonalnym zwyczajem. Po błotnistej drodze popychała przed sobą rower i brnęła w grząskim gruncie. Zniknęła gdzieś w ulicy Rakoczego.

Pies znowu zaczął ujadać; Szczekał teraz bez przerwy.

– Czy mogę tu trochę posiedzieć? – spytała Staruszka.

Tutaj Wincenty był jakoś bardzo blisko. Wiedziała, że gdyby dozorca zostawił ją samą lub przynajmniej się odwrócił, wyczułaby namacalnie obecność męża. Dowiedziałyby się od niego, co ma począć, zanim stąd odejdzie.

– Jeżeli o mnie chodzi, to nie mam nic przeciwko temu – odparł dozorca i odwrócił się.

Nie obawiał się Staruszki; oprócz cegieł nie było tutaj nic do ukradzenia. A ileż cegieł może taka starowina wynieść w swojej torbie? Wszystko inne zamknięte jest w magazynie, którego pilnuje pies. Jaką też ona może mieć przyjemność z siedzenia na krawędzi studni w taką pogodę? Trudno pojąć! Może ta starowina będzie tu kiedyś mieszkać i już teraz się na to cieszy? A niech się cieszy!

Dozorca wrócił do psa i poprawił mu obrozę na szyi. Pies był niespokojny i nie reagował, na dotknięcie swego pana. Innym razem był szczęśliwy, kiedy pan się nim zajmował. Byli wielkimi przyjaciółmi i nie mieli nikogo poza sobą. Noc sprzyjała tej przyjaźni, ponieważ łączył ich jeszcze wspólny obowiązek. Zadaniem pana, jak i psa, było pilnowanie, aby nikt nie zakradł

się na budowę. Z nastaniem dnia zadanie się kończyło, a pies stawał się zwykłym zwierzęciem. Pan wylegiwał się w swoim łóżku, spał i jadł, aż do nadejścia nocy, kiedy znowu rozpoczęła się ich wspólna praca.

Tego wieczoru pies był niespokojny. Jego wycie przechodziło w jakiś niesamowity, przeciągły skowyt. Dozorca uderzył go po głowie, aby zamilkł.

Wincenty był blisko, bliżej niż kiedykolwiek. Był tuż i nie musiała nawet do niego mówić. Wyczuwała jego obecność, jak gdyby tylko na to czekała, i w jej chaotycznych myślach zaczęło się wszystko układać i rozjaśniać. Nie opowiedziała dotąd Wincentemu, jak bardzo jej ciężko było czekać na to spotkanie i jak niezmierną pustką stało się jej życie bez niego. Ale i tak on wszystko wie, a przecież sam też się nie tłumaczy, gdzie przebywa i dokąd odszedł. Wydawało się to Staruszce dziwne, że Wincenty tak nierozzerwalnie zrósł się z tym osiedlem. W jego obecności tutaj nie widziała nic przerażającego ani niezwykłego. Była tak naturalna jak wtedy, gdy żył. Tylko że teraz utożsamiała go z całym swoim otoczeniem. Był wszystkim, co istniało wokół niej. Jaka szkoda, że nie chce jej mówić o rzeczach tak ważnych dla niej. Musi się tego sama domyślić i odgadnąć. O ile starczy jej czasu, może jakoś dojdzie prawdy. Niegdyś Wincenty pozwalał jej odgadywać lub rozwiązywać problemy życiowe i Staruszka cieszyła się, kiedy bez niczyjej pomocy udawało jej się rozwikłać zagadkę. Wincenty jedynie nakierowywał ją na właściwą drogę i jego małe oczka śmiały się chytrze i błyszczwały radośnie, kiedy dawała sobie radę.

„Jakie to straszne – mówiła do siebie Staruszka kręcąc korbą wielkiego koła studziennego – jakie to okropne, że tak trudno ze mną wytrzymać. Jestem wielkim ciężarem i nie wiem, jak temu zaradzić.”

Woda, spływająca białą pianą, podobna była do miękkiej łabędziej szyi.

Iza, która żyła w jej sercu, ściągnęła brwi i cienkim głosem powiedziała: „Jestem zmęczona!”

„O to chodzi, że męcę ją – tłumaczyła Wincentemu Staruszka. – A ona jest dla mnie taką dobrą córką i tak ciężko pracuje. A gdybyś wiedział, ile pieniędzy ona mi daje. Moja szafa pełna jest setek pengö. Tak się strasznie wstydę, że nie mogę dla niej nic zrobić.”

Wincenty znikł. Znikł tak całkowicie i pewnie, jak przedtem był obecny. Odnosiła wrażenie, że nawet budynki wokół niej gdzieś się podziały. Może Wincenty pogniewał się i nie pomoże jej. Staruszka poczuła przejmujący chłód. Ręce jej zdrętwiały z zimna i zwilgotniały od mgły, która stała się jeszcze gęstsza. Pies zawył przeciągle.

Teraz widziała młodych chłopców i dziewczęta splecionych ramionami, jak szli od strony ulicy Rakoczego.

„Ot, młodzi – pomyślała Staruszka. – Dla młodych mgła nie ma znaczenia. Idą w kierunku uniwersytetu i śmieją się. Tak się śmieją jak dawniej Iza i Antal. Och, jaka ja jestem głupia. Dlaczego Wincenty nie odpowiada?”

Siedziała i wpatrywała się w ziemię. Wokół studni było więcej błota niż gdzie indziej. Porządkowała swoje myśli. Czubki jej czarnych trzewików lśniły od wilgoci. Nie była zmęczona. Przeciwnie, czuła silne napięcie, jakby

wszystko widziała i słyszała ostrzej niż zwykle. Aż tutaj dochodziły do jej uszu wrzaski z daleka i trzaskanie drzwiami, a nawet głos dzwonka u drzwi winiarni. Coś jakby cmoknęło, najpierw daleko, potem bliżej. Pies umilkł, ale to przerażało ją bardziej niż jego wycie.

– Czy pani zamierza tu nocować? – zainteresował się dozorca, żeby coś powiedzieć. Przecież każdy, kto ma ochotę, może sobie usiąść na krawędzi studni.

Ktoś się zbliżał w ich stronę i nucił żałośnie „Biały gołąb unosi się nad wsią”. Staruszka zobaczyła w wyobraźni unoszącego się w przestworzach gołębia, który nie był biały, lecz srebrny, i leciał jak samolot. Nie poruszał skrzydłami, tylko leciał prosto jak strzała. Wiejskie domy, nad którymi szybował, były wszystkie jednakowe, z małymi ganeczkami, kryte dachówką jak w kronice filmowej.

– Hej! – usłyszała głos dozorca – nie tamtędy, prosto na przełaj. Tam jest wyjście na ulicę Rakoczego. Którędy pan idzie?

Całe życie bała się pijaków. Nogi na chwilę odmówiły jej posłuszeństwa i musiała się oprzeć o krawędź studni. Kiedy się wyprostowała, koło studzienne zaskrzypiało. Spojrzała na dozorcę w poczuciu winy, ale on nic nie zauważył, bo zajęty był młodzieńcem, który mu coś tłumaczył i pokazywał palcem w kierunku jednego z budynków. Młody człowiek był niechlujnie ubrany i kiwał się niepewnie na nogach. Był podobny do wychudzonego niedźwiedzia.

„Powinam stąd odejść” – pomyślała Staruszka. Nic jej się nie wiodło ostatnio. Wincenty się oddalił. Dozorca tłumaczył, że nie wolno wchodzić na teren budowy, a pijak wrzeszczał na całe gardło, że tam się buduje jego mieszkanie i że nikt na świecie nie ma prawa zabronić mu sprawdzić, jak daleko posunęła się robota. Coś skrzypnęło w pobliżu i Staruszka przestraszyła się. Skierowała się w stronę budynku.

– Dobry człowieku, wynoście się stąd, bo spuszczę psa z łańcucha! – krzyknął dozorca.

Ogarnął ją strach. Może ten pies wcale nie wie, że ma zaatakować pijaka, i pogryzie ją, Staruszkę. Zaczęła biec wśród domów tak podobnych do siebie. Dawniej było tutaj przejście na główną ulicę, gdzie są tramwaje. Poczeka tam, aż się trochę uspokoi, i potem wróci. Dotknęła świeżo tynkowanej ściany domu i poczuła pod palcami wilgotny chłód, jak wtedy kiedy po raz ostatni głaskała twarz Wincentego. Nawet kolor ściany przypominał blade czoło męża.

– Idź pan do diabła! – usłyszała głos dozorca. – Nawet świętemu nie pokażę mieszkania w nocy, a co dopiero panu!

– Świętemu?

Zwolniła kroku. Weszła na jakąś kładkę przerzuconą przez kałużę. Była z siebie dumna, że się nie boi. Cieszyło ją również, że idzie tak prosto i że ani razu nie wdepnęła w błoto. Okulary także dodają pewności ruchom. Zapewne przez tę kładkę wożą na taczkach materiały budowlane do ostatniego domu. Szła coraz dalej, uciekając od ludzi. Przechodząc koło psa uczuła nagle

strach, ale zwierzę przypatrywało się jej w milczeniu, prawie lękliwie. Pies odezwał się do niej głosem niemal Kapitana. Przerzuciła torebkę do drugiej ręki.

– Idź pan do cholery! Gdzie ta staruszka? Wystraszył ją pan! – usłyszała z daleka głos dozorca.

„Izo – powiedziała Staruszka do córki, która żyła w jej sercu. – Nie gniewaj się. Nie mogę wymyślić nic dobrego. Ojciec jest tutaj, ale zupełnie inny, niż go pamiętam. Jest wszystkim, co mnie otacza, ale nie chce odpowiadać na moje pytania.”

Szła przed siebie i łamała sobie głowę nad tym, co by mogła uczynić dla córki, która w tej chwili znowu była małym dzieckiem z kędzierzawą główką i wilgotnym noskiem. Miała na sobie fartuszek ta mała Iza i skarżyła się matce z nadaśaną miną. Mówiła z goryczą: „Denerwuje mnie twoja obecność. Ciagle muszę się niepokoić o ciebie. A przecież mam swoją pracę!” Staruszka miała dziwne uczucie, iż obraz, który widzi, i słowa, które słyszy, tworzą jakiś dysonans. Niesamowicie brzmiały wyrazy „denerwować” i „praca” w ustach sepleniącej dziewczynki. „Nie mam już prywatnego życia. Jesteś niezdara.” Tak, była niezdara. „Życie stało się gorzkie i cały otaczający mnie świat stał się ciasny i nie do wytrzymania.”

„Moja biedna, droga Izunia” – pomyślała Staruszka.

Kiedy dochodziła do czwartego domu, dozorca i pijak wciąż jeszcze się sprzeczali. Była rozczarowana, kiedy stwierdziła, że nie ma tu żadnego przejścia. Płot z drutu kolczastego przecinał drogę wiodącą do koszar. Trzeba zawrócić i przejść znowu koło psa. Bała się. Drewniana kładka złożona z dwóch desek tworzyła literę V. Jedna leżała płasko na ziemi – właśnie po niej przeszła, aby dojść tutaj – druga deska pięła się pochyło w stronę nie wykończonego domu, w którym brak było jeszcze klatki schodowej. Na desce poprzybijane były poprzeczne listewki i szło się po niej jak po drabinie. Gdyby była młodsza, mogłaby pobiec do góry. Zawsze lubiła biegać po deskach z wyciągniętymi ramionami dla zachowania równowagi.

Wincenty znowu był blisko, ale gniewał się o coś na Staruszkę. Nie wiedziała właściwie dlaczego, ale przecież tyle innych rzeczy było dla niej niezrozumiałych. Bolał ją jego nieuzasadniony gniew i oczy jej zasły łzami. Jeżeli on jej nie powie, co ma dalej robić, to któż jej to powie? Widocznie nie potrafi sama sobie z tym wszystkim poradzić. Czy Wincenty zapomniał, że ona nie jest zbyt mądra?

Głos dozorca był donośny, gniewny. Krzyczał głośno:

– Złam sobie kark gdzie indziej, jeśli chcesz, ale nie tutaj! Za to, co się tu dzieje, ja ponoszę odpowiedzialność. Wynoś się natychmiast, bo wezwę milicję, ty schlane bydle.

Ostatnie zdanie jakby rozwiało się we mgle. Cienie otaczały ją pierścieniem. Wincenty stał się bardziej łagodny tak jak i żyjąca w jej sercu Iza. Okrągłe oczy córki błysnęły zachłannie jak wtedy, gdy była małą dziewczynką i prosiła o pomadki pigwowe czy makagigi.

„Prowadzi cię anioł – powiedział Wincenty – anioł cię prowadzi. Jesteś jedynym człowiekiem w dwudziestym wieku, którego prowadzi za rękę anioł.” Staruszka wyraźnie widziała obraz znad swego łóżka, obraz przedstawiający dziewczynkę zbierającą poziomki. Mdła germańska słodycz znikła z twarzy małej, a spod wianka z polnych kwiatów spojrzała na nią jej własna pomarszczona twarz. Spostrzegła również, że zamiast koszyczka dziewczynka trzyma w ręku jej czarną torbę. W tej chwili wiedziała już, co może zrobić dla Izy, dla tej Izy, która mieszkała w jej sercu, a nie dla tej obcej kobiety, wiecznie śpieszącej się, jeżdżącej taksówkami i szepczącej coś po kątach z Teresą, kobiety, która podnosi na nią ostre spojrzenie znad sterty książek. Wincentego nie było już przy niej, ale nie wołała go. To była chwila, w której trzeba było zostać zupełnie samą.

„Idź!” – powiedziała Staruszka do anioła, do tego z obrazka, a on obejrzał się raz jeszcze i znikł. Na kładce oprócz niej nie było nikogo.. Zupełna pustka. Drugi koniec kładki, tam na górze, znikał we mgle. Stara kobieta zdjęła okulary i starannie włożyła je do torebki. Potem zaczęła wchodzić do góry.

Po raz pierwszy w życiu anioł opuścił ją.

## Rozdział II

Nazajutrz Iza obudziła się około dziewiątej. Była zadowolona i w dobrym nastroju. Jako młoda dziewczyna nie cierpiała niedziel. Nudziła się i tęskniła za wielkomiejskim gwarem i ruchem ulicy dnia powszedniego. Kiedy jednak zaczęła pracować, nauczyła się cenić te dwadzieścia cztery godziny niczym nie wypełnionego czasu – cieszyły ją te niegdyś tak lekceważone święta.

Ta niedziela była jak darowana. Teresa dziś nie przyjdzie. Matka wczoraj wyjechała, a Domokos miał jakieś „spotkanie z pisarzem”. Przeciagnęła się odprężona. Nawet nie podniosła żaluzji, tylko wpatrywała się w lśniące światło sączące się poprzez szpary. Głowa jej spoczywała na jaśku. Było coś brutalnie przyjemnego w poczuciu, że nikt nie rości sobie pretensji do jej towarzystwa i że może być zupełnie sama, tak dalece sama, że nie dotrze do niej nic, żadne szmery ani powstrzymywane bolesne westchnienia z drugiego pokoju. Aż się sama zdziwiła, jak absolutnym wypoczynkiem jest dla niej to, że stara matka nigdzie się nie krząta, że nie słyszy jej bojaźliwego otwierania drzwi do łazienki, ostrożnych kroków wokół wanny, a potem nieuniknionego stuknięcia upadającego przedmiotu. Im bardziej matka uważała, tym pewniejsze było, że coś wypuści z rąk. Przerażała ją świadomość, że bez niej czuje się o tyle lepiej.

Już nie chodziło nawet o to, że chciała sobie zapewnić spokój, żeby przemyśleć jakąś sprawę do końca. Przesłano na jej adres świadectwo zdanego przez matkę egzaminu w spółdzielni. Wyniki były zadowalające, co uspokoiło Izę. Była szczerze przekonana, że praca w tej spółdzielni dojdzie wreszcie do skutku i dobrze zrobi matce. Po jej podróży na prowincję także wiele sobie obiecywała. Może zmiana otoczenia jakoś ożywi i odświeży Staruszkę.

To, że nie było przy niej Domokosa, nie martwiło jej zbyt. Przywykła już do jego dziwacznej pracy i do odbiegającego od normy dziennego rozkładu zajęć. Przywykła także i do tego, że nie należał jak niegdyś Antal, aby z nim stale przebywała.

Postanowiła nie ubierać się i leniuchować aż do popołudnia. Przejrzy czasopisma, posłucha muzyki, a po obiedzie pójdzie gdzieś na spacer. Może wybierze się w stronę Budy, niewyczerpanego źródła wszelkich ciekawostek.

Przygotowywała śniadanie w pogodnym nastroju. Była wesoła i pewna siebie, zupełnie jakby odniosła zwycięstwo nad wrogiem, który czyhał, aby zniszczyć jej spokój. Matce zapewniła dobrobyt. Nic jej nie grozi i nie ma powodu specjalnie się o nią niepokoić. Może inne sprawy również jakoś się ułożą... Może naprawdę zwiąże swój los z Domokosem.

Właśnie gotowała herbatę, kiedy zadzwonił telefon.

Z początku myślała, że się jej tylko zdawało, iż słyszy urywany sygnał międzymiastowej. Po chwili odstawiła wodę na herbatę i wybiegła do przedpokoju. Może nie zrozumiała dobrze, dokąd pojechał Domokos ze swoim odczytem? Może wyjechał gdzieś na prowincję i dzwoni do niej? To nie



może być nikt inny, tylko on. Któż mógłby telefonować? Z matką rozstała się zaledwie dwadzieścia cztery godziny temu – więc to nie może być ona. Nagle cały jej dobry nastrój prysł. Nienawidziła międzymiastowych rozmów. Zawsze, odkąd telefonicznie odebrała wiadomość o śmierci ojca, dostawała bicie serca słysząc ten urywany sygnał. Ledwie poznała wtedy głos Antala, w dodatku oboje musieli krzyczeć, żeby się nawzajem zrozumieć. A ile razy dawniej dzwoniła do niej matka zasięgając rad, bo dostarczyli jej miarki węgla, ktoś włamał się do drewnutni i wykradł stamtąd piłę i siekiery, ojciec źle się czuje, nowy listonosz nie chciał jej zostawić renty u Kolmana – co za wspomnienia!

Już nie była niespokojna, tylko rozdrażniona. Przecież Domokos mógłby się był domyślić, że nie życzy sobie, aby ją niepokoić w niedzielę. Jednocześnie polechtało to mile jej dumę, że zatęsknił za nią. Widocznie musi mu na niej naprawdę zależeć, skoro pragnie z nią mówić nawet i teraz.

Kiedy usłyszała w słuchawce nazwę rodzinnego miasta, poczuła się zbита z tropu. Znowu w podstępny sposób wzywają ją stamtąd. I tym razem nie mogli uszanować jej odpoczynku, jej niedzielnego odprężenia. Przecież dopiero wczoraj się pożegnały. Łzy wściekłości napłynęły jej do oczu, kiedy starała się odgadnąć przyczyny tego telefonu. Czego też mogła ta matka zapomnieć? Przecież zabrała ze sobą pełną walizkę i torbę. Na pewno zapomniała czegoś, co trzeba będzie natychmiast jej podać. Może parasolkę?

Odbiór tym razem był dobry, niezwykle czysty. Tak jakby Antal mówił do niej z sąsiedniego pokoju. Powiedział tylko dwa zdania, i to głosem człowieka, któremu z trudnością przychodzi mówienie, a potem, zanim o cokolwiek mogła go zapytać, odłożył słuchawkę. Centrala pytała, czy już po rozmowie, a kiedy Iza odłożyła słuchawkę, sygnał odzywał się jeszcze przez jakiś czas, jakby ktoś nie mógł uwierzyć, że z powodu dwóch zdań zamówiono błyskawiczną rozmowę.

Osunęła się na krzesło stojące w przedpokoju przy aparacie. Nie mogła się utrzymać na nogach. To, co usłyszała, zdawało się tak nieprawdopodobne i niewytłumaczalne, że było wprost nie do przyjęcia. Odniosła wrażenie, że Antal mówił płacząc i odłożył słuchawkę dlatego, bo nie miał siły utrzymać jej w ręku. Wiedziona instynktem nabytym wieloletnią praktyką lekarską, odrzuciła głowę do tyłu i zaczęła lodowatymi palcami masować sobie kark. Nigdy w życiu nie była tak bliska omdlenia. Odetchnęła głęboko i wreszcie mogła wstać. Nawet nie starała się analizować uczuć, które nią owładnęły. Wystarczyło przezwyciężyć mdłości. Wezbrały łzy i ze zgrozą usłyszała swój własny głos podobny raczej do wycia. Potykając się dobrnęła do szafki z lekami. Iza liczyła się z możliwością różnych chorób w domu i zaopatrzyła się w lekarstwa. Pośród innych leków leżała nie otwarta jeszcze fiolka ze środkami uspokajającymi. Ledwie była w stanie rozerwać celofan oklejający fiolkę. Zażyła pastylkę, wróciła do pokoju i położyła się.

Że czuła także i coś innego prócz rozpacz i zwykłego w takich wypadkach smutku – tego była pewna. Dlatego właśnie przed chwilą tak niehumanie zawyla, głosem, jakim dzikie zwierzęta wyrażają swą wściekłość, kiedy po

morderczej ucieczce przed myśliwymi rzucają się na miękkie listowie i nagle czują, że myśliwi są na ich tropie i że znów muszą biec przed siebie.

„Dokąd ucieknę, by nie dogonił mnie myśliwy?” – pomyślała i wstrząsnęła nią dreszcz. Ukryła w dłoniach twarz opuchniętą od łez. Kiedyś jako młoda dziewczyna była bardzo harda. Za nic na świecie nie przyznałaby się do słabości, załamania lub do ugięcia się pod brzemieniem cierpienia. Ale teraz kiedy była sama w tym pustym domu, nie miała podobnych zahamowań. Jednocześnie otworzyły się w niej wszystkie rany, nawet i te, które zdążyły się już zabiżnić. Myśli jej powróciły do rodzinnego domu ze smoczą rynną. Widziała siebie krzątającą się po domu, kiedy Antal pakował swoje rzeczy, aby odejść na zawsze. Słyszała także głos Dekkera, który mówił: „Pani ojciec ma raka, Izo, proszę mu życzyć rychłej śmierci, jeżeli go pani kocha.” Świstek papieru z wynikiem badań, który trzymała w ręku, parzył.

Spróbowała sobie odtworzyć twarz matki. Ale jej się to nie udało. Jak gdyby nagle pozbawiono ją pamięci. Ujrzała tylko jej pochylone ramiona i szyję, której linia tak dziwnie zmieniła się w ostatnich trzech miesiącach. Staruszka ostatnio zawsze miała spuszczone oczy, idąc ulicą patrzyła w ziemię.

Samotność, którą jeszcze przed chwilą tak się delectowała, przytłoczyła ją teraz jak ciężki gład. Świadomość, że Domokos znajduje się gdzieś w pobliżu, że jeżeli zechce, może go odnaleźć i poskarżyć się przed nim, przyniosła jej ulgę. Może go poprosić, żeby ją zawiózł tam do domu?

Umyła twarz. Doprowadziła do porządku włosy. Ubrała się. Zażyty przed chwilą środek uspokajający zaczął działać.

„Jakie to zbawienne – pomyślała z ironią – że człowiek, który czuje się rozdarty na kawałki, po zażyciu jednej pastylki odzyskuje równowagę.” Panika, która przed chwilą nią owładnęła, opuściła ją teraz. Zatelefonowała do swego szefa i rozmawiała z nim zupełnie spokojnie. Skreśliła kilka słów na karteczce do Teresy i przygotowała rzeczy do podróży. Krażyła po pokoju, który nagle jakoś się rozszerzył i opustoszał, kiedy uświadomiła sobie, że Staruszka już nigdy nie będzie tu siedziała pogrążona w milczeniu i już nigdy nie opuści z hałasem żaluzji w swoim pokoju. Iza nie przywykła jeszcze do myśli, że teraz nie tylko nie ma już ojca, ale zabrakło jej również matki. Oswajała się z tą nową myślą i miała uczucie, że przesuwając palcem po ostrzu noża.

Włożyła płaszcz. Domokos wspomniał wczoraj, dokąd idzie na spotkanie, ale nie zwróciła na to uwagi. Nie interesowało jej to. Cieszyła się na bliską niedzielną samotność i nie słuchała, co mówił. O ile potrafi skupić myśli, może przypomni jej się, co powiedział.

Nagle uświadomiła sobie, dokąd miał pójść Domokos, i wezwała taksówkę. Pojechała na odczyt pisarza. W fabrycznej świetlicy było pełno ludzi. Wszyscy odświętnie ubrani. Panował dobry niedzielny nastrój. Ciepła atmosfera sali miała w sobie coś radosnego. Nie trzeba było wykupić biletu, nie było portiera. Mógł wejść każdy, kto chciał.

Domokos, uroczysty i rozpromieniony, ukazał jej całkiem nowe oblicze. Oparty o stół, gestykulował, śmiał się i opowiadał o swoim dzieciństwie takie rzeczy, jakich jej nigdy nie mówił. Słuchacze uśmiechali się i przerywali mu pytaniami. Skrzypnęły drzwi, kiedy weszła Iza. Domokos spojrzał w tym kierunku, ale w pierwszej chwili nie wiedział, na kogo patrzy. Nagle zmienił mu się wyraz twarzy, znikł jego entuzjazm; zaciał się i zmieszał. Ludzie, którzy odwrócili głowy na dźwięk niespodziewanie otwierających się drzwi, spoważniali, sami nie wiedząc dlaczego. Przecież nic się nie stało. Ot, weszła jakaś kobieta, która mogła wejść w każdej chwili, może z biblioteki albo ze Związku Literatów. Skromnie usiadła w ostatnim rzędzie.

Domokos umilkł prawie w środku zdania. Bąknął coś o tym, że chyba odpowiedział na wszystkie pytania, uklonił się i podał rękę osobom, które siedziały po jego prawej i lewej stronie. Przyjął bukiet kwiatów z rąk wystraszonej dziewczynki i podszedł do Izy. Wziął ją pod ramię i spojrzał prosto w twarz. Wtedy Iza rozplakała się. Zebrani spojrzeli na nich tak, jakby byli świadkami czegoś wstydlivego.

Przed przyjściem Izy atmosfera była pogodna, czysta i wiosenna, pomimo późnej pory roku. Teraz nagle wszystko poszarzało, a dźwięki dopiero co wypowiedzianych słów straciły barwę.

„Jakoś nieładnie to wygląda – pomyślał bibliotekarz – to nie wypada.” Stał z boku zaskoczony, rozczarowany i nagle poczuł zmęczenie i smutek.

Samochód Domokosa zaparkowany był przed fabryką, po lewej stronie placu. Kupił go dopiero dwa dni temu. Jeszcze nie jeździli nim razem. Przyciągnął Izę do siebie i palcami zaczął rozczesywać do tyłu jej włosy, jak dziecku.

– Co się stało? – spytał. – Dokąd mam cię zawieźć?

Jak dobrze było być z nim razem. Niewypowiedzianie dobrze. Obraz Antala zatarł się i znikł. Antal był inny, może bardziej zmysłowy, ale i jakiś ociężały.

– Do domu – powiedziała Iza – nie do mego mieszkania, tylko do d o m u .

Nigdy nie nazywała w ten sposób miejsca, które niegdyś było jej rodzinnym miastem, a które porzuciła na zawsze. Domokos zrozumiał Izę, chociaż nie mógł sobie wyobrazić, co było powodem jej tak wielkiego wzruszenia.

Kiedy powiedziała mu, co się stało, wypuścił kierownicę z ręki. Pozwolił jej się wypłakać. Najpierw pojechał do swego mieszkania. Znikł w bramie i w niespełna pięć minut był już z powrotem. Trzymał w ręku neseser podróżny. Potem pojechali do mieszkania Izy. Zadzwoił na dozorcę, żeby mu sprowadził na dół windę.

„Zrozumiał także i to – myślała Iza – że teraz nie byłabym w stanie wrócić na górę po walizkę. Wie, że to mieszkanie budzi we mnie zgrozę. Jakie to dziwne. Z czego mógł to wywnioskować? Dlaczego właśnie tak postępuje? Czy dlatego że jest pisarzem? A może dlatego że mnie kocha?”

Jechali drogą wiodącą przez nizinę nie zabarwioną jeszcze złotem jesieni.

Dla Domokosa, kiedy stykał się bezpośrednio z przyrodą, każda pora roku była wielkim doznaniem artystycznym. Zaśnieżoną szosę podziwiał jak sztych, wiosnę jak akwarelę, lato było bogatym obrazem olejnym, a jesień miedziorytem. Ale jeszcze nigdy nie widział takiej właśnie jesieni jak teraz, jesieni z obrazu olejnego, pełnego soczystych barw lata. Niebo ciemnobłękitne, drzewa pokryte jeszcze liśćmi. Liście nie żółte, lecz uparcie zielone, a ziemia pogodnie brunatna; nie było wiatru, a przez szyby samochodu grzało słońce. Wielkie złote dynie jaśniały na ciemnym tle ziemi.

Pisarz siedział przy kierownicy. Iza w tyle, wciśnięta w kąt samochodu. Od czasu do czasu patrzył na nią w lusterku. Nagle wydało mu się, że zna ją tylko powierzchownie. Właściwie nie wiedział, kim jest ta kobieta. Tego dnia wyglądała młodziej niż w rzeczywistości. Jakby miała dwadzieścia kilka lat. Na jej dziecinnej niemal twarzy nie było znać śladu lat.

„Kto to jest? – myślał Domokos. – Kim jest ta Izabella Szöcs? Co się mogło przydarzyć jej matce?”

„Mama umarła. Przyjeźdź natychmiast.” Osoba, która wypowiedziała te słowa na drugim końcu drutu, odłożyła słuchawkę. Jak to, umarła! Dlaczego? Z jakiego powodu? Przecież dopiero trzy tygodnie temu bardzo dokładnie ją przebadano. Iza pokazała Domokosowi wyniki. Serce i płuca sfatygowane, ciśnienie odpowiednie do wieku. Ale w zasadzie wszystko w porządku. Może zdenerwowała się przy ustawianiu nagrobka? Może nagle poczuła się niedobrze? Może uderzyła się o coś? Przecież była taka niezgrabna, biedaczka! Twarz Izy i jej rozchylone, nabrzmiałe od płaczu usta, były widoczne w lusterku tylko do połowy, ale widok ten był tak żalospny i budził w nim tak wielką litość, że odwrócił wzrok.

„Czy nasze małżeństwo będzie dobrane? – rozmyślał dalej Domokos. – Czy ta kobieta będzie dla mnie dobrą żoną? Oczywiście potrafi uszanować cudzą pracę. Na pewno zostawi mnie w spokoju i nie będzie mnie zanudzała żadnymi operami ani innymi przedstawieniami czy też gośćmi, kiedy będę zajęty. Ale czy to wystarczy?”

W połowie drogi zatrzymali się na obiad.

Domokos, który miał zwykle doskonały apetyt, zaledwie dotknął kapusty i odsunął talerz. Iza przełknęła kilka łyżek zupy, ale była tak spragniona, że wypila prawie całą butelkę wody sodowej.

Nie opodal wiła się zielonkawooliwkowa Cisa. Płynęła pieniać się drobnymi białymi pasmami wśród rudego sitowia. Domokos jeszcze nigdy nie był w tych stronach. Czuł, że kiedy indziej zachwyciłby się tym widokiem. Ale teraz docierało do niego tylko wrażenie, że ten surowy krajobraz jest niezwykle i czarujący.

Nie wyobrażali sobie, co się mogło stać. Iza mówiła o Antalu obojętnym, rzeczowym tonem, tak jak zwykle, kiedy wspominała swego byłego męża. Starła się wytłumaczyć pisarzowi, dlaczego zawsze tak się jakoś składało, że Antal musiał być wmieszany we wszystko, co się działo na ich ulicy. Wynikało to z małomiasteczkowych stosunków, o których Domokos nie miał

pojęcia. Weszło już w zwyczaj, że cokolwiek się stało, Gica natychmiast pędziła po Antala. W całej okolicy jedynie Antal i Kolman posiadali telefony.

Domokos po raz pierwszy słyszał o Kolmanie. Nazwisko profesora Dekkera nie było mu obce, ale nigdy nie słyszał o Kolmanie, jakimś sprzedawcy gazet czy krojącym szat liturgicznych. Iza powiedziała kiedyś, że nie lubi spotykać Antala. Zdanie to zaskoczyło go wtedy. Domokos nie był zazdrosny w pełnym znaczeniu tego słowa. Nie był zazdrosny po mieszczańsku ani nie był małostkowy. Nie mieszał się w cudze sprawy. Był święcie przekonany, że każdy człowiek ma prawo błędzić, a nawet wracać myślami do wstydliwych wspomnień. Nic mu to nie przeszkadzało, że Iza czasami wspomina Antala, ale nie cieszyło go też specjalnie, że boi się spotkać byłego męża. Dlaczego się boi? Co w tym zdrożnego? Spotkania z obojętnymi ludźmi nie są przykre. Najwyżej nudne. Jaki może być ten mężczyzna i czy naprawdę tylko małomiasteczkowe stosunki sprawiają, że zawsze odgrywa jakąś rolę we wszystkim, co dotyczy życia Izy? Antal donosi o śmierci matki, Antal pielęgnuje ojca Izy, Antal kupuje od niej dom. Trzeba by przez jakiś czas pomieszkać w takim miasteczku i przekonać się, jak wygląda życie tych ludzi. Bo w tej chwili nie może sobie tego wyobrazić.

Kiedy przejeżdżali przez Dorozs, Iza miała oczy spuszczone. Milczała. Domokos tak był zajęty wchłanianiem piękna okolicy i miejscowości kąpieliskowej, że również milczał. Dorozs podwójnym cierniem raniło serce Izy: z powodu Antala i Staruszki. Przypomniła sobie, że matka tu właśnie czekała na nią, kiedy przyjechała, by ją zabrać do stolicy. Staruszka skórę miała wygładzoną, zaróżowioną, twarz pogodną, a jej wiecznie młode oczy lśniły radością.

Teraz skończyło się. „Gdzie się podziali umarli? – myślała Iza. – Gdzie jest mój ojciec, gdzie matka?” Zawstydziała się naiwności tego pytania. Chyba sama najlepiej wiedziała, z jak słabą konstrukcją i kruchym materiałem ma do czynienia każdego dnia. Gdzie podziewają się umarli? Nigdzie.

Źródło w Dorozs obudowane było teraz pawilonikiem z czerwonego kamienia. Jego szklany dach odbijał skośne jesienne promienie słońca. Ludzie powoli szli w stronę wody. Kiedyś przechodził tędy także Antal. Jego małe chłopięce nogi grzęzły w gęstym szlamie, który parzył stopy.

Rodzinne miasto Izy w niczym nie przypominało tego, co na podstawie jej słów wyobrażał sobie Domokos. Główna ulica była zupełnie taka sama jak każda ruchliwa ulica stolicy. Wystawy sklepowe niczym nie różniły się od wystaw budapeszteńskich. Gęsto rozlepione plakaty mówiły o krajowym zjeździe agronomów.

– Prowadź – powiedział Domokos, kiedy dotarli do placu Kossutha. Wydało jej się nagle dziwne, że musi mu mówić, czy ma jechać w prawo, czy w lewo, i to także, że jada ulicami miasta jej dzieciństwa. Miasto było teraz zupełnie inne niż wtedy, gdy ona była dzieckiem, ale pozostało w jej pamięci takie samo, bez zmian. Domokos zauważył, że usta Izy drżały lekko, kiedy przejeżdżali obok wielkiej szkoły i zza zakrętu ukazała się ulica – cel ich podróży. Iza rzuciła okiem na dom pod numerem dwudziestym. Jej dawny

dom rodzinny. Ale kazała zatrzymać wóz dopiero przy bramie następnego budynku. Wskoczyła z samochodu i szarpnęła wiszący na cienkim drucie dzwonek. Nikt nie odpowiadał. Brama była zamknięta. Domokos stojąc obok Izy patrzył na drugą tabliczkę z napisem „Margit Horn – krój czyni szat liturgicznych” i wsłuchiwał się w ten śmieszny dźwięk, który profanował ciszę i był tak bardzo nieodpowiedni do nastroju chwili. Kiedy przypominał sobie później Izę, widział właśnie ten wyraz jej szczupłej przestraszonej twarzy, kiedy z wyciągniętą wysoko ręką szarpała dzwonek. Miał wrażenie, że ktoś beznadziejnie uderza w dzwon alarmowy.

Gicy nie było w domu. Musieli pójść do Antala. Furtka była otwarta. „Teraz zobaczę – pomyślał Domokos – co to za człowiek. Ciekaw jestem, jakie wyrze na mnie wrażenie? Czy go znienawidzę?”

Polubił Antala od razu. Podobał mu się spokój i bezpieczeństwo emanujące z całej postaci lekarza. Podobały mu się jego krzaczaste brwi i szerokie usta. Twarz, na którą patrzył, nie była ładna, ale dobra i niezwykle uczciwa. Antal wyglądał bardziej przybity niż Iza. Oczy miał zapadnięte, twarz ściągniętą jak ktoś, kto nie spał przez całą noc.

– Nie wiedziałem, że przyjedziecie we dwoje – powiedział.

Ale w jego słowach nie było śladu ironii ani aluzji, która oznaczałaby: „Widzę, że jesteście razem, i rozumiem, o co chodzi.”

– Nie możecie zatrzymać się w hotelu, już tam telefonowałem. W mieście jest jakiś kongres i od trzech tygodni pokoje zostały zarezerwowane dla Ministerstwa Rolnictwa. Ale profesor Dekker odstąpi swój pokój, więc jedno z was może tam pojechać, a drugie zostanie u mnie. Mama...

Antal umilkł. Iza popatrzyła na niego tak, jakby nie rozumiała, o czym mówi.

Domokos pierwszy raz od bardzo wielu lat przypatrywał się komuś z prawdziwym zainteresowaniem. Na ogół wszystko, co obserwował, poddawał ścisłej fachowej analizie pisarza. Ale na Antala patrzył inaczej, jak człowiek na człowieka.

Słowo Balsamárok nic mu nie mówiło. Zdziwił się, że właśnie tam znaleziono Staruszkę. Podobno wypadła z okna jakiegoś nie wykończonego domu.

„Z jaką powściągliwością wyraża się ten człowiek – pomyślał Domokos. – Cały czas mówi o śmierci starej kobiety, a nie o nieszczęśliwym wypadku. A przecież wszystko wskazuje na to drugie, bo dlaczego znaleziono ją właśnie tam, na jakimś placu budowy?”

– Balsamárok... – powtarzała raz po raz Iza wpatrując się w swoje rękawiczki, a jej głos i wyraz oczu były dalekie i obce.

Antal opowiedział, jak poprzedniego dnia zaprosił do siebie Staruszkę, mówił coś o wspólnej kolacji i o tym, jak ją potem zostawił samą na jakiś czas, jak jej wszędzie szukali, nie domyślając się, dokąd mogła pójść w tę mglistą noc. Szukali jej u Gicy, u nauczycielki, nawet u Kolmana. To nieoczekiwane zniknięcie tłumaczyli sobie tym, że Staruszkę opanowały tu wspomnienia i że gdzieś przed nimi uciekła.

Iza zeszywniała na krześle, oparła się o poręcz.

„Co oznacza ta liczba mnoga? – pomyślała Iza. – Z kim Antal mógł być?”

Zanim się wszystko wyjaśniło, Antal zadzwonił na milicję, gdzie mu powiedziano, że mama się znalazła i pogotowie ratunkowe zawiozło ją do kliniki.

Według relacji nocnego stróża z budowy nic by się nie stało, gdyby Staruszka nie przestraszyła się jakiegoś pijaka i nie zaczęła przed nim uciekać, gdyż z początku siedziała sobie spokojnie, rozmyślała i kręciła korbą studni. Wczoraj wieczór była mgła, niezwykle gęsta mgła. Kiedy biegła przed siebie, nie widziała, biedaczka, dokąd ucieka.

Domokos zapomniał o Staruszce. Widział przed sobą mgłę, jakąś studnię, tę pięknie nazywającą się miejscowość... brutalne ramię pijaka. Cóż to za obraz! Iza nie podniosła oczu. Antal przełknął ślinę.

– Jutro powinnaś pójść na milicję – powiedział wreszcie. – Niestety, tego się nie da uniknąć. Pan będzie tu spał, prawda? – zwrócił się z pytaniem do Domokosa, który uważał takie rozwiązanie za zupełnie logiczne i nawet cieszył się z tego. Iza jednak zaprotestowała. Niech Domokos idzie spać do kliniki, a ona zostanie tutaj. Powiedziała to podniesionym, prawie histerycznym tonem. Antal spojrział na nią i spuścił wzrok. Miał dzieciennie długie, gęste rzęsy, tworzące czarne półkola.

„Nie chce, żebyśmy zostali sami z Antalem – pomyślał Domokos – ale dlaczego?” Spróbował zanalizować swoje uczucia i zadał sobie pytanie, czy odczuje to w jakiś przykry sposób, że Iza będzie nocować razem ze swoim byłym mężem? Zdziwiło go, kiedy sam sobie odpowiedział, że właściwie nie ma to dla niego żadnego znaczenia. Najwyżej zazdrościł jej trochę, że zostanie z Antalem. Od tak dawna chciał poznać jakiegoś lekarza z prawdziwego zdarzenia, który poważnie bierze ten żart, jakim jest leczenie ludzi.

Antal był wyraźnie niezadowolony z takiego obrotu sprawy. Nie protestował jednak. Powiedział, że odprowadzi Domokosa do Dekkera. Tam pisarz może zjeść kolację. Przyniosą mu ją do pokoju. Wobec tego Iza zje u niego w domu i dopóki on nie wróci, niech nikomu nie otwiera drzwi, jeżeli chce trochę odpocząć. Gica ma własny klucz, może wpadnie na chwilę. Jemu także nie musi otwierać.

Domokos pocałował Izę na pożegnanie. Antal zauważył to. Iza czuła, że ta pieśczość nie zrobiła na nim żadnego wrażenia. Usłyszała, jak zamykali za sobą drzwi przedpokoju i jak zaszczekał Kapitan; dziwnie ją to wzruszyło. Słyszała także głosy obydwóch mężczyzn rozmawiających ze sobą. Głosy te brzmiały przyjaźnie. „Ze mną Domokos nigdy tak nie rozmawia” – myślała Iza.

Teraz pożałowała, że to nie ona poszła nocować do kliniki, chociaż świadomość, że spędzi pod jednym dachem noc z tym wszystkim, co pozostało jeszcze po jej matce, była równie nie do zniesienia, jak myśl, że Antal i Domokos do świtu mieliby dość czasu, żeby się porozumieć. Kiedy się nieco uspokoiła, wzruszyła ramionami i poczuła do siebie wstręt, że pozwoliła sobie na taką słabość, że nie odważyła się pójść do Dekkera, aby

nie zostawiać tych dwóch mężczyzn sam na sam. Właściwie nie wiedziała dobrze, dlaczego miałyby się tego obawiać. Cóż takiego Antal mógł powiedzieć o niej Domokosowi? Przecież niczego przed nim nie ukrywała. On wie, że to Antal odszedł od niej, a nie odwrotnie. Szkoda, że nie zostawiła ich tutaj – byłaby teraz w drodze do kliniki i wchłaniałaby świeży, gorzki zapach lasu.

W tej chwili wspomnienia otoczyły ją ze wszystkich stron. Przedmioty do niej przemówiły. Taki zachód słońca Wincenty nazywał „złotym zmierzchem”. Doznaje się wtedy uczucia jakiegoś wewnętrznego ciepła, jak wówczas kiedy w deszczowy wieczór człowiek wraca do ogrzanego domu. Ożyły wokół niej nowe rzeczy Antala i stare rodziców. Mały czarny kredens zamieniony został w szafkę barową. Otworzyła ją i wewnątrz znalazła śmieszny gruby kielich ojca.

„Balzsamárok – pomyślała Iza. – Co za nieszczęście!”

Nie była w stanie tak beczynnie usiedzieć tu dłużej. Weszła do drugiego pokoju, w którym sypiał Antal. Obejrzała jego książki. Miał ich co najmniej dwa razy tyle co za czasów ich małżeństwa. To było oczywiste, że tutaj nie mogła nocować. Będzie spała w trzecim pokoju, który niegdyś stanowił ich wspólną sypialnię. Gdyby Antal nie zabrał wczoraj Staruszki do siebie, gdyby się nie obawiał, że zmarznie u Gicy – żyłaby jeszcze.

Przeszła się korytarzem. Obok kutych w żelazie wieszaków Antal zawiesił starą wiśniową laskę Wincentego i jego woreczek na tytoń. Otworzyła drzwi do ich byłej sypialni i poszukała kontaktu. Zanim jednak zdążyła zaświecić światło, poczuła już matczyzny zapach. Jej wszystkie osobiste rzeczy przepojone były gęstą soczystą wonią lawendy. Łóżko było nie pościelone. Walizka stała jak oczekujący rozkazu, czujny pies. Torba zniknęła, tylko jej zawartość leżała na podłodze: jakaś złożona ściereczka, pusta puszka od ciastek, butelka z resztkami herbaty. W Budapeszcie nie wiedziała nawet o jej istnieniu.

„Oszukała mnie – pomyślała Iza i łzy trysnęły jej z oczu. – Nawet herbatę sobie ugotowała. Przecież w pociągu sprzedają wodę mineralną. Ale ona w to nie wierzyła.”

Otworzyła walizkę, lecz natychmiast zamknęła ją z powrotem. Było coś bardzo osobistego w tych rzeczach. Nie mogła tego znieść. Pokój, w którym się znajdowała, nosił ślady nie tylko życia jej rodziców i własnego minionego dzieciństwa, lecz sprawiał również wrażenie, iż Staruszka dopiero co wyszła i wróci za chwilę. Jeżeli walizkę wsunie się pod łóżko, nic nie będzie wskazywać na to, że jej wizyta tutaj jest tylko tymczasowa. Tu atmosfera była jeszcze bardziej przygnębiająca niż w drugim pokoju. Wróciła więc tam. O jedzeniu nie mogła nawet myśleć. Położyła się na łóżku Antala. Kiedy doktor wrócił i zaświecił światło, zastał ją na posłaniu. Paliła papierosa i patrzyła na niego.

– Nie mogę tam spać – powiedziała Iza.

– Dobrze, zostań tutaj.



Kiedy pochylił się nad stolikiem, blisko jej pośłania, na moment opanowała ją niepojęta i niewybaczalna myśl, że zostanie przy niej. Zabrał ze stolika dwie przygotowane książki. Nigdy nie mieli dwóch łóżek ani tapczana szerszego niż ten, na którym leżała. Czuła, że obraz matki i Domokosa blednie i znika z jej świadomości. Jeżeli Antal przyciągnie ją teraz do siebie, przyciśnie do serca, jeśli poczuje go blisko, ten jeden jedyny raz, wyzbędzie się tego nieznośnego uczucia dręczącego napięcia i bezgranicznego smutku.

Ale Antal nie został przy niej. Pochylił się tylko nad nią, położył rękę na jej czole, potem namacał puls. Zadrżała z rozczarowania i wstrzymywanego gniewu. Dotykał jej jak lekarz, tak jak ona czyniła to zwykle z matką.

– Może ci dać jakiś środek nasenny?

Odpowiedziała odmownie.

– Dobranoc. – Odwrócił się i wyszedł.

Drzwi nie skrzypnęły tak jak za życia jej ojca. Zamknęły się bezgłośnie. Iza z całą ostrością uświadomiła sobie pustkę wokół siebie. Nie pozostało nic z tego, co było. Drżała pod kołdrą. Noc była ciepła. O wiele cieplejsza niż zwykle w jesieni. Zdawało się jej, że nad śpiącym ogrodem łopocą ciężkie skrzydła.

### Rozdział III

Zasnęła dopiero nad ranem. Całą noc dręczyły ją przesuwające się korowody postaci z dawnych lat. Najmniej przerażała ją bliskość ojca. Umarł nie skłócony z prawami rządzącymi życiem. Umarł zgodnie z zasadami i porządkiem ustanowionym od wieków, a nie w podejrzanych, niezrozumiałych okolicznościach, spowodowanych może karczemną sceną między dozorcą na budowie i pijakiem. Izie przyszedł na myśl także Domokos. Spał tam gdzieś, daleko od niej, na drugim końcu leśnej drogi, w klinice, na wąskiej kanapce, gdzie zwykle sypiał profesor Dekker, kiedy nie chciał się rozstać na noc z jakimś ciężko chorym pacjentem. Iza czuła się tej nocy zupełnie pogodzona z matką. Urywane słowa i strzępy wypowiedzianych przez Staruszkę zdań stały się dla niej nagle zrozumiałe. W uszach dźwięczał jej tak dobrze znany głos matki. Tylko jeden człowiek był od niej bardzo daleko, ten, który spał tuż obok – Antal. Ten był bardziej odległy niż niebo.

Rano obudziła się zmęczona. Nie udało się jej uniknąć spotkania z Gicą.

Kobieta na widok Izy zalała się łzami. Całą twarz miała mokrą, a łzy ciurkiem spływały na jej suknię. Tym razem wyjątkowo nie drażniły Izy niezręczne słowa współczucia, a nawet sprawiało jej przyjemność, kiedy krój czyni powtarzała raz po raz:

– Jaka szczęśliwa była ta droga, kochana pani Etelka! Jaka zadowolona! Co za straszna tragedia!

Dawniej Iza niezbyt ceniła Gicę. Irytowały ją różne jej maniackie nawyki, jej zaklęcia i śluby na najprzeróżniejsze intencje. Przysięgała sobie na przykład, że nigdy w życiu nie włoży na siebie żadnej kolorowej rzeczy, tylko zawsze będzie się ubierać na czarno, albo że nigdy nie zapali w piecu przed pierwszym śniegiem, niezależnie od temperatury na dworze i w pokoju.

Iza sama się dziwiła, że teraz tyle czułości wezbrało, w jej sercu dla tej kobiety. Biedna, samotna stara panna. Życie jej było smutne i wcale niełatwe. Dotychczas miała przynajmniej panią Szöcs, przed którą mogła się wywnętrzyć.

Antal, jak niegdyś, nalewał kawę. W okresie ich małżeństwa on zawsze robił śniadanie. Nagle przerwał swoją czynność i spojrzał na rozgadana Gicę. Krojczym przyniosła zostawione u niej przez Staruszkę ciastka i na wpół zjedzone kurczę, które okaleczone, i sztywne leżało przed nimi na półmisku. Gica przyniosła tutaj te resztki, tak jak ktoś, kto odnosi rodzinie osobiste drobiazgi po zmarłym, które przypadkiem znalazły się u niego. Rzeczy te były jakby pozdrowieniem z tamtego świata. Iza nie mogła nawet spojrzeć na jedzenie. Widocznie również i Gica nie była w stanie zjeść tego wszystkiego, choć zawsze z ochotą przyjmowała tego rodzaju prezenty. Antal sięgnął po ciastko. Zjadł je do kawy. Jadł powoli, w zamyśleniu, jakby z nabożeństwem. Był przygnębiony i smutny.

O dziewiątej przyszedł Domokos. Chwalił klinikę i nocleg. Zamienił także kilka słów z Dekkerem. Gica pożerała go wzrokiem, ów budapeszteński narzeczony wniósł trochę życia do tego domu pogrążonego w żałobie.

Do komisariatu pojechali samochodem Domokosa. Gica promieniała radością, że może się pokazać znajomym w tak pięknym wozie. Zanim wsiedli do auta, Iza z niepokojem patrzyła na sklep Kolmana, czy nie wyskoczy stamtąd z kondolencjami zalany łzami wąsacz.

Ale Kolman nie pokazał się w drzwiach; nie dostrzegła również nigdzie sprzedawcy gazet. Był poniedziałek. W tym dniu sprzedawca przychodził do kiosku dopiero około południa i zostawał tam najwyżej pół godziny. Kiedy minęli już zaułek Budenza, Iza odetchnęła z ulgą, jakby udało jej się uniknąć niebezpieczeństwa.

Pierwszą osobą, którą spostrzegła w komisariacie, była Lidia. Na rękach miała rękawiczki. Iza spojrzała na nie i przypomniała sobie, jak ręce Lidii, wyciągnięte przyjaźnie ku niej, raptem cofnęły się po otwarciu koperty z pieniędzmi, którą Iza jej wręczyła. Było to zaraz po śmierci Wincentego. Lidia w pierwszej chwili myślała, że to fotografia; Izę ogarnął wtedy gwałtowny gniew. Jeżeli ta dziewczyna na skutek jakiegoś nieporozumienia dostała ów bezwartościowy obraz z młynem, to czy sobie teraz wyobraża, że i ona, Iza, chce jej się odwdzińczyć czymś tak idiotycznym jak nic nie znaczące zdjęcie?

W zasadzie Iza gardziła kolegami, którzy patrzyli na ręce krewnym swoich pacjentów przed umieszczeniem chorych w takiej czy innej sali. Ale jasno zdawała sobie sprawę, że ta dziewczyna zrobiła dla jej ojca więcej, niż należało do jej obowiązków, i dawała z siebie więcej, niż tego wymagała jej praca w szpitalu. Takie poświęcenie należało odpowiednio ocenić. Toteż Iza oceniła je na swój sposób. Antal stał blisko Lidii, kiedy Iza wręczała jej kopertę. Zaczerwienił się gwałtownie, co jeszcze bardziej utrudniło sytuację. Lidia nie schowała koperty do kieszeni, jak było w zwyczaju, lecz otworzyła ją z jakimś dziwnym wyrazem twarzy, jakby po jej zawartości oczekiwała czegoś specjalnego. Iza miała ochotę jej powiedzieć, żeby poczekała z otwarciem koperty, żeby nie robiła tego przynajmniej przy Antal. Wszyscy w klinice wiedzieli, że Lidii za usługi w szpitalu nie wolno przyjmować dodatkowych pieniędzy. Gdy dziewczyna rozdarła kopertę, ukazały się banknoty.

Iza ze zdziwieniem spojrzała na pielęgniarkę, tak wielkie rozczarowanie malowało się na jej twarzy. Czy ta dziewczyna naprawdę się spodziewała, że w kopercie jest fotografia?! Przecież to byłby czysty nonsens. Czy istniały jakieś konkretne powody ku temu, żeby pragnęła zachować w pamięci rysy twarzy Wincentego? To było wręcz niesłychane, że Lidia zamiast się ucieszyć zbladła na widok pieniędzy, a Antal odwrócił się i szybko wyszedł na korytarz.

Pielęgniarka bez słowa położyła kopertę na kaloryferze i również wyszła z pokoju. Koperta zaczęła się kurczyć i żółknąć. Kaloryfer był bardzo gorący, bo pokój znajdował się w bezpośrednim sąsiedztwie kotłowni.

Kiedy umilkły kroki Lidii, Antal wrócił do pokoju, wziął kopertę z kaloryfera, otworzył torebkę Izy i wsunął pieniądze do środka. Nie powiedział

nic. Iza stała, jakby jej ktoś wymierzył policzek i postawił publicznie pod pręgierzem.

„Dlaczego ta pielęgniarka chce ze mnie zrobić swojego dłużnika?”

Iza nie znosiła nie załatwionych spraw finansowych. Dlaczego Antal milcząco przyznał tamtej rację? Dlaczego miał tak antypatyczną minę, z tym swoim nieznośnym drganiem mięśni wokół ust? Czego oni właściwie od niej chcą? Czy mają zamiar uczyć ją nowej moralności? Przecież zna ją dobrze. Naprawdę była wdzięczna tej pielęgniarce. Wysoko ceniła jej niezmordowaną gorliwość i sumiennosc w wypełnianiu obowiązków. Wiedziała również, że Wincenty lubił tę dziewczynę. Nagle poczuła palący wstyd. Nie pożegnawszy się nawet z Antalem wybiegła na ulicę.

Dziwnym zbiegiem okoliczności Antal również myślał o tym samym. We wspomnieniach zobaczył Lidie stojącą tak jak i teraz na korytarzu, przy kaloryferze; wtedy, tak samo jak w tej chwili, trzymała w ręku świstek papieru. Tamtego marcowego dnia długo jej szukał po mieście. Była już po pracy, a na oddziale nie potrafili go poinformować, dokąd wyszła. Zastał ją przypadkiem w aptece, kiedy wpadł tam po jakieś lekarstwo. Siedziała za ladą pomagając laborantce, z którą była zaprzyjaźniona. Koleżankę wezwano do telefonu, a oni zostali sami. Bez słowa podszedł do niej i położył rękę na ramieniu dziewczyny. Mógł dojrzeć tylko jej szyję, kiedy pochyłona płukała w zlewie butelki od lekarstw.

Musiał istnieć jakiś powód, że Wincenty podarował jej ten obraz z młynem.

Antala denerwowała myśl, że dziewczyna mogła sądzić, iż rodzina zmarłego pięciuset forintami chciała opłacić jej nieprzespane noce i cierpliwe dreptanie wokół łóżka Wincentego. Właściwie to wtedy przesądził się los ich obojga. Pod wpływem dotknięcia ręki Antala pielęgniarka odwróciła się i spojrzała na niego oczyma pełnymi łez.

Lidia była pierwszą osobą, przed którą Antal starał się wytłumaczyć postępowanie Izy. Kiedy spojrzał w jej oczy, ogarnęło go wzruszenie i jeszcze jakieś inne uczucie, którego nie potrafiłby określić. Czuł, że musi pocieszyć tę dziewczynę w jej smutku i poniżeniu. Lidia musi mieć przeświadczenie, że jest w stanie uczynić coś, za co się nie płaci pieniędzmi i niczym innym, jak dobrym słowem.

Poszli razem do domu. Przechodzili przez pachnący wilgotną ziemią las. Młode gałązki drzew drżały nerwowo na wietrze. Długo trwała ta ich pierwsza w życiu rozmowa na tematy osobiste, a nie zawodowe. Chwilami urywała się i wtedy szli milcząc obok siebie.

W komisariacie było ich ośmioro. Antal, Domokos, Gica, pielęgniarka, jakiś rozczochrany stary człowiek w kozuchu i w spiczastej czapie na głowie. Na ramiona miał narzuconą gumową pelerynę błyszczącą od deszczu. Był to dozorca z budowy. Obok niego stał świeżo ogolony, szczupły młody człowiek w skórzanej kurtce. Wybaluszonymi oczyma wpatrywał się w Izę. Od czasu

do czasu mruczał coś pod nosem i wtedy drgały mu usta. „To jest ten pijak – pomyślała Iza – ale w tej chwili jest trzeźwy, przerażająco trzeźwy.” Obok niego stał lekarz dyżurny z pogotowia.

Oficer milicji, który ich przyjął, był taktownie powściągliwy w słowach i pełen nieklamane go współczucia. Mówił, jak wielkim ciosem byłaby dla niego utrata własnej matki. Długo ścisnął rękę Izy. To, że młoda lekarka przyjechała w towarzystwie Domokosa, uważał za rzecz zupełnie naturalną. Dziewczyna w mundurze, która dotąd siedziała przy małym biurku, wstała i również uścisnęła dłoń Izy. Ta demonstracja współczucia ze strony zupełnie obcych ludzi wydawała się Izie koszmarna. Twarz jej była kamienna i w duchu życzyła sobie, aby ci ludzie przestali się nią zajmować i dali jej święty spokój. Niechże pytają, o co mają pytać, i pozwolą jej odejść. Niech przestaną się nad nią litować i patrzeć tym współczującym wzrokiem.

Lidia z nikim się nie przywitała. Skinęła głową w stronę Izy. Domokos przypatrywał się kwiatom na parapecie okna. Było ich mnóstwo. Przy doniczkach stała mała konewka. Kto też może tu tak troskliwie pielęgnować kwiaty? Mężczyzna czy kobieta? Dlaczego, wezwano tę pielęgniarkę? Nie mogła tego pojąć.

Tylko Gica pomyślała, że obecność Lidii w tej sali może się Izie lub Domokosowi wydawać nie na miejscu. Nachyliła się nad Izą i szepnęła jej do ucha:

– To narzeczona Antala. Będzie razem z nim mieszkała w tym ślicznym nowym domu.

Iza miała wrażenie, że się dusi.

Lidia nie wyglądała na tryumfatorkę. Nie promieniała szczęściem i nie opierała się ostentacyjnie na ramieniu Antala. Patrzyła w podłogę. Aha, więc to tu należy szukać wytłumaczenia faktu, że wczoraj w rozmowie z nią Antal użył liczby mnogiej. W nocy była gęsta mgła. Iza bez większego trudu wyobraziła sobie tych dwoje, jak wstępowali do wszystkich znajomych, u których przypuszczalnie mogła znajdować się jej matka. Widocznie Antal zaraz po kolacji poszedł do Lidii i razem z nią wracał do domu. Spojrzała teraz na dziewczynę innymi oczyma niż wtedy, gdy jej wręczała pieniądze. Łączy je ze sobą jakieś niewidoczne ogniwo. Już drugi raz los stawia je naprzeciw siebie. Słowa Gicy, że Lidia jest narzeczoną Antala, nie sprawiły jej bólu, lecz wzbudziły gniew. Antal kochał tę dziewczynę. Wyczytała to wyraźnie w jego oczach. Zdradził go też wyraz twarzy i głos, kiedy się z nią witał. Z całej jego ciężkiej postaci promieniowało coś, co nie mogło nikogo wprowadzić w błąd. Czy Lidia posiada jakiś specjalny sposób obchodzenia się z Antalem, którego ona, Iza, nigdy nie miała? Czego Lidia mogła mu dać więcej niż ona? Kiedy Iza usiadła, Domokos ujął jej dłoń. Jego uścisk był ciepły, dodający odwagi. Opanowała się i zagryzła wargi, aby nie drżały.

Przesłuchanie nie trwało długo.

Dopiero teraz Iza dowiedziała się o orzeczeniu lekarzy z pogotowia. Smutno brzmiała sucha, fachowa relacja: obrażenia wewnętrzne, złamanie podstawy czaszki. Śmierć nastąpiła w dwie godziny po zawiadomieniu

pogotowia o wypadku. Ranna nic nie mówiła. Z jej ust dobywały się tylko jakieś nieartykułowane dźwięki.

Powoli wylaniał się z mroków ostatni dzień Staruszki. Wszystko, co się zdarzyło tego dnia, złożyło się na prawdziwy, jasny obraz. Tak jak powstaje mozaika złożona z drobnych fragmentów.

Sprawozdanie Gicy, często przerywane szlochem, było plastyczne i szczegółowe. Obecni widzieli w tym opowiadaniu panią Szöcs jak żywą w chwili przyjazdu z dworca. W jednej ręce trzymała bardzo elegancką walizkę ze świńskiej skóry, w drugiej czarną torbę. Widzieli ją, jak zbliżyła się do pieca z narzuconym na ramiona, nie wykończonym ornatem. Potem znów u kamieniarza, zachwyconą pięknie wykonanym nagrobkiem.

– Zbladła, kiedy go zobaczyła, tak jej się podobał – relacjonowała Gica.

Widzieli ją w pokoju Gicy, jak zjadła kilka łyżek zupy i próbowała uporać się z kawałkiem kurczęcia. Wielkie przeżycia miała tego przedpołudnia!

Widzieli Staruszkę siedzącą przy piecu, zagubioną w myślach, kiedy do pokoju wszedł Antal. A potem poszła za nim do domu, który niegdyś do niej należał.

– Od razu podniosła się z krzesła i poszła – żaliła się Gica. – Gdyby została u mnie, żyłaby teraz, biedaczka.

To było oczywistą prawdą. Antal spuścił głowę, Iza przypatrywała mu się w milczeniu. To, że jej matka natychmiast, bez słowa poszła za tym człowiekiem i zdecydowała się przenocować w tym domu, nie było dla niej niespodzianką. Iza lepiej niż ktokolwiek wiedziała, jak bardzo Staruszka niegdyś kochała Antala. Ale to, że jadła z apetytem kolację i potem zmywała naczynia, było wręcz niewiarygodne. Sama zrobiła sobie kąpiel? Przecież w Budapeszcie nie odważyłaby się zbliżyć do kranu! To, co Iza słyszała w tej sali, było równie nieprawdopodobne jak sama śmierć matki. Na temat tego, co się działo potem, mogli jedynie snuć domysły i pojedyncze fakty kunsztownie składać w jedną całość.

Antal mówił, że nawet mu do głowy nie przyszło, aby Staruszka mogła jeszcze po jego wyjściu opuścić dom. Była przecież straszna mgła, pora późna, a on zamknął furtkę na klucz. O tym, że miała własny klucz, nikt nie mógł wiedzieć. Znaleźli go w kieszeni jej płaszcza. Przywiązany był na błękitnej aksamitnej wstążce. „Jej stary klucz – pomyślała Iza z goryczą. – Nigdy nie mówiła o tym, że go zatrzymała. Wyprowadziła mnie w pole. Dlaczego zachowała go przy sobie? Czego się spodziewała? Dlaczego człowiek przechowuje stare klucze?”

Milicji nie interesowało, że Antal wyszedł jeszcze tego wieczora i że wrócił z Lidą. Ale Antal sam poruszył ten temat i tłumaczył, dlaczego pragnął jeszcze tego samego dnia przedstawić Staruszce swoją narzeczoną. Powiedział także i to, co chciał zaproponować starej kobiecie. Domokos spojrział na lekarza, kiedy usłyszał o jego zamiarach wobec Staruszki. Iza także popatrzyła na Antala, ale natychmiast spuściła oczy. Gica chrząknęła znacząco. Była na wpół rozbawiona, na wpół rozzłoszczona tym, co usłyszała. Jaki głupi ten Antal, uwierzył Gicy, kiedy zagroziła mu, że nie będzie u niego pracować,

jeżeli się ponownie ożeni. Przecież to były tylko nic nie znaczące pogroźki. Oczywiście, że będzie u niego dalej pracować. Co za niemądry pomysł obarczać taką staruszkę prowadzeniem domu! Przecież w Budapeszcie żyła jak u pana Boga za piecem. Nic nie robiła przez cały dzień, a teraz miałyby tu pracować? Ten woziwoda chciałby mieć dla siebie wszystko: dom, ogród, a w końcu i panią Etelkę. Niech teraz goni wiatr po polu.

Iza czuła, że nie wytrzyma dłużej tego napięcia.

Zakryła twarz dłonią w rękawiczce i łzy trysnęły jej z oczu. Antal, ten Antal, który z nią kiedyś żył, który rozumiał ją i który od niej odszedł – teraz nawet nie spojrzął w jej stronę. Wtedy kiedy ją opuścił, wychodząc z domu gwizdał i ani razu się nie odwrócił. Zachował się jak ktoś, komu jest dobrze, mimo że przekreślił swoją przeszłość lub właśnie dlatego że ją przekreślił. Ten Antal, przyszły mąż Lidii, właściciel dawnego domu rodziców, przestał w jej oczach istnieć tak całkowicie, jakby zmienił się w parę lub zapadł się pod ziemię. W tej chwili wiedziała już, że nigdy więcej o nim nie wspomni.

Propozycja Antala, żeby zatrzymać u siebie jej matkę, była zniewagą dla całej rodziny. Stanowiła obrazę dla jej ojca, który swego czasu brnął przez zasy pyłowe, niosąc tych kilka żalonych pengö do szkoły, aby Antal miał za co kupić książki; dla matki, z której na stare lata chciał zrobić swoją gospodynię, a przede wszystkim dla niej, dla Izy. Odczuła to jako ciężką zniewagę, że Antal tworzy sobie nowy dom wśród ścian, gdzie niegdyś żyli razem, i że starał się podstępem przeciągnąć na swoją stronę jej własną matkę, żeby usługiwała jego przyszłej żonie. Iza aż dygotała z oburzenia. W tej okrutnej godzinie, kiedy miała uczucie, że ciało jej rozszarpywano na strzępy, stało się jeszcze coś innego. Do tej chwili Staruszka, mimo że spoczywała pod lodowatym całunem śmierci, była ciągle obecna i żywa. Przecież nie dalej jak dwa dni temu wsiadła do pociągu, dźwigała ciężką torbę i wymachiwała chusteczką przez okno wagonu. Związane z nią wspomnienia krążyły nad obecnymi jak stada ptaków. Ale w tej chwili Iza jasno i przejrzyście pojęła nie tylko rozumem, ale i sercem, że ta wiecznie niespokojna i ruchliwa stara matka odeszła. Nieodwołalnie i na zawsze. Ponieważ wreszcie zrozumiała, co się stało, strata była mniej bolesna. W tej chwili, nie zdając sobie nawet z tego sprawy, zaczynała zapominać i wracać do równowagi. Odjęła ręce od twarzy, wyprostowała się. Oficer śledczy był wyraźnie zakłopotany. Cała ta sprawa wydawała mu się dość niejasna. Wyczuł z zachowania się Izy, że za jej łzami i szczerym smutkiem kryło się silne wzburzenie.

Iza wiedziała, że Staruszka, gdyby żyła, porzuciłaby ją na pierwsze wezwanie Antala. Była do niego bardzo przywiązana. Bez zastanowienia byłaby opuściła córkę pod byle jakim pretekstem. Na przykład, że musi pielęgnować Kapitana, który chorował na astmę, albo też że graty, które Antal przechowywał na strychu, wymagają uporządkowania. Mama wróciłaby tutaj, byle tylko odzyskać swoje wyszczerbione naczynia i znów się kręcić po kuchni i po starej drewnitni. „Jaka ona była niewdzięczna – myślała z goryczą Iza – jaka niewdzięczna była ta nieszczęsna! Oddałaby mnie bez

namysłu za stare graty ojca. Odkąd jestem na świecie, robiłam dla niej wszystko, choćby to przekraczało moje siły i możliwości. Uczyniłam dla niej rzecz największą – podzieliłam z nią moje życie, czego nie sposób zrobić nawet dla ukochanego mężczyzny. Ale ona wolała stare graty niż mnie.”

Staruszka jeszcze raz, już po raz ostatni, pojawiła się przed Izą, jakby ze sztywną uprzejmością podniosła się z krzesła i zwróciła swoje ogromne, niebieskie oczy z pytaniem w stronę córki. Stała przed Izą chwilę, po czym rozpląnęła się. Była teraz jak inni zmarli. Iza wyprostowała się, otarła twarz i zaczęła szukać papierosa. Przez mgnienie oka zobaczyła ich dawny dom z Antalem, Lidią i Staruszką; Wincentego nie było wśród nich tylko dlatego, że zabrała go choroba. Dom ten wyrósł przed nią jak forteca, ale tylko na nieuchwytny ułamek sekundy, a potem wszystko rozwiało się w nicość; przecież Antalowi nie udało się przeprowadzić planu, dzięki któremu chciał wyłączyć Izę ze wszystkiego, zabierając matkę. „Umarłaś, mamó – myślała Iza z taką obojętnością, z jaką człowiek po dwudziestu latach opiera się o spróchniałe ogrodzenie grobu niegdyś kochanych osób – umarłaś, bo Balzsamárok, Antal i bezwartościowe przedmioty zwyciężyły moją miłość do ciebie. Umarłaś, najdroższa, mimo że spróbowałam uczynić dla ciebie wszystko, co tylko było w mojej mocy. Ale ty nie wiedziałaś, co masz z tym począć. Ja nie poczuwam się do winy.”

Ohydne żółte krzesło zaskrzypiało pod Domokosem, kiedy odwrócił się, żeby spojrzeć na Antala i Lidię. Ujrzał tylko profil lekarza, a pielęgniarka, o której nie wiedział, iż odgrywa jakąś rolę w życiu rodziny Szöcsów, siedziała naprzeciwko niego. „Ta kobieta jest absolutnym przeciwieństwem Izy – pomyślał Domokos. – Jej ruchliwa, wrażliwa twarz, żywość i namiętność emanująca z niej, wyraźnie mówią, że wcale nie należy do kobiet, przy których mężczyzna zawsze może spokojnie pracować. Jest zapewne wybuchowa i jeśli czegoś chce, walczy, dopóki nie postawi na swoim.”

Gica starała się za wszelką cenę zwrócić uwagę na siebie. Chichotała i zachowywała się tak, że nie sposób było tego nie zauważyć. Iza oparta o poręcz krzesła oddychała z trudem i przysłuchiwała się dosadnym, szyderyczym uwagom Gicy. Krojącym wymachiwała rękoma, krzyczała i powoływała się co chwila na kogoś ze znajomych. Padały nazwiska Kolmana, mimo, iż go nienawidziła, sprzedawcy gazet, nauczycielki, różnych mieszkańców ich ulicy, a nawet pracowników kliniki i profesora Dekkera. Wzywała ich wszystkich na świadków, kiedy udowadniała, jak bardzo niedorzeczny ze strony Antala był pomysł zaproszenia Staruszki do siebie. Przecież każdy może zaświadczyć, jakie dobre życie miała ta stara kobieta u boku swojej świętej córki, która obsypywała ją pieniędzmi. Gdyby biedaczka żyła nawet siedem razy tak długo, nie starczyłoby jej czasu, żeby odwdzińczyć się córce za wszystko, co ta dla niej zrobiła. Takiej córki jeszcze nie miał nikt na świecie. Ledwie pochowała ojca, a już zabrała matkę do siebie, niczym suczka swoje szczenięta, aby stara kobieta nie musiała się o nic troszczyć. Zabrała matkę do Budapesztu, do wielkiego, luksusowego mieszkania. Przyjęła dla niej służącą! Stworzyła jej dobrobyt. Teraz, kiedy nieboszczka tu



przyjechała, miała na sobie nowy płaszcz, piękny szalik moherowy i nowy modny kapelusz! Tak szczęśliwej matki jeszcze nie było. Mało mówiła, bo była zmęczona, ale kiedy otwierała usta, to tylko po to, żeby wychwalać córkę pod niebiosa. Mówiła, jaka Iza była dla niej dobra i pełna poświęcenia. Miała w Budapeszcie rajskie życie i chyba nie w głowie jej było zamieniać ten raj na piekło i opuszczać taką córkę! Akurat!

Pijak był potwornie zdenerwowany. Raz po raz wycierał głośno nos. Dozorca pokaszliwał. Antal zaczerwienił się gwałtownie, jakby go ktoś spoliczkował. Lidia po raz pierwszy podniosła wzrok. Popatrzyła zdziwiona na Gicę, jakby chciała coś powiedzieć, ale nie odezwała się.

Iza odzyskała spokój. Po raz pierwszy miała wrażenie, że lubi Gicę.

Domokos, którego zawód wymagał umiejętności wczuwania się w każdą sytuację i dla którego słowa miały specjalne znaczenie – zaczynał się domyślać, co mogło się stać ze Staruszką. Gorące słowa Gicy rzuciły nagle snop światła na tę zagmatwaną sprawę. Prawda wylaniała się powoli. Przełknął ślinę.

Oficer śledczy podkreślił, że cieszy go, iż ostatecznie sprawa się wyjaśniła. Przecież dzisiejsze przesłuchanie i zeznania miały na celu ustalenie, czy Staruszka rzeczywiście uległa nieszczęśliwemu wypadkowi, czy też sama odebrała sobie życie.

Zarówno pijak, jak i dozorca zachłannie wsłuchiwali się w słowa oficera. Silne napięcie na twarzy starego człowieka zdradzało nerwowe oczekiwanie.

Domokos spojrzał na nich. Nigdy dotychczas nie widział na niczyjej twarzy tak wyraźnie malujących się uczuć. „Daj Boże, aby to było samobójstwo” – modlił się pijak. „A niechby sobie sama odebrała życie!” – wzdychał dozorca.

Teraz przyszła kolej na nich. Ich słowa z wolna rozpraszały mgłę dnia wczorajszego. Z pomocą Gicy i Antala coraz wyraźniej zarysowała się droga, którą Staruszka przebyła od chwili wyjścia z domu. Nie wiedziano tylko, jak dostała się na teren Balzsamárok. Może piechotą, a może tramwajem? Prawdopodobnie tramwajem, jeżeli przyszła nie od strony ulicy Rakoczego. Stary dozorca jąkał się opowiadając coś, z czego wynikało, że Staruszka siedziała na krawędzi studni i wyciągała z niej wiadro z wodą. Pijak wykręcał się od zeznań, jak mógł, mówił zawstydzony, że nic nie pamięta i nie przypomina sobie żadnej starej kobiety. Pamiętał tylko dozorcę. Tego wieczora zalewał w karczmie jakiegoś robaka i wracał do domu przez Balzsamárok. Nic szczególnego nie utkwilo mu w pamięci. Było ohydne błoto i lepka, żółta mgła. Z nieartykułowanego bełkotu dozorcę można było wyłowić coś w rodzaju: „Żeby tylko, broń Boże, to nie był wypadek!”

– Balzsamárok nie jest miejscem na spacer – mówił teraz rozzłoszczony dozorca – tamtędy chodzi tylko ten, kto musi, i to w dzień, nie w nocy.

Jego ostatnie słowa zawisły nad obecnymi jak ciężka chmura. Wszyscy spojrzeli po sobie. Głos Izy był cichy, ale przeszywający. Domokosem wstrząsnął dreszcz zgrozy, kiedy uświadomił sobie, że tu, na tej sali, odgrzebywano szczęśliwą tajemnicę dwojga starych ludzi, że stała się ona dowodem rzeczowym i została zaprotokołowana. Dziewczyna przy biurku jak

automat notowała wypowiedane zeznania, z których wynikało, że Staruszka dlatego właśnie wybrała sobie Balzsamárok na miejsce spaceru tej nocy, ponieważ wspomnienia z jej młodych lat, kiedy jako młoda dziewczyna chodziła tam na spotkania z ukochanym, właśnie w to miejsce skierowały jej kroki. Tego dnia postawiono nagrobek jej mężowi i wszystko razem jakoś logicznie wiązało się ze sobą. Wstrząsająca była dla pisarza świadomość, że oto zamyka się krąg, że wszystko zostało powiedziane i z drobnych fragmentów wspomnień utworzyła się całość; obnażona z tajemnic prawda, taka jaką chciano ją widzieć. Oto szczęśliwa, dobrze ubrana, zadowolona z życia staruszka, spaceruje sobie po ścieżkach, które pamięta jeszcze z dawnych czasów, rozmyślając o drogim zmarłym, o nadzwyczaj czulej córce i o tym, jak pogodną i dobrą ma starość. Ponieważ jednak była bojaźliwa jak większość ludzi w jej wieku, a przy tym miała słaby wzrok – próżna była biedaczka i nie nosiła okularów, nawet w czasie takiej mgły – przestraszyła się głośniei kłótni, zaczęła uciekać i zabłądziła. Naturalnie straciła głowę. Nic dziwnego. Przecież życie jej upływało jak w cieplarni, nic jej znikąd nie zagrażało, czuła się taka bezpieczna! Ile radości jej przysparzano i jaką szczęśliwą przyszłość miała w perspektywie!

Domokos bał się, że nerwy odmówią mu posłuszeństwa i zaczną krzyczeć na cały głos.

– Zawiniły tu przede wszystkim wspomnienia – powiedział oficer śledczy. – Biedaczka nie była już młoda. Teraz wszystko się wyjaśniło.

– Moi rodzice nie należeli do ludzi nowoczesnych – powiedziała Iza cichym, szczerze zbolalym głosem. – Ani mój ojciec, ani moja biedna matka nie byli ludźmi dzisiejszymi.

– Myślę, że na tym zakończymy sprawę, i raz jeszcze proszę przyjąć wyrazy głębokiego współczucia – dodał oficer.

Wstał i podał rękę Izie. Pijak nagle zakrył twarz rękoma i zaczął głośno, gorzko płakać, jak ktoś, kto sobie nagle uświadamia, że dopuścił się morderstwa. Dozorca mamrotał coś pod nosem, jakby rozmawiał ze swoim psem.

Lekarz wyszedł. Gica wygładzała ręką płaszcz i chichotała, nerwowo wzruszając ramionami, wreszcie zawstydzila się i zaczęła się zachowywać stosownie do okoliczności. Iza była po prostu zmęczona i przygnębiona, z tak wielkim trudem zbudowany gmach zawalił się nagle. Domokos wiedział, z jak beznadziejnym bólem patrzy na ruinę swego dzieła, w które włożyła tyle serca. Zwróciła ku niemu wyczerpaną smutkiem twarz i uśmiechnęła się blado, jakby dziękując mu, że w tej trudnej chwili jest przy niej.

Naiwne słowa Gicy, jakimi wyrażała swój podziw dla elegancji Staruszki, dla jej nowego płaszcza, moherowego szalika i mnóstwa pieniędzy, odsłoniły nagle całą prawdę, której Domokos był mimowolnym świadkiem w Budapeszcie. Wtedy jeszcze nie orientował się. Ale w tej chwili – gdy miał przed sobą cały obraz, złożony ze strzępów słów i wspomnień tych ludzi – przed jego oczami wyłonił się ponury aspekt tej sprawy. „Rozstrzygnęło się – pomyślał pisarz. – Rozstrzygnęło się na wieki.”

Antal i Lidia stali obok siebie. Ich ramiona prawie się stykały. Twarz Antala była uosobieniem smutku i przygnębienia. Lidia stała na tle półki z kwiatami.

Zapisano dane personalne obecnych. Nazwiska, miejsce i datę urodzenia. Iza, oparta o ramię Domokosa, drgnęła, kiedy usłyszała personalia pielęgniarki: Lidia Takács, urodzona w trzydziestym drugim roku, w Karikásgyüd.

## Rozdział IV

Lidia twardo spojrzała w twarz Izy. Po raz pierwszy odkąd ją знаła. Wtedy kiedy zobaczyła ją w klinice, sama pracowała tam już od paru miesięcy. Ilekroć ją potem spotykała na korytarzu szpitalnym, ogarniało ją uczucie uwielbienia dla pięknej lekarki. Na początku pracy w szpitalu Lidii imponowali wszyscy lekarze. Oni mogli ją przecież uczyć, jak ratować ludzkie życie. Ale w stosunku do Izy odczuwała jeszcze coś bardziej skomplikowanego. Nawet po przeniesieniu się do Budapesztu Iza cieszyła się nadal świetną opinią w swoim dawnym środowisku. Kiedyś wpadła do kliniki i jak zwykle spytała o profesora Dekkera. Wtedy koleżanki pokazały ją Lidii. „To jest doktor Szöcs; pracowała tu kiedyś na oddziale reumatologicznym, była ulubienicą profesora i żoną doktora Antala.”

Iza często przyjeżdżała do dawnego miejsca pracy. Widywano ją tam każdego miesiąca. Lidia wyobrażała ją sobie zawsze na tle sanatorium w Dorozs, wśród grubych szklanych ścian i bulgocących źródeł. A ile odwagi wykazała w czasie wojny! Słyszała to od ludzi, którzy brali udział w sabotażach na terenie kliniki. Jak dzielnie dotrzymywała kroku mężczyznom w okresie odbudowy szpitala! Chwalili ją wszyscy dawni koledzy, którzy uczęszczali z nią na seminaria. Mówili o jej pilności, inteligencji i celności sądów. Wszyscy wychwalali jej dobroć i pełną poświęcenia miłość do rodziców. W oczach Lidii Iza była ideałem godnym naśladowania.

Kiedy przyjeżdżała ze stolicy, wzruszony portier telefonował do różnych oddziałów: „Doktor Szöcs przyjechała!” Kręcił się koło windy, aby ją pierwszy mógł przywitać. Czuł się zaszczycony, kiedy go pytała: „Co wy robicie z tymi kwiatami, że się tak pięknie rozwijają?”

Potem Lidia pokochała Antala, i jej uczucia wobec Izy stały się bardziej złożone.

W klinice wiedziano, co było powodem rozbicia małżeństwa Izy i Antala. W klinice wiedziano niejedno o tych, którzy znajdowali się kiedykolwiek w jej murach. Zresztą Iza nigdy nie robiła tajemnicy z tego, co się stało. Nawet jej na myśl nie przyszło, że prawda mogła być dla niej mało pochlebna. W czasie nocnych dyżurów koledzy ze zdumienia pytali ją, czy to prawda, że się rozchodzą. Otrzymywali niezmienną odpowiedź: „Antal tak chce.” Dekker kłął pod nosem, koledzy kręcili głowami. Przez długi czas traktowano Antala na oddziale z chłodną rezerwą. „Jeżeli dla niego nawet taka kobieta nie była dobra, to co, na miłość boską, może on mieć wspólnego ze zwykłymi śmiertelnikami, takimi jak my?”

Potem Iza przeniosła się do Budapesztu i cała sprawa poszła w zapomnienie. Antal nie ożenił się powtórnie. Jego koledzy tłumaczyli to sobie tym, że pewnie woli życie samotnika – bywają i tacy. „Tym gorzej dla niego” – powtarzali z pewnym współczuciem. Starsi zaś powiadali, że w małżeństwie mogą się zdarzyć różne rzeczy, które z czasem uniemożliwiają dalsze współżycie. Izy Szöcs nikt nie znał bliżej jako kobiety. Z nikim spośród

kolegów nie łączyło jej nic intymnego. Już na pierwszym roku chodziła z Antalem. Bóg raczy wiedzieć, co w niej tkwi.

Antalowi z czasem przebaczone. Nawet i Dekker przestał mieć żal do niego.

Lidię doprowadzało to do rozpacz, że zakochała się w człowieku, który był mężem Izy.

Iza była obyta, swobodnie prowadziła rozmowy ze wszystkimi, podczas gdy ona, Lidia, umiała mówić jedynie z chorymi, najchętniej z ciężko chorymi, z którymi najwięcej miała do czynienia. Z nimi łatwo znajdowała wspólny język, chociaż z natury była małomówna. Nie mogła się pochwalić interesującymi przeżyciami. Jej świadectwa szkolne były dobre, ale niczym szczególnym się nie wyróżniały. Podczas wojny była małą dziewczynką. Oczywiście nie umiała obchodzić się z bronią ani przemykać się z ulotkami, jak niegdyś Iza. Wprawdzie pewnego lata w rodzinnych stronach pomagała przy pracach związanych z regulacją rzeki, no, ale tam wszyscy młodzi pracowali, nawet ci z dalszych okolic. Jakież to jednak miało znaczenie w porównaniu z Dorozs! Kiedy ubierała się po „cywilnemu”, z niezadowolaniem patrzyła w lustro. Nie lubiła swojej jasnej czupryny i szarych oczu. Iza była brunetką z niebieskimi oczami.

Zdawała sobie sprawę, że gdyby chciała, mogłaby być jedną z tych dziewcząt, z którymi chodził Antal. Ale za tym nie tęskniła. Nawet jak na stosunki panujące w klinice, jego miłostki trwały zbyt krótko i dla nikogo nie było tajemnicą, że służyły jedynie wiadomym celom. Pod tym względem Lidia miała większe wymagania. W pierwszym rzędzie interesowały ją przeżycia i troski Antala i problemy, którymi się zajmował. Pragnęła być przy nim, kiedy był smutny, żeby móc go pocieszać, karmić, gdy jest głodny, i pomagać mu w pracy w miarę swoich możliwości. Pragnęła z nim rozmawiać i zbliżyć się do niego, ale myślała o zbliżeniu nie tylko fizycznym. Chciałaby z nim mówić o kwiatach, o pacjentach. Pragnęła się go radzić, jaką książkę przeczytać, a nawet jaką suknię sobie uszyć.

Miłość Lidii do Antala była naiwnie bezradna. Kiedy jednak zdała sobie sprawę ze swego uczucia, zobaczyła doktor Izę Szöcs w zupełnie innym świetle.

Odtąd spoglądała na młodą lekarkę – która знаła sekret oczarowania Antala – z jeszcze większym podziwem. W zwykłych okolicznościach nie bałaby się swoich poprzedniczek, ale myśl, że miałyby naśladować Izę w łóżku i przy stole Antala – była nie do zniesienia. „Jeżeli ktoś kiedykolwiek żył z Izą – myślała Lidia – nie zapomni jej nigdy. A nawet jeśli przestanie ją kochać, to mimo woli będzie porównywał z nią każdą inną kobietę.” Któż ośmieliłby się współzawodniczyć z takimi wspomnieniami? A jeżeli taka kobieta jak Iza mogła komuś w czymś nie dogadzać, to jakież szanse wobec niej miałyby ona, Lidia? Próbowwała więc wykorzenić ze swego serca to beznadziejne uczucie, tak jak chory przy pomocy leków stara się zapobiec rozprzestrzenianiu się zła w swoim organizmie. Lidia w miejscu pracy miała niejedną okazję spotkania się z innymi młodymi ludźmi. Związek

młodzieżowy był w klinice dobrze zorganizowany. Lidia żartowała z chłopcami, tańczyła z nimi i chodziła do kina, a w lecie na plażę. W zimie jeździła na saneczkach, obrzucała chłopców śniegiem i nieraz całowała się z nimi, jak inne dziewczyny, dopóki nie oświadczył się jej Csere z intendenty. Wtedy przestraszona wycofała się ze wszystkich zabaw młodzieżowych. Wiedziała, że mimo woli oszukała tego chłopca.

Niełatwo jej było wyzbyć się uczucia do Antala, ponieważ widywała go i rozmawiała z nim codziennie. Zamieniali nieważne słowa, głównie na temat chorych z oddziału. Widywała go w bufecie albo przed kliniką z najnowszą flama. Wtedy robiła się smutna lub ogarniał ją gniew. Zadawała sobie pytanie, co też ten człowiek widzi w tych wszystkich dziewczętach? Czym one się od niej różnią? Czy była zazdrosna? Dziwne uczucie zazdrości i pewnego roztkliwienia ogarniało ją tylko na widok Izy, kiedy spotykała ją na korytarzu. Pewnego razu natknęła się na nią, kiedy pukała do jednego z pokoi, szukając Antala. A on siedział w bufecie, czule nachylony nad jakąś dziewczyną. Innym razem spotkała Antala w bukszpanowej alei klinicznej pod rękę z inną kobietą. Wobec Izy zachowywał się chłodno i rzeczowo, jak wobec kolegi, i prawie nigdy nie rozmawiał z nią sam na sam, tylko w obecności profesora.

Lidia wstydziła się tego, że mogła być zazdrosna o kobietę, która już od wielu lat nie żyła z Antalem. Ta dziecinna namiętność była wręcz zabawna. Kiedy dawniej widywała Izę z Antalem, cierpiała, ale była zarazem i szczęśliwa, gdy mogła przebywać pod jednym dachem z doktor Szöcs. Uwielbienie dla Izy z domieszką żalu wzbogacało i utrzymywało jej miłość do Antala. Lidia przestała myśleć o swoim złożonym uczuciu do Izy, kiedy ta przywiozła ojca do kliniki, a Antal wyznaczył ją i Esterę Gal do pielęgnowania sędziego. Wtedy Lidia miała okazję obserwowania z bliska doktor Szöcs. Widziała, jak Iza żartuje z ciężko chorym, karmi go i zasypuje różnymi podarunkami. Z jaką cierpliwością zabawiała ojca i wprowadzała w dobry humor! Ale widziała również, jak pani doktor wymykała się na korytarz i z opartym o framugę okna czołem patrzyła zagubiona w stronę lasu, jakby u tych wiekowych drzew szukała odpowiedzi na pytanie, dlaczego muszą odejść ludzie, których kochamy. Gdy na kamiennej posadzce rozlegał się stukot niezgrabnych kroków Staruszki, Iza szybko wycierała twarz, chowała chusteczkę i z uśmiechem witała matkę słowami: „Dziś czuje się trochę lepiej, najmilsza, uważaj, abyś się przypadkiem nie rozpląkała w jego obecności.” Niezmiennie powtarzała to samo.

W tym okresie kiedy pielęgnowała sędziego, Lidia zapanowała nad uczuciem do Antala. „Zapomnę o nim – myślała – o wszystkim można zapomnieć, nawet i o tym, czego nigdy nie było. To całe moje uczucie do Antala jest śmieszne i nikomu niepotrzebne.” Iza znowu stała się tym, czym zawsze była dla Lidii – jej ideałem z lat dziewczęcych. Jaka była dobra! Zawsze to o niej mówiono. Lidia знаła w tym czasie Izę tylko ze słyszenia. Ale teraz sama się o tym przekonała i jakoś dziwnie byłoby jej myśleć o tamtej jako o niezwyciężonej rywalce. Lidia wstydziła się sama przed sobą.

Potem, pewnej nocy, sędzia przemówił. Z początku myślała, że cierpi lub szepcze w malignie, ale zaraz spostrzegła swoją omyłkę. Wincenty uśmiechał się i starał się wyprostować w łóżku. Zupełnie normalnym głosem powiedział:

– Od wielu lat nic mi się nie śniło, Lidio, a dziś w półśnie zdawało mi się, że byłem w domu. Wyobraź sobie, w domu!

Pielęgniarka w takim wypadku musi coś powiedzieć. Poprawiła poduszkę i kołdrę Wincentego. Dotykanie go i krzątanie się przy nim sprawiało jej przyjemność. „W przyszłym roku będziesz tańczył” – mawiał profesor Dekker, ile razy zaglądał do niego. „Już lepiej wyglądasz, ojczel!” – jękał się Antal, który nie był wytrawnym kłamcą.

Kiedy Wincenty oczekiwał na przyjście żony, prosił, żeby podawano mu lekarstwo, nie chciał jej bowiem niepokoić. Przed pielęgniarką tłumaczył się, że chce świeżo wyglądać.

– Podaj mi, Lidio, ten wzmacniający środek – mówił, a jego mądre małe oczy były pełne wyrozumiałości.

Lidia w takich razach odwracała się i krzątała koło stołu, nie chcąc spotkać się z jego spojrzeniem. Niełatwo można znieść, kiedy chory wyraża w jakiś sposób przypuszczenie, że już niedługo pożyje.

Lidia lubiła Wincentego. Nie ze względu na Antala lub Izę. Po prostu dla niego samego. Podziwiała go, że potrafi tak bohatercko wywiązywać się z roli w komedii, którą grają w jego obecności wszyscy z najbliższego otoczenia. Lidia wiedziała, że Iza przekonana jest, iż ojciec niczego się nie domyśla. Śmiali się i grali z sobą w karty. Lidia wiedziała, że Staruszka żywi nadzieję i że Wincenty, chcąc ją w tym utwierdzić, żartuje z nią grożąc jej figlarnie wychudłym palcem. Kiedy był przytomny, opanowywał się tak wspaniale, że żadne lekarstwa nie mogłyby tego zdziałać. Prosił o włączenie radia, o gazety i czytał, dopóki mógł je utrzymać w ręku. Żartował i dowcipkował z odwiedzającymi go osobami.

Gdy Lidia miała przy nim dyżur w nocy, Wincenty sypiał lepiej, a kiedy się budził, prawil jej komplementy i mawiał, że jej twarzyczka przypomina mu dziką różę. Opowiadał różne rzeczy i Lidia słuchała go. Powracał wspomnieniami do czasów, kiedy Iza seplenila, chodziła w fartuszkach i miała długie warkocze. Przypominał sobie żonę, gdy była młodą dziewczyną, w jej pierwszej wieczorowej bladoniebieskiej sukience, z wiankiem niezapominajek w złotych włosach. Lidia słyszała, jak płakał, kiedy wspominał, że go wydalili z pracy jak przestępcę. Gorące łzy wstydu zalewały mu twarz. Kiedyś z jego słów zrozumiała, że Staruszka zbesztala go za utratę pracy i daremnie później przeproszała; do dziś nie mógł jej tego zapomnieć.

O Antalu także się dużo dowiedziała z ust na wpół drzemającego pacjenta. Obraz, który przedstawiał sędzia, ukazywał lekarza w nowym świetle. A więc tak dobrze było mu z Antalem pod jednym dachem?

– Dlaczego porzucił Izę? – pytał niespokojnym szeptem. – Taki dzielny chłopak i tak bardzo ją kochał. Dlaczego ją porzucił, nie wiesz, Etelko?

Lidię również gnębiło pytanie, dlaczego właściwie Antal opuścił swoją żonę. W klinice nikt nie znał dokładnie prawdziwej przyczyny. Pielęgniarki,

które w owym czasie pracowały już w szpitalu, opowiadały, że nikt nigdy nie słyszał, aby Antal był niewierny, i że do końca żyli ze sobą poprawnie. Wszyscy wiedzieli, że również Izy od czasów studenckich nigdy nie interesował nikt poza Antalem. Znana była ich wspólna walka o Dorozs.

Teraz okazało się, że nawet Wincenty nie znał prawdziwej przyczyny rozkładu tego małżeństwa.

Tej nocy kiedy Wincenty tak niespodziewanie przemówił, Lidia nachyliła się nad nim, aby go lepiej słyszeć. Poprzedniego dnia Staruszka została w klinice dłużej niż zwykle, tak że chory z trudnością mógł zasnąć. Świat zewnętrzny i ten, w którym teraz przebywał i do którego przywykł, kolidowały ze sobą. Osoby, które przychodziły z zewnątrz, denerwowały go i niepokoiły.

– Gdzie jest pański dom, panie sędzio? – zapytała pielęgniarka.

Sędzia uśmiechnął się. Jego wychudzone ręce drżały. Od paru dni nie mógł się poruszać bez czyjejs pomocy. Odpowiedział:

– Daleko. Na prowincji.

– Pochodzi pan z prowincji? – zainteresowała się Lidia.

Pojęcie „prowincja” oznaczało dla niej wszystko, co nie było stolicą.

– Tak – odpowiedział sędzia – z Karikásgyüd.

Lidia spojrzała na niego zaskoczona. Przecież ona też się tam urodziła. Magiczne słowo „Karikásgyüd” złączyło ich nagle węzłem przyjaźni.

– Piękna okolica – powiedział sędzia – na wiosnę brzeg rzeki jest czerwony, a w lecie siarkowożółty. Śniło mi się, że stałem na tamie i nie bałem się rzeki. Pod kołem młyńskim szumiała woda.

– Już nie ma tam starej tamy – powiedziała Lidia potrząsając głową. – Brzegi rzeki są teraz z betonu. Uregulowali Karikásgyüd.

To był właśnie ten krótki okres, kiedy w zdrowiu Wincentego nastąpiło nagle polepszenie. Z punktu widzenia medycyny było ono niewytłumaczalne. Antal nie mógł zrozumieć, co wpłynęło na stan chorego. Dekker wzruszał ramionami, a w Staruszkę wstąpiła nowa otucha. W nocy Antal połączył się telefonicznie z Izą. Lidia przechodziła właśnie koło jego gabinetu i słyszała, o czym lekarz mówił.

– Ojciec czuje się zupełnie dobrze. Bóle ustąpiły. Nie mam pojęcia, co się mogło stać.

Lidia pobiegła dalej.

W klinice podawano sobie z ust do ust wiadomość o stanie zdrowia Wincentego.

Lidia opowiadała sędziemu o pomniku, który postawiono we wsi na wieczną pamiątkę powodzi. Są na nim wyryte słowa: „Ofiarom powodzi w Gyüd.” Lidia uczyła się w szkole o tym wydarzeniu i wiedziała, że w 1887 roku powódź zniszczyła wioskę. Znała z opowiadania dawną aleję wierzbową i tamę, której niegdyś pilnował ojciec Wincentego i którą później przerwała woda, powodując klęskę. Lidia sama pomagała przy budowie betonowej zapory i widziała, jak powoli znika to, co pamiętał Wincenty: młyn wodny i chaty kryte strzechą. W opowiadaniach wędrowali oboje z ulicy na ulicę, z



zaułek w zaułek, z pastwiska na pastwisko. Wincenty opowiadał dziewczynie o takim Gyüd, który zachował w sercu, pielęgniarka zaś o nowej wsi, jej wielkim postępie pod względem gospodarczym, o Ośrodku Zdrowia, o Państwowym Ośrodku od chwili ich poznania. Co było przedtem – nic obchodziło jej. A mała Iza nienawidziła ponurych i smutnych opowieści. Nawet nie można było przy niej śpiewać piosenek, które nie miały szczęśliwego zakończenia. Panią Szöcs nie interesowała wieś, a mała Iza nie lubiła Gyüd z rzeką Karikas, która jej ojcu przysporzyła tyle cierpienia. Nie znosiła, gdy mówił o przeszłości. W takich wypadkach zawsze go zapewniała, że przyszłość ułoży się lepiej.

– Iza była dla mnie zawsze niesłychanie dobra – powiedział chory i twarz zaczerwieniła mu się pod wpływem radosnych wspomnień. – Nikt nie był dla mnie tak dobry jak ona.

Lidia widziała Izę w wyobraźni jako małą dziewczynkę, która mówi z ojcem o lepszej przyszłości. Widziała ją, jak rozkłada atlas szkolny i studiuje plan Budapesztu, szukając znanych jej z opowiadań obiektów. Iza pragnęła zobaczyć wielkie, naprawdę wielkie miasto. Pielęgniarka widziała Izę jako dorosłą pannę, z podaniem o rehabilitację ojca w rękę. Potem znów jako dojrzałą kobietę, która już nie musi sama łamać sobie głowy nad różnymi problemami, gdyż stoi przy niej Antal, a może i inni mężczyźni. W tym okresie Izę interesowała wieś w ogóle, jako zagadnienie. Zastanawiała się nad rozwiązaniem problemu higieny i służby zdrowia na wsi. Potem widziała Izę pochyloną nad gazetą, jak bezbłędnie wymawia obce nazwiska polityków o światowej sławie i zbliża swą miłą twarz do policzka ojca.

– Była bardziej wykształcona niż ktokolwiek ze znanych mi osób – chwalił się sędzia. – Taka mądra! Prawda, Lidio, że Iza jest bardzo mądra? Niestety nie ma czasu na wyjaśnianie mądrych i skomplikowanych spraw. Nie znam dokładnie mechanizmu sputników, chociaż pisano o tym w „Życiu i Nauce”. Nie wiesz, jak teraz nazywa się miejsce, które niegdyś nazywaliśmy „Pastwiskiem”?

– Plac Elektrowni – odpowiedziała zaskoczona Lidia. – Stoi tam teraz pomnik, są żywopłoty, ławki i miejsce zabaw dla dzieci.

„Mój Boże – myślała Lidia. – Mój dobry Boże, to niemożliwe. Gdyby Iza nie była jego córka, ale matką, nie byłaby w stanie zrobić dla niego więcej, niż zrobiła. Pomimo że był tak chorowity, utrzymała go przy życiu do późnej starości. Kiedy się tylko oddala od niego, oczy zachodzą mu łzami i ma ledwie tyle sił, żeby się poruszyć. Iza kocha go. Przez całe życie go ochraniała. Czy to możliwe, że nigdy nie chciała pojechać z nim do jego ukochanego Gyüd? Że nie chciała mu pokazać, jak teraz ta miejscowość wygląda? Że nie pragnęła mu wytłumaczyć, dlaczego teraz jest tak, a nie jak dawniej?”

Twarz sędziego promieniała radością.

– Panie Szöcs – powiedziała Lidia, nie zdając sobie sprawy, że mówi bardzo głośno. – Dla upamiętnienia powodzi na placu stoi pomnik. Przedstawia młodego mężczyznę, który ręką wzniesioną do czoła osłania oczy

przed światłem i patrzy w stronę rzeki, jakby śledził jej nurt z pianistymi falami.

Pokój szpitalny rozszerzył się, a rośliny na oknie urosły i szumiały jak wierzby. Kran, który dziś rano naprawiono, widocznie znowu się zepsuł, gdyż woda zaczęła kapać, najpierw powoli, potem coraz szybciej, zmieniając się w wyobraźni chorego w rwący nurt rzeki. Gwiazdy, zawieszono nisko na marcowym niebie, złotymi krążkami odbijały się w wodzie.

Przez trzy doby wspomnienia o rodzinnej wiosce były silniejsze niż śmierć. Wsparty na poduszkach sędzia, w którym ledwie tliła się iskierka życia, pewną nogą stąpał na tej ostatniej przechadzce po swojej wsi. Nagle zaczął nucić jakąś pieśń i Antal przerażony otworzył drzwi do jego pokoju. Nikły, prawie dziecięcy głos Wincentego przedostawał się na korytarz. Antal zastał go siedzącego, opartego o poduszki, a Lidia pochylona nad nim wsłuchiwała się w melodię tej dziwnej pieśni. Antal znał tę piosenkę z okresu studenckiego, kiedy śpiewał ją razem z kolegami z okazji imienin dyrektora „Katona”. Nie wiedział, że teść ją pamięta. Wincenty często nucił w domu różne piosenki, ale tej nigdy u niego nie słyszał.

*Hen tam, w zamkowej komnacie,  
płoną pochodnie, chór żałobnie śpiewa,  
Na katafalku pośrodku komnaty  
Piękna dziewczica bez życia spoczywa.  
Blade jej lica, pierś jak śnieżne szczyty,  
Oczy jak gwiazdy pod martwą powieką...*

Lidia nuciła razem z chorym. Widocznie chciała się nauczyć tej melodii. Nie zauważyła nawet, kiedy lekarz otworzył drzwi. Dziewczęcy głos pielęgniarki był cichy, dźwięczny:

*Ach, oby mnie raczej niż ciebie,  
cudna dziewczyno, kryło trumny wieko.*

Lidia podniosła głowę i odwróciła się. Antal nigdy dotychczas nie widział u niej tak wymownego spojrzenia. Potrząsnęła głową, jakby mu chciała powiedzieć, że nie potrzebuje jego pomocy. Chory był spokojny i wbrew wszelkim zasadom logiki wyglądał tak, jakby się czuł dobrze.

Antalem wstrząsnęła do głębi ta dziwna, podobna raczej do skargi melodia, nucona drżącym, dziecięcym głosem.

*Blade jej lica, pierś jak śnieżne szczyty...*

Lidia była zdecydowana wyjść za Antala, jeżeli ją o to poprosi. Zostanie następczynią Izy. Zajmie jej miejsce, czego dotychczas nie miała odwagi uczynić.

I nagle uwielbienie, jakim otaczała swój ideał, ustąpiło miejsca litości. To było coś zupełnie nowego. Tak jakby okazało się, że Iza Szöcs urodziła się

kaleką, a ona, Lidia, dotychczas tego nie zauważyła. Ta pieśń o smutnym losie dziewicy stała się nagle wymownym symbolem.

„Mój Boże – pomyślała Lidia – jakie męczące musi być życie tej kobiety, która wiecznie panowała nad sobą i żyła jedynie myślą o najbliższych i o zmianie losów świata, tak trzeźwa i twarda, że żadne rzewne ballady nie były w stanie jej wzruszyć. Nieszczęśliwa! Jest przekonana, że przeszłość jest wrogiem terażniejszości, a przecież terażniejszość właśnie z tej przeszłości wyrosła.”

Kiedy Wincenty umierał i zdawało mu się, że to córka jest przy nim, wówczas Lidia uklękła przy jego łóżku i mówiła do niego, jak gdyby była Izą. W tej godzinie czuła jednakowe współczucie dla ojca i dla córki.

Gdy Iza chciała wręczyć pielęgniarce pieniądze, ta znienawidziła ją. Miała wrażenie, że Iza oszukiwała ją od dawna i że rodzina Szöcsów nie zasłużyła na to pełne poświęcenia uczucie. Gdy zastępując córkę pomogła jej ojcu przekroczyć trudną ostatnią granicę – znieważono ją.

Teraz stojąc tutaj w komisariacie i patrząc na zmęczoną twarz Izy pomyślała po raz pierwszy, że ta kobieta jest jej zupełnie obojętna. Zniknęło uczucie nienawiści, zazdrości, litości i uwielbienia. Iza stała się Lidii do tego stopnia obojętna, że bez najmniejszego wzruszenia życzyła jej w duchu, aby była szczęśliwa.

Staruszka, którą Antal chciał zabrać do siebie – ponieważ twierdził, że wróciła z Budapesztu śmiertelnie zastraszona i bezradna – nie przywoływała córki w ostatniej chwili życia. Lidia klęczała przy niej, tak jak w marcu przy łóżu Wincentego. Staruszka po prostu cierpiała i miała pragnienie. Prosiła o wodę.

„Co też mogło się tam zdarzyć w Budapeszcie? Czym uraziła swą matkę? – myślała Lidia patrząc bez złości na zboląłą twarz Izy. – Co ona mogła takiego zrobić, że w tej trudnej chwili przejścia w zaświaty matka nie wzywała imienia córki?”

## Rozdział V

Pijak i dozorca zostali zatrzymani, reszcie pozwolono odejść. Dozorca gestykulował, tłumaczył coś, ale pijak nie zwracał na niego uwagi. Szukał oczyma Izy, podszedł do niej i dotknął jej ramienia. Iza odsunęła się instynktownie, choć nie czuła zapachu alkoholu. Nie, była to raczej woń mydła, jakby pijak wyszorował się dokładnie przed przyjściem tutaj. Młody człowiek płakał. Poglądził Izę po plecach, mamrocząc coś niezrozumiałego. Iza cofnęła się z obrzydzeniem. Denerwowała ją jego nienaturalna tkliwość i nachalne współczucie.

Domokos stanął między nimi. Wpatrywał się w przerażoną, tępą twarz pijaka. Oto absurdalne narzędzie losu. Dozorca tłumaczył coś oficerowi. Domokos podał rękę pijakowi, a Iza spojrzała na niego z niesmakiem, kiedy usłyszała słowa pocieszenia skierowane do tego przybłądy. „Dlaczego traci czas, pocieszając tego śmierdzącego bimbrem alkoholika?” – myślała.

– Pan nie jest winien – powiedział Domokos. – A zresztą i tak wszystko jedno.

Ostatnie słowa Domokosa uraziły Izę, ale nie chciała tego okazać. Skąd raptem te słowa pociechy dla obcego człowieka, który ostatecznie w jakimś stopniu ponosi odpowiedzialność za to, co się stało.

Wszyscy rozstali się w bramie. Pierwsza pożegnała się Lidia i wsiadła do samochodu Dekkera. Antal podał każdemu rękę, mówiąc, że musi jeszcze wrócić do kliniki i że spotkają się znów po południu. Niech Iza powie, gdzie chce zjeść obiad – w domu czy gdzie indziej. O ile w domu, to Gica napali w piecu i załatwi wszystko, co potrzeba.

Gica obrzuciła go złym spojrzeniem, kiedy sadowił się w samochodzie obok Lidii. Ogromny wóz ruszył z miejsca i popędził w kierunku kliniki. Gica pomyślała w duchu: „Szybko się przyzwyczaił do jazdy samochodem! Jego ojciec biegał z zakasnymi gaciami i zawsze nie ogolony przywoził wodę do miasta.” Gica dobrze go pamięta, gdyż do ich domu również dostarczał wodę.

Teraz usiadła obok Domokosa na przednim siedzeniu. Była zachwycona wytwornymi gośćmi i miała zamiar uraczyć ich dobrym obiadem, jeżeli już los tak zrządził, że będą u niej jeść. Jednakże ani Iza, ani Domokos – jakby za wspólnym porozumieniem – nie chcieli przyjąć zaproszenia. Niech się Gica nie męczy ani nie traci czasu na gotowanie. Niech przygotuje, jak zwykle, kolację tylko dla Antala. Oni zaś dadzą sobie radę i zjedzą coś w mieście.

Odmowa ta jednocześnie ucieszyła i zmartwiła Gicę. Czuła się zaszczyciona, że ani Iza, ani Domokos nie traktują jej jak kucharki i nie wydają jej rozkazów tak jak syn tego woziwody. Ale jednocześnie poczuła ukłucie zazdrości, gdyż miała wrażenie, jakby ją coś ominęło i że im będzie starsza, tym coraz częściej coś będzie ją omijać. Nie ma już Wincentego i nie ma Etelki. Iza pewnie po tym, co się stało, już nigdy nie zajrzy w te strony. Ta pielęgniarka wcale nie wygląda na sympatyczną, a Antala z kolei nie lubi ona, Gica. Na tym zakończy swą karierę życiową, że będzie musiała pogodzić

się ze swoim odwiecznym wrogiem, Kolmanem, choć przysięgała sobie, że więcej na niego nie spojrzy, odkąd, siedem lat temu, kazał jej wysypać cały worek kartofli, które tak starannie sobie wybrała. Ale Kolman ma tę zaletę, że pamięta, jak to miasto wyglądało w czasach ich młodości, i zna wszystkich ludzi, którzy u niego kupują. Gicy nagle zebrało się na płacz, sama nie wiedziała dlaczego. Obejrzała sobie dokładnie Domokosa, jego cudaczne oczy i rudą czuprynę, i doszła do przekonania, że wcale nie jest taki brzydki. Zawieźli ją do domu. Z dumą wysiadła z samochodu rozglądając się, czy aby ją ktoś widzi.

A Domokos rozmyślał.

Świadomość, że rozmyśla nad samym sobą, a nie nad ogólnymi problemami tego świata – zaskoczyła go. Domokos od młodości miał szeroko otwarte oczy na wszystko, co się wokół niego dzieje. Lubił orientować się w sprawach dotyczących ludzi. Ponieważ jednak nie był ani sentymentalny, ani próżny, własna osoba obchodziła go bardzo mało. Innym razem interesowałyby go różne rzeczy i zachowałyby w pamięci szczegóły widziane i spotykane na każdym kroku: wystawy sklepowe, pełne tanich, ale szykownych drobiazgów; miejscowe wyroby: różnoraka ceramika, jakieś fajki lub przedmioty dekoracyjne, tkaniny, ta znów znane z doskonałości pierniki. Zauważyłby w hotelowym hallu, jak hałaśliwie żegnali się agronomowie przybyli tu na zjazd, ciskając z brzękiem płaskie klucze na szklany blat stołu w portierni. Tym razem to wszystko było mu obojętne. Nie zastanawiał się długo nad wyborem potraw z karty, choć innym razem zaciekałyby go nieznanne nazwy miejscowych przysmaków. Zamówił sznycel po wiedeńsku.

„Muszę tu, w tej chwili, zdecydować – myślał Domokos. – To jest tak ważne jak samo życie. Muszę powziąć natychmiastową decyzję. Tak jak w dniu wybuchu wojny lub kiedy zasiadam do pierwszego rozdziału nowej książki. Stoję w tej chwili nad przepaścią, ale niebezpieczeństwo nie jest tak groźne, bo wiem, że nad nią stoję, i jeżeli zrobię ostrożny krok, nie runę w jej otchłań. Chcę żyć. Tak mi się przynajmniej wydaje.”

Iza jadła powoli, bez apetytu. Już się opanowała i odzyskała kolory. Twarz jej wyrażała spokojny smutek. Od czasu do czasu podnosiła na Domokosa wzrok sponad talerza.

Wyjątkowo intymne wrażenie robiły te dwa nakrycia, tak blisko naprzeciw siebie w tej obcej restauracji – były one o wiele bardziej nastrojowe niż cokolwiek z budapeszteńskiego okresu, kiedy byli najbardziej zakochani.

Iza w duchu robiła ostateczny rozrachunek z tym miastem, ze wszystkim, co ją z nim wiązało. Zerwała ostatnią nić, jaka ją łączyła z Antalem. Zrobiła to z przekonaniem, z głębi serca.

Domokos nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo sam się zmienił w ciągu tego przedpołudnia. Czuł przepaść tam, gdzie przedtem był mocny grunt. Od niego zależy, czy skoczy w tę otchłań, czy nie.

Iza była pogodna, spokojna i wdzięczna. „Pomóż mi – mówiły jej spokojne, zmęczone ruchy rąk, jej milczące spojrzenie. – Uzdrów mnie! To bardzo boli, ogromnie ją kochałam!”

Domokos zostawił swój wóz przed hotelem. Poszli piechotą w kierunku domu. Nie oglądał wystaw, tylko od czasu do czasu podnosił oczy ku ołowianemu, jesiennemu niebu i patrzył na żółty masyw kościoła. Iza odpowiadała na ukłony i wtedy on również pochylał głowę. Był blady, nerwy miał napięte do ostateczności. Kiedy Iza otwierała furtkę, pisarz powiedział, że nie wstąpi do domu, gdyż czuje się wyczerpany i chciałby się położyć. Ten dzień dla niego również nie był łatwy.

– Przecież nie wrócisz teraz do Dekkera – powiedziała Iza. – Tu także możesz się położyć.

Domokos odpowiedział, że będzie jednak lepiej, jeżeli się prześpi w klinice. Iza odwróciła wzrok. Rzadko myliła się w diagnozie. Objawy mówiły same za siebie. Nawet te najdrobniejsze. Teraz myliła się, nie rozumiała właściwego znaczenia słów Domokosa, kiedy mówił:

– Nie mógłbym w tym miejscu odpoczywać.

– Czy mam pójść z tobą? – spytała Iza niepewnie. Bała się, że odpowie „tak”. Ogarniała ją zgroza na samą myśl, że w klinice byłaby blisko biednego zmiążdżonego ciała matki.

Domokos potrząsnął głową. Iza także musi wypocząć i nie wolno jej nadużywać swoich sił. Później zadzwoni do niej, kiedy i gdzie się spotkają. W klinice panuje wielkie zamieszanie. Na dziś dość już tego wszystkiego. Powinna teraz trochę odpocząć. Iza zgodziła się, ale bardzo pragnęła, aby jej nie zostawiał samej. Bała się go puścić od siebie. Nie potrafiłaby tego wytłumaczyć, ale bała się z nim rozstać.

Domokos wyczuł niemałą prośbę w całej jej postawie, choć nie powiedziała ani słowa. Stała przy furtce ze splecionymi rękami, a w oczach jej wyczytał błaganie. „Jeżeli zrobię teraz jeden fałszywy krok, runę w przepaść – myślał pisarz. – Runę w przepaść jak Staruszka. Kiedy byłem wyrostkiem, postawiłem na półce nad łóżkiem posążek przedstawiający Sprawiedliwość i modliłem się do niego dwa razy dziennie. Niech Bóg ma w opiece tę nieszczęśliwą.”

Przywarł do ust Izy, długim, spragnionym, pełnym namiętności pocałunkiem. Wyczuła ciepło jego twarzy. Pocałunek był inny niż zwykle, smutny, niemal rozpaczliwy. Nie całował jej dotychczas w ten sposób. Również jego wzrok wyrażał coś zupełnie innego. Oczy mu błyszczały, a na ich dnie tlił się jakiś nieszczęśliwy wyraz zagubienia. Anioł, którego Staruszka odtrąciła tam, w Balsamárok, ukazał się na ułamek sekundy u boku Izy i szepnął jej, żeby nie pozwoliła Domokosowi odejść. Niech biegnie za nim, niech go dogoni, niech rozpacza i siłą zatrzyma go przy sobie. Ale Iza stała w miejscu i milcząco patrzyła, jak mężczyzna zniknął w wąskiej uliczce wśród dwóch rzędów domów. Nie słyszała szepty anioła, ponieważ na tego rodzaju szepty tylko Staruszka miała wyostrzony słuch.

Zamknęła furtkę na klucz. Jeżeli przyjdzie Gica, nie wpuści jej. W razie gdyby ktoś zadzwonił, wyjrzy przez frontowe okno spoza firanek i wpuści tylko tego, kogo sama zechce.

W domu było ciepło, ale wszystko tonęło w ciemnościach. Podczas gdy byli na obiedzie, Gica napaliła w piecu i znikła. Panowała kompletna cisza. Cisza tak nierealna, w której staje się głośnie tykanie zegara, a człowiek słyszy nawet takie głosy, na które dotychczas nic zwracał uwagi. Stary zegar odezwał się donośnym, złym głosem. Uciekła przed nim do drugiego pokoju i zamknęła za sobą drzwi.

Wiedziała, że jest tutaj po raz ostatni. Że ten krótki czas dzielący ją od pogrzebu jest czasem wielkiej próby. To miasto przejdzie tylko do wspomnień. Teraz już nic zakłóca jej spokoju żadne międzymiastowe telefony. Została sama. Zupełnie sama. Odtąd już tylko za siebie będzie ponosić odpowiedzialność. Po uzyskaniu dyplomu Izie najdziwniejsze wydało się to, że coś w jej życiu bezpowrotnie minęło i że zaczyna się coś nowego, bardziej dojrzałego i poważnego.

Te ściany, które pamiętają jej młodość, od których echem odbijały się jej dziecinne kroki, które słyszały jej płacz i wesoły śmiech, dzisiaj po raz ostatni udzielają jej gościnnego azylu, jakby świadome swoich obowiązków w tej trudnej chwili.

Iza była wyczerpana. Wyczerpana ostatnimi przeżyciami, zmartwieniami i tym niewytłumaczonym uczuciem niepokoju. Cała jej istota domagała się swoich praw. Usiadła w niskim, wygodnym fotelu Antala koło pieca i zasnęła.

Antal zastał ją śpiącą w tym samym miejscu.

Będąc pewny, że nie ma jej w domu, zapalił w pokoju światło. Kiedy spostrzegł Izę, zatrzymał się przy niej. W pokoju panował nieład, jakby pedantyczna zawsze Iza uciekła i nie zdążyła zatrzeć za sobą śladów. Jej płaszcz, kapelusz i torebka były porozrzucane po meblach, jak gdyby bała się przejść jeszcze raz przez pokoje, by odłożyć je do szafy.

Antal stał i patrzył na nią. Ta śpiąca twarz była twarzą Izy-dziewczynki. Łagodna, smutna i cierpiąca. Piękne czoło Wincentego, brwi, wykrój oczu i krótki nos Staruszki, a także jej dziecinne usta i miękka, łagodna linia brody. „Kochałem cię – mówił do niej w myślach Antal – kochałem cię tak bardzo, jak nigdy już nie będę mógł ani chciał kochać nikogo. Kochałem cię bezkrytycznie. Zawsze ja należałem do ciebie, a nigdy ty do mnie. Byłaś daleko nawet wtedy, kiedy trzymałem cię w moich ramionach. Czasem w nocy opanowywało mnie pragnienie, żeby potrząsnąć tobą, wyrwać cię ze snu i krzyknąć: Powiedz choć jedno słowo, które pomoże mi cię odnaleźć, które uratuje cię i wskaże mi, jak mam wobec ciebie postąpić. Kiedy odkryłem twoje potworne samolubstwo i. to, że dajesz z siebie tylko tyle, ile ci jest wygodnie, i tylko to, co nie zakłóca twojej pracy – wybuchnąłem płaczem. Nie słyszałaś mnie wówczas, a choćbyś nawet słyszała, udawałabyś przed sobą, że to tylko senna mara, ponieważ szanowałaś i kochałaś mnie, a w twoim pojęciu mężczyźni nie wypada płakać. Musiałem cię opuścić i uciec przed tobą w obawie, że zarazisz mnie swoją koszmarną dyscypliną, która jest twoją bronią, tarczą strzegącą twojej pracy. Uciekłem w obawie, że wchłoniesz mnie do tego stopnia, że nauczę się patrzeć twoimi oczyma i myśleć twoimi kategoriami i że wszystko będzie dla mnie miało wartość

pieniądza, a nie istotną wartość moralną, jak w wypadku Dorozs. Dla ciebie miało znaczenie Dorozs ze szkła i betonu, a nie uzdrawiająca moc jego źródeł. Nie mogłem żyć z tobą. Kiedy cię ujrzałem po raz pierwszy, byłaś jak mały żołnierz idący w bój. Stałaś na straży u boku ojca, który był najwspaniałomyślniejszym nędzarzem. Myślałem wtedy, że jesteś podobna do tych dwojga starych ludzi, przy których wyrosłaś, i że rozdajesz hojnie siebie, jak to czynili twoi rodzice. Ale nigdy nie znałem większego pod tym względem skapca niż ty, choć wydawałaś się taka wspaniałomyślna. Nigdy nie widziałem większego tchórza od ciebie, mimo że nosiłaś w teczce granaty, a napotkanemu żandarmowi powiedziałaś z wrodzoną ci butą: Co się pan na mnie tak gapi? Nie widział pan jeszcze w życiu studentki?”

Kapitan wzdychał żałośnie jak człowiek. Wśliznął się za Antalem do pokoju. Lekarz zapalił papierosa i, sięgając po zapalki, stracił popielniczkę na podłogę. Iza drgnęła, otworzyła oczy i natychmiast oprzytomniała, świadoma, gdzie się znajduje. Kapitan schował się pod stół. Na dworze było już ciemno. Spojrzała na zegarek. Była szósta.

Wyprostowała się, obciągnęła na sobie spódnice i poprosiła o papierosa. Antal poczęstował ją.

– Dlaczego Domokos odszedł? – zapytał.

Popatrzyła na niego w milczeniu.

– Szukałem go wszędzie, ale nie znalazłem ani jego, ani jego wozu. Dekker mi powiedział, że Domokos zapukał do jego gabinetu, podziękował za gościnę i pożegnał się z nim. O wpół do trzeciej pojechał do Budapesztu. Czy wróci na pogrzeb?

Dopóki nie spostrzegł nagłego napięcia w twarzy Izy i jej zwilgotniałych warg, nie zdawał sobie sprawy, co oznaczają jego własne słowa. Ale oto wszystko stało się jasne. Nie mógł oderwać od niej oczu, gdyż zdawało mu się, że ma przed sobą kogoś bardzo chorego, komu nie można pomóc.

„Bang” – uderzył zegar, który nie tykał jak inne zegary. „Tik-tak, tik-tak. Bang-bang-bang.” Ten głuchy dźwięk odezwał się w nich echem. Przysłuchiwali mu się oboje, jak groźnym pomrukem zamkniętej w klatce bestii. „B a n g.”

Iza siedziała przez chwilę nieruchomo i śledziła wzrokiem ulatujący dym z papierosa. Westchnęła kilka razy głęboko, jak ktoś, kto się broni przed omdleniem.

„Nie rozumie – pomyślał Antal z ogromnym współczuciem. – Nie rozumie, nieszczęśliwa.”

Pochylił się nad nią i takim ruchem, o jakim marzyła wczoraj, przyciągnął ją do siebie. Nie dotknął jej od wielu lat, od dnia kiedy powiedział, że odchodzi. Iza gwałtownie wyrwała się z jego objęć, wstała i spojrzała mu w twarz, jakby chciała coś powiedzieć. Ale milczała. Zaczęła szybko zbierać swoje rozrzucone rzeczy. Pobiegła do łazienki, gdzie ciągle jeszcze wisiało ogromne żółte prześcieradło kąpielowe. Otworzyła neseser i zaczęła w nieładzie wrzucać do środka bieliznę i przybory toaletowe. Kapelusz i płaszcz leżały obok niej na fotelu. Ubierała się bez słowa.



– Wydaje mi się, że pora, abym ci podziękowała za gościnę – powiedziała Iza. – Kongres się skończył i dostanę pokój w hotelu.

Nie czekała na odpowiedź. Nie obchodziło ją, czy Antal w ogóle odpowie. Zwróciła się ku wyjściu, nie oglądając się ani w prawo, ani w lewo. W mieszkaniu było ciemno, ale nie potknęła się o nic. Szła, jakby ją ktoś prowadził. Już kiedyś, przed ośmiu laty, szli tak razem – wtedy Iza także szła przodem, a Antal z tyłu, niosąc walizki i pogwizdując pod nosem. Teraz wiedział, że ta scena nie może się powtórzyć po raz trzeci. Nigdy więcej.

Kapitan skoczył ku nim. Iza nie pochyliła się, aby psa pogłaskać. Nawet go nie dotknęła. Nad ogrodem czerniał nieprzenikniony mrok. Ciężki i ponury. Nie było ani księżyca, ani gwiazd. Nad bramą paliła się lampa. Iza stanęła i odwróciła się.

– Poczekaj chwilkę, wezmę tylko płaszcz – powiedział Antal. – Odprowadzę cię.

– Nie trzeba.

Nie podali sobie rąk.

Furtka nie zaskrzypiała jak dawniej. Miętko obracała się w zawiasach, cicho zamykając się za nią. Antal odczekał, aż umilkną tak dobrze mu znane kroki. Zamknął furtkę na zasuwę.

Iza zobaczyła Kolmana przez okno wystawowe. Wyglądał jakby przecięty wpół, kiedy nalewał mleko do niebieskiego dzbanka. Obok niego piętrzył się stos wesółych bochenków chleba. Na wystawie konserwy, kubki, a w nich kolorowe nieśmiertelniki, niżej otwarty woreczek z orzechami. Iza podeszła bliżej. Czekwała ze ściśniętym sercem, może Kolman wyczuje jej obecność i wyjdzie, przycisnie ją do piersi, pogłaszczę i powie „Izuniu”. Tęskniła za pieśczołą tej starczej, szorstkiej, pachnącej cebulą ręki i za nieporadnymi, serdecznymi słowami: „Takiej dobrej dziewczynki nie ma drugiej na świecie.” Ciało Kolmana przechyliło się do połowy nad ladą. Rozmawiał z jakąś kobietą. Jego wasy połyskiwały w świetle lampy, krajał chleb, a potem zaczął przestawiać odważniki.

Iza poszła dalej.

Na rogu ulicy w kiosku z gazetami nie było nikogo. Iza zatrzymała się także i tutaj. Kiedy się przeprowadzała do Budapesztu, wyjechała nie oglądając się za siebie. Była zła, że ludzie odprowadzali ją wzrokiem, dopóki nie zniknęła za budynkami zaułku Budenza. Bała się o swoich staruszków, że zmarzną, stojąc na dworze, lub że im zaszkodzi wzruszenie. Ale nie mogła ich odzwyczaić od wystawiania na ulicy i kiwania na pożegnanie ręką lub chusteczką tak długo, jak długo widzieli taksówkę, którą jechała na dworzec. Stali tak żegnając ją nawet w czasie najgorszej zawiei śnieżnej. Widziała we wspomnieniach ojca, jak stał koło smoczej rynny podczas ulewnego deszczu. Stał bez parasola, a Staruszka bez chustki na głowie, mimo deszczu i wiatru, aby tylko jeszcze przez małą chwilę widzieć córkę, która nie odwracając się zniknęła im z oczu. Teraz nikt nie stał przed bramą. Ulica także była pusta. Dziwnie, nieprawdopodobnie pusta. W mieszkaniu Antala zabłyśły światła.

Wzięła walizkę do ręki i poszła dalej, jakby światła te były ostrzeżeniem, by nie zaglądała do cudzych domów.

Ogród otaczający kościół był cały rozkopany. Wymijała świeżą, jeszcze wilgotną ziemię. Wczoraj nawet nie zauważyła, ile nowych neonów oświetla główną ulicę. Nad dachami domów lśniły ruchome litery. Jakiś dzbanek z kawą błyszczał olśniewająco, kapiąc kolorowymi kroplami do pękatej filiżanki. Nad hotelem „Pod Baranem” świetlna reklama ukazywała baranka z podniesioną przednią nogą.

Drzwi obrotowe poruszały się dość ciężko. Jakoś ciężiej niż przed południem. Wewnątrz hotelu było ciepło, tym suchym ciepłem buchającym od kaloryferów. Kiedy weszła do hallu, młody człowiek odkładał właśnie słuchawkę telefonu. Postawiła neseser na brzydkiej mozaikowej posadzce i poprosiła o pokój.

– Jednoosobowy? – spytał młody człowiek.

– Tak. Jednoosobowy. – Pomyślała o Domokosie i usta jej zadrżały.

Długopis nie działał, portier dał jej inny, aby mogła wypełnić kartę meldunkową. Powoli, z namysłem wypisywała słowa. Ręce miała lodowate.

– Pani się tutaj urodziła? – zapytał portier z nagłym objawem sympatii, jak zawsze, kiedy przyjmował gości ze stolicy, którzy mieli coś wspólnego z jego rodzinną miejscowością. – Winda nieczynna. Proszę wybaczyć. Pokój sto szesnaście.

Pokój był na trzecim piętrze. Długo szła po schodach. Kiedy wreszcie dotarła do swojego numeru, była zadyszana. Hotel był jakby wymarły. Robił wrażenie zupełnie wyludnionego. Nikt nie odpoczywał w fotelach ustawionych na półpiętrach. Dostała narożny pokój z balkonem. Zamknęła za sobą drzwi i rozejrzała się. Ot, zwykły bezosobowy pokój hotelowy. Na ścianie jakaś martwa natura, przy łóżku radio.

Otworzyła francuskie okno i wyszła na balkon. Silny wiatr targał gałęziami drzew i rozwiewał jej włosy. Północny, porywisty wiatr z puszczy. Stała tak nad miastem i patrzyła na ciemne niebo i dachy.

– Mamo – po raz pierwszy z głębi jej serca wydobyło się westchnienie. – Mamo! Ojczy!...

Wiatr zawodził, a za jej plecami skrzypiały źle domknięte drzwi. Z neonowego dzbanka kapały lśniące krople. Teraz były ognistoczerwone.

Umarli nie odpowiedzieli jej.